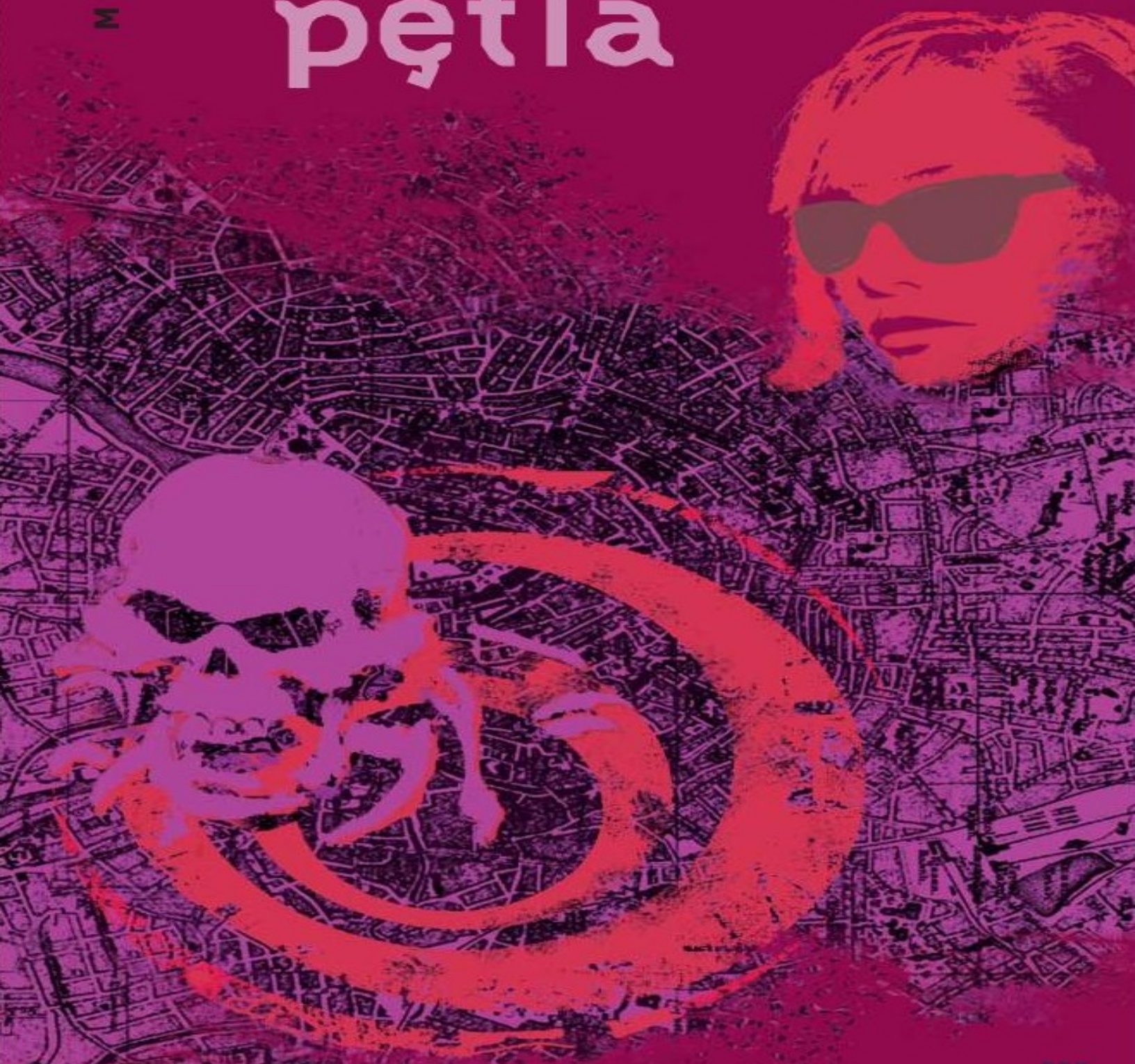


MRO CZNA  
SERIA

ALEKSANDRA

# MARININA złowroga pętla



W  
26

Aleksandra Marinina

# Złowroga pętla

przełożyła Elżbieta Rawska

WAB

Wydanie I  
Warszawa 2006

Tytuł oryginału: Смершь радц смерщц

Copyright © by A. Marinina, 1995

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2006

Redakcja: Ewa Rojewska Olejarczuk

Korekta: Magdalena Stajewska, Jadwiga Przeczek

Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt graficzny serii i rysunek na I stronie: Marek Goebel

Fotografia autorki: © W. Zawjałow

Wydawnictwo W.A.B.

02 502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, ul. Żółkiewskiego 7

Druk i oprawa: OPOLGRAF S.A.

Opole, ul. Niedziałkowskiego 8/12

ISBN 978 83 7414 168 0

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B. można zamówić pod adresem:

ul. Łowicka 31, 02 502 Warszawa

tel. (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

# Spis treści

Strona tytułowa

## ROZDZIAŁ I

1

2

3

4

5

6

## ROZDZIAŁ II

1

2

3

4

5

## ROZDZIAŁ III

1

2

3

4

## ROZDZIAŁ IV

1

2

3

4

5

## ROZDZIAŁV

1

2

3

4

5

6

7

## ROZDZIAŁVI

1

2

3

4

5

## ROZDZIAŁVII

1

2

3

4

5

6

7

8

9

## ROZDZIAŁVIII

1

2

3

4

5

6

7

8

ROZDZIAŁIX

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

ROZDZIAŁX

1

2

3

4

5

ROZDZIAŁXI

1

2

3

4



ROZDZIAŁXII

1

2

3

4

5

ROZDZIAŁXIII

1

2

3

4

5

ROZDZIAŁXIV

1

2

3

4

ROZDZIAŁXV

1

2

3

4

ROZDZIAŁXVI

1

2

3

4

5

6  
Z



# ROZDZIAŁ I

## 1

Olga Krasnikowa ze złością cisnęła słuchawkę na widełki. — Znów? — posepnie zapytał mąż.

Olga w milczeniu skinęła głową. Już od dwóch tygodni jakiś człowiek nękał ich telefonami, grożąc, że jeśli nie zapłacą dziesięciu tysięcy dolarów za milczenie, opowie Dimie, iż kiedyś go usynowili.

— Dość tego, Olu, trzeba porozmawiać z Dimą. Nie można tej sprawy ukrywać w nieskończoność.

— No coś ty? — Olga aż załamała rękę. — Jak to sobie wyobrażasz? Nie, za nic!

— Zrozumie — zirytował się Paweł Krasnikow. — Nie możemy dać się zaszantażować. Nie wyjdziemy potem z długów przez całe lata. Zresztą skąd weźmiemy takie pieniądze? A co, jeśli facet na tym nie poprzestanie i będzie wysuwał dalsze żądania? Zaczniemy się wyprzedawać, oszczędzać na jedzeniu i ograniczać inne

konieczne wydatki. I jak to wyjaśnimy Dimie? Tak czy owak, będziemy zmuszeni powiedzieć mu prawdę.

Olga ciężko usiadła na krześle i rozplakała się.

— Ale... nie wiem, jak to zrobić... Jest w takim wieku... Widzisz przecież, że trudno mu teraz samemu sobie ze sobą poradzić, jego charakter dopiero się kształtuje... I ta historia z džinsami... Jak zareaguje, kiedy się dowie?... Pasza, boję się. Może lepiej nic Dimie nie mówić?

— Trzeba mu powiedzieć — odparł szorstko Paweł. — I zaraz to zrobię.

Zdecydowanym krokiem wyszedł z kuchni, zostawiając płaczącą żonę samą.

Piętnastoletni Dima siedział w swoim pokoju nad lekcjami. Wysoki, niezgrabny, o długiej, dziecięco cienkiej szyi i w butach rozmiar czterdzieści cztery, przypominał młodego strusia. Zawsze był spokojnym, posłusznym chłopcem — i nagle ta idiotyczna, zupełnie niezrozumiała historia z džinsami, które chciał ukraść w sklepie. Został zresztą przyłapany przez ekspedientki na gorącym uczynku, wezwano milicję, spisano protokół, a chłopca zatrzymano. Olga i Paweł zakrzatnęli się, pożyczili pieniądze i porozumieli się z adwokatem, który obiecał, że jeśli nie uda się uniknąć sprawy sądowej, to przynajmniej szybko wyciągnie chłopaka z aresztu. Rodzice długo łamali sobie głowy nad tym, co się nagle stało z ich cichym, uległym i posłusznym synem. Sam Dimka nie potrafił swojego postępkę sensownie wyjaśnić. Zdarzenie miało miejsce cztery miesiące temu, i od tej pory chłopiec zachowywał się jeszcze

spokojniej i grzeczniej, zaczął się nawet lepiej uczyć. Wyglądało na to, że on też nie rozumie, co go wtedy naszło...

Paweł wszedł do pokoju syna i usiadł na kanapie.

— Muszę z tobą poważnie porozmawiać, Dmitrij.

Chłopiec podniósł wzrok znad zeszytu i z niepokojem popatrzył na ojca.

— Na pewno nic nie wiesz o tym, że mama i ja mamy kłopoty...  
— zaczął Krasnikow.

— To... z powodu tych dzinsów? — nieśmiało zapytał Dima. — Nie, synku. Od dwóch tygodni dzwoni do nas jakiś człowiek i żąda pieniędzy. Dużych pieniędzy, dziesięciu tysięcy dolarów.

— Za co?! — zdumiał się chłopiec. — Co, popełniliście jakieś przestępstwo?

— Jak ci nie wstyd, Dmitrij? — surowo upomniał syna Paweł. — Podobne przypuszczenie nie powinno ci nawet przejść przez myśl. Chodzi o coś innego. Pamiętasz, że twój dziadek Michaił, ojciec mamy, miał brata Borysa Fiodorowicza, który był o wiele od niego starszy i zmarł, zanim ty się urodziłeś? — Tak, opowiadaliście mi o nim. I widziałem jego zdjęcie w albumie.

— A wiesz, że wuj Borys, czy raczej dziadek Borys, miał córkę Wierę?

— Aha. Mama mówiła, że ona też od dawna nie żyje.

— Zgadza się. Umarła, kiedy urodziła syna. Dano mu na imię Dima.

— Jak mnie? — zdziwił się chłopiec.

— Nie j a k tobie. Po prostu t o b i e.

Dima nachmurzył się i wbił spojrzenie w leżący przed nim podręcznik fizyki.

— Nie rozumiem — wydusił w końcu, nie podnosząc oczu na ojca.

— Twoja mama umarła, synku — wyjaśnił łagodnie Paweł. — A my cię usynowiliśmy. Teraz nadszedł czas, żebyś się o tym dowiedział.

Dima znowu umilkł na długą chwilę, przetrawiając to, co usłyszał, i starając się nie patrzeć na Pawła. Cisza ciążyła Pawłowi z każdą chwilą bardziej, ale nie wiedział, jak ją przerwać, by nie przysporzyć dziecku jeszcze większego bólu.

— A mój ojciec? — odezwał się w końcu Dima. — Kim jest? — Jakie to ma znaczenie, synku? — rzekł spokojnie Paweł. — Twoja mama nie wyszła za mąż, i zupełnie możliwe, że ojciec nawet nie wie o tym, że w ogóle istniejesz. Twoimi rodzicami jesteśmy my, Krasnikowowie. Wychowywaliśmy cię od chwili narodzin, nosisz nasze nazwisko, przeżyliśmy razem ponad piętnaście lat, zgodzisz się, że to kawał czasu. Jesteś już wystarczająco dorosły, żeby można było z tobą mówić otwarcie, niczego nie ukrywając.

— To znaczy, że nie jestem waszym rodzonym synem? — drążył dalej Dimka.

— Nonsens — uciął stanowczo Paweł. — Po pierwsze, Wiera była stryjeczną siostrą mamy, tak że bliskie pokrewieństwo istnieje. A po drugie, co to znaczy „rodzony” czy „nierodzony”? Jeśli kogoś kochasz, jeśli ktoś jest ci bliski i drogi, to tak jak rodzony. A co do tego, że ja i mama cię kochamy, nie masz chyba żadnych

wątpliwości. Tak więc jesteś naszym rodzonym synem w pełnym sensie tego słowa. I nie waz się nigdy myśleć inaczej.

— Dobrze, tato — cicho, prawie szeptem, odparł chłopiec. Paweł wstał. Był dobrym człowiekiem, tyle że trochę oschłym, i czuł się teraz niepewnie, nie wiedząc, co robić dalej.

— Myślę, że chciałbyś побыć trochę sam, żeby się zastanowić nad tym, co ci powiedziałem — rzekł w końcu. — Ja pójdę do mamy. Ona bardzo to wszystko przeżywa. Olga stała w kuchni. Oczy miała zapuchnięte od płaczu i nerwowo wycierała ścierką umyte przed chwilą naczynia. — No i co? — zaczęła wypytywać męża. — Powiedziałeś mi? — Powiedziałem. — I jak to przyjął?

— Trudno powiedzieć. Chyba musi to przemyśleć. — Ale nie płacze? — zaniepokoiła się Olga.

— Nie, nie.

— O Boże — jęknęła kobieta — za co nas to spotyka? Czym zasłużyliśmy na taką karę? Żeby tylko teraz nie zamknął się w sobie, nie odciął się od nas i nie uznał, że to my jesteśmy wszystkiemu winni!

— Co też ty mówisz? — obruszył się Paweł. — Czemu miałby nas uważać za winnych? Czego?

— A bo ja wiem? — Rozgoryczona Olga machnęła ręką. — Albo to można zrozumieć, co się dzieje w ich głowach? Zaczęła nakrywać do kolacji, wyjęła z lodówki rondel z duszonym mięsem, nakroiła chleba. Po dłuższej chwili odezwała się nieśmiało:

— Trzeba by zawołać Dimkę na kolację. Ale się boję. — Czego się boisz?

— Nie wiem. Czuję jakiś strach. Nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy. Może ty go zawołasz? Paweł wzruszył ramionami i krzyknął głośno: — Synku! Myj ręce i chodź do stołu. Kolacja!

Głos go zawiódł, brzmiał jakoś ochryple i fałszywie. Paweł uświadomił sobie, że także jest wytracony z równowagi, i zmieszany uśmiechnął się do żony.

Rozległy się szybkie kroki, Dimka przemknął do łazienki, skąd dobiegł szum wody.

— Nie denerwuj się — szepnął Paweł do żony. — Wszystko będzie dobrze, jestem pewien. Postąpiliśmy słusznie. Gdybyśmy teraz przemilczeli sprawę, z czasem byłoby tylko gorzej, wierz mi.

Kiedy chłopiec wszedł do kuchni, po jego drżących wargach rodzice poznali, że jest zdenerwowany nie mniej niż oni. W milczeniu usiadł przy stole i zaczął jeść. Olga i Paweł nie byli w stanie prawie nic przełknąć. W końcu kobieta nie wytrzymała napięcia. — Synku, bardzo jesteś przygnębiony?

Dimka oderwał się od talerza i z ukosa zerknął na matkę. — Nie wiem. Chyba nie. Widziałem na filmach, że dzieci wpadają w histerię, kiedy się dowiadują o coś takim, i w ogóle... Ja pewnie też powinienem płakać, tak? — Ależ skąd, synku, nie ma żadnego powodu do płaczu. Nic się nie zmieniło, prawda? Nadal jesteś przecież naszym synem, a my twoimi rodzicami. W filmach pokazują różne niemądre rzeczy, byleby tylko wzmóc napięcie u widza. Paweł uśmiechnął się zadowolony. Wiedział z góry, że obejdzie się bez wielkich historii, nie pomylił się co do swojego Dimki. Ani co do Oleńki.

— Teraz niech sobie dzwonią na zdrowie — powiedział. — Nikogo się już nie musimy bać, prawda? — dodał dziarsko. Ale jego radość okazała się przedwczesna, gdyż kiedy dwa dni później szantażysta zatelefonował znowu, po prostu nie uwierzył w to, co usłyszał od Olgi.

— Aha, myślicie, że znaleźliście głupiego. — Parsknął śmiechem w słuchawkę. — Akurat wam uwierzę! Niech wasz syn sam podejście do telefonu i powie, że o wszystkim wie, wtedy zobaczymy.

— Ale nie ma go w domu... — Olga, nieprzygotowana na taki obrót sprawy, pozwoliła się zaskoczyć. Dimki zresztą rzeczywiście nie było.

— Jasne, jakżeby inaczej! — sarknął szantażysta. — A więc tak, mamusiu. Szykujcie forszę, okres negocjacji się skończył, pojutrze zadzwonię o tej samej porze. I żeby wszystko było załatwione tip-top, rozumiemy się?

Paweł, który w milczeniu obserwował rozmowę żony z szantażystą, nagle wybuchnął:

— Koniec! Dostyc tego! Trzeba łobuzów nauczyć rozumu. W tej chwili idę na milicję i składam pisemną skargę na tego typa! Tyle krwi nam napsuł!

— Ależ uspokój się, Paszeńka — próbowała go powstrzymać żona. — Niech sobie dzwoni, nie musimy już się go bać. Zadzwoni jeszcze parę razy i przestanie.

— Przestanie? A jeżeli zechce zrealizować swoją groźbę? On przecież nie uwierzy, że opowiedzieliśmy Dimie o wszystkim, i może próbować przyłapać go gdzieś na ulicy, żeby otworzyć



chłopakowi oczy. Jesteś pewna, że Dima przyjmie to spokojnie? Nie rzuci się na niego z pięściami? Albo że się nie wystraszy i nie dostanie szoku? Nie chcę, żeby ten zwyrodnialec dopadł mojego syna gdzieś w ciemnym zaułku. Wybiegł do przedpokoju i zaczął się szybko ubierać. Olga rzuciła się, żeby go powstrzymać, ale nagle zrozumiała, że mąż ma rację. Absolutną rację.

## 2

Do gabinetu szefa wydziału śledczego prokuratury miejskiej Konstantin Michajłowicz Olszański wchodził zawsze śmiało. Po pierwsze, długo i dobrze znał swego zwierzchnika, po drugie zaś, równie dobrze wiedział, że jego własny arogancki, niemal impertynencki sposób bycia, graniczący niekiedy ze zwyczajnym chamstwem, stanowi niezawodną tarczę ochronną. Olszańskiego w prokuraturze nie lubiano i bano się mieć z nim do czynienia, chociaż doceniano jego profesjonalizm i gruntowną znajomość przepisów prawa. Konstantina Michajłowicza natura szczerze obdarzyła męską urodą, on jednak mimo to robił wrażenie niechlujnego ofermy w wiecznie wymiętym garniturze, niedoczyszczonych butach i okularach w staromodnej, od dawna połamanej i byle jak sklejonej oprawce. Najdziwniejsze, że Nina, żona Olszańskiego, sumiennie dbała o jego garderobę i obuwie i co dzień rano, gdy wyprawiała męża do pracy, prezentował się on naprawdę bardzo przyzwoicie, ale już w pół drogi do prokuratury wszystkie starania Niny szły na marne. Natury tego zagadkowego zjawiska nie pojmowała ani ona, ani sam Konstantin Michajłowicz,

ani jego bliscy przyjaciele, dwie córki Olszańskiego zaś twierdziły zgodnie, że tatuś wytwarza „szczególne biopole”.

Także i teraz stał w gabinecie szefa wydziału śledczego z ponurą i nieszczęśliwą miną; jego wygląd mógł zwieść każdego z wyjątkiem tych, którzy choć raz mieli do czynienia ze starszym śledczym Olszańskim.

— Kostia, zależy mi na tym, żebyś z tej sprawy zrobił prawdziwe cacuszko.

Z tymi słowy szef wręczył Olszańskiemu cieniutką teczkę z kilkoma arkusikami papieru w środku.

— Co to jest? — zapytał Konstantin Michajłowicz, biorąc do ręki zupełnie jeszcze nieważkie akta jakiejś sprawy. — Chodzi o nękanie telefonami i szantaż. Pewien obywatel żąda od małżonków Krasnikowów pieniędzy, grożąc ujawnieniem tajemnicy adopcji.

— Nie rozumiem.

Konstantin Michajłowicz ostrożnie odłożył teczkę na biurko, tak jakby za chwilę miała wybuchnąć.

— Chuligańskie wygłupy przez telefon to nie nasza działka, tym powinna się zajmować milicja. Czego się właściwie po mnie spodziewasz?

— Chcę, żebyś zajął się sprawą o naruszenie tajemnicy adopcji.

Olszański otworzył teczkę i szybko przejrzał znajdujące się tam dokumenty.

— Ale tutaj nie ma skargi osób, które ucierpiały z powodu naruszenia tajemnicy adopcji. Jest tylko skarga na nękanie telefoniczne.

— A więc ty załóż teraz sprawę o naruszenie tajemnicy — powiedział szef. — Jesteś śledczym i wszystko zależy od ciebie.

Olszański popatrzył na niego z niedowierzaniem.

— Możesz mi wyjaśnić, po co to? Co ty znowu knujesz? I w ogóle jak ta telefoniczna sprawa do ciebie trafiła? — Ależ nic nie knuję, Kostia. Słowo daję, ty zawsze we wszystkim wężysz podstęp. Prokurator miejski przeprowadził wybiórczą kontrolę sankcji prokuratorów rejonowych i trafił na pismo z okręgowego Urzędu Spraw Wewnętrznych z prośbą o pozwolenie na założenie podsłuchu w aparacie telefonicznym, należącym do małżonków Krasnikowów, w związku z ich oświadczeniem, że stale dzwoni do nich osobnik o nieustalonej tożsamości i żąda pieniędzy, grożąc naruszeniem tajemnicy adopcji. Prokurator zwrócił się więc do organów milicji z całkowicie uzasadnionym pytaniem: w jaki sposób ów natrętny szantażysta zdołał poznać tę starannie strzeżoną tajemnicę? Ktoś przecież musiał mu ją zdradzić, tym samym ją naruszając. A za to odpowiada się z artykułu sto dwadzieścia cztery naszego ukochanego i na razie wciąż jeszcze obowiązującego kodeksu karnego. Oto i cała historia.

— Mało przekonujące. — Olszański pokręcił głową. — A jak ta sprawa trafiła do ciebie? Co, ci Krasnikowowie to znajomi naszego prokuratora? A on, dlaczego nie oddał sprawy do prokuratury rejonowej?

— Dlaczego, dlaczego — burknął szef wydziału śledczego. — Dlatego. Chce mieć dobrze przeprowadzoną, pokazową sprawę, która stanowiłaby przykład dla młodych śledczych, no wiesz, żeby mieli się na czym wzorować. Czy pięć lat temu ktokolwiek mógł przypuszczać, że będziemy się zajmowali sprawami dotyczącymi

oszczerstw i pomówień? Coś takiego zdarzało się raz na sto lat i było rozpatrywane przez sąd jako sprawa z oskarżenia prywatnego. A teraz sejfy pękają od spraw o obronę dobrego imienia. Oczywiście, nie karnych, tylko z powództwa cywilnego, ale prokuratura i tak musi je nadzorować. A naruszenie tajemnicy adopcji to nasza działka i jak nie dziś, to jutro możemy zostać zasypani prawdziwą lawiną podobnych spraw. — Skąd takie ponure prognozy?

— A jak myślisz, skąd? To przewidywania naszych analityków.

— Naprawdę im wierzysz? — mruknął pogardliwie Konstantin Michajłowicz. — Daj spokój!

— No wiesz... Nie zawsze, ale w tym wypadku tak. Dziś można kupić każdą informację, to kwestia ceny, a im więcej ludzie mają pieniędzy, tym częściej je przeznaczają właśnie na ten cel. To po pierwsze. Po drugie, naruszenie tajemnicy można wykorzystać jako dobry sposób na wyciągnięcie od pozwanego forsy w ramach rekompensaty za straty moralne. Tak więc my musimy być dobrze przygotowani do rozpatrywania tego rodzaju skarg, żeby nikt, ani adwokaci, ani sędziowie, nie mógł nam zarzucić, że nie potrafimy zebrać materiału dowodowego i właściwie go wykorzystać. Owszem, w dawnym KGB dobrze to umieli, jako że zajmowali się tam sprawami dotyczącymi naruszenia tajemnicy państwowej, ale my nigdy nie mieliśmy z niczym podobnym do czynienia. Chcę, żebyś opracował cały system działania w takich sprawach, sposób gromadzenia dowodów, spisywania protokołów i wniosków. Dlatego właśnie powierzam ci sprawę Krasnikowów. Jesteś ze wszystkich naszych śledczych najlepiej do tego przygotowany i tylko ty potrafisz zająć się tym problemem jak należy. Wierzę w

ciebie, Kostia, mam zaufanie do twojego profesjonalizmu i wiem, że każdą sprawę starasz się załatwić perfekcyjnie. Z pewnością mnie nie zawiedziesz i nie będę musiał świecić oczami, przekazując zebrane materiały prokuratorowi.

— Pochlebia mi to — z ironicznym uśmiechem oświadczył Olszański, wykonując przy tym przesadnie unizony ukłon. — A więc jak trzeba sklecić jakąś pokazówkę, to w te pędy do Kosti. Ale kiedy chodzi o podwyżkę, słyszę: „Przykro mi, Konstantinie Michajłowiczu, ale nic się nie da zrobić”. Bardzo rozsądna zasada, bez dwóch zdań. Szef skrzywił się z niezadowoleniem.

— No już dobrze, do śmierci będziesz mi to wypominał! Wiesz przecież, że nie było wtedy pieniędzy.

— No tak, ale dla ciebie na premię w wysokości trzech miesięcznych pensji pieniądze jakoś się znalazły. Wiesz co, przestań mi mydlić oczy. Wezmę tę sprawę, bo rozumiem, że to polecenie służbowe, więc wcale nie musisz mi schlebiać i udawać przyjaciela. Najzupełniej wystarczy, że ty tu jesteś zwierzchnikiem, a ja podwładnym.

— Och, ależ z ciebie numer, Konstantin! — rzekł z westchnieniem szef wydziału śledczego.

— Trudno, jestem, jaki jestem, innego towaru nie ma na składzie, trzeba brać, co dają, bo i to się kończy — odciął się ostro Olszański, opuszczając gabinet przełożonego z cienką tekturową teczką pod pachą.

### 3

Leonid Łykov, lat dwadzieścia osiem, od czoła spora łysina, z tyłu długie, zmierzwione kłaki, okrągły „piwny” brzusek i błyszczące rozbiegane oczka, wiercił się na krześle w pokoju Olszańskiego, jakby siedział na rozpalonej blasze. Został zatrzymany parę godzin wcześniej, kiedy kolejny raz próbował telefonicznie szantażować Olę Krasnikową, by zapłaciła mu dziesięć tysięcy dolarów w zamian za utrzymanie w tajemnicy informacji, która stała się już absolutnie bezwartościowa. I teraz Konstantin Michajłowicz z mozołem usiłował wyciągnąć z Łykowa odpowiedź na pytanie, od kogo tę informację uzyskał.

— Podał mi ją Aleksander Władimirowicz Gałaktionow — oświadczył w końcu Łykov, odwracając spojrzenie od śledczego. Wbił wzrok w podłogę.

— Po co? W jakim celu to zrobił? Miał pan się z nim podzielić pieniędzmi, które spodziewaliście się wyłudzić od Krasnikowów?

— Nie-e — zaprzeczył z oburzeniem Łykov. — Gałaktionow nie z tych, co to by... Miałem długi, no to poradził mi, jak można zdobyć forszę. Całkiem bezinteresownie. — A on sam skąd miał tę informację?

— Bo ja wiem? — odpowiedział Łykov, wzruszając ramionami.

— Nie pytał go pan o to?

— Nie-e. Dla mnie to bez różnicy. Jak pierwszy raz zadzwoniłem, zorientowałem się z reakcji Krasnikowów, że mnie nie oszukał.

— I nie ma pan nawet bladego pojęcia, skąd Gałaktionow dowiedział się o tej sprawie? Niech pan sobie przypomni, może z tego, co mówił, wynikało, że Krasnikowowie to jego krewni lub znajomi? Proszę się dobrze zastanowić. — Nie ma się nad czym zastanawiać! Powiedziałem przecież, że nie wiem. Pojechałem do niego, żeby zapytać, czy nie mógłby mi pożyczyć forsy na procent na jakieś trzy miesiące, a on na to, że nie jest instytucją charytatywną, ale jeżeli są mi potrzebne pieniądze, to mogę spróbować zadzwonić pod taki to a taki numer, do rodziców usynowionego chłopca. Podał mi ich nazwisko, adres, telefon, i koniec. To wszystko.

— No dobrze. — Olszański westchnął. — Niech mi pan poda namiary na tego Gałaktionowa, muszę sprawdzić pańską bajeczkę. Adres, telefon, miejsce pracy.

— Przecież pan to wszystko ma! — zdziwił się zupełnie szczerze Łykow.

— Co mam? — burknął Olszański.

Łykow milczał, z zakłopotaniem spoglądając na śledczego. Przestał się nawet wiercić na krześle.

— N-no... te dane... — wydusił wreszcie, zacinając się.

— Jakie dane?

— Eee... G-gałaktionowa. Przecież on nie żyje. To znaczy, został zabity.

— Co?!

Olszański zerwał okulary i wbił spojrzenie w nieszczęsnego Łykowa. Konstantin Michajłowicz był bardzo krótkowzroczny i grube soczewki jego okularów sprawiały, że ludziom, którzy go



nigdy nie widzieli bez szkieł, wydawało się, iż oczy Olszańskiego są małe i niezbyt wyraziste. W istocie były piękne, duże i ciemne, kiedy zaś śledczego coś rozgniewało, wprost pałały wściekłością, przygważdżając zaskoczono i przerażonego rozmówcę do miejsca. Jeżeli, oczywiście, Konstantin Michajłowicz nie zapomniał zdjąć okularów. — Proszę powtórzyć, bo chyba źle pana zrozumiałem — zażądał Olszański z lodowatym spokojem. — I niech się pan postara nie jąkać.

— Aleksander Władimirowicz Gałaktionow został zamordowany jakieś trzy tygodnie temu. Przesłuchiwało mnie już przecież w tej sprawie. Czyżby pan o tym nie wiedział? — A niby skąd miałbym wiedzieć? — rzucił z rozdrażnieniem śledczy. — Nie ja pana przesłuchiwałem. Niech pan wraca do celi i jeszcze raz dobrze się zastanowi nad tym, co dokładnie powiedział panu Gałaktionow, przekazując namiary Krasnikowów.

Nacisnął guzik, wzywając konwojenta. Potem jeszcze długo siedział, pocierając czoło, aż wreszcie zebrał papiery ze stołu i opuścił gościnny gmach aresztu śledczego. Nazajutrz rano leżała przed nim pisemna notatka, informująca o wszczęciu śledztwa w związku z odnalezieniem zwłok obywatela A. W. Gałaktionowa. Ciało denata znajdowało się w mieszkaniu jego kochanki, odkryto je zaś tam cztery dni po zgłoszeniu przez małżonkę zaginięcia męża. Stwierdzono wówczas, że Gałaktionow nie żyje co najmniej od tygodnia. Jego kochanka, Nadieżda Andriejewna Szytowa, przez cały ten czas przebywała w szpitalu, gdzie przeszła operację usunięcia ciąży pozamaciczej. Przyczyną śmierci denata było otrucie cyjankiem.

Śledztwo w sprawie zabójstwa Gałaktionowa okazało się niezwykle trudne, gdyż krąg znajomych ofiary był na tyle szeroki, a zakres jego działalności tak różnorodny, że, na przykład, młodemu, rozpoczynającemu dopiero działalność zawodową pracownikowi operacyjnemu roboty związanej z ustaleniem i sprawdzeniem wszelkich możliwych wersji wydarzeń starczyłoby aż do emerytury. Po pierwsze, Gałaktionow był szefem wydziału kredytowego w banku handlowym, nękanym bezustannie przez różnego autoramentu grupy przestępcze. Po drugie, okazał się wielkim amatorem płci pięknej, a ponieważ zachowywał się nie dość ostrożnie, stale miewał na pieńku z mężami lub kochankami swoich wybranek; niekiedy wchodziła mu również w paradę ślubna małżonka. Po trzecie — i to chyba najważniejsze — namiętnie grywał w karty. Tak więc przypuszczalnych wersji mogło być wiele, przeciwnie niż ludzi, którzy mieli je sprawdzać. Olszański przejrzał pobieżnie listę przesłuchanych przyjaciół, krewnych i znajomych Gałaktionowa i rzeczywiście odnalazł wśród innych również nazwisko Łykowa. Sprytny szantażysta nie skłamał. Konstantin Michajłowicz uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji patowej, skoro bowiem Łykov wiedział od dawna o śmierci Gałaktionowa, to mógł na pewniaka podać denata jako źródło informacji, słusznie zakładając, że prawdziwości jego słów potwierdzić ani zaprzeczyć nie sposób. Jeśli zaś nie kłamał i informację dotyczącą Dimy Krasnikowa otrzymał rzeczywiście od Gałaktionowa, to trzeba będzie na nowo przesłuchać cały ogromny krąg znajomych nieboszczyka, żeby ewentualnie trafić na jakiś ślad, prowadzący do pierwotnego źródła przecieku. Zanim jednak przyjdzie się rzucić w ten bezdenny odmęt, warto raz jeszcze porozmawiać z

poszkodowanymi, czyli Krasnikowami. Nikt nie wie przecież lepiej niż oni sami, kto mógł wiedzieć o usynowieniu Dimy.

## 4

Zadygotał całym ciałem w strumieniach lodowatej wody, ale po chwili z przyjemnością poczuł, że powracają mu siły i rześkość, i szorstką myjką zaczął nacierać ciało, aż skóra się zaczerwieniła. Następnie wytarł się frotowym ręcznikiem i zabrał do golenia. Po chłodnym prysznicu energia go wprost rozpierała. Usiadł do śniadania w doskonałym humorze, z apetytem zjadł jajecznicę, dwie parówki i grzanki z serem, zapijając wszystko kawą.

— Nie spóźnisz się? — zapytała żona, rzuciwszy okiem na zegar, i wpięła w uszy srebrne kolczyki. — Już dziesięć po ósmej.

— Dzisiaj popracuję w domu, chcę wreszcie skończyć artykuł.

— Szczęściarz z ciebie — rzuciła z zazdrością. — Gdybym to ja mogła pracować w domu! Że też mężczyźni zawsze potrafią się tak dobrze urządzać! No to na razie, muszę pędzić. Jeżeli się zdecydujesz zrobić sobie przerwę, odbierz rzeczy z pralni, kwity leżą na lodówce.

— Odbiorę, odbiorę — obiecał wspaniałomyślnie. — Jak będę wyprowadzał Brylanta, to przy okazji po nie wstąpię. Po wyjściu żony siedział jeszcze chwilę w kuchni, po czym poszedł do pokoju, wyjął papiery z teczki i rozłożył je na biurku. Artykuł był prawie

gotowy, pozostawało tylko wpisać czarnym flamastrem wzory i dodać dwa, trzy akapity podsumowania. Uporał się z tym w półtorej godziny. Przepisał na maszynie ostatnią stronę z kilkoma zdaniem, które sformułował przed chwilą, po czym złożył kartki, starannie je wyrównał i szepił kolorowym plastikowym spinaczem. Potem długo patrzył na pierwszą stronę, gdzie widniał napisany dużymi literami tytuł, a pod spodem — nazwiska czterech współautorów. Uśmiechnął się, znów wziął do ręki flamaster i jedno z nazwisk starannie obwiodł czarną ramką. Był bardzo zadowolony ze swojej pracy.

## 5

Zbliżając się do gmachu moskiewskiego Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych na Pietrowce, Anastazja Kamieńska pomyślała z rezygnacją, że chyba nie uniknie przeziębienia. Pierwsza kałuża, do której wpadła po kostki, była tuż koło domu, drugi raz woda wlała jej się do butów u wejścia do metra. Kozaki były zupełnie nowe, ale mimo to przemakały. Producentom z pewnością nawet nie przychodzi do głowy, że w zimowym skórzanym obuwiu ludzie będą brodzić po kolana w błocie i wodzie. Najwyraźniej technologia produkcji nie nadąża za zjawiskiem globalnego ocieplenia. Przez całą drogę do metra Nasti ohydnie chlupało w butach, a ona, uznawszy, że gorzej już być nie może, przestała patrzeć pod nogi, i tak przecież przemoczone, i pograżyła się we własnych myślach. Ta

beztroska skończyła się tym, że w ciągu paru minut, których wymagało dojście od stacji Czechowska do gmachu na Pietrowce, Nastia wdepnęła w kałużę co najmniej cztery razy. Teraz nogi miała nie tylko mokre, ale i zimne.

Zaraz po wejściu do gabinetu zdjęła kozaczki i zafrasowana obejrzała swoje stopy. Rajstopy były zupełnie przemoczone, ściekały z nich powoli krople wody, smętnie skapując na podłogę. Nastia zamknęła drzwi na klucz, ściągnęła dżinsy, potem rajstopy i popadła w rozterkę, niezdecydowana, co robić dalej.

Ktoś poruszył klamką, a później zapukał.

— Aśka, otwórz, widziałem, jak wchodziłaś. No otwórz, musimy pogadać.

To był Jura Korotkow, przyjaciel i kolega Nasti, który uczynił z niej swoją powiernicę i stale dzielił się z nią przeżyciami miłosnymi, a miał ich zawsze całe mnóstwo. — Nie mogę — odpowiedziała Anastazja przez drzwi. — Przebieram się.

— No dobra, otwieraj, nie będę patrzył — nalegał Korotkow. — Cicho bądź — spokojnie odparła Nastia, wyjmując z szafy spódnice, kurtkę mundurową z naszywkami majora i koszulę. Niedobrze, że pantofle trzeba będzie włożyć na bose nogi, ale nie ma innego wyjścia — Nastia ani rusz nie mogła się nauczyć, że zawsze trzeba mieć w torebce zapasową parę rajstop.

— No, Aśka — marudził pod drzwiami Korotkow, zapamiętałe szarpiąc za klamkę. — Otwieraj, bo pękne, jeśli zaraz nie podzielę się z tobą tą wiadomością.

— Poczekajże chwilę! — rzuciła rozzłoszczona Nastia. — Wytrzymałeś całą noc, to wytrzymasz jeszcze minutkę. — Jaką tam

noc! — nie ustawał w naleganiach Jura. — Dopiero co sam się dowiedziałem i zaraz przyleciałem do ciebie. Chodzi o Gałaktionowa. No co, otworzysz? Drzwi natychmiast się otworzyły. Kiedy rzecz dotyczyła pracy, Anastazja Kamieńska zapominała o zasadach przyzwoitości. Teraz stała przed Korotkowem w szarej mundurowej spódnicy, cienkim białym podkoszulku, boso i z niebieską koszulą w rękach.

— Wchodź prędzej — szepnęła, znów zamykając drzwi. — No, gadaj, co się stało?

— Przed chwilą Kostia Olszański dzwonił do Pączka w sprawie Gałaktionowa. Byłem u Gordiejewa w gabinecie i słyszałem to na własne uszy.

— Olszański? — zdziwiła się Nastia. — A co on ma z tym wspólnego? Przecież sprawę Gałaktionowa prowadzi Igor Lepioszkin. Czy coś się zmieniło?

— Właśnie w tym rzecz. O ile się zorientowałem z odpowiedzi Pączka, Kostia trafił na Gałaktionowa, zajmując się zupełnie inną sprawą. Za pół godziny będzie odprawa, Pączek znów weźmie nas na spytki, zacznie drażnić, co z zabójstwem Gałaktionowa, a tu pełna kłapa, sama wczoraj mówiłaś. Dzwonź zaraz do Kosti, może przez te pół godziny zdążysz coś sklecić.

— Jurka, jesteś prawdziwym przyjacielem. Boję się tylko, że Kostia pośle mnie do wszystkich diabłów. Wiesz przecież, jaki potrafi być arogancki. Bądź tak dobry, zawiąż mi krawat. — Ach, dopiero teraz zauważyłem, właściwie dlaczego włożyłaś mundur?

— Kompletnie przemoczyłam buty, a dzinsy mam mokre po kolana. Niech chociaż trochę podeschną — wyjaśniła Nastia,

wsuwając stopy w wąskie, niewygodne pantofle. — Nie jesteś z Kostią w najlepszych stosunkach? — zainteresował się Korotkow, otwierając lufcik i zapalając papierosa. — Dlaczego boisz się do niego dzwonić?

— Nie, w normalnych, po prostu nie lubię impertynentów. — Strasznie jesteś delikatna, koleżanko, w naszej pracy człowiek musi być bardziej zahartowany.

— Nie może mi wybaczyć Łarcewa. Zresztą ja sama też nie mogę go sobie wybaczyć.

— Nie wygłupiaj się, Aśka, nikt tu nie zawinił. I Kostia świetnie o tym wie. Nie nakręcaj się. No już, dzwoń, może wspólnymi siłami zdołamy rzucić coś Pączkowi na żer. Ale były to płonne nadzieje. Olszański zachowywał się z wyniosłą uprzejmością, nie pozwalał sobie na przykre docinki, z tego jednak, co udało im się z niego wyciągnąć, nie można było w żaden sposób sklecić w miarę przyzwoitego raportu dla szefa.

Pułkownika Wiktora Aleksiejewicza Gordiejewa podwładni nazywali Pączkiem bez żadnych złośliwych intencji. Już od trzydziestu lat nikt nie ważył się z pułkownika pokpiwać, a przezwisko, które przylgnęło do niego jeszcze w latach młodości i przechodziło z pokolenia na pokolenie, przekazywane przez odchodzących na emeryturę nowicjuszom, obecnie nabrało niemal groźnego wydźwięku: nie dajcie się zwieść temu, że m łysy i okrągły, bo w rzeczywistości jestem niebezpieczny i szybki jak ołowiana kula.

Gordiejew zaczął odprawę, jak zwykle, spokojnie i życzliwie. Jednakże wszyscy jego pracownicy wiedzieli, że nawet jeśli



któremuś z nich grozi porządna bura, Pączek nigdy tego po sobie nie pokaże wcześniej. Lubił swoich podwładnych i traktował ich z szacunkiem, w przekonaniu, że niepotrzebna, a zwłaszcza przedwczesna wojna nerwów bynajmniej nie sprzyja wykrywaniu zabójstw czy innych ciężkich przestępstw.

— Już dawno nie słyszałem, jak posuwa się sprawa z parku Bitcewskiego — zagaił Pączek. — Słucham, Lesnikow. Igor Lesnikow, najprzystojniejszy wywiadowca na Pietrowce, a zarazem jeden z najbardziej obowiązkowych, poważnych i sumiennych pracowników, zaczął wyczerpująco referować, jakie kroki podjęto w celu wykrycia sprawcy trwającej miesiąc serii gwałtów, do których doszło na terenie parku Bitcewskiego. Sprawę rozpracowywano już od czterech miesięcy, początkowy zapał przygasł, a w takich wypadkach Pączek kazał podwładnym meldować, co i jak, mniej więcej raz na tydzień. Nastia uważnie słuchała Igora, starając się nie myśleć na razie o zabójstwie Gałaktionowa. Sama wniosła niemały wkład w sprawę gwałtów w parku Bitcewskim, długo i skrupulatnie opracowując schemat, który pozwolił znaleźć pewne prawidłowości w sposobie działania przestępcy. Na tej podstawie Anastazja i Igor stworzyli portret psychologiczny gwałciciela oraz charakterystykę jego metody i teraz cierpliwie, dzień po dniu, przesłuchiwali wszystkich ewentualnych podejrzanych. Ściślej biorąc, przesłuchiwał ich Igor, co wieczór przedstawiając Nasti rezultaty swoich dokonań, a ona przeprowadzała analizę uzyskanych informacji.

— Posuwacie się bardzo powoli, zbyt powoli — z niezadowoleniem skonstatował Gordiejew. — Ale w zasadzie ogólny kierunek podjętych działań wydaje się słuszny. Idźmy dalej.

Zabójstwo Gałaktionowa. Kto zreferuje sprawę? Kamieńska? — Proszę pozwolić, Wiktorze Aleksiejewiczu, że ja to zrobię — wyrwał się Korotkow. — Wyszły na jaw nowe okoliczności. Krąg znajomych Gałaktionowa jest, jak pan wie, niezwykle szeroki: w ciągu trzech tygodni przesłuchano ponad siedemdziesiąt osób, które mogłyby ewentualnie udzielić jakichś informacji o samym denacie, jak i o możliwych przyczynach jego zabójstwa. Jeszcze trzy dni temu wydawało nam się...

— Nam, czyli komu? — przerwał mu Gordiejew, dodając złośliwie: — Mnie? Anastazji? Mikołajowi Drugiemu? Jura nabrał tchu i po chwili przerwy kontynuował:

— Przede wszystkim myślał tak śledczy Lepioszkin, a ja w pełni się z nim zgadzałem. Dlatego też przekonałem Kamieńską...

— A ona nie ma własnej głowy na karku? No dobrze, jedź dalej.

— Wydawało nam się, że ustaliliśmy pełny krąg osób, które mogłyby udzielić informacji o Gałaktionowie. Wszyscy ci ludzie mówili to samo, przytaczali w zeznaniach te same fakty, podawali te same nazwiska, imiona, adresy. Każda wersja, opracowana na podstawie uzyskanych informacji, jest sprawdzana, powstają również nowe. Jednakże wczoraj wypłynęła informacja, która pozwala nam sądzić, że wyłoniony krąg znajomych Gałaktionowa nie jest kompletny i że pewna sfera jego działalności nikomu z przesłuchiowanych osób w ogóle nie jest znana. Jak to się mogło stać, że nie dowiedzieliśmy się o tym wcześniej? Nie potrafię na razie na to odpowiedzieć, Wiktorze Aleksiejewiczu. Mam tylko przypuszczenia, których nie chciałbym przedwcześnie formułować, żeby nikogo niepotrzebnie nie krzywdzić...

Gordiejew podniósł wzrok znad kartki, na której gryzmolił coś w zadumie, słuchając oficerów operacyjnych, i popatrzył pytająco na Nastię. „Wiesz coś o tym? O czym on gada?” — mówiło jego spojrzenie. Anastazja ledwo dostrzegalnie skinęła głową: tak, wszystko w porządku, jeśli chce pan znać szczegóły, potem wyjaśnię dokładniej, o co chodzi. — Racja, nie należy nikogo krzywdzić. — Wiktor Aleksiejewicz pokiwał okrągłą, łysą głową. — Ale i mnie nie ma sensu mydlić oczu. Jakie kroki zamierzasz teraz podjąć? Jak chcesz wyświecić sprawę tej tajemniczej sfery działalności Gałaktionowa?

— Przede wszystkim mam zamiar dokładnie przeanalizować dotychczasowe zeznania i spróbować znaleźć w nich luki.

— Czyli, innymi słowy, zamierzasz sprawdzić, czy nie można by wyciągnąć czegoś jeszcze od osób, które już znalazły się w waszym polu widzenia. Chcesz się zorientować, czy są pośród nich takie, które najprawdopodobniej coś przemilczały. I co, poprawnie przetłumaczyłem twoją tyradę na ludzki język?

— Tak jest, obywatelu pułkowniku. Nie jesteśmy w stanie rozszerzać w nieskończoność kręgu przesłuchiwanym, by znaleźć wśród nich osoby, które odpowiadając na pierwsze pytanie, od razu wyśpiewają wszystko, czego się chcemy dowiedzieć. Uważam, że należy intensywniej przycisnąć tych świadków, których już mamy. — Tak.

Pączek przesunął po zebranych ciężkim, ołowianym spojrzeniem.

— Nasz szanowny kolega Korotkow postanowił nam tutaj urządzić lekcję elementarnych zasad, żeby za zasłoną mglistych ogólników ukryć własne niepowodzenia. To smutne. A jeszcze

smutniejsze, że mimo tylu lat pracy w wydziale wciąż się nie nauczył, że przyznać się do niepowodzenia to nie wstyd. Podobnie jak nie wstyd przyznać się do błędów. Owszem, może i nieprzyjemnie, ale nie wstyd. Co więcej, przyznanie się w porę do niepowodzenia czy błędu pozwala naprawić sytuację, ale im dłużej się z tym zwleka, tym bardziej szanse takiej naprawy maleją. Powtarzałem wam to milion razy. Tak czy nie?

Znów powiódł wzrokiem po wszystkich zebranych.

— A teraz jedźmy dalej — podjął po chwili zupełnie innym, spokojnym głosem. — Wszyscy, którzy pracują nad sprawą zabójstwa Gałaktionowa, po zebraniu zostaną u mnie. Nastia odetchnęła z ulgą. Było jej strasznie żal Jurki Korotkowa, który z własnej woli wystawił się na cios, ale wszystko poszło zgodnie z przewidywaniami. Pączek ich ochrzanił, co słusznie im się należało, chociaż skąd, na przykład, mieli wiedzieć, że Lepioszkin nie można zostawiać sam na sam ze świadkami płci żeńskiej? Jak również brać później za dobrą monetę tego, co zostało zapisane w protokołach zeznań takich świadków? Nastia już pod koniec pierwszego tygodnia wspólnej pracy czuła, że z Igorem Lepioszkinem coś jest nie tak, ale milczała, uważając, że człowiek, który przepracował prawie dwadzieścia lat jako śledczy, to profesjonalista umiejący oddzielić subiektywne oceny i wrażenia od faktów i dowodów przestępstwa. Nawet sam Pączek nie znosił, kiedy jego detektywi zaczynali się skarżyć na śledczych. „Jeżeli nie możecie znaleźć wspólnego języka ze śledczym, to znaczy, że jesteście nic niewarci jako oficerowie operacyjni” — powtarzał ciągle. Oprócz Nasti i Jurija zabójstwem Gałaktionowa zajmował się jeszcze Misza Docenko, i we troje przesłuchali tyle osób, ile tylko mogli, szamocąc

się między tą sprawą a co najmniej dziesięcioma innymi. Pozostałe osoby przesłuchiwał Lepioszkin. No i zawałił sprawę... Jednym słowem, stchórzyli, nie upierali się przy swoim i teraz dostali od Gordiejewa zasłużoną reprimendę. Ale najważniejsze, że udało im się tak rozegrać sprawę na zebraniu, że szef doznał nagłej iluminacji. Najpierw wściekał się, złościł, pouczał, i raptem, ni z tego, ni z owego, najspokojniej przeszedł do kolejnego punktu, jak gdyby o Korotkowie i jego wpadce w ogóle nie było mowy. Nie bez powodu również Pączek kazał Nasti, Korotkowowi i Docence zostać po zebraniu. Znaczyło to, że pułkownik też przypomniał sobie o dziwactwie Lepioszkina i zrozumiał, że nikt z nich trojga nie zawinił. W końcu oni śledczych sobie nie wybierają. Za to Gordiejew, jako szef, nie jest bez winy. Powinien był w porę sobie uprzytomnić, co to za typ ten Igor Jewgienjewicz Lepioszkin, i udzielić swoim podwładnym szczegółowych instrukcji, a nie czekać, aż nabiją sobie guzów i siniaków, nabierając własnego smutnego doświadczenia.

Kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim wychodzącym z gabinetu Gordiejewa oficerem operacyjnym, pułkownik podniósł głowę i wbił surowe spojrzenie w Korotkowa. — Co to za cyrki mi tu urządzenie? Dlaczego nie przyszliście od razu i nie powiedzieliście, że Lepioszkin miesza wam szyki?

— Wiktorze Aleksiejewiczu, pan nie cierpi, kiedy przychodzimy do pana ze skargami. Ile razy zmywał nam pan głowę za to, że wciąż wyrzekamy na śledczych? Sam pan bez końca powtarzał, że śledczy to postać numer jeden, a naszym zadaniem jest spełniać jego polecenia i dopiero w czasie wolnym od podstawowych obowiązków służbowych podejmować działania z własnej

inicjatywy — oznajmiła Nastia, zasiadając w swoim ulubionym fotelu w kącie gabinetu. — Mało to różnych rzeczy człowiek mówi — mruknął pod nosem Pączek. — Może tylko żartowałem. A więc tak, moi kochani. Biję się w piersi, przeoczyłem Lepioszkina. Znam go od dawna, w prokuraturze miejskiej pracuje zaledwie dwa miesiące, przedtem wiele lat siedział w dzielnicowej i rejonowej. Wy, dzięki Bogu, nie mieliście wcześniej okazji się z nim zetknąć, bo specjalizował się w przestępstwach gospodarczych. Kiedy mi powiedziano, że sprawę zabójstwa Gałaktionowa prowadzi śledczy Lepioszkin, powinienem był całą waszą trójkę od razu uprzedzić, że wszystkie kobiety musicie przesłuchać sami, inaczej nie będzie z tego żadnego pożytku. Nie ostrzegłem, za co się kajam. Tyle na ten temat. Przechodzę do następnego. Dzwonił dziś do mnie Konstantin Michajłowicz Olszański z dosyć dziwną prośbą. Potrzebne mu informacje o sprawie Gałaktionowa. Pan Lepioszkin mu ich, oczywiście, odmówił. No cóż, ma do tego prawo, tajemnica śledztwa — rzecz święta. W zasadzie Kostia mógłby zdobyć te informacje sam, ale zajęłoby mu to sto razy więcej czasu niż wam trojgu plus Lepioszkin. Otóż Olszański prowadzi sprawę o ujawnienie tajemnicy adopcji. Niejaki Łykov żądał pieniędzy od przybranych rodziców pewnego chłopca, szantażując ich, że ujawni, iż został on przez nich usynowiony. Łykov po zatrzymaniu zeznał, że uzyskał tę informację od niedawno zabitego Gałaktionowa. Skąd mógł się o tym dowiedzieć Gałaktionow? Zapytać o to jego samego już, niestety, nie możemy. Dlatego Kostia pozostaje tylko jedno: przesłuchać jeszcze raz dokładnie wszystkich znajomych zmarłego, żeby znaleźć jakąś nitkę, która doprowadzi go do człowieka, co miał za długi język. Jeżeli Kostia zacznie teraz na nowo niepokoić

krewnych, przyjaciół i znajomych Gałaktionowa, zadając im w dodatku dziwne i zupełnie nie dotyczące sprawy jego zabójstwa pytanie, to straci mnóstwo sił i czasu i w rezultacie tylko ludzi rozdrażni. Chciałby dostać listę świadków i krótkie resumé ich zeznań, ale Lepioszkin nie zgadza się udostępnić mu tych materiałów. Rozumiecie już, o co chodzi?

— Lepioszkin nam również ich nie pokaże — odezwał się Korotkow. — Możemy dać Olszańskiemu jedynie to, co sami zebraliśmy, a o tym, co zdołał wycisnąć ze świadków Lepioszkin, nie mamy pojęcia. Cedził tylko przez zęby jakieś ogólniki, i na tym koniec. — Kochani, musimy Kosti pomóc.

— Jasne, Wiktorze Aleksiejewiczu, Olszański to równy gość, dobrze się z nim pracuje. Pomożemy. Ale dlaczego Konstantin Michajłowicz nie przejmie od Lepioszkina sprawy Gałaktionowa?

— A to niby z jakiej racji? Kimże jest Olszański, żeby wybierać sobie sprawy wedle własnego widzimisię? Żeby to zrobić, trzeba najpierw udowodnić, że zabójstwo i ujawnienie tajemnicy adopcji można połączyć w jedną sprawę karną. Masz podstawy, żeby tak sądzić? No właśnie, nie. Ja także nie. Po drugie, należy jeszcze uzasadnić, dlaczego obie sprawy miałyby przejść akurat Olszański, a nie Lepioszkin. Zwykle — zgodnie z obowiązującymi zasadami — sprawę dotyczącą lżejszego przestępstwa dołącza się do sprawy cięższego, nigdy na odwrót. Czyli adopcję można odebrać Kosti i oddać temu degeneratowi Lepioszkinowi, ale postąpić odwrotnie — już nie. W każdym razie to mało prawdopodobne. Nastia wracała właśnie od Gordiejewa do swego gabinetu, gdy dopędził ją postawny, czarnooki Misza Docenko, najmłodszy detektyw w



wydziale. — Anastazjo Pawłowno, można na chwileczkę?... —  
Proszę wejść, Miszeńska.

Uśmiechnęła się przyjaźnie, wpuszczając Miszę do gabinetu. Podobał się jej jego upór, wytrwałe dążenie do tego, by nauczyć się wszystkiego, czego jeszcze nie umie, otwartość i jakaś niemal dziecięca świeżość uczuć, naiwność. Misza natomiast czuł wobec Kamieńskiej respekt, zwracał się do niej oficjalnie, per „Anastazjo Pawłowno”, już od trzech lat wprawiając tym Nastię w prawdziwe zakłopotanie, ale stanowczo wymawiał się od przejścia z nią na „ty”. — Napije się pan ze mną kawy? — zapytała, wyjmując duży ceramiczny kubek i grzałkę. Bez kawy nie mogła przeżyć dwóch godzin i jeśli nie zdążyła w porę wlać w siebie filiżanki mocnego, gorącego napoju, czuła się słaba, rozkojarzona, a oczy same jej się zamykały.

— Z przyjemnością, jeżeli to nie kłopot — odparł nieśmiało Misza. — Anastazjo Pawłowno, proszę mnie oświecić w sprawie Lepioszkina, nie wszystko zrozumiałem z tego, co mówił Wiktor Aleksiejewicz.

Misza Docenko odznaczał się jeszcze jedną niezwykłą cechą — był jedynym pracownikiem wydziału, który nigdy nie nazywał swojego przełożonego Pączkiem — nie tylko mówiąc o nim, ale nawet w myślach.

— Widzi pan, Miszeńska, ja sama dowiedziałam się o tym dopiero dzisiaj rano. Otóż od Igora Jewgienjewicza jakiś czas temu odeszła żona, rzuciła go dla przystojnego i bogatego kochanka. Podejrzewam, że jeszcze coś musiało tam być na rzeczy, ale pan, młody człowiek, nie musi się grzebać w tych brudach. Igor Jewgienjewicz bardzo to przeżywał, tak dalece, że wyrobił sobie

dosyć specyficzny pogląd na cudzołóstwo. Według Lepioszkiina mężczyzna, zarówno kawaler, jak i żonaty, może robić wszystko, na co ma ochotę, ale kobieta, która zdradza męża, godna jest absolutnego potępienia. Lepioszkin nienawidzi tylko swojej żony, natomiast jej nowego męża — nie. Rozumie pan?

— Jak dotąd, tak. — Misza skinął głową, nie spuszczać z Nasti uważnego spojrzenia czarnych oczu. — Woda kipi. — Dziękuję.

Odwróciła się do stolika, na której stał kubek z grzałką, i wyciągnęła wtyczkę z kontaktu.

— Mocna?

— Średnia.

— Z cukrem?

— Jeśli można, dwa kawałki.

— Można, bardzo proszę. — Nastia wrzuciła do jego filiżanki dwie kostki cukru. — Pańska uprzejmość, Miszeńka, przyprawia człowieka o zawrót głowy. Czy to pana nie męczy? Ale przepraszam, nie powinnam tak mówić, zagalopowałam się. Wróćmy do Lepioszkiina. Jeżeli Igor Jewgienjewicz przesłuchuje kobietę, która ma kochanka, to taką rozmowę można uznać za stratę czasu. Lepioszkin zachowuje się ordynarnie, jak nieokrzesany gbur, brutalnie, wręcz po chamsku, dając swojej rozmówczyni do zrozumienia, że podeptała wszelkie normy moralne i nie ma dla niej miejsca w społeczeństwie. To jasne, że przesłuchiwana w takiej sytuacji zamyka się w sobie i nie powie choćby jednego słowa za dużo, byleby jak najszybciej znaleźć się z dala od tego odrażającego typu. A jako że Gałaktionow miał liczne romanse i wiele przelotnych przygód, jest rzeczą zupełnie oczywistą, że jego

przyjaciółki stanowią znaczną część źródeł informacji. I oto dziś rano okazało się, że zeznania tych kobiet należy postawić pod znakiem zapytania, z pewnością bowiem są co najmniej niepełne. Kostia Olszański dobrze zna Lepioszkina, i to on właśnie mnie oświecił.

— Nie opowie mi pani? — O czym? — zdziwiła się Nastia.

— O tym, co pani mówił Olszański. Co do mnie, w gabinecie Wiktora Aleksiejewicza usłyszałem o tym po raz pierwszy. — Och, Miszeńka, przepraszam, niech mi pan wybaczy, na Boga! — Nastia dopiero teraz zorientowała się, jaką gafę popełniła. Rzeczywiście przed odprawą nie zdążyła porozmawiać z Miszą, a teraz wyglądało na to, że świadomie odsunęła młodszego kolegę od sprawy, nie wyjaśniając mu, o co w tym wszystkim chodzi. — No cóż, nieładnie jest zwać winę na nieboszczyka, choć, niestety, to dość rozpowszechniona praktyka. Olszański podejrzewa, że Łykw, ten szantażysta, może kłamać i że informacja o adopcji pochodzi wcale nie od Gałaktionowa. Sprawdzić to będzie bardzo trudno, ale Olszański się zaparł, nie popuści, i prosi, żebyśmy mu w miarę możliwości w tym pomogli. Po jednej stronie mamy Krasnikowów, po drugiej — Gałaktionowa, który jakoby znał ich rodzinną tajemnicę. Powinniśmy więc spróbować jakoś połączyć te dwa punkty. Umówiliśmy się, że Konstantin Michajłowicz będzie nam szedł na rękę w sprawie Krasnikowów, a my, ze swej strony, jeszcze raz przetasujemy krąg znajomych Gałaktionowa, tym razem pod kątem ich kontaktów z osobami, które mogły mieć z Krasnikowami do czynienia. Czy to jasne?

— Teraz tak — powiedział z ulgą Docenko i uśmiechnął się.

— No, skoro tak, to możemy się brać do roboty. Niech mi pan przyniesie wszystko, co pan ma na temat Gałaktionowa, ja tymczasem zacznę to porządkować, a pan, Miszeńka, zajmie się kobietami, które przesłuchiwał Lepioszkin. Niech pan wymyśli jakąś przekonywającą historyjkę, zamąci im w głowach, byleby się tylko rozgadały. Żadna z osób, z którymi rozmawialiśmy, nie powiedziała nic, z czego można by wnioskować, skąd Gałaktionow miał informację na temat adopcji. Nikt słowem nie wspomniał ani o jakichkolwiek kontaktach z pracownikami urzędu stanu cywilnego, ani o oddziale położniczym, ani o Saratowie, gdzie chłopiec się urodził i został usynowiony. Ale przecież naszemu nieboszczykowi to wszystko się nie przyśniło, prawda? Musi być ktoś, kto mu o tym powiedział. I właśnie tego kogoś musimy wyłuskać. Gdy Michaił przyniósł jej notatki dotyczące zabójstwa Gałaktionowa, Anastazja zamknęła się w gabinecie, zrobiła sobie jeszcze jedną kawę, uprzątnęła z biurka wszystkie niepotrzebne papiery i zagłębiła się w studiowanie listy osób, z którymi Aleksander Władimirowicz Gałaktionow miał takie czy inne powiązania.

## 6

Inna Litwinowa, niewysoka, barczysta, krępa, lekko wbiegła po schodach, w jednej ręce niosąc wypchaną teczkę, w drugiej — ciężką torbę z zakupami. Otworzyła drzwi swojego mieszkania,

weszła do przedpokoju i od razu wyczuła, że Jula jest w domu. — Kotku! — zawołała uradowana. — Wróciłam!

Nikt jej nie odpowiedział. Inna szybko zrzuciła zabłocone buty i nie zdejmując nawet futrzanej kurtki, weszła do sypialni. Jula leżała w łóżku z książką, jej długie, jasnorude włosy wydawały się złote na tle błękitnej powłoczki; na ładniutkiej buzi malował się wyraz niezadowolenia i nudy. — Kotku, czemu się nie odzywasz? Źle się czujesz? — zapytała z troską w głosie Inna. — Normalnie — rzuciła od niechcienia Jula.

— Zaraz zrobię kolację. Masz ochotę na sałatkę z krabów? Kupiłam...

— Przecież wiesz — wciąż tak samo leniwie wycedziła dziewczyna. — Zjadłabym pieczarki, wczoraj ci mówiłam. Kurczaka z pieczarkami. I świeże krewetki.

— Wszystko kupiłam, koteńku, nie bądź zła, zaraz się biorę do roboty — gorliwie zapewniła Inna.

— Naprawdę? — Jula wyraźnie się ożywiła. To po prostu zdumiewające, skąd u tej młodej dziewczyny taki wyrafinowany smak i upodobanie do wyszukanych dań. Jadła niewiele, miała bardzo zgrabną, wytworną sylwetkę, ale jej wymagania kulinarne były prawdziwie królewskie; Jula wiedziała, że Inna, nieprzytomnie w niej zakochana, gotowa jest zrobić wszystko, byleby tylko sprawić jej przyjemność. Kolację Inna przyniosła Juli do sypialni. Siedząc obok, na brzegu łóżka, z rozculeniem obserwowała, jak dziewczyna z apetytem zajada krewetki, maczając je w specjalnym sosie. — Smakują ci? — spytała z nadzieją Inna.

— Normalka — obojętnie odparła Jula. — Obiecałaś mi, że pojedziemy nad Morze Śródziemne, gdzie w restauracjach podaje się ostrygi, krewetki i homary. Kiedy to będzie? — Niedługo, koteczku. Już wkrótce będziemy miały dużo pieniędzy, bardzo dużo. Niewykluczone, że ja nie będę mogła z tobą pojechać, ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś się wybrała sama, prawda?

Inna bardzo pragnęła usłyszeć w odpowiedzi ubolewania, że nie mogą pojechać na wycieczkę razem. Jednakże — tak jak się spodziewała — usłyszała zupełnie co innego. — W porządku, sama też sobie poradzę. Tak nawet będzie lepiej. Więc kiedy pojedę?

— Nie mogę ci powiedzieć dokładnie. Sądzę, że dostanę pieniądze w ciągu dwóch, najdalej trzech miesięcy. Teraz mamy styczeń, a to znaczy, że już w maju najprawdopodobniej będziesz mogła pojechać.

— No to załatwione. — Jula poweselała. — W maju wyruszam do Włoch, nad morze, na ostrygi.

Inna starannie zmyła w kuchni naczynia i przetrła podłogę mokrą ścierką. Musiała utrzymywać w mieszkaniu idealną czystość, gdyż Jula uwielbiała chodzić boso i najczęściej przez cały dzień paradowała w białych, bładoniebieskich lub lilioworóżowych peniuarach, a wtedy nie daj Boże, by na kuchennym stole został wilgotny ślad po filiżance z kawą czy lepki po spodeczku z konfiturami. Uporawszy się ze sprzątnięciem, weszła do łazienki. Zdjęła spódnice, ciemną bluzkę o surowym męskim kroju, została w samej bieliźnie i z przyzwyczajenia rzuciła spojrzenie w lustro. Zobaczyła proste ramiona, potężny tors, wąskie, krzepkie biodra. Najmniejszego wcięcia w talii. Twarz nieładna, o grubych rysach.

Krótko ostrzyżone włosy, przetykane wczesną siwizną. Tak, Inno Litwinowa, nie jesteś piękną, ale to w końcu nie takie ważne. Mężczyzna nawet nie powinien być urodziwy, w zupełności wystarczy, jeśli jest choć odrobinę przystojniejszy od małpy.

Stojąc pod prysznicem, z czułością pomyślała o Juli, o jej złocistych włosach i mlecznobiałej skórze na tle błękitnego prześcieradła, i poczuła w dole brzucha ćmiący, ale przyjemny ucisk. Juleczka... Juleńka... Kociątko...

# ROZDZIAŁ II

## 1

Dima Krasnikow przyszedł na świat w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku w Saratowie. Jego matka, Wiera Borisowna Bobrowa, nie wyszła za mąż, ale obroniwszy pracę doktorską i doczekawszy się wreszcie spółdzielczego mieszkania, w wieku czterdziestu trzech lat postanowiła urodzić dziecko. Jej rodzice byli już starzy i przerażała ją perspektywa zostania zupełnie samą na świecie. Pojechała więc na południe, do sanatorium, gdzie — jak wiadomo — najłatwiej postarać się o ciążę, ale za pierwszym razem się nie powiodło. Powtórzyła więc próbę, lecz i ta zakończyła się niepowodzeniem. Wiera pragnęła zająć w ciążę ze zdrowym, niepijącym mężczyzną, a na takiego trafiła dopiero pod sam koniec pobytu w sanatorium, i chociaż udało jej się zaciągnąć go do łóżka, nic z tego nie wyszło. Trzeci wyjazd okazał się pomyślny, chociaż lekarz ostrzegał, że pierwsza ciąża i połóg w wieku czterdziestu pięciu lat to rzecz ryzykowna. Ojciec Wiery niedawno zmarł, została tylko matka, która dźwigała już ósmy krzyżyk i bynajmniej nie cieszyła się dobrym zdrowiem. Perspektywa całkowitej samotności była więc tak blisko, że Wiera postanowiła zlekceważyć opinię lekarza, choć ten z naciskiem radził jej przemyśleć sprawę,



powoływał się na wyniki badań, ekg, i uprzedzał, że istnieje poważne niebezpieczeństwo, iż cała historia nie skończy się dobrze.

Jego przewidywania się sprawdziły. Stryjeczna siostra Wiery, Olga Bobrowa, rodowita moskwianka, zatrudniona w tym czasie — zgodnie z nakazem pracy po ukończeniu instytutu pedagogicznego — w Kursku jako nauczycielka języka rosyjskiego, na wieść o śmierci kuzynki czym prędzej przyjechała do Saratowa.

— Ciociu Lubo, chciałabym zabrać chłopczyka, co ty na to? — spytała ciotkę. — Sama nie dasz sobie z nim rady, a oddawać go do domu dziecka, chociaż ma rodzinę, która mogłaby się nim zająć, naprawdę się nie godzi. Matka Wiery Borisowny musiała przyznać kuzynce rację. Olga nazwała chłopca Dmitrij, sprawy urzędowe udało się załatwić łatwo i szybko, częściowo dlatego, że zmarła siostra i Olga nosiły to samo nazwisko, jako że ich ojcowie byli rodzonymi braćmi. Co najmniej w połowie urzędów fakt, że Olga Bobrowa załatwia jakieś dokumenty dla Dmitrija Bobrowa, nie budził najmniejszych zastrzeżeń.

W chwili gdy nastąpiły owe smutne wydarzenia, okres, który należało odpracować w Kursku zgodnie z nakazem, miał się już ku końcowi. Za dwa i pół miesiąca Olga zamierzała wrócić do Moskwy, do rodziców, a za miesiąc planowała ślub z Pawłem Krasnikowem, nauczycielem historii w tej samej szkole, w której i ona była zatrudniona. — Czy możesz zostawić dziecko jeszcze na jakiś czas w Saratowie? — chciał wiedzieć Paweł, kiedy podekscytowana

Olga zadzwoniła do niego do Kurska i poinformowała go o swoich poczynaniach.

— Po co? — zapytała z rezerwą.

— Weźmiemy ślub tutaj, w Kursku, potem razem pojedziemy do Saratowa i załatwimy dziecku zmianę nazwiska. Później napiszesz do rodziców list, w którym będziesz się kajać, że urodziłaś chłopca na miesiąc przed ślubem, a wcześniej wstydziałaś się ich zawiadomić, że spodziewasz się dziecka. I żeby wkrótce oczekiwali cię razem z mężem i synem w bohaterskiej stolicy Moskwie, dokąd przyjedziemy, by zamieszkać z nimi pod jednym dachem.

— I co to da? — nie mogła zrozumieć Olga. — Po co te wszystkie komplikacje?

— Nie jestem zwolennikiem niepotrzebnego rozgłosu — wyjaśnił jej przyszły mąż. — Im mniej ludzi będzie wiedziało, że usynowiliśmy chłopca, tym spokojniejsze życie czeka nas w przyszłości. Jeżeli przywieziesz teraz dziecko do Kurska, to wszyscy zorientują się, co jest grane, ponieważ nikt tutaj nie widział cię w ciąży. A tak wyjedziesz stąd po prostu jako szacowna mężatka, a do Moskwy wrócisz jako szczęśliwa młoda mamusia. Wszyscy, którzy wiedzą o usynowieniu chłopca, zostaną w Saratowie. Rozumiesz teraz? — Chcesz, żebym przemilczała ten fakt przed swoimi rodzicami? Ale to się nie uda, jest przecież ciocia Luba, ona im opowie. Rodzice wiedzą, że Wieroczka zmarła przy porodzie.

— To porozmawiaj z ciotką. Dobrze ci radzę, Oleńko, postaraj się ją przekonać. Jesteś mądrą dziewczynką, będziesz wiedziała, co jej powiedzieć. To, co chcę zrobić, tylko wyjdzie chłopcu na dobre. Im mniej osób wie, tym lepiej, wierz mi, kochanie — łagodnie namawiał ją Paweł. — Postaraj się dogadać z ciotką. Nie uda się, to trudno, ale warto spróbować. Nie wiemy przecież, kim jest ojciec chłopca, gdzie twoja siostra zaszła w ciążę. A jeśli utrzymywała z tym człowiekiem kontakt aż do przyjścia na świat Dmitrija? Może

ten mężczyzna wie, że urodził mu się syn. Skąd pewność, że pewnego pięknego dnia nie wkroczy w nasze życie z butami, żeby wszystko zburzyć?

Olga zmuszona była przyznać Pawłowi rację. Załatwiła całą sprawę zgodnie ze wskazówkami narzeczonego i trzy miesiące później świeżo upieczona rodzina — młodzi małżonkowie i niemowlę imieniem Dima — zawitała w progi moskiewskiego mieszkania Bobrowów. Ciocia Luba uległa namowom Olgi i obiecała solennie, że nic nie powie bratu swojego zmarłego męża ani jego żonie. A pół roku później zmarła. Tak więc w Moskwie tajemnicę usynowienia Dimy znali jedynie Krasnikowowie. W Saratowie zaś ci, którzy wiedzieli o śmierci Wiery Borisowny Bobrowej, nie mieli pojęcia, jakie nazwisko nosi teraz trzymiesięczny Dimoczek, ci natomiast, co byli świadomi, że Dima Bobrow zamienił się w Dimę Krasnikowa, nic nie wiedzieli o tym, że jego prawdziwa matka umarła.

Przetrawiając ten prosty wniosek, Konstantin Michajłowicz Olszański czuł się dosyć niepewnie. Oczywiście, teoretycznie każdy mógł prześledzić koleje losu Dimy Krasnikowa od chwili narodzin aż do dziś, ale żeby to zrobić, musiałyby być chyba pracownikiem urzędu ochrony danych osobowych i mieć dostęp do wszystkich dokumentów, złożonych w archiwach oraz zadawać pytania mnóstwu ludzi, których najpierw należałoby odszukać, gdyż w ciągu ostatnich piętnastu lat niemal wszyscy, zatrudnieni w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, opuścili ówczesne miejsce pracy. Jedni przeszli na emeryturę, drudzy zmarli, niektórzy się przeprowadzili. Ponadto ktoś taki musiałyby jeszcze znaleźć samych Krasnikowów. Cóż z tego, że jakiś gaduła z Saratowa powie

mu dziś: „W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku załatwiałem sprawę zmiany nazwiska z «Bobrow» na «Krasnikow» pewnemu chłopcu. I wiem dokładnie, że chociaż w papierach jako jego matka figuruje Olga Bobrowa, on nie jest jej rodzonym synem". Krasnikowa była wówczas zameldowana w Kursku, stamtąd — przez Saratów — przyjechała przed piętnastu laty do Moskwy. Mieszka teraz gdzie indziej niż wtedy, gdy Dima był dzieckiem przy piersi, i uczy w innej szkole niż ta, w której zaczęła pracować po powrocie do stolicy. Oczywiście, Krasnikowów dałoby się odszukać, ale to znów sprawa dla milicji lub prokuratury. Nie, szeregowy obywatel nie byłby w stanie tego wszystkiego dokonać.

„I co z tego właściwie wynika?" — zadawał sobie pytanie Konstantin Michajłowicz, siedząc przy biurku w swoim gabinecie, pochylony nad otwartą teczką z materiałami w sprawie Krasnikowów i Leonida Łykowa. Możliwe są tylko dwa warianty: albo sami Krasnikowowie komuś się wygadali, albo w całą historię jest zamieszany funkcjonariusz milicji lub pracownik prokuratury, który dogrzebał się do dokumentów i podzielił z kimś zdobytą informacją. Ale z kim? Z Łykwem? To znaczy, że Łykw kłamie i kryje tamtego, zwalając winę na Gałaktionowa. A może informator przekazał nowinę Gałaktionowowi? Skoro tak, to Łykw mówi prawdę, pośród znajomych Gałaktionowa zaś musi być nieuczciwy przedstawiciel instytucji dysponujących danymi osobowymi obywateli, tyle że z jakichś powodów żaden z blisko osiemdziesięciu przesłuchanych nie wymienił nazwiska tego człowieka ani nawet słówkiem o nim nie wspomniał. Wygląda więc na to, że jeśli Gałaktionow znał kogoś takiego, to trzymał tę znajomość w ścisłej

tajemnicy, nikogo do niej nie dopuszczając. Ciekawe dlaczego? I skąd miał takie kontakty?

Jeżeli jednak Łykov kłamie, to najwidoczniej sam zna informatora. Ale Leonid Łykov pracuje w serwisie samochodowym i sprawdzenie jego kontaktów to syzyfowa praca. Należałoby w tym celu zwolnić z innych obowiązków połowę detektywów z Pietrowki i połowę śledczych z prokuratury miejskiej. Ale cóż, sprawdzić trzeba, nie da się tego ominąć. Co się tyczy Saratowa, to Olga Krasnikowa nie pamiętała z nazwiska nikogo, kto przed piętnastu laty był „z urzędu” wtajemniczony w całą historię. Dlatego też wyłuskanie spośród tych osób „gadudy” trzeba będzie powierzyć milicji. Sumiennie wypełniając niezliczone formularze, Konstantin Michajłowicz Olszański w głębi duszy był przekonany, że to stracone zachody. Żądano od niego wzorcowej sprawy, a we wzorcowej sprawie, dotyczącej naruszenia tajemnicy adopcji, powinny się znaleźć informacje o wszystkich, którzy mieli z nią coś wspólnego. I formularze też muszą być wypełnione wzorowo.

## 2

Energicznie otworzył drzwi i wszedł do jednego z pomieszczeń laboratorium. Siedzący przy komputerze mężczyzna odwrócił się i skinął mu głową na powitanie. — Dzień dobry.

— Dzień dobry — odparł żywo. — Co słyhać? Kiedy złożysz pracę habilitacyjną?

— Na najbliższe posiedzenie rady nie zdążę, a następne zostało wyznaczone na pierwszy marca, chciałbym się wyrobić w tym terminie.

— A dlaczego na najbliższe nie zdążysz?

— Mam problemy z przepisywaniem. Maszynistka była chora, ale obiecuje w ciągu dziesięciu dni przepisać cały tekst razem z autoreferatem. Jeżeli dotrzyma słowa, to policzmy: dziesięć dni plus jeden na czytanie, wyłapanie literówek i sprawdzenie wzorów plus jeszcze jeden, żeby wszystko poprawić i złożyć u sekretarza naukowego minimum na tydzień przed planowanym terminem posiedzenia — a więc razem dwadzieścia dni. A na najbliższe posiedzenie rada zbiera się za dwa tygodnie.

— Ale na następne na pewno zdążysz? Pamiętasz, że w planie prac instytutu twoje kolokwium habilitacyjne przewidziane jest na drugi kwartał? Żeby zamknąć sprawę przed końcem czerwca, musisz koniecznie przedstawić pracę radzie pierwszego marca. Zanim wydrukują autoreferat, upłynie miesiąc. Zanim go roześlą, zanim wpłyną recenzje... Jaka jest twoja macierzysta uczelnia?

— Instytut w Nowosybirsku.

— Oho! To bierz delegację i zawieź pracę sam, bo inaczej będziesz czekał na recenzje do sądnego dnia. Poczta tam idzie miesiąc, a może i dłużej, jeśli nie zawieruszy się gdzieś po drodze, a z powrotem trzeba liczyć drugie tyle. Zadzwoń zaraz do Nowosybirska, potem wpisz delegację do planu na drugi kwartał i z początkiem kwietnia jedź po recenzje. — Dziękuję — powiedział z

wdzięcznością rozmówca. — Dobrze by było, gdyby wszystko poszło gładko, bez przeszkód.

— A jakich to przeszkód się obawiasz, ciekaw jestem? — Słowom tym towarzyszył niedobry uśmiezek. — Mało to może się zdarzyć? Maszynistka złamie rękę. Sekretarz naukowy trafi do szpitala z wylewem. Rozbije się samolot, którym będę leciał do Nowosybirsk. Tak to jest, człowiek planuje, planuje i nie wie, o co się potknie, gdzie los rozciągnie sznurek w poprzek drogi.

— Cóż za pesymizm! — rzekł z wyrzutem mężczyzna. — Bomba nie trafia dwa razy w to samo miejsce, wiesz przecież. A w notatce nic nie było, sprawdzałem. Więc się uspokój i nie denerwuj.

Szybkim krokiem wyszedł z laboratorium i w duchu pochwalił się za to, że wypracował zasadę, zgodnie z którą starał się nie przyjmować pracowników w swoim gabinecie, lecz raczej odwiedzać ich na stanowiskach pracy. Chciał sobie zostawić swobodę manewru, by móc przerwać rozmowę w dowolnym momencie i wyjść z pokoju. Gdyby przyjmował pracowników w gabinecie, nie miałby takiej możliwości. Trudno przecież wyganiać ludzi. I zamknąć im usta, kiedy zaczynają uskarżać się i jęczeć, albo — co gorsza — plotkować. Tego nie mógł po prostu ścierpieć. Zresztą trzeba przyznać obiektywnie, że w ogóle nie znosił ludzi. Drażnili go. Wydawali mu się ograniczeni, małostkowi, kłótniwi, odrażający w swojej głupocie i chciwości, śmieszni i nudni ze swoimi trywialnymi zmartwieniami i kłopotami. Gdyby go spytano, czego pragnie najbardziej na świecie, odpowiedziałby, że chce spędzić życie w absolutnej samotności, nikogo nie widzieć i z nikim się nie kontaktować. I mówiąc to, byłby całkowicie szczery.

### 3

Z zadumy wyrwał Nastię Kamieńską natarczywy dzwonek telefonu.

— Aśka, nie zapomniałaś, że obiecałem ci dzisiaj uroczystą kolację?

Dzwonił Aleksiej Czistiakow, przyjaciel Nasti od niepamiętnych czasów, a od czternastu — jej kochanek i potencjalny narzeczony, którego poślubienia przez cały ten czas odmawiała z niepojętym, zadziwiającym wręcz uporem. Co pewien czas, mniej więcej raz na rok, Czistiakow na wszelki wypadek upewniał się, czy Nastia aby nie zmieniła zdania, chociaż doskonale wiedział, że usłyszy w odpowiedzi znajomą śpiewkę:

— Nie, Loszka, nie zmieniłam, po co nam ślub? Czy źle jest tak, jak jest? Przecież spędzamy ze sobą tyle czasu, ile chcemy. Jeżeli się pobierzemy, nic się nie zmieni, ty będziesz zajęty swoją pracą w Żukowskim, ja swoją, a upojne chwile będziemy przeżywać i tak tylko w niedzielę. Aleksieja te argumenty wprawdzie nie przekonywały, ale nie chciał nalegać. Postanowił po prostu dopiąć swego konsekwentnym uporem i — odkąd stał się posiadaczem samochodu — zaczął przyjeżdżać do Nasti nie tylko w niedziele i święta, lecz także w tygodniu, i zostawać na parę dni. Ona nie miała



nic przeciwko temu, ponieważ wracała z pracy późno, a Loszka świetnie gotował. Kucharz był z niego pierwsza klasa!

Usłyszawszy jego głos, Anastazja po chwili istotnie przypomniała sobie, że Czistiakow wspominał coś wczoraj o uroczystej kolacji, ale zupełnie zapomniała, z jakiej okazji. — Zrobiłem już zakupy, zaraz podjadę do ciebie po klucze — oznajmił wesoło. — Na twoje przyjście wszystko musi być gotowe.

Przez pozostałą część dnia Nastia porządkowała rozliczne papiery i notatki na swoim biurku, wybierając spośród nich te, które zamierzała zabrać do domu i przejrzeć w niedzielę. Rano zadzwonił do niej Olszański i poprosił o przeanalizowanie danych na temat życia i charakteru Gałaktionowa, aby się zorientować, czy byłby on w stanie dopuścić się tak obrzydliwego postępuku, jak ujawnienie tajemnicy adopcji pierwszemu z brzegu znajomkowi — ot, majstrowi z warsztatu samochodowego, zamiast po prostu albo pożyczyć mu pieniędzy, albo odmówić pożyczki. Śledczy wciąż jeszcze podejrzewał, że Łykov kłamie i że o sprawie usynowienia Dimy dowiedział się wcale nie od Gałaktionowa. Przez cały ostatni rok Nastia bała się spotkania z Olszańskim i rozmowy z nim, właśnie rok temu bowiem zdarzyła się prawdziwa tragedia. Jej kolega, Władimir Łarcew, po stracie żony wychowujący samotnie jedenastoletnią córkę, szantażowany, że dziewczynce stanie się coś złego, zaczął przekazywać informacje jednej z grup przestępczych. Pracując razem z Łarcewem nad sprawą pewnego zabójstwa, Nastia zaczęła coś podejrzewać i podzieliła się swoimi wątpliwościami z Olszańskim, który był przyjacielem Łarcewa. Wtajemniczyła w całą historię również pułkownika Gordiejewa. Wszystkim im było szczerze żal dobrego kolegi, wszyscy pragnęli załagodzić sytuację,

pomóc mu, nie wyrządzić krzywdy, a co najważniejsze — nie zaszkodzić dziecku, które w kulminacyjnym momencie rozgrywki przestępcy po prostu porwali, stawiając nieszczęsnego Łarcewa przed dylematem: albo nakłonić Kamieńską, by robiła to, co dla nich wygodne, albo więcej nie zobaczy córki. W jaki sposób ma zmusić Anastazję do współpracy, nie wyjaśnili, dając mu *carte blanche* na zastosowanie wszelkich możliwych środków nacisku, aż do zabójstwa włącznie. Jednakże nawet wówczas wszystkim trojgu nadal było żal Łarcewa i bardzo mu współ czuli. Skończyło się na tym, że ich kolega został ciężko ranny w głowę, ledwie wyżył, musiał przejść na rentę inwalidzką i teraz siedział w domu, od czasu do czasu dorabiając trochę prywatnymi poradami prawnymi, ale na ogół spędzał czas, leżąc na kanapie, nękany potwornymi, nie do zniesienia bólami głowy i konwulsyjnymi drgawkami prawej połowy ciała. Nastia nie wiadomo dlaczego była przekonana, że Olszański o wszystko to wini ją. Jej samej niekiedy się wydawało, że można by było zapobiec tragedii, gdyby ona, Nastia, dała sobie spokój ze sprawą tamtego zabójstwa i nie pchała się, gdzie nie trzeba. I cóż wielkiego by się stało? Mieliby w statystyce o jedno niewykryte przestępstwo więcej. Za to Wołodia byłby zdrów.

Czasem odnosiła wrażenie, że i sam Olszański również jej unika. Przecież to on pierwszy zauważył, że z jego przyjacielem dzieje się coś niedobrego, jako że Nastia włączyła się do sprawy zabójstwa o wiele później. A to znaczy, że i na nim ciąży część winy. A może rację ma Jurka Korotkow, który uważa, że nie warto się gryźć, gdyż naprawdę nikt z nich tu nie zawinił?

Jakkolwiek jednak rzecz się miała, Nastia w żaden sposób nie chciała zaostrzać stosunków z Olszańskim. Uznała, że najlepiej

będzie ograniczyć kontakty z nim do minimum i możliwie najsumienniej wypełniać jego polecenia. Zwłaszcza że niewykluczone, iż historia z usynowieniem Dimy rzuci jakieś światło na zabójstwo Gałaktionowa.

Anastazja włożyła do dużej sportowej torby całe mnóstwo biurowych teczek i notesów, po czym zadzwoniła do Loszy, że już wychodzi.

Wysiadłszy z autobusu w pobliżu domu, ze zdziwieniem ujrzała na przystanku Czistiakowa.

— Co tu robisz? — spytała, z ulgą oddając mu ciężką torbę. Od czasu niefortunnego upadku przy dźwiganiu ciężkich rzeczy zaczynał ją nieznośnie boleć kręgosłup. Właściwie bolał ją cały czas; choć ból był męczący, to jednak możliwy do zniesienia, jednakże kiedy Nastia wracała do domu z wypchaną torbą, od razu kładła się na podłodze i cicho umierała. Nie mogła ani usiąść bez pomocy, ani wstać, ani przewrócić się na brzuch.

— Czekam na ciebie. Muszę z tobą o czymś pogadać.

— To takie pilne? Nie mogło poczekać dziesięciu minut, aż wrócę do domu?

— Nie mogło.

Losza mocno wziął Nastię pod rękę i powoli poprowadził ją w stronę domu, starannie omijając głębokie, błotniste kałuże i śliskie wyboje.

— Dostałem honorarium, bardzo wysokie honorarium, za podręcznik, który wydano w Stanach.

— Gratuluję — rzuciła obojętnie Nastia. Jej myśli były zaprzątnięte Gałaktionowem, i nie bardzo rozumiała, dlaczego

radosna nowina o wysokim honorarium nie mogła poczekać do kolacji.

— Postanowiłem cię gdzieś wysłać, żebyś trochę odpoczęła. Bardzo źle wyglądasz, Asieńko, jesteś zmęczona, powinnaś się leczyć, ale nie dajesz się na to namówić, dlatego chciałbym, żebyś wyjechała w jakieś przyjemne miejsce, gdzie jest morze, słońce, czyste powietrze, smaczne i zdrowe jedzenie, a nie to świństwo, którym musimy się żywić w Moskwie, i spaliny, którymi oddychamy.

— Jak to „wysłać”? — zachnęła się Nastia. — A ty? Co, mam jechać sama?

— Cóż, jeżeli zechcesz, z przyjemnością będę ci towarzyszył. Po prostu nie śmiałem ci tego zaproponować. Skoro nie masz ochoty wyjść za mnie, to może i wypoczywać wolisz sama — zażartował Losza. — No, jak ci się podoba mój pomysł?

— Interesujący — odparła z rezerwą Nastia. — Ale lepiej kupiłbyś sobie nowy samochód. Serce mnie boli, kiedy patrzę, jak taki dwumetrowy dryblas kuli się w ciasnym moskwiczu.

— Czyli nie jesteś zachwycona moją propozycją — skonstatował Czistiakow.

Nastia zdziwiła się w duchu, że w głosie Loszy nie słychać urazy, ale zaprzątnięta myślami o Gałaktionowie, nie przywiązywała do tego większej wagi. To był błąd. — Istnieje jeszcze wariant alternatywny — spokojnie ciągnął jej przyjaciel. — Nie pojedziesz na wypoczynek, ale za te pieniądze kupimy ci komputer. Dobry, porządny komputer z szybkim procesorem i pojemnym twardym dyskiem. Ponadto użyteczne dla ciebie nowoczesne

oprogramowanie, drukarkę, skaner — słowem wszystko, co jest ci potrzebne do pracy.

Nastia potknęła się i przystanąła. Z radości aż jej zaparło dech.

— Loszeńka, kochany, naprawdę możesz mi kupić komputer? Chcesz, to wyjdę za ciebie za męża? Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie!

— Daj spokój. — Czistiakow udał, że robi ponurą minę. — Pamiętam, że nie dalej jak dwa miesiące temu obiecałaś wyjść za mnie, jeśli udzielię ci małej pożyczki. Może nie? — Tak — przyznała Nastia ze skruchą.

— A więc nie chcesz jechać ani na Hawaje, ani na Wyspy Kanaryjskie, wolisz dostać komputer. Dobrze cię zrozumiałem?

— Aha! — przytaknęła z zachwytem Anastazja, naciskając guzik przy drzwiach windy.

— To twoje ostatnie słowo?

— Tak jest — oznajmiła twardo.

— I nie rozmyślisz się?

— No coś ty! — oburzyła się Nastia. — Przecież mnie znasz. Praca naprawdę jest dla mnie ważniejsza i bardziej interesująca niż wypoczynek.

— W porządku. — Głos Loszy nagle stał się jakiś znużony, niemal obojętny. — Żeby tylko pieczeń mi nie wyschła, szkoda by było. Tyle pysznych rzeczy do niej dodałem. Otworzył drzwi mieszkania i puścił Nastię przodem, a ona od razu opadła ciężko na stojące w przedpokoju krzesło. Usiłowała się schylić, żeby zdjąć buty, ale zaraz z jękiem chwyciła się za krzyż.

— Cholera, znowu mnie złapało. Wiedziałam przecież, że torba jest ciężka, ale miałam nadzieję, że jakoś się uda. — Daj, pomogę ci.

Losza pochylił się i ostrożnie ściągnął buty z jej puchnących pod wieczór nóg.

— Dasz radę wstać czy chcesz się o mnie oprzeć? — Spróbuję sama.

Nastia zacisnęła zęby i ostrożnie się podniosła, mocno wparta rękami w kolana. Udało jej się stanąć, a po chwili nawet wyprostować plecy.

— To nic, do rana powinno przejść. Loszeńka, zrobisz mi zastrzyk na noc?

— Oczywiście. Chodź na kolację, bo takiego sobie smaku narobiłem, takich się zapachów nawąchałem, że już mi ślinka cieknie.

— Już, zaraz, tylko zdejmę sweter.

Otworzyła drzwi do pokoju, zapaliła światło i zamarła. — Co to? — spytała ochryłym nagle głosem.

— To, co chciałaś. Sama powiedziałaś, że się nie rozmyślisz! — odkrzyknął Czistiakow, pobrzękując naczyniami. Kilka chwil panowała cisza, przerywana tylko tymi kuchennymi odgłosami. Potem Nastia stanęła w drzwiach kuchni. Trzymając się jedną ręką za krzyż, a drugą za brzeg stołu, ostrożnie opuściła się na krzesło i wbiła spojrzenie w Loszę. — O co chodzi? — spytał Czistiakow, krając chleb. — Jesteś niezadowolona? Coś nie tak?

— Loszeńka, a jak się domyśliłaś, że najbardziej ze wszystkiego na świecie chcę mieć właśnie komputer? Że wolę go od wycieczki na Hawaje?

— No, Asieńko — roześmiał się Aleksiej — pamiętaj, ile lat cię znam i od ilu jesteśmy razem! Byłoby mi wstyd, gdybym się nie domyślił.

Nastia znów zamilkła. Losza skończył nakrywać do stołu, ocenił dzieło okiem mistrza i wreszcie usiadł.

— Czego ci nalać? Wina? A może masz ochotę na szampana? Została jeszcze butelka z sylwestra.

— Szampana — odparła zdecydowanie, co wielce zdziwiło jej przyjaciela, który doskonale wiedział, że Nastia nie lubi tego trunku i pije go jedynie przy wyjątkowych okazjach, kiedy nie wypada odmówić.

— Loszka — powiedziała cicho, biorąc do ręki kieliszek ze złocistym napitkiem — naprawdę jesteś najlepszym człowiekiem na świecie. Oświadcz mi się, proszę cię. — Co takiego? — Czistiakow wytrzeszczył oczy ze zdumienia, mimo woli potrącając łokciem pusty kieliszek. — Ach, co za szkoda, stłukłem go.

— Do diabła z nim, to nic wielkiego — wciąż tym samym cichym głosem ciągnęła Nastia. — Jeżeli znasz mnie tak dobrze, że bez pudła możesz odgadnąć, na co bym wydała trzy tysiące dolarów, to musiałabym być skończoną idiotką, żeby nie przyjąć twoich oświadczyn. Nareszcie wszystko zrozumiałam, Loszka. Nikt nigdy nie będzie mnie znał tak dobrze jak ty. I nikt nigdy nie zaakceptuje mnie takiej, jaka jestem. Jeżeli teraz poprosisz mnie o rękę, zgodzę się za ciebie wyjść.

— A jeśli zrobię to jutro? — Loszka uśmiechnął się. — Boisz się, że do jutra możesz się rozmyślić? Nie zależy mi na pochopnej decyzji, której już nazajutrz będziesz żałować. No i w ogóle wcale

nie po to kupiłem ci komputer. — Nie, boję się, że jutro ty możesz się rozmyślić — z całą powagą oznajmiła Nastia. — Moje zadanie na dzień dzisiejszy to związać cię słowem, żebyś mi się jutro nie wymknął. — A więc naprawdę postanowiłaś za mnie wyjść? Wiesz co, wypijmy wreszcie, bo bąbelki uciekną.

— Nie — sprzeciwiła się stanowczo Nastia. — Wypijemy, jak mi się oświadczysz.

— Ty wariatko! Chcesz, żebym cię znowu poprosił o rękę po to, żebyś kolejny raz mogła mi odmówić?

— Nie odmówię ci, Loszeńka, daję słowo. Pobierzmy się, dobrze? — powiedziała Nastia jakoś żałośnie. — Dopiero teraz zrozumiałam, jaka byłam głupia, że nie chciałam za ciebie wyjść.

— Dobrze, wygrałaś. — Losza roześmiał się, ale jego oczy pozostały poważne.

## 4

W niedzielę z samego rana Nastia zabrała się do pracy. Żałowała bardzo, że prawie wszystkie przyniesione z biura materiały były pisane odręcznie, i to ołówkiem, więc nie mogła teraz wypróbować nowiutkiego komputera. Rozłożyła na podłodze notatki i pojedyncze arkusze, położyła się na brzuchu i zaczęła porządkować zebrane informacje, pełznąc od jednej kupki papierów do drugiej i



przekładając kartki z miejsca na miejsce. Z relacji żony Gałaktionowa:

...Pobrali się jako całkiem młodzi ludzie, studenci wydziału filologicznego moskiewskiego uniwersytetu. Pośród prezentów ślubnych znalazł się niewiarygodnie drogi aparat fotograficzny, przywieziony z zagranicy. W tamtych czasach, a były to lata siedemdziesiąte, takie aparaty można było kupić tylko tam albo — jeśli się miało dużo szczęścia — w komisie. W zwykłych sklepach ze sprzętem fotograficznym ich nie sprzedawano. W dużym, eleganckim pudełku znajdowały się dwa mniejsze, z identycznymi etykietami. W jednym był aparat, w drugim — zapasowy obiektyw, filtry i jeszcze jakieś części.

— Jedziemy! — zwrócił się podniecony Sasza Gałaktionow do swojej świeżo upieczonej małżonki.

— Dokąd? — zdziwiła się.

— Jedziemy, jedziemy, zaraz zobaczysz, jaki będzie ubaw. Pojechali do dużego komisju. Sasza kazał żonie zaczekać na ulicy, a sam zniknął w głębi sklepu. Po pewnym czasie wyszedł i pokazał jej gruby plik banknotów.

— Co, sprzedałeś aparat? — zachnęła się. — Jak mogłeś? Przecież to nasz prezent ślubny!

— Jeszcze nie zwariowałem! — Sasza uśmiechnął się. — Masz tu swój aparat, nie płacz. Potrzebny mi był tylko do zademonstrowania. A do drugiego pudełka włożyłem starą zasuwę. — Ale po co, Sasza? Po co to zrobiłeś? Przecież mamy pieniądze.

— A tam, tak, dla hecy — rzucił na odczepnego. — Pomyśl sama, dwa absolutnie jednakowe pudełka z identycznymi etykietami.

Grzechem byłoby nie wykorzystać okazji. Straciłbym szacunek dla samego siebie...

...Jeden z egzaminów w sesji zimowej miała zdawać u profesora, który nie cierpiał u studentek biżuterii. Każda dosłownie ozdoba — poza obrączką — gwarantowała ocenę niedostateczną. Dlatego też, oddając do uniwersyteckiej szatni elegancki, drogi kożuszek, żona Gałaktionowa zdjęła pierścionki — jeden z brylantem, drugi z brylantem i szmaragdem — z zamiarem schowania ich do torebki, ale nagle zobaczyła tuż obok wspomnianego już surowego egzaminatora. Przestraszona, że profesor może zobaczyć, jak ona wrzuca precjoza do torby, wsunęła je po prostu do kieszeni kożuszka. Wchodząc do audytorium, wzięła ze sobą długopis, kartkę i indeks, a torebkę zostawiła mężowi, który przyszedł razem z nią, by podtrzymać ją na duchu i ewentualnie pocieszać, gdyby oblała. Był w innej grupie i ten sam egzamin zdał już dwa dni temu.

Dostała jednak czwórkę i wybiegła z sali szczęśliwa i roześmiana. Mąż chwycił ją za ręce i uściskał. — Musimy to uczcić!

Czym prędzej pobiegli do szatni, ale ona nie mogła znaleźć w torebce numerka.

— Nie denerwuj się, chodź, odejdziemy na bok, wysypiesz wszystko z torby i spokojnie poszukasz. Sama pomyśl, przecież nie mógł zginąć — uspokajał ją mąż.

Jednakże najstaranniejsze nawet przetrząsanie zawartości torebki nic nie dało. Numerek jakby się rozplynął. W przed egzaminacyjnym zdenerwowaniu, trzęsąc się ze strachu przed srogim profesorem, zapomniała widocznie wziąć żetonik lub też upuściła go, przekonana, że wsuwa blaszkę do torby.

— Nic na to nie poradzę! — oświadczyła stanowczo kłótniwa szatniarka. — Skoro nie masz numerka, jak znajdę twój kozuch? Trudno, musisz poczekać do wieczora. Kiedy wszyscy już pozabierają swoje palta i wyjdą, twoje okrycie zostanie. Wtedy napiszesz oświadczenie, a ja w obecności dyrektora administracyjnego wydam ci kozuszek.

— Mój Boże, co za pech! — Dziewczyna prawie płakała. — Mam tu czekać do wieczora? Jest dopiero pierwsza, moglibyśmy pójść gdzieś na obiad, oblać mój egzamin... — Nie denerwuj się — pocieszał ją Sasza. — Zaraz złapię taksówkę, skoczę do domu, przywiozę ci jakiś płaszcz i pojedziemy się gdzieś zabawić, a wieczorem wrócimy... Wszystkie problemy dawały się wówczas łatwo rozwiązać. Byli młodzi, mieszkali u rodziców dziewczyny, ludzi — jak na owe czasy — doskonale sytuowanych. Sasza po półgodzinie wrócił z długim brązowym kozuchem, wsiedli do tej samej taksówki, która zawiozła go do domu, i pojechali do „Adriatiki” na dobrego szampana. Dopiero wieczorem, kiedy wrócili na uniwersytet, okazało się, że kozuszek w szatni nie ma.

— Cóż, widocznie ktoś inny go odebrał na twój numer. — Szatniarka tylko wzruszyła ramionami.

Jednakże dziewczyna zdołała już sobie dokładnie przypomnieć, że włożyła numerka do torebki, gdyż w tej właśnie chwili, chowając go w maleńkiej wewnętrznej kieszonce i zasuważąc zamek błyskawiczny, poczuła na sobie badawczy wzrok profesora i pomyślała: „Ale by było, gdybym tak teraz wkładała tu swoje brylanty! Dobrze, że je zostawiłam w kieszeni”. Torebki zaś nie wypuszczała z rąk, póki nie oddała jej Saszy, wchodząc do sali egzaminacyjnej. Ale on zaklinał się, że nigdzie, ani na chwilę, jej nie

zostawiał... Pytanie: Czy nie przyszło pani na myśl, że kożuch i pierścionki mógł ukraść właśnie pani mąż?

Odpowiedź: Boże, oczywiście, że tak. Byłam tego absolutnie pewna.

Pytanie: Nie próbowała pani z nim o tym porozmawiać?

Odpowiedź: Ależ skąd! Po prostu by mnie pobił.

Pytanie: Jak to? Bił panią? Więc dlaczego pani się z nim nie rozstała?

Odpowiedź: Po pierwsze, byłam już wtedy w ciąży, a na początku lat siedemdziesiątych taka sytuacja przesądzała o wielu sprawach. Po drugie, rodzice byli przeciwni mojemu małżeństwu, ale ja upierałam się i histeryzowałam, przekonywałam ich, że jestem już dorosła i znam się na ludziach, a Sasza to ktoś naprawdę wspaniały i wyjątkowy. Byłam przecież bardzo młodziutka i ambicja nie pozwalała mi przyznać się do błędu. A z czasem wszystko się jakoś ułożyło. Urodził się syn, potem córka, w końcu Aleksander przestał się mną interesować. Nawet się nie kłóciliśmy... Pytanie: Dlaczego?

Odpowiedź: Ponieważ prawie w ogóle nie mieliśmy ze sobą kontaktu — nie rozmawialiśmy...

Z zeznań pracownicy bankowego wydziału kredytowego, którym kierował Gałaktionow:

— Aleksander Władimirowicz był takim dobrym, wrażliwym człowiekiem, że wprost trudno to sobie wyobrazić! Ot, istnieje na przykład specjalna fundacja, zapewniająca pomoc ciężko chorym dzieciom. W Moskwie jest ośrodek konsultacyjny, gdzie lekarze badają dzieci i wydają zaświadczenia o stanie ich zdrowia; następnie z takim zaświadczeniem można się zgłosić do fundacji.

Ona decyduje, którym dzieciom pomóc. Aleksander Władimirowicz jako przedstawiciel naszego banku wielokrotnie pośredniczył w takich sprawach i ułatwiał naszym pracownikom kontakty z fundacją, jeśli zamierzali się do niej zwrócić. Mamy przecież kilkadziesiąt filii w całej Rosji, zatrudniamy masę ludzi. A Aleksander Władimirowicz dobrze znał języki obce, dlatego zawsze sam jeździł z naszymi pracownikami i ich dziećmi i na wizyty lekarskie, i do różnych instytucji, i do ambasad, służył pomocą jako tłumacz, mówił biegle po angielsku i po niemiecku. Nie liczył się z czasem, wszędzie woził ludzi własnym samochodem, nigdy nikomu nie odmawiał. Ach, złoty był z niego człowiek!...

Z zeznań Nadeжды Szytowej, przyjaciółki Gałaktionowa: — Nie można było się na niego gniewać, nawet kiedy zachowywał się w sposób absolutnie niekonwencjonalny. Miał w sobie tyle uroku, radości życia, ogromne poczucie humoru, cięty język, wciąż się śmiał, żartował. Czasem bardzo złośliwie.

...Kiedyś umówił się z pewnym mężczyzną w mieszkaniu Szytowej. Człowiek ten miał mu zwrócić dług. Zjawił się punktualnie z pokaźnych rozmiarów paczką dolarów. Aleksander zaproponował mu kawę i zabawiał go miłą rozmową. W pewnej chwili ktoś zadzwonił do drzwi — to przyszedł sąsiad z jakąś dużą, grubą książką.

— Dzień dobry, Aleksandrze Władimirowiczu, zdobyłem dla pana to, o co pan prosił.

— Dziękuję — rzekł uradowany Gałaktionow. — Popatrz, Nadiusza, jakie przydatne wydawnictwo. Są tu podane wszystkie cechy charakterystyczne podrabianych rozmaitymi metodami banknotów i sposoby odróżniania fałszywych pieniędzy od

prawdziwych. Zaraz, zaraz, co my tu mamy? O, spójrz, są nawet ilustracje i objaśnienia. A, jest coś jeszcze. Jakaś tajemnicza tabela. Zaraz zobaczymy, jak się nią posługiwać. Tak, patrzymy na numer... w pierwszej rubryce... Nie, ni w ząb nic z tego nie rozumiem. Wiesz co, Witek, daj tę paczkę, którą przyniosłeś, poćwiczmy sobie na niej. Dobrze... numer... rubryka... tak, jeżeli się zgadza, trzeba poszukać litery w drugiej rubryce... tak...

Sumiennie wczytywał się w informacje i objaśnienia dotyczące zagadkowej tabeli, porównując numery przyniesionych przez dłużnika banknotów z numerami w rubrykach. — Jeżeli wszystkie sześć wskaźników się zgadza, to mamy w ręku fałszywy banknot. O Boże, Witek! To fałszywka! — Niemożliwe, Aleksandrze Władimirowiczu — zaniepokoił się dłużnik. — Jak to?

— Nie wiem. — Wzburzony swym odkryciem Gałaktionow tylko wzruszył ramionami. — Sam zobacz, masz tu wszystko czarno na białym. Siadaj i sprawdzaj banknot po banknocie, ja nie będę sobie nad tym głowy łamał, to nie moje zmartwienie.

Poblady Witek zabrał się do studiowania tabeli i porównywania numerów banknotów. Rezultat jego wysiłków przeszedł najgorsze oczekiwania. Prawdziwe okazały się tylko banknoty jedno- i pięciodolarowe, a trzydzieści studolarówek — zgodnie ze wskazaniem tabeli — było podróbką. — Skąd je wzięłeś? — zapytał zdenerwowany Gałaktionow. — Kupiłem, na ulicy... — wymamrotał załamany Witek. — Dlaczego nie w banku? Sto razy ci mówiłem, uprzedzałem cię, że się w końcu natniesz.

— W banku był wyższy kurs — tłumaczył się dłużnik.

— Dobrze, że przyszło mi do głowy sprawdzić te banknoty, bo miałbym się potem z pyszna! Co bym zrobił z fałszywymi dolarami? Teraz spadaj i przynieś mi jak najprędzej prawdziwe banknoty. Z powodu nieprzewidzianych okoliczności przedłużam ci termin zwrotu długu jeszcze o dwa dni. Ta historia mogłaby charakteryzować Aleksandra Władimirowicza jako człowieka ostrożnego, przewidującego, lecz wyrozumiałego, gotowego wziąć pod uwagę niefortunną sytuację i pójść dłużnikowi na rękę. Mogłaby, gdyby nie jedno „ale”. Duży biały tom pod tytułem Charakterystyki techniczne i sposoby wykrywania fałszywych banknotów przez cały miniony tydzień leżał u Szytowej, a Aleksander Władimirowicz studiował go z wielką uwagą. Jednakże dwa dni przed oczekiwanym zwrotem długu książka gdzieś zniknęła. Nadzieja Andriejewna sądziła, że Gałaktionow ją zabrał, była przecież jego własnością...

„Ciekawa osobowość” — myślała Nastia, leżąc na podłodze i przeglądając notatki. Cyniczny łajdak, który potrafił okraść własną żonę, a potem pocieszać ją z całą szczerością. Gdyby jednak żona udowodniła mu złodziejstwo, równie spontanicznie by ją pobił. W dodatku wcale nie krył się ze swoimi skłonnościami, ba, uważał za rzecz zupełnie naturalną zabrać ze sobą żonę, gdy w komisie zamiast drogiego, zagranicznego aparatu fotograficznego sprzedał starą zasuwę do drzwi w efektownym opakowaniu. Wpadł mu przypadkowo w ręce poradnik, wyjaśniający, jak odróżnić prawdziwe banknoty od fałszywych, i Gałaktionow natychmiast wymyślił chytry podstęp, nie wypróbował go jednak na kimś obcym, lecz na jednym ze swoich przyjaciół. Znalazł doświadczonego fałszerza i zamówił u niego podrobione banknoty,

żeby potem błyskawicznie podmienić na nie prawdziwe i kazać ufnemu dłużnikowi uregulować należność po raz drugi. Ryzykant uważający się za ulubieńca fortuny, człowiek wesoły, dowcipny, przebojowy, z dwudziestoletnią praktyką w dziedzinie robienia mniejszych i większych świństw, i to bez jednej choćby wpadki. Przez milicję nigdy nienotowany, nieukarany nawet mandatem przez drogówkę. Albo przestrzegał przepisów ruchu, albo czarująco się uśmiechał, zwłaszcza gdy uśmiech odsłaniał trzymany w zębach zwinięty banknot.

Jeśli wierzyć świadkom, to w ostatnim okresie szczęście chyba się odwróciło od Aleksandra Władimirowicza. Mniej więcej cztery miesiące przed jego śmiercią nie wypalił pewien bardzo korzystny, duży interes. Było to pierwsze poważne niepowodzenie od wielu lat, lecz Gałaktionow podszedł do sprawy filozoficznie: cóż, trudno, nie zawsze wszystko może się udać, czasem los płata nam figle. Kiedy jednak w tym samym tygodniu pech dosięgnął go po raz drugi, Gałaktionow zaniepokoił się. Czyżby on, Sańka Wist, właśnie się wyprztykał? Dotąd jeszcze się nie zdarzyło, by przegrał w preferansa taką ogromną sumę. W ogóle prawie nigdy nie przegrywał, oszukując partnerów nawet przy bardzo dla niego niekorzystnych rozdaniach. Potrzeba jednak do tego prawdziwej smykałki i długotrwałej, wielogodzinnej koncentracji uwagi, z czego Wist zawsze słynął. Zwykle jego partnerzy wcześniej zaczęli odczuwać zmęczenie, przez co popełniali błędy, on wszakże był niezmordowany, w szóstej godzinie gry równie łatwo zapamiętywał wyjścia i liczył karty, jak na początku. Czyżby więc jego pierwszy poważny niefart zwiastował początek procesu starzenia się, dekoncentrację i luki w pamięci? Ależ on ma przecież zaledwie



czterdzieści trzy lata, toż to kwiat wieku! Musi udowodnić, że wciąż jest ulubieńcem fortuny, a to wszystko, co się stało, to tylko drobne potknięcia, na które nie warto zwracać uwagi.

Z całym zapamiętaniem rzucał się w wir coraz to nowych interesów, które każdy sędzia zakwalifikowałby raczej jako afery, i częściej niż zwykle siadał do gry przy zielonym stoliku. Z początku szło dobrze i Gałaktionow odzyskał równowagę ducha, ale potem znów sypnęły się niepowodzenia. Wówczas trochę przycichł, uspokoił się. Sądząc z rozmaitych jego wypowiedzi, które przytaczali świadkowie, miał zamiar sumiennie przeanalizować przyczyny niepowodzeń, jakie go spotkały. Przy tym wszyscy jak jeden mąż twierdzili, że nie był w depresji, nie robił wrażenia przybitego — już raczej przypominał podnieconego niezwykle odkryciem entomologa, który raptem na biegunie północnym ujrzał motyla z tropików. Gałaktionow był jak zawsze dowcipny i czarujący, nie przyłgnęło doń niezmywalne piętno nieudacznika. Nic więcej aż do śmierci Aleksandra Władimirowicza się nie wydarzyło. Podobno nawet na kilka dni przed zgonem poczuł nowy przypływ energii i podniesiony na duchu zwrócił się do żony ze słowami:

— To nic, jeśli nawet fortuna śpi, wrodzony talent czuwa i nigdy człowieka nie zawiedzie. A kiedy ta śpioszka się obudzi, to dopiero będzie zabawa!

Widocznie znów spróbował w czymś swoich sił, i to z pomyślnym skutkiem. Jedna rzecz wszakże pozostaje niezrozumiała: o wszystkich jego dosyć podejrzanym interesach ktoś przecież musiał wiedzieć — żona, kochanka czy koledzy z pracy. Inna sprawa, że nie byli świadomi, jak bardzo nieuczciwe i nielegalne jest to, co

Gałaktionow robi. On natomiast absolutnie niczym się nie krępował i nie ukrywał, że byłoby grzechem nie wykorzystać cudzej głupoty czy ufności; ba, gdyby tego zaniechał, straciłby szacunek dla samego siebie. Jednak o ostatnim jego udanym posunięciu — jeśli w ogóle miało ono miejsce, a nie było tylko płodem rozgorączkowanej wyobraźni Anastazji Kamińskiej — z jakichś bliżej nieokreślonych przyczyn nikt nic nie wiedział. Ciekawe czemu? Co w nim mogło być tak osobliwego?

## 5

Z niechęcią popatrzył na rozmówcę. Tak, ludzie go irytowali, ale takie ujęcie sprawy byłoby nazbyt ogólnikowe. Irytowali go osobnicy w typie słowiańskim. Wszyscy pozostali — Azjaci, Murzyni, mieszkańcy Kaukazu — przyprawiali go o dreszcz obrzydzenia. Nie mógł słuchać ich łamanego języka, drażnił go choćby ślad obcego akcentu. Nie potrafił spokojnie patrzeć na niesłowiańskie twarze. Boże kochany, jakże on ich wszystkich nienawidził!

— Ile prób trzeba będzie przeprowadzić? — zapytał rozmówca.

— Co najmniej trzy — odparł, starając się nie zdradzić intonacją głosu, że wszystko w nim aż się gotuje. — Po każdej próbie mniej więcej dwa tygodnie doprowadzania urządzenia do pełnej sprawności, potem kolejna próba — i tak dalej. W sumie około

sześciu, siedmiu tygodni. Wiele zależy od materiału potrzebnego do prób, niekiedy nie udaje się zgromadzić od razu koniecznej jego ilości.

— Może moglibyśmy jakoś w tym pomóc? — zapytał Kaukazczyk.

— Nie ma potrzeby — odpowiedział sucho. — To już nasze zmartwienie, a wasze — to pieniądze. Proszę przygotować uzgodnioną sumę. W ciągu półtora miesiąca wszystko będzie gotowe. — Do jakiego banku mamy ją przelać?

— Wolałbym gotówkę.

— Ale to nie takie proste — próbował protestować Kaukazczyk. — Przewieźć tyle pieniędzy przez strefę działań wojennych... Zbyt wielkie ryzyko.

— To mnie nie interesuje — padła chłodna odpowiedź. — Wy otrzymujecie urządzenie, ja — całą sumę gotówką. Rozumie pan? Całą. Sumę. Gotówką — powtórzył, akcentując każde słowo.

— Ale dlaczego? — nie ustępował tamten. — Przecież będzie panu trudno wywieźć potem pieniądze za granicę. A tak będą sobie spokojnie leżały w szwajcarskim banku i czekały na pana. Czy to nie lepsze rozwiązanie?

— Nie pańska sprawa — uciął ze złością. — Nie wybieram się za granicę i niepotrzebny mi wasz zasrany szwajcarski bank. Potrzebuję pieniędzy tutaj. Inaczej nie dostaniecie urządzenia

— No cóż, teraz pan dyktuje warunki. — Kaukazczyk westchnął. — Rosyjskie wojska jeszcze długo pozostaną na naszym terytorium. Pierwszą rundę przegraliśmy, ale drugą zamierzamy wygrać. I dla osiągnięcia tego celu jesteśmy gotowi na wszystko. Ponieważ

pańskie urządzenie jest nam bardzo potrzebne, otrzyma pan, oczywiście, swoją należność w gotówce.

— No to doskonale. — Uśmiechnął się pojednawczo, z trudem powstrzymując chęć, by zacisnąć palce na szyi swego rozmówcy i udusić go.

# ROZDZIAŁ III

## 1

Misza Docenko siedział w gabinecie Olszańskiego i już którąś godzinę z rzędu rozmawiał z Krasnikowami, usiłując pomóc im sobie przypomnieć, czy przypadkiem nie mówili komuś o tym, że Dima nie jest ich rodzonym synem. Sam Konstantin Michajłowicz, użyczwszy Michajłowi swego biurka, siedział w kącie i z zainteresowaniem obserwował, jak perfekcyjnie pracuje młody oficer operacyjny. Misza dysponował pogłębioną wiedzą w zakresie problemów pamięci i mnemotechniki i potrafił dokonać tego, co w kryminalistyce nazywa się „pobudzeniem związków skojarzeniowych”. Innymi słowy, jeśli jest coś, co człowiek może sobie przypomnieć i nie chce tego ukrywać, pod zręcznym kierunkiem starszego lejtnanta Docenki z pewnością odświeży sobie pamięć.

Olga i Paweł Krasnikowowie twierdzili zgodnie, że nigdy... za nic... nikomu... i tak dalej. Raptem Misza zmienił taktykę. — Dlaczego państwo cały czas mnie oszukujecie? — zapytał z niewinną miną.

— My?! — wykrzyknęli zdumieni małżonkowie. — Co pan opowiada? Oszukujemy pana?

— No, jeśli nie oszukujecie, to znaczy, że nieprecyzyjnie formułujecie swoje myśli. Proszę, Olgo Michajłowno, niech pani jeszcze raz odpowie mi na pytanie: z kim w ciągu ostatnich pięciu lat rozmawiała pani o usynowieniu Dimy? — Z nikim — odparła kobieta znużonym głosem. — Powtarzałam to już panu z dziesięć razy: z nikim.

— Jak to? A z Łykowem? Szantażystą, który do was telefonował? Rozmawiała z nim pani o tym?

— No tak... Oczywiście. — Krasnikowa spieszyła się. — Ale sądziłam, że chodzi panu o...

— Wiem, co pani chce powiedzieć — łagodnie wtrącił Docenko, nie pozwalając kobiecie dokończyć. — Ale zależy mi na tym, żeby i pani zrozumiała, co miałem na myśli, mówiąc, że oboje państwo nieprecyzyjnie formułujecie swoje myśli. Teraz kolej na pana, Pawle Wiktorowiczu. Proszę odpowiedzieć na to samo pytanie.

— Z nikim nie rozmawiałem o usynowieniu Dimy — oznajmił Krasnikow tryumfalnie; ubodło go nieco, że ten sympatyczny, czarnooki chłopak w starannie odprasowanym garniturze miał rację. — Nawet z Łykowem. Zawsze rozmawiała z nim Olga.

— Doskonale. — Misza uśmiechnął się szeroko. — A czy z Olgą Michajłowną, pańską żoną, też ani razu pan o tym nie rozmawiał?

— Ale co to ma do rzeczy? — obruszył się Paweł. — Czy może chce pan przez to powiedzieć, że ja... że my sami... Z gniewu i oburzenia zaczął się zacinać, ani rusz nie mogąc znaleźć właściwych słów.

— W żadnym wypadku, Pawle Wiktorowiczu. Chcę tylko państwu uświadomić, że odpowiadając na pytania, sami już z góry szufladkujecie swoje wspomnienia w określony sposób. Kiedy pytam: „Z kim?“, wasza wyobraźnia rysuje obraz obdartego złoczyńcy lub szpiega w ciemnych okularach, a ponieważ nikt taki nie przychodzi wam na myśl, odpowiadacie śmiało: „Z nikim“. A to jest odpowiedź nieścista. W najgorszym razie powinniście powiedzieć: „Z nikim oprócz...“, a w najlepszym — wymienić wszystkich tych „oprócz“. Rozumiemy się? Proponuję, żebyśmy zapomnieli o tym, co było do tej pory, i zaczęli wszystko jeszcze raz od początku. I nie próbujcie dokonywać oceny każdego człowieka, którego sobie przypomnieć, zanim odpowiecie na pytanie. Zaraz państwu udowodnię, że to możliwe. A więc, proszę, Olgo Michajłowno...

Po dłuższej chwili kobieta powiedziała niepewnie:

— Może z lekarką. Wie pan, z okulistką. Dima cierpi na silną krótkowzroczność, tak że kiedy go przyprowadziłam do okulistki, ta zapytała, czy ja też jestem krótkowidzem. Zorientowałam się, że powinnam powiedzieć, nie jaki ja mam wzrok, lecz jaki miała Wieroczka. A że miała doskonały, oświadczyłam śmiało, że nie jestem krótkowzroczna. Wówczas ona spytała o ojca Dimy. Ale o nim, niestety, nic nie wiedziałam. Lekarka widocznie spostrzegła, że się spieszyłam, poprosiła Dimę, żeby wyszedł na korytarz, i zapytała mnie wprost: „Pani mąż nie jest rodzonym ojcem chłopca?“ Musiałam jej powiedzieć prawdę, nie mogłam przecież ryzykować zdrowia dziecka. Bałam się, że jeśli skłamię, iż mąż jest ojcem chłopca i nie cierpi na krótkowzroczność, albo na odwrót, że tak,

będą podejrzewać u chłopca jakąś nieistniejącą chorobę, a prawdziwą dolegliwość przegapią.

— Bardzo dobrze — ucieszył się Misza. — Widzi pani, że wszystko wygląda zupełnie inaczej, kiedy człowiek niczego nie szufladkuje z góry. Proszę powiedzieć, kiedy to było? — Trzy lata temu. Tak, nie mylę się, Dimoczka miał wtedy dwanaście lat.

Misza zapisał telefon przychodni i nazwisko lekarki.

— Jeszcze chwila zastanowienia — poprosił. — Jeden mały wysiłek i na dziś skończymy.

Tego dnia jednak Krasnikowowie nic więcej sobie nie przypomnieli. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Olszański uśmiechnął się przyjaźnie do Miszy.

— No, no, brawo, starszy lejtnancie, prawdziwa przyjemność patrzeć, jak pracujesz. Marnujesz się jako oficer operacyjny, powinieneś być śledczym. A może zmienisz posadę, co? Poczekaj parę minut, zaraz załatwię nakaz na wydanie karty pacjenta i pojedziemy pogadać z tą okulistką. Po godzinie wchodzili do przestronnego holu przychodni dziecięcej. Wysiłki, które nie przyniosły szczególnych rezultatów w pierwszej połowie dnia, zrekompensował im teraz fakt, że doktor Piercową zastali akurat w pracy. — Tak, Dima Krasnikow był moim pacjentem — potwierdziła, sprawdzwszy w swojej kartotece. — Podejrzewałam, że jego krótkowzroczność może być związana ze skłonnością do cukrzycy. Proszę, zanotowałam tutaj: „cukrzyca” ze znakiem zapytania.

— Dlaczego ze znakiem zapytania? Nie udało się wyjaśnić sprawy do końca? — zainteresował się Olszański. — Widzi pan, cukrzyca



bardzo często bywa chorobą dziedziczną. Pytałam matki, ale u niej w rodzinie nie było cukrzycy — wyjaśniła Piercowa, patrząc w swoje notatki. — Jeśli chodzi o ojca, informacji brak. Tak mam tutaj zapisane. Misza tymczasem przeglądał kartę wizyt ambulatoryjnych Dimy Krasnikowa. Żaden z lekarzy oprócz okulistki nie zbierał szczegółowego wywiadu; w karcie znajdowała się dokładnie taka sama adnotacja, jak u Piercowej: w rodzinie matki choroby takie to a takie, o rodzinie ojca brak danych. Gdy opuścili przychodnię, Olszański poruszył ramionami, ale nie rozprostował ich, zatrzymał się jakby w pół ruchu. Idąc, okropnie się garbił.

— Pudło — podsumował krótko. — Łykow wiedział doskonale, że oboje rodzice Dimy są przybrani. A Piercowa tego nie wie. Sądzi, że Krasnikowa jest rodzoną matką chłopca. Ale nic się nie martw, starszy lejtnancie. Nastawiłeś dzisiaj tych Krasnikowów na właściwą fałę, zobaczysz, że na pewno coś sobie przypomną. No i pomyśl o mojej propozycji. Będzie z ciebie wspaniały śledczy, potrafisz rozmawiać z ludźmi, nie to co ja. Dawniej Łarcew bardzo mi w tym pomagał, najtrudniejsze przesłuchania zwałłem na Wołodżkę, był z niego prawdziwy mistrz ekstraklasy. Ty też masz szansę nim zostać, wspomnisz moje słowa. Gdybym miał do pomocy ciebie i Anastazję, cały świat przestępczy drżałby przede mną. — Olszański wybuchnął śmiechem. — Słuchaj, a właściwie dlaczego ona tak unika kontaktów ze mną? Nie lubi mnie czy co? Wszystko zawsze załatwia telefonicznie, nigdy sama nie przyjedzie.

— Ależ co pan, Konstantinie Michajłowiczu, Anastazja Pawłowna bardzo pana szanuje i nadzwyczaj wysoko ceni — ostrożnie dobierając słowa, zapewnił Docenko, mimo iż cały aż wzdragał się wewnątrz, zmuszony do wypowiedzania tych kłamstw. Doskonale

wiedział, że Kamieńska Olszańskiego nie cierpi, a po historii z Łarcewem wręcz się go boi. Olszański zatrzymał się na skrzyżowaniu, czekając na zielone światło. Misza stał z tyłu, za nim, i nie widział wyrazu jego twarzy. Nagle Konstantin Michajłowicz odwrócił się i wziął Docenkę za klapy modnej kurtki.

— Posłuchaj, starszy lejtnancie, wszystkie moje porachunki z Kamieńską to przeszłość. Mądra z niej dziewczyna, głowa jej pracuje jak szwajcarski zegarek, a charakterek ma Anastazja nie gorszy niż ja sam. Jeżeli uważa, że w tamtej historii z Łarcewem była jakaś moja wina, niech tak zostanie, nie będę oponował. Zresztą istotnie zawiniłem. Ale nie zamierzam tego roztrząsać ani z nią, ani z nikim innym. Natomiast dla sprawy będzie lepiej, jeśli nawiążemy z Kamieńską przyjazne stosunki. Niech przestanie mnie unikać, przekaz jej to, dobrze?

— Przekażę, Konstantinie Michajłowiczu — zapewnił już spokojniejszy Docenko. — Myślę, że przyjmie to z zadowoleniem. Rzeczywiście obawia się trochę kontaktów z panem, gdyż bywa pan niekiedy zbyt ostry.

— O mój Boże! — Olszański roześmiał się. — To prawdziwie subtelne ujęcie sprawy! No cóż, starszy lejtnancie, potrafisz odpowiednio dobierać słowa. Kamieńska pewnie ci mówiła, że ze mnie skończony gbur. Mam rację?

— Nie — łagodnie zaprzeczył Misza. — Nigdy nie pozwalałam innym przekręcać cudzych wypowiedzi i sam tego nie robię. Powiedziała dokładnie to, co panu powtórzyłem: że bywa pan niekiedy zbyt ostry.

— Trudno cię zbić z pantałyku, starszy lejtnancie — z satysfakcją oświadczył Olszański. — Wyglądasz jak aniołek, a naprawdę strach z tobą zadrzeć. Zastanów się nad moją propozycją, pamiętaj o tym, co powiedziałem. Jutro mamy dziewiętnasty stycznia, Trzech Króli, moja żona robi bliny. Przyjdiesz? Poznasz nasze córki, to już duże panny, ale potrafią człowieka rozśmieszyć do łez. Są strasznie zabawne. — Jestem trochę zaskoczony, ale to bardzo miła propozycja — rzekł uprzejmie Misza. — Przyrzekam, że postaram się zmienić swoje plany na jutro.

— Oto wyższa szkoła jazdy — zauważył z powagą Konstantin Michajłowicz. — Starszy lejtnancie, prawdziwy z ciebie skarb. Nie pobierałeś przypadkiem nauk w Szkole Służby Dyplomatycznej? — Skąd panu to przyszło do głowy?

— Nie musisz mnie uważać za kompletnego durnia — odparł urażony śledczy. — Chcesz, to przetłumaczę na normalny język to, co mi przed chwilą powiedziałeś? Idź do diabła, stary pryku, co, myślisz, że nie mam jutro nic lepszego do roboty, tylko opychać się blinami w twoim towarzystwie? Taki młody i bystry facet jak ja ma wszystkie wolne wieczory zaplanowane na miesiąc naprzód, więc jutro oświadczę ci z wielkim żalem, że mimo usilnych starań większości pilnych zadań, przewidzianych na wieczór, nie udało mi się przesunąć na inny termin, skoro twój własny kurzy mózdzek nie zdołał ci podpowiedzieć, że nie wybrałbym się do ciebie z wizytą, nawet gdybym miał zdechnąć z nudów i lenistwa, jako że twoje córki siusiumajtki i twoje bliny obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg. No jak, przetłumaczyłem dosłownie czy z zastosowaniem licentia poetica?

— To brzmiało jak przekład z angielskiego na chiński — zazartował Misza, choć znów poczuł się trochę spięty. Tak, śledczy Olszański ma ostry język i bez ceremonii mówi to, co myśli, stawiając innych w kłopotliwej sytuacji. Nic dziwnego, że Anastazja Pawłowna go nie lubi i unika z nim osobistych kontaktów... — Dlaczego akurat z angielskiego na chiński?

— Dlatego że przy przekładzie z angielskiego na chiński objętość tekstu zwiększa się mniej więcej ośmiokrotnie. Angielski jest bardzo zwężły, a chiński — nader skomplikowany, zawiły, istnieje w nim wiele dopełniających określeń. Ja wypowiedziałem dokładnie siedemnaście słów, a ile zawierał pański przekład?

— Dobra, twoje na wierzchu. — Olszański machnął ręką. — Trudno cię przegadać. W którą stronę idziesz?

— Wracam do pracy, muszę się dostać do sierpuchowskiej linii metra.

— W takim razie pojedźmy razem linią okrężną, ja wysiądę na stacji Pawelecka, a ty się przesiądziesz na linię sierpuchowską.

Ruszyli razem dalej. Zmierzch zapadł już dawno, z nieba sypały się duże płatki mokrego śniegu. Misza Docenko był z gołą głową i biały puch utworzył srebrzystą czapkę na jego starannie ostrzyżonych i wymodelowanych czarnych włosach. Olszański szedł zgarbiony, wsunąwszy ręce głęboko w kieszenie palta. Na głowę naciągnął kaptur. Zmęczeni, resztę drogi pokonali w milczeniu.

Nazajutrz rano telefon zadzwonił, zanim Konstantin Michajłowicz zdążył przestąpić próg swego gabinetu. — Przypomniałam sobie — rozległ się w słuchawce podniecony głos Olgi Krasnikowej. — Rozmawiałam o tym ze śledczym.

— Z jakim znowu śledczym? — spytał zirytowany Olszański.

— Nazywa się Bakłanow. Oleg Nikołajewicz Bakłanow. Prowadził dochodzenie w sprawie kradzieży dzinsów. Olga pokrótce zrelacjonowała Olszańskiemu niepojętą historię z dzinsami.

— Śledczy zapytał mnie wówczas, czy chłopiec nie cierpi aby na jakieś zaburzenia psychiczne i czy w rodzinie — do trzeciego pokolenia wstecz — nie było podobnych przypadków. Powiedziałam mu wtedy uczciwie, jak wygląda sprawa. Ale, Konstantinie Michajłowiczu, to przecież śledczy, nie mógł chyba...

— Nie mógł, nie mógł — zapewnił Olszański. — I jak się to wszystko skończyło?

Zadał to pytanie jedynie pro forma, myślał już o czymś innym, było mu najzupełniej obojętne, jaki finał miała sprawa kradzieży jakichś idiotycznych dzinsów. Odpowiedź kobiety zmusiła go jednak do kontynuowania rozmowy. — Nie wiem, ale mam nadzieję, że dobrze.

— Czegoś tu nie rozumiem — powiedział Olszański. — Jak to nie wie pani? I co znaczy „mam nadzieję“?

— No bo kiedy zabraliśmy Dimoczkę do domu, zapytałam śledczego, czy można liczyć na to, że zwolnią syna za poręczeniem, dostanie kuratora czy coś takiego... Sama nie wiem co, byleby nie poprawczak. Bakłanow kazał mi złożyć podanie i przynieść

zaświadczenia z administracji domu i z poradni zdrowia psychicznego i chorób wenerycznych. W ciągu dwóch tygodni zgromadziłam te dokumenty i przekazałam je przez adwokata.

— A dlaczego przez adwokata? — zainteresował się Olszański.

— On tak sobie życzył.

— Kto „on”?

— Bakłanow. Powiedział, że trudno go zastać w biurze, a z adwokatem spotyka się regularnie w sądzie, więc tak będzie najlepiej. — I co było dalej? — A nic. Spokój. Chyba odłożyli całą sprawę.

— Kiedy miała miejsce ta rozmowa, proszę mi jeszcze raz przypomnieć — poprosił Konstantin Michajłowicz.

— Dwunastego września.

— A kiedy dostarczyła pani papiery?

— Dwudziestego ósmego. Pamiętam dokładnie datę, bo musiałam wybrać dzień, kiedy będę miała w pracy okienko. — Czyli chce pani powiedzieć, że dwunastego stycznia upłynęły cztery miesiące od dnia, gdy pani syn został zatrzymany podczas usiłowania kradzieży — na wszelki wypadek uściślił Olszański. To, co opowiedziała mu Krasnikowa, wydawało się zupełnie nieprawdopodobne. — Tak jest — potwierdziła kobieta.

— I śledczy więcej już pani nie wzywał, ani listownie, ani telefonicznie?

— Nie, ani razu.

— A co mówi adwokat?

— Z początku utrzymywał, że wprawdzie będzie to słono kosztować, ale on gwarantuje, że Dima nie trafi do poprawczaka. Potem bardzo długo nie mogłam go zastać, bo albo był chory, albo wyjechał na urlop, aż w końcu powiedziano mi, że zmienił mieszkanie i dotychczasowy numer telefonu jest już nieaktualny. Później zresztą przestałam dzwonić, uznałam, że wszystko dobrze się skończyło i rozprawy sądowej nie będzie.

— Wie pani co, Olgo Michajłowno, radziłbym pani wstąpić do prokuratora i zapytać, co się dzieje ze sprawą Dimy. Bakłanowa może i trudno zastać w biurze, ale prokurator rejonowy zawsze jest w swoim gabinecie. Pani chyba nie bardzo się w tym wszystkim orientuje; wydaje mi się, że ktoś tu panią zwodzi. Sprawa nie może skończyć się tak, żeby pani nie została o tym powiadomiona. Powinna pani otrzymać wezwanie, zapoznać się z decyzją i podpisać ten dokument na znak, że go pani przeczytała, a jego treść jest dla pani jasna. Jak postępuje Bakłanow w wypadku, gdy sprawa zostaje umorzona, trudno mi powiedzieć. Nie mogę nic sugerować. Jednak bardzo chciałbym to wiedzieć. Zresztą proszę poczekać — zreflektował się Olszański.

Jeszcze przed chwilą mówił przez niego prawnik i pracownik prokuratury. Teraz obudził się w nim śledczy prowadzący sprawę o ujawnienie tajemnicy adopcji; nie dalej niż wczoraj przyszło mu na myśl, że dokopać się do tej tajemnicy byłoby najłatwiej komuś, kto pracuje w milicji. Jeśli ze sprawą Dimy Krasnikowa dzieje się coś dziwnego, a w aktach jest informacja o jego usynowieniu, to w żadnym wypadku nie należy kierować Olgi do prokuratora, żeby nie robić wokół całej historii niepotrzebnego hałasu i nie obudzić przedwcześnie czujności Bakłanowa.

— Nie musi pani nigdzie chodzić — powiedział. — Zaraz się tym zajmę i wszystko sam wyjaśnię. Proszę do mnie zadzwonić wieczorem.

Wizyta u prokuratora, w którego rejonie cztery miesiące wcześniej Dima Krasnikow usiłował ukraść dzinsy ze sklepu, miała zupełnie nieoczekiwane zakończenie. Tak dalece nieoczekiwane, że kiedy Olszański zrelacjonował je w rozmowie telefonicznej Docence, ten natychmiast pomknął do Nastii. — Anastazjo Pawłowno, okazuje się, że śledczemu Bakłanowowi ukradziono akta, a on ani rusz nie mógł się zdobyć na to, by zgłosić kradzież, komu należy. Przyczyną kradzieży było ewidentnie jego własne niedbalstwo — stale wychodził z gabinetu, nie zamykał drzwi, nie chował kluczy od sejfu. A teraz pluje sobie w brodę.

— I co z tego? — zdziwiła się Nastia. — No dobrze, kradzież. I co dalej?

— Skradziono teczki z aktami czterech spraw, w tym sprawy Dimy Krasnikowa, gdzie znajduje się informacja o usynowieniu chłopca.

— Co godzina, to nowina! — Nastia westchnęła. — Czyli wychodzi na to, że ta informacja trafiła do Gałaktionowa? — Otóż to, Anastazjo Pawłowno. — To on ukradł teczki? — Możliwe — przytaknął Misza. — Dlaczego nie?

— Ale po co mu one?! — wykrzyknęła ze wzburzeniem Nastia. — Na diabła mu były te akta? Chociaż nie, Miszeńka, głupstwa gadam, a pan tylko słucha i nic nie mówi, zamiast przywołać mnie do porządku. Akta jakich spraw jeszcze skradziono?



— Zaraz, wszystko zapisałem. Pierwsza teczka to sprawa Krasnikowa, usiłowanie kradzieży. Druga — napad na bank, cała grupa podejrzanych. Trzecia — zabójstwo i samobójstwo na tle konfliktów rodzinnych. Sprawę trzeba było umorzyć ze względu na samobójczą śmierć osoby, która powinna być pociągnięta do odpowiedzialności karnej za zabójstwo. Jeszcze jeden dzień — i akta tej sprawy trafiłyby do archiwum. Czwarta — chuligański wybryk połączony z obrazą moralności publicznej, artykuł dwieście sześć, paragraf trzeci, sprawca znany, akt oskarżenia wkrótce miał zostać skierowany do sądu.

— Miszeńka, niech pan jak najszybciej zdobędzie informacje o wszystkich podejrzanych, oczywiście, z wyjątkiem Krasnikowa. Złodziejowi z pewnością chodziło o jedną konkretną teczkę, pozostałe zabrał dla niepoznaki, zgarnął te, które były pod ręką, nie wybierał. Jeżeli Gałaktionow był zamieszany w kradzież tych akt, staje się zrozumiałe, skąd zaczerpnął informację o usynowieniu chłopca. Jasne jest też, jaki to szczęśliwy traf zdarzył mu się tuż przed śmiercią. No i dlaczego nikomu o tym nie wspomniał. Wszystkie swoje interesy, na pozór całkowicie legalne, załatwiał osobiście. Ale zlecenie kradzieży akt z gabinetu śledczego — to również tajemnica wykonawcy, a jej wyjawienie można przypłacić życiem. Poza tym — zwyczajne przestępstwo, o czym wie każdy głupi, a nie udany interes sprytnego biznesmena. Pomyślmy, którą z tych czterech teczek złodziej miał ukraść, może zresztą był nim sam Gałaktionow. Niewykluczone jednak, że tylko organizował kradzież. Musimy zrozumieć, dlaczego to zrobił. To znaczy czy miał w tym jakiś własny interes, czy też ktoś po prostu zwrócił się do niego o pomoc w tym przedsięwzięciu. Ale w to, że akta sprawy Dimy

Krasnikowa Gałaktionow miał w ręku, już prawie nie wątpię. — A co się kryje za tym skromnym „prawie”?

— Nie wykluczam, że teczki mógł ukraść również Łykow, teraz natomiast usiłuje zwalić wszystko na Gałaktionowa. Bo niby dlaczego nie? A więc, Miszeńka, będziemy ciągnąć niteczki od trzech skradzionych teczek i w kierunku Łykowa, i Gałaktionowa. Któraś z nich doprowadzi nas do jednego albo do drugiego. Aha, i jeszcze coś, Misza. Chcę, żeby pan pojechał do Szytowej. Rozmawiał z nią Lepioszkin, więc czeka pana trudne zadanie, musi pan jakoś załagodzić sytuację. Niech się pan postara, bardzo proszę.

### 3

Nadieżda Szytowa z początku potraktowała Docenkę chłodno.

— Nadieżdo Andriejewno — powiedział Misza łagodnie — rozumiem pani ból i bardzo mi przykro, że muszę zadawać pytania i przywoływać wspomnienia, gdy pani przeżywa taką tragedię.

— Doprawdy? — powiedziała sucho Szytowa. — Przecież nie wypada mi rozpaczać po Saszy, a nawet nie mam do tego prawa.

— Czemu pani tak mówi? To okrutne.

— No właśnie. Ale tak powiedział mi bez ogródek pański kolega, Igor Jewgienjewicz Lepioszkin. Że rozbijam cudze małżeństwo, a

nie potrafię rozwiązać własnych problemów i ostatecznie uporządkować swoich stosunków z mężem. Lepioszkin uważa widocznie, że pieczęta w dowodzie osobistym zobowiązuje, nawet jeśli dawno już nastąpił rozkład pożycia i małżonkowie mieszkają oddzielnie. — Igor Jewgienjewicz nie chciał pani obrazić.

— Wprost przeciwnie — odcięła się Szytowa. — Specjalnie tak dobierał słowa, żeby mnie jak najboleśniej zranić. To było widać gołym okiem.

— Nadieżdo Andriejewno, proszę, porozmawiajmy o Aleksandrze Władimirowiczu. Może pani myśleć o Lepioszkinie, co się pani podoba, ale jedno trzeba mu przyznać: robi wszystko, co możliwe, a nawet więcej, by wyjaśnić sprawę i znaleźć zabójcę pani przyjaciela. Ma trudny charakter owszem, racja, i bywa niekiedy zbyt szorstki w obejściu, ale to prawdziwy profesjonalista. Jeżeli kontakty z nim są dla pani takie przykre, obiecuję, że postaram się, by nie musiała pani z nim więcej rozmawiać. Zgoda?

— Dobrze. — Szytowa niechętnie skinęła głową. — Niech pan pyta.

Była atrakcyjną dwudziestoósmioletnią brunetką i mieszkała w ładnym dwupokojowym mieszkaniu. Teraz jednak naprzeciwnie Miszy siedziała blada, zmęczona kobieta, która nie całkiem jeszcze wydobrzała po niedawnej operacji. Przeżyła ciężki szok, kiedy kilka dni po zabiegu chirurgicznym zjawili się u niej w szpitalu funkcjonariusze milicji i zaczęli wypytywać, gdzie może być Gałaktionow. Gdy się dowiedzieli, że Aleksander Władimirowicz miał klucze od mieszkania Szytowej, poprosili o jej własny komplet, a nazajutrz oddali go i powiadomili ją, że Gałaktionowa znaleziono martwego u niej w domu. Powrót ze szpitala był dla Nadieżdy

ciężkim przeżyciem, gdyż wszędzie dostrzegała ślady cudzej obecności, a w dużym pokoju pozostało obrysowane kredą na podłodze miejsce, gdzie stał fotel — w nim znaleziono Gałaktionowa martwego — bo technicy nie starli konturu po zrobieniu zdjęć. Nadieżda bała się przebywać w mieszkaniu sama, zwłaszcza nocą; myśl o tym, że Sasza martwy przeleżał tu kilka dni, nie dawała jej spokoju.

Blizna pooperacyjna goiła się źle, bolała, Nadieżdzie trudno było chodzić, mimo to jednak pojechała do prokuratury, wezwana przez Lepioszkina, nie chcąc się wymawiać złym samopoczuciem. Od śledczego wyszła dotknięta do żywego, bliska łez i pełna nienawiści do całego aparatu ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Od trzech tygodni bez mała nikt jej jednak nie niepokoił, a dziś nagle zjawił się ten sympatyczny, czarnooki chłopak, który potrafił przełamać lody i skłonić ją do rozmowy. — Znała pani Aleksandra Władimirowicza...

— ... prawie rok — odpowiedziała Miszy Nadieżda.

— Interesują mnie osoby, z którymi panią poznał lub które pani po prostu widywała w jego towarzystwie, nawet jeśli ich pani nie przedstawił. Zwłaszcza w ostatnich tygodniach przed śmiercią.

— Dziwnie pan to ujął — zauważyła Szytowa, otulając się szczelniej ciepłym szlafrokiem. Z powodu źle gojącego się szwu nie mogła nosić obcisłych spodni i wąskich spódnic, jak to miała w zwyczaju. — Dlaczego dziwnie?

— Lepioszkin pytał mnie tylko o osoby, które znam. Kiedy próbowałam opisać mu te, których Sasza mi nie przedstawił, śledczy od razu przerywał, mówiąc, że moje domysły go nie interesują.

„Do diabła ciężkiego, że też musiał tak zawalić sprawę — pomyślał z irytacją Docenko. — Czy emocje do tego stopnia biorą górę, że człowiek może zapomnieć nie tylko o podstawowych zasadach przyzwoitości, ale i o dobru śledztwa?” — Na tym etapie rzeczywiście ważniejsze było ustalenie listy osób, które pani zna z imienia i nazwiska — usiłował usprawiedliwić Lepioszkina — żeby sprawdzić tych ludzi w pierwszej kolejności. Teraz przyszedł czas, by zająć się tymi, których tożsamość dopiero należy ustalić, i odszukać ich. Bardzo liczę na pani pomoc, Nadieżdo Andriejewno. Była pani dla Gałaktionowa najbliższym człowiekiem, więc jeśli miał jakieś znajomości, które wolał ukrywać, przed panią nie robiłby z tego tajemnicy.

Szytowa wyraźnie zmiękła. Misza jasno dał jej do zrozumienia, że — jego zdaniem — ma prawo uważać się za nieoficjalną żonę Gałaktionowa, podczas gdy Lepioszkin rozmawiał z nią w zupełnie innym tonie. Gdyby teraz ktoś ją zapytał, czy kochała Saszę, odpowiedziałyby, oczywiście, twierdząco. Każdy pojmuję i przeżywa miłość po swojemu, sądziła Nadieżda, a dla niej miłość oznaczała beztroską, radosną egzystencję u boku mężczyzny, który może i chce zaspokajać jej kaprysy — urlop w modnym kurorcie, wymarzony nowy łaśzek, zaproszenie na premierę głośnego filmu czy wyposażenie mieszkania w supernowoczesne urządzenia łazienkowe bądź kuchenne.

Nie znała znów tak wielu przyjaciół Saszy. Niektórzy z nich dość regularnie bywali w jej mieszkaniu, zapraszani przez Gałaktionowa, z innymi spotykał się w restauracjach na bankietach lub na skromnych kolacjach w interesach, jeszcze inni świadczyli mu rozmaite usługi: przynosili zakupy, organizowali remont mieszkania

lub naprawę samochodu, załatwiali bilety lotnicze. Sasza rzeczywiście nie robił tajemnicy ze swoich kontaktów z ludźmi, różnica polegała tylko na tym, że podczas gdy jednych przedstawiał jej z imienia i nazwiska, dodając niekiedy również, jakie stanowisko zajmują, to o innych mówił tylko, że są jego starymi przyjaciółmi, i zwracał się do nich po imieniu. Byli i tacy, którzy mieli jedynie ksywki lub w ogóle pozostawali bezimienni — wystarczało zwyczajne „ej, ty”. Ale pewnego razu... ..Zdarzyło się to mniej więcej na tydzień przed jego śmiercią, akurat tego dnia, kiedy wylądowała w szpitalu. W pracy dostała silnego krwotoku, zwolniła się i wróciła do domu około trzeciej. Wszedłszy do mieszkania, od razu się zorientowała, że w pokoju jest Sasza, i to nie sam. Obok jego kurtki wisiało na wieszaku czyjeś palto. Nie zdążyła się rozebrać, kiedy Gałaktionow wszedł do przedpokoju, szczerze zamykając za sobą drzwi. — Co tak wcześniej? — zapytał.

Wyczuła, że nie jest zadowolony z jej obecności.

— Źle się czuję, zwolniłam się. Kto jest u ciebie?

— Nikt, kogo znasz — odrzekł krótko. — Musimy o czymś pogadać, więc nie wchodź i nie przeszkadzaj nam. Po raz pierwszy odezwał się do niej w ten sposób, i poczuła się urażona, ale pominęła sprawę milczeniem, zwłaszcza że nieoczekiwany krwotok niepokoił ją o wiele bardziej. — Może wam zrobić kawy? — zapytała tylko. — Nie trzeba. On niedługo pójdzie.

Sasza wrócił do pokoju, tym razem również zamykając za sobą drzwi, tak że Nadieżda nie widziała jego gościa. Weszła do sypialni, zdjęła kostium, włożyła szlafrok i położyła się. Gdy trochę odpoczęła, postanowiła napić się herbaty, więc wstała, ale poczuła nagły zawrót głowy, który nie minął, lecz coraz bardziej się nasilał,

znów zatem usiadła na łóżku i słabym głosem wezwała przyjaciela na pomoc: — Sasza...

Wydawało jej się, że umiera. Gałaktionow wbiegł do sypialni. Nadieżda musiała widocznie bardzo źle wyglądać, gdyż nie na żarty się przestraszył.

— Co z tobą, Nadiusza? Co ci jest? Coś ci podać? Masz gdzieś walidol? Walokordin?

Nie była jednak w stanie odpowiedzieć, tylko jęczała. Coś takiego jeszcze nigdy jej się nie zdarzyło i nie miała pojęcia, czy tak właśnie wygląda atak serca. Sasza też na nic się nigdy nie skarżał, więc leków nasercowych w domu nie było. — Nadiusza! — powtarzał Gałaktionow wystraszony. — Odezwij się, powiedz, co mam zrobić, jak ci pomóc... O Boże, nic nie wiem...

Wybiegł z sypialni i po chwili wrócił razem z gościem. Nadieżda leżała z zamkniętymi oczami, czuła się fatalnie. Czyjaś ręka ujęła ją za przegub, ale ona nie zareagowała. — Dlaczego wyszła wcześniej z pracy? — usłyszała nieznajomy męski głos. — Co ją bolało?

— Nie wiem — odpowiedział Sasza. — Mówiła, że źle się czuje, ale co jej konkretnie dolega... Nie powiedziała. — A nie jest przypadkiem w ciąży?

— Raczej nie. Miała jakieś kłopoty, poszła do lekarza, ale zapewnił ją, że to nie ciąża.

— Nadiu, słyszy mnie pani? — zwrócił się do niej nieznajomy. — Z jakiego powodu była pani u lekarza? Podejrzewała pani, że jest w ciąży?

Nadieżda z wysiłkiem otworzyła oczy i zaraz znowu je zamknęła. Drażniło ją nawet blade światło zmierzchającego zimowego dnia.

Mężczyzny prawie nie widziała, było jej zresztą wszystko jedno, kto to.

— Trzeba wezwać pogotowie — powiedział do Gałaktionowa gość. — Bardzo możliwe, że to ciąża pozamaciczna. Nadia powinna jak najszybciej znaleźć się w szpitalu. Niech pan dzwoni, szybko, szybko, a nie stoi jak słup.

— Czy pan jest lekarzem? — usłyszała jak w malignie zdziwiony głos Saszy.

— Nie, ale u nas w pracy zdarzyła się niedawno podobna historia. Jednej z koleżanek zrobiło się słabo, też myśleliśmy, że to atak serca, wezwaliśmy pogotowie, a tymczasem okazało się, że to ciąża pozamaciczna. Lekarze potem powiedzieli, że jeszcze piętnaście minut — i byłoby już za późno na wszystko. Kiedy dochodzi do pęknięcia jajowodu, następuje krwotok wewnętrzny. No, dlaczego pan tak stoi, proszę dzwonić!

Uczucie słabości zaczęło z wolna ustępować, po jakimś czasie Nadieżda otworzyła oczy, ale w pokoju był tylko Sasza. Potem przyjechało pogotowie i zabrało ją... — Proszę powiedzieć, Nadieżdo Andriejewno, czy Gałaktionow odwiedzał panią w szpitalu? — Nie. — Nie zdziwiło to pani?

— Właściwie nie. Sasza nie lubił szpitali, widok chorych ludzi go drażnił. Zresztą wizyty na ginekologii są krępujące... Tak mi się zdaje. Rozumie pan, co mam na myśli? — Oczywiście, oczywiście. To znaczy, że kiedy zabierało panią pogotowie, widziała pani Aleksandra Władimirowicza po raz ostatni? — Tak...

Łzy napłynęły jej do oczu, ale szybko wzięła się w garść. — Przepraszam.



— Spróbujmy teraz przypomnieć sobie wszystko, co tylko możliwe, o gościu pani przyjaciela.

— Ależ ja go kompletnie nie pamiętam. Widziałam tego człowieka zaledwie przez kilka sekund.

— No, to zupełnie wystarczy. — Misza uśmiechnął się. — Zaczniemy od palta.

— Gdzież tam, nic sobie nie przypominam. Nie zwróciłam uwagi.

— A przecież powiedziała pani, że kiedy wróciła pani do domu, od razu zorientowała się, że Sasza nie jest sam. O czym pani wtedy pomyślała?

— No, że nie jest sam. O czym jeszcze miałam myśleć? — Nadieżdo Andriejewno, źle się pani stara — powiedział Docenko żartobliwie i pokiwał głową. — Kiedy przychodzę do domu i widzę, że na wieszaku w przedpokoju wisi damski płaszcz, myślę: mama ma gościa, bo to okrycie nie jest jej. Ale nie może to być jej siostra, bo ona chodzi w popielatym płaszczu, a ten jest niebieski. Taki ma przyjaciółka mamy, która mieszka w sąsiednim domu, to jednak również nie jej palto, bo nie ma futrzanego kołnierza. T e g o okrycia nigdy przedtem nie widziałem. Oczywiście, kiedy dziś o tym opowiadam, wydaje się, że poświęciłem na te rozważania wiele czasu, ale naprawdę to wszystko przemyka człowiekowi przez głowę w mgnieniu oka. Spróbujmy teraz odtworzyć, jak ten proces myślowy przebiegał u pani. Rozumie pani, o co mi chodzi?

— No, mniej więcej... — odparła niepewnie Szytowa. — Weszłam, zobaczyłam kurtkę Saszy, a obok palto, i pomyślałam, że to nie Gosza, bo on chodzi w krótkim kożusku. — A dlaczego najpierw przyszedł pani na myśl Gosza? — Bo jeżeli Sasza

przychodził w ciągu dnia, to najczęściej właśnie z nim. Gosza jest prawnikiem, Sasza mówił zawsze, że muszą posiedzieć w spokoju nad umowami. — Gosza to Sarkisow, szef wydziału prawnego banku? — Tak. — Doskonale. O czym pani pomyślała potem?

— O Boże, jakie to ma znaczenie? Pomyślałam, że Sasza pewnie zapomniał, że obiecał spędzić moje urodziny ze mną i z moimi gośćmi.

— Na jakiej podstawie uznała pani, że zapomniał?

— Bo przy takich okazjach zwykle zlecał Stasikowi dostarczenie jedzenia i alkoholu.

— Czyli widząc nieznanego palto, od razu pomyślała pani, że to nie Stasik?

— No oczywiście, Stasik ma palto czarne, a to było szare. — Widzi pani, Nadieżdo Andriejewno, a zapewniała mnie pani, że nie pamięta koloru nieznanego okrycia. — Ojej! — Szytowa sama była zaskoczona. — Rzeczywiście, ależ sprytnie pan mnie podszedł! Nawet nie zauważyłam, że sobie to przypomniałam. Tak, tak, na pewno, palto było szare.

— Jedźmy dalej. — Misza z zadowoleniem skinął głową. — Czy ten mężczyzna był Murzynem?

— Dlaczego Murzynem? — Szytowej aż dech zaparło ze zdumienia. — Co panu przyszło do głowy?

— A więc nie był? — Docenko uśmiechnął się chytrze. — Oczywiście że nie. Był biały, typ europejski.

— Teraz ja panią zapytam: skąd pani to wie? Na jakiej podstawie określa go pani jako typ europejski? — Nie rozumiem. — Wzruszyła ramionami. — Był typem europejskim i tyle. — A nie kaukaskim?

— Nie miał smagłej cery ani czarnych włosów... Naprawdę nie wiem, jak to panu wytłumaczyć.

— No proszę, Nadieżdo Andriejewno, doskonale pani pamięta, że nie był smagłym brunetem. Wie pani, w czym tkwi trudność? Pani założyła z góry, że nie pamięta nic, absolutnie nic, i tym samym zablokowała pani w sobie jak gdyby mechanizm przywoływania wspomnień. Jeśli człowiek jest pewien, że nie umie grać na skrzypcach, nie przyjdzie mu do głowy, by wziąć smyczek i spróbować coś zagrać, prawda? Nie umiem, powiada, i kropka. Dokładnie tak samo jest z panią. Uznała pani, że nic nie pamięta, a więc przypominanie sobie nie ma sensu. Tymczasem okazuje się, że to i owo pani pamięć jednak zarejestrowała.

Mimo że Docenko użył wszystkich swoich kunsztownych sposobów, portret gościa Gałaktionowa pozostał, niestety, mglisty i nieokreślony. Trudno byłoby zresztą oczekiwać, że na wpół przytomna kobieta dobrze zapamięta i potrafi opisać człowieka, którego widziała zaledwie przez parę sekund. Miszy udało się ustalić, że liczył on około czterdziestu pięciu — pięćdziesięciu lat, był średniego wzrostu, o włosach ciemnoblond ze śladami siwizny, wąsów i brody nie miał, okularów nie nosił, mówił bez akcentu. Praktycznie żadnych cech charakterystycznych, opis wyłącznie poprzez negację — „brak”, „nie nosił”, „bez akcentu”. I jak go teraz znaleźć w wielomilionowej Moskwie? A może wcale nie tu należy go szukać? Ech, co za beznadzieja...

## 4

„Jedna z czterech, jedna z czterech" — powtarzała sobie Nastia Kamieńska, rozłożywszy na stole cztery arkusiki z informacjami na temat czterech ukradzionych teczek z aktami. Złodziej zainteresowany był tylko jedną z nich, pozostałe miały stanowić jedynie zasłonę dymną. O którą chodziło mu naprawdę?

O sprawę dotyczącą usiłowania kradzieży dzinsów przez Dimę Krasnikowa? Nonsens. Nikt oprócz Dimy nie figuruje w aktach. Nie ma w nich zresztą i nie może być nic interesującego. Chociaż dane na temat usynowienia chłopca... Czyżby teczkę skradziono z ich powodu? Mogłoby to mieć sens, gdyby rodzice Dimy byli miliarderni, których warto szantażować, żądając ogromnego okupu. No i oczywiście nikt przy zdrowych zmysłach nie przekazałby tych informacji ot tak, lekką ręką, mechanikowi z serwisu samochodowego, w odpowiedzi na jego prośbę o pożyczkę. I jeszcze jedno: w takim wypadku inicjatorem kradzieży musiałby być śledczy Bakłanow, bo tylko on wiedział, iż w aktach sprawy znajdują się owe dane. Ale wtedy cała ta konstrukcja logiczna wydaje się zbyt skomplikowana. Po co kraść teczkę, skoro zawarte w niej informacje można uzyskać od śledczego? Ach, śledczy nie chce mówić? Ale przecież o tym, że jest w posiadaniu danych, powiedział? A więc znaczy, że tak czy owak, naruszył tajemnicę śledztwa. Ale w takim razie powi nien był dodać, że nauczycielskiej rodziny nie stać na duży okup. Dla szantażysty raczej marne widoki. Zwłaszcza że człowiek, który w rozmowie ze śledczym przejawiał zainteresowanie danymi z akt sprawy Dimy Krasnikowa i w ten

sposób się zdradził, nie mógłby liczyć na to, że nie będzie podejrzany, gdy kradzież się wyda.

Chuligański wybryk, połączony z obrazą moralności publicznej. Dla śledczego nic tu nie ma do roboty, sprawca został zatrzymany na miejscu zdarzenia, podobnie jak to było w przypadku Dimy, powiadomiono już jego zakład pracy, tak że kraść akta, żeby ukryć fakt swojej wpadki, nie miałyby sensu. O co jeszcze mogło chodzić? O uniknięcie odsiadki? I w tym wypadku kradzież nic by nie dała. W podobnych sprawach nie ma na ogół dokumentów, które istnieją tylko w jednym egzemplarzu lub których nie można by odtworzyć. Jest protokół sporządzony przez funkcjonariuszy służby patrolowej, są świadkowie.

Zabójstwo, a następnie samobójstwo sprawcy. Tu już doprawdy nie ma czego szukać. Mąż zabił w afekcie młodą i piękną żonę, został zatrzymany, a następnie na podstawie poręczenia z miejsca pracy (dosyć szacownej instytucji) i na wniosek prokuratora zwolniony do domu, gdzie nazajutrz się powiesił. Jedyna osoba, która mogłaby być zainteresowana kradzieżą akt, odebrała sobie życie. Co prawda, wszystko może okazać się nie takie proste, jeśli założyć, że to nie mąż zabił. Wówczas na zniknięciu teczki mogło zależeć prawdziwemu zabójcy. Jednak z drugiej strony, co by mu to dało? Obciążony niesprawiedliwie jego winą człowiek nie żyje, przestępstwo przypisano jemu, nie ma powodów do obaw. Napad na bank. Ta sprawa wygląda zupełnie inaczej: jest na razie nierozpracowana, sprawcy nie są znani, a więc co za sens kraść teczkę, skoro nie ma w niej właściwie żadnych materiałów? A jeśli jednak są? Nie można wykluczyć, że w aktach znalazła się jakaś niebezpieczna dla przestępców informacja, która mogłaby ich

zdemaskować, i oni o tym wiedzą, a śledczy jeszcze się nie zorientował. Ta sprawa wydaje się najbardziej obiecująca z punktu widzenia ewentualnych motywów kradzieży.

Nastia westchnęła, wyjęła dwie czyste kartki, na jednej napisała: „Napad. Wydusić ze śledczego wszystko, co pamięta z materiałów i informacji”, a na drugiej: „Zabójstwo i samobójstwo. Czy nie ma aby podstaw do podejrzeń, że zabójstwa dokonał nie ten, kto popełnił samobójstwo?” Następnie zadzwoniła do Olszańskiego.

— Konstantynie Michajłowiczu, tu Kamieńska, dzień dobry. — Dzień dobry, Kamieńska — usłyszała w odpowiedzi. — Co powiesz dobrego?

— Czy wszczął pan postępowanie przeciwko Bakłanowowi w sprawie jego zaniedbań w pełnieniu obowiązków służbowych i kradzieży teczek?

— A jakże. Jesteś żądna krwi?

— Nie, chciałabym tylko coś zasugerować. Mogę? — Wal — zgodził się wspaniałomyślnie Olszański.

— W pierwszej kolejności należy się skoncentrować na napadzie na bank. Niech pan wypyta Bakłanowa dokładnie o wszystko, co znajdowało się w teczce. Tak żeby sobie przypomniął jak najwięcej szczegółów.

— Rozumujesz słusznie — powiedział śledczy. — Myślisz, że ten tchórzliwy dureń mógł coś przeoczyć? — Właśnie.

— W porządku. Przyślij swojego czarnookiego, przesłuchamy Bakłanowa razem.

— Miszę Docenkę? Po co on panu?

— Pociągnie faceta za język, dobrze mu to wychodzi, a ja posiedzę w kącie i będę się uczył, jak to trzeba robić. — Żartuje pan sobie? — zapytała zirytowana Nastia. Nie znosiła takich kpinek, zwłaszcza jeśli nie rozumiała, co je wywołało. Misza rzeczywiście dobrze pracuje, po co drwić i natrzasać się z młodego chłopaka? Jeżeli zrobił coś nie tak, jak należy, trzeba mu to wytknąć, poprawić go, samemu dać przykład albo rozsądnie rzecz wyjaśnić, a nie urządzać sobie cyrk jego kosztem.

— Ani mi to w głowie — zapewnił zupełnie serio Konstantin Michajłowicz. — Dawniej wszystkie te psychologiczne fortele obmyślał za mnie Wołodźka Łarcew. Teraz jestem bez niego jak bez ręki. Muszę się sam uczyć grzebania w cudzej psychice. Ech, niedobra jesteś, Kamieńska. I źle mnie traktujesz. — Nic podobnego, Konstantinie Michajłowiczu, traktuję pana zupełnie normalnie. Nie ma pan powodu się skarżyć. A to, że jestem niedobra, to fakt, tylko akurat wobec pana wcale nie okazuję tej przykrej cechy mojego charakteru. — No pewnie! — Śledczy wybuchnął śmiechem. — Szkoda, żeś sama siebie nie słyszała, kiedy pytałaś, czy sobie żartuję! Myślałaś, że chciałem chłopakowi dokuczyć? W twoim głosie było tyle nienawiści, że chyba tylko głuchy by tego nie usłyszał. No dobrze, nie mam do ciebie żalu. Więc przyślesz mi Michaiła?

— Przyślę — obiecała sucho Nastia. Było jej trochę głupio. Wyprawivszy Miszę do prokuratury, schyliła się z wysiłkiem, włożyła buty i wsunęła do torby cały plik kartek z dla niej tylko zrozumiałymi zapiskami i znaczkami. Niech Olszański i Misza rozpatrzą sprawę napadu na bank, a ona pogłównkuje nad

zabójstwem. Może od funkcjonariuszy, którzy się nim zajmowali, dowie się czegoś ciekawego.



# ROZDZIAŁ IV

## 1

Lubił, kiedy żona wyjeżdżała w delegację. Oczywiście, ze wszystkich przedstawicieli rodzaju ludzkiego ona najmniej działała mu na nerwy, pewnie właśnie dlatego się z nią ożenił. Ale kiedy nie było jej obok, czuł się jeszcze lepiej. Sam w pustym mieszkaniu — czy może być coś lepszego? Chyba tylko samotność we własnym dużym domu, który stałby w głębi gęstego lasu. Tak. Nikogo nie widzieć. Nikogo nie słyszeć. Z nikim nie rozmawiać.

Dzieciństwo spędził w baraku, pośród pluskiew, karaluchów i myszy, zastarzałej, ohydnej woni niemytych ciał i przypalonego lub zjełczanego jedzenia, bez gorącej wody, z drewnianym wychodkiem na dworze. W ciasnej dziewięciometrowej izbie było ich pięcioro: staruszek dziadek, ojciec matki, rodzice, on i siostra. Męczyła go stale obecność zbyt wielu osób w najbliższym otoczeniu i niemożność spędzenia choćby paru chwil w samotności. Już wtedy ludzie zaczęli go drażnić.

Odkąd dorósł, dzielił ich na tych, których może jakoś ścierpieć, i tych, których obecności nie jest w stanie znieść. Tego, że można kogoś, na przykład, kochać, nawet się nie domyślał. Owszem, czytał o tym w książkach, to jasne, oglądał też filmy, ale miłość

rozpatrywał w kategoriach pewnego fenomenu twórczości artystycznej, nic ponadto. W końcu pisze się także o Bogu, o cudach, o kosmosie i o życiu na Marsie, i to bardzo interesująco, niekiedy czytał te rzeczy z prawdziwą przyjemnością. Miłość również zalicza się do tej grupy tematów. Ale co innego czytać, a co innego — budować na niej własne życie. Nie, podejmując konkretne życiowe decyzje, zupełnie nie brał pod uwagę miłości. Cóż to zresztą takiego? Jakieś głupoty. Wydumane historie. Można przecież po prostu żyć obok drugiego człowieka — i dobrze. Wystarczy.

Kiedy przyszła na świat córka, ani przez chwilę nie obudziły się w nim ciepłe ojcowskie uczucia. Małżeństwo powinno mieć dzieci i tyle. To słuszna i rozsądna zasada. Ale czy naprawdę człowiek musi z tego powodu wciąż się nad nimi rozczulać? Dzieci to tylko głośny płacz, nieprzespane noce, kłopoty, troski, zmartwienia, słowem — wszystko, co przeszkadza w normalnej, owocnej działalności pracownika naukowego. Za ledwie córka skończyła osiemnaście lat, z ulgą wypchnął ją za mąż, byleby tylko nie mieszkała z nim dłużej pod jednym dachem. I wreszcie odetchnął swobodniej. Córka nie grzeszyła zbyt dużą inteligencją, i jej obecność irytowała go, tak jak niektórych ludzi irytuje włączone stale radio. Niby nie przeszkadza, coś tam sobie szemrze po cichu, w ciągu długich lat człowiek w końcu przestaje zwracać na to uwagę, ale gdy odbiornik nagle zamilknie, uświadamia sobie, o ile lepiej jest żyć w ciszy.

Obserwacja znajomych małżeństw tylko utwierdzała go w przekonaniu, że miłość to mit, bajeczka dla głupców. Żadnej miłości nie ma, istnieje tylko po prostu wzajemna tolerancja. Wyboru dokonuje się nie według zasady „kto mi się bardziej podoba”, lecz „kto mniej działa mi na nerwy”. Ani razu nie zdradził swojej żony,

ale nie dlatego, że uważał to za nieuczciwe, lecz dlatego, że nie spotkał kobiety, która by mu odpowiadała. Wszystkie wydawały się ograniczone, prymitywne, zbyt gadatliwe i puste. Jedną tylko uważał za godną siebie. Żonę Griszy Wojtowicza.

Grisza przyszedł z nią na bankiet z okazji habilitacji jednego z wicedyrektorów ich instytutu. Każde słowo, wypowiedziane przez tę piękną, młodą kobietę, raczej milczącą, za to skorą do uśmiechu, zdradzało niepospolitą inteligencję i silny charakter. Bardzo mu się spodobała. Naprawdę bardzo.

Gdy tylko Wojtowicz wyjechał w delegację, by przeprowadzić zaplanowane badania, on zadzwonił do niej do domu. — Chciałbym się z panią spotkać — oznajmił bez długich wstępów.

— Po co? — spytała krótko. Nie wydawała się wcale zdziwiona jego telefonem, jakby nań czekała. I to go ośmieliło. — Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

— O czym? — znów zapytała rzeczowo Żenia Wojtowicz. — O mnie i o pani.

— Taka rozmowa nie ma sensu. Niech pan spróbuje to zrozumieć. — Co mam zrozumieć? — rozzłościł się nagle.

— To, że kocham swojego męża — wyjaśniła Żenia zwięźle i odłożyła słuchawkę.

Oślupiał. Czy ta kobieta jest ślepa? Niski, niezgrabny Grisza Wojtowicz w żadnym wypadku nie mógł równać się z nim, pewnym siebie naukowcem o wspaniałych perspektywach. Nie rozumiał, jak można tolerować obecność Griszy przy sobie dłużej niż dwadzieścia minut. I doszedł do wniosku, że Żenia po prostu prowadzi z nim

grę, żeby podbić swoją cenę. Nazajutrz zatelefonował do niej znowu.

— Niech pani przestanie udawać — powiedział. — Proszę wyznaczyć czas i miejsce spotkania.

Tym razem w jej głosie zabrzmiała nutka znużenia.

— Niech pan więcej nie dzwoni, nie chcę, żeby pan mnie znienawidził.

— Dlaczego miałbym panią znienawidzić? — zdziwił się. — Dlatego że i tak odmówię panu spotkania. Im uporczywiej będzie pan nalegał, tym bardziej poczuje się pan potem upokorzony. Niech więc pan oszczędzi sobie upokorzenia, a mnie — pańskiej natarczywości.

— Głupota nie może upokorzyć, bo jest po prostu głupotą — odparł chłodno. — Upokorzyć może jedynie zniewaga ze strony godnego przeciwnika. A pani odmowa to najzwyczajniejsza głupota. Co chce pani osiągnąć? Przecież nie zdziwiła się pani, kiedy zadzwoniłem, a to znaczy, że czekała pani na mój telefon, że jeszcze wtedy, w restauracji, na bankiecie, zrozumiała pani, że powinniśmy być razem.

— Nie. Wtedy, w restauracji, zrozumiałam, że to pan uznał, iż powinniśmy być razem. Pan. A nie ja. Żegnam pana. Więcej do niej nie zadzwonił.

W sobotę rano zatelefonował do Nasti ojczym i ostatecznie popsuł jej nastrój.

— Dziecino, telefonowała mama, ma do ciebie prośbę.

Matka Nasti, profesor Kamieńska, była znanym naukowcem, opracowującym programy komputerowe do nauki języków obcych. Już od ponad trzech lat mieszkała za granicą, podpisawszy kontrakt z jednym z największych uniwersytetów w Szwecji. Do domu przyjeżdżała dwa razy w roku, na urlop, i chyba nie bardzo tęskniła za mężem i córką. Jakiś czas Nastia ogromnie się tym przejmowała, podejrzewając, że i ojczym, i matka znaleźli sobie innych partnerów; wydawało jej się, że rodzina się rozpada. Potem Leonid Pietrowicz, który od wczesnego dzieciństwa zastępował Nasti ojca i którego ona nazywała tatusiem, wyjaśnił córce, że wieloletnia przyjaźń cementuje rodzinę o wiele silniej niż nowe fascynacje i seks, a ponieważ on i mama przeżyli blisko trzydzieści lat w zgodzie i przyjaźni, to ani jej romans, ani jego niczego nie mogą zmienić. Nawet jeśli mama zechce się z nim rozwieść i wyjść za mąż za swojego szwedzkiego przyjaciela, to wszyscy — Nastia, mama i on sam — pozostaną najbliższymi sobie ludźmi, których bardzo wiele wiąże i którzy mają dla siebie mnóstwo czułości, zrozumienia i ciepła. Argumenty ojczyma przemówiły Nasti do przekonania, zwłaszcza kiedy poznała przyjaciółkę Leonida Pietrowicza, a później partnera matki. Rok temu przebywała przez pewien czas służbowo w Rzymie; mama przyjechała tam, żeby się z nią zobaczyć, zabrawszy dla towarzystwa swego przyjaciela. Tak, ludzie powinni być ze sobą, jeśli jest im razem dobrze, a nikt inny z tego powodu nie cierpi.

— Jutro rano przylatuje do Moskwy mamy kolega — mówił Leonid Pietrowicz — a ona prosi, żebyś wyjechała po niego na Szeremietiewo, odwiozła go do hotelu i udzieliła mu paru wskazówek, jak ma się poruszać po mieście. Pokaż temu cudzoziemcowi, gdzie można coś zjeść, zrobić podstawowe zakupy, wytłumacz, że wiele rzeczy może go zaskoczyć, ale takie już u nas panują porządki.

— Czyżby nie przyjeżdżał do Moskwy jako oficjalny gość którejś z instytucji lub uczelni? — zdziwiła się Nastia. — Jest po prostu indywidualnym turystą?

— Nie, został zaproszony na sympozjum, ale pozostali uczestnicy zjadą dopiero w środę, i od środy ktoś się nimi oczywiście zajmie. Ten pan jednak specjalnie chce przyjechać wcześniej, na własny koszt, bo interesuje go Rosja, ciekaw jest, jak się u nas żyje. Twoja pomoc będzie potrzebna tylko jutro, później już sam pochodzi sobie po mieście i obejrzy, co zechce.

— Ale jak mam go rozpoznać? — spytała niezadowolona Nastia. — Czy mama przysłała jego kolorowy portret naturalnej wielkości? A może powinnam zawiesić sobie na szyi tabliczkę z wypisanym wołami imieniem i nazwiskiem? — Nie złość się, dziecino, mama nie tak często zwraca się do nas z podobnymi prośbami — przypomniał z lekkim wyrzutem Leonid Pietrowicz. — Dała swojemu koledze twój telefon, on wieczorem zadzwoni i wszystko omówicie. Przyjedź jutro rano, weźmiesz mój samochód.

— Wiesz co, może lepiej ty po niego wyjdiesz, co? — nieśmiało zasugerowała Nastia. — Przynajmniej nie będziesz się niepokoił, że rozwalę wóz.

— A jak się z nim porozumiem, możesz mi powiedzieć? Na migi? Matka wychowała poliglotkę, a ty teraz tak jej odpłacasz za wszystkie trudy i starania.

— No dobrze — zgodziła się zrezygnowana Nastia. — Co zrobić, skoro mama już wszystko z góry zaplanowała. Tatuśku, mam dla ciebie nowinę, tylko nie spadnij z krzesła. — Poczekaj, usiądę wygodniej. No już, mów. — Postanowiłam wyjść za Czistiakowa.

— Chwała Bogu! — odparł uradowany Leonid Pietrowicz. — Wreszcie zaczynasz nabierać rozumu. Serdecznie gratuluję. — Komu, mnie? — Czistiakowowi. Ile lat czekał? Dwanaście?

— Czternaście. Tatuśku, jeśli zaczniesz mi prawić kazania, rozmyślę się.

— Szantażystka! Mała, obrzydliwa szantażystka. — Leonid Pietrowicz roześmiał się. — Kiedy ślub?

— Jeszcze nie wiem. Najważniejsze to podjąć decyzję, reszta — to już detale.

— Ładne mi detale! — oburzył się ojczym. — A mama? Przecież będzie chciała przyjechać, trzeba ją w porę uprzedzić, musi zarezerwować bilety i tak dalej.

— No... Chcemy się pobrać na wiosnę. Może w maju... — Dobrze, dziecino, ustal, co trzeba, i zawiadom mamę. Zuch z ciebie, że w końcu się zdecydowałaś.

Wieczorem, zgodnie z zapowiedzią, rozległ się dzwonek telefonu.

— Czy mogę mówić z mademoiselle Anastazją? — spytał rozmówca po francusku.

— To ja — powiedziała Nastia. — Czekałam na pański telefon.

— Woli pani mówić po francusku czy po hiszpańsku? — poinformował się uprzejmie znajomy profesor Kamińskiej. — Jeśli to panu nie robi różnicy, wolę po francusku. O której ląduje pański samolot?

— Rano, o dziewiątej pięćdziesiąt. Rejs z Madrytu. Jak panią poznam?

— Ja... Jak by to panu powiedzieć... — zmieszła się Nastia. — Jestem wysoką blondynką...

Już miała dodać, że przyjdzie w dżinsach i kurtce, i nagle pomyślała, że będzie ją bardzo trudno rozpoznać według tych wskazówek. Czy w ogóle można z tłumu oczekujących wyłuskać nieznaną kobietę bez jednej choćby wyraźnej cechy charakterystycznej? Twarz? Nijaka. Zwyczajna. Oczy? Niemal pozbawione koloru. Włosy? Mdły blond. Kurtka? Chodzi w takich pół Moskwy. Brzydula? Nie, przeciętnej urody. Piękność? Na pewno nie.

— Halo! Anastazjo! Jest pani tam? — odezwał się głos w słuchawce.

— Tak, tak — powiedziała szybko. — Jasna blondynka, długie falujące włosy, brązowe oczy, krótkie jaskrawozielone futerko i czerwony szal. Znajdzie mnie pan?

— Blondynkę z brązowymi oczami znajdę w tłumie nawet po ciemku — zapewnił z galanterią. — Jestem gotów biec przed samolotem, byle tylko panią spotkać.

„W dodatku żartowniś — z rozdrażnieniem skostatowała Nastia. — Mało, że stracę przez niego cały dzień, który mogłabym poświęcić na pracę, to jeszcze będę musiała znosić jego przesadną



elokwencję i śmiać się z jego dowcipów, żeby mnie nie wziął za osobę nieokrzesaną".

Zreflektowała się nagle, że nie pomyślała o tym, jak dojedzie jutro rano na Szeremietiewo. Żeby zdążyć na lotnisko na dziewiątą pięćdziesiąt, będzie musiała wstać o wpół do siódmej, a o wpół do ósmej wyjść z domu. Oto przyjemny niedzielny poranek, nie ma co!

Skrzywiła się, zła i zirytowana. Wczesne wstawanie zawsze było dla niej prawdziwą udręką, musiała całą siłą woli pokonywać przemożną senność. Długi prysznic w połączeniu z gimnastyką umysłu w rodzaju mnożenia trzycyfrowych liczb i przypominania sobie różnych słów w obcych językach, potem lodowaty sok pomarańczowy, a następnie dwie filiżanki mocnej kawy i papieros — dopiero po tym wszystkim Anastazja była w stanie iść do pracy. Jeśli zaś miała dzień wolny, spała zwykle do jedenastej. Mimo to jednak nie można było Nasti nazwać śpiochem — zasypiała z trudem i często udawało jej się to dopiero po zażyciu tabletki nasennej. Po prostu organizm Anastazji z natury nastawiony był na funkcjonowanie w drugiej połowie doby, w pierwszej zaś domagał się odpoczynku.

Żeby wyglądać zgodnie z podanym telefonicznie opisem, Nastia musiała zrobić co najmniej trzy rzeczy. Po pierwsze, przyszyć do zielonego futerka sprzączki, które oderwały się w zeszłym roku. Należało też sobie przypomnieć, gdzie wetknęła owe sprzączki. Po drugie, przekopać szafę i znaleźć czerwony jedwabny szalik, który dał jej kiedyś w prezencie Loszka i którego ani razu nie miała na sobie. Po trzecie, ufarbować włosy specjalnym, łatwym do zmycia szamponem koloryzującym i nawinąć je na wałki. Barwione soczewki kontaktowe założyć jutro rano, przed wyjściem z domu.

Tylko dlaczego musi tracić czas na takie głupstwa zamiast usiąść przy komputerze i zająć się pracą!

Z ciężkim króliczym futerkiem na kolanach, starannie przyszywając do niego paseczki skóry ze sprzączkami, Nastia rozmyślała nad tym, czego udało jej się dowiedzieć o samobójstwie Grigorija Wojtowicza.

Milicję wezwała jego matka, która weszła do domu i ujrzała przerażający widok — jej syn Grigorij siedział, pogrążony w odrętwieniu na krześle, na podłodze zaś leżało okrwawione ciało synowej, Jewgienii Wojtowicz. Obok — nóż myśliwski, który zwykle wisiał w pochewce na ścianie. Grigorij nie polował, nóż dostał w prezencie w jednym z syberyjskich miasteczek akademickich, gdzie występował jako recenzent na obronie pracy doktorskiej.

Wojtowicza zabrano z mieszkania i od razu osadzono w celi. Podczas przesłuchań z początku tylko z niedowierzaniem kręcił głową i powtarzał:

— Czyżbym ja to zrobił? To niemożliwe. Nie potrafiłbym. Nie mogłem zabić Żeni, przecież ją kochałem!

Po upływie doby zaczął zeznawać nieco składniej i powiedział, że zabił żonę nożem myśliwskim w trakcie kłótni. Kajał się głęboko i szczerze, obwinał się, był przerażony tym, co się stało, i w końcu wpadł w depresję. Tymczasem do śledczego wpłynęło pismo od kierownictwa instytutu, gdzie Wojtowicz pracował od wielu lat, z prośbą, by zwolnić go i zastosować inne środki prewencyjne. Bakłanow tylko sarkał z niezadowoleniem: gdzież to widziano, żeby zabójcę ujętego na gorącym uczynku wypuszczać na wolność bez

nadzoru milicyjnego! Tego samego dnia jednak zadzwonił prokurator rejonowy i poinformował Bakłanowa, że z prokuratury miejskiej był sygnał w tej sprawie, przy czym ci z miejskiej powoływali się na przejrzyste aluzje ze strony prokuratury generalnej. U podstaw tych nacisków leżał fakt, że Wojtowicz był jednym z autorów niezwykle ważnego i tajnego projektu o znaczeniu obronnym; prace nad jego wdrożeniem właśnie dobiegają końca, ale bez Wojtowicza, genialnego wręcz pomysłodawcy, nie można ich będzie ostatecznie sfinalizować. Potrzeba jeszcze dwóch, trzech tygodni na przeprowadzenie koniecznych prób, a potem — proszę bardzo, zamykajcie Grigorija Iljicza z powrotem w celi. Kierownictwo instytutu nie nalega również na to, by Wojtowicz przychodził do pracy. Pracować może równie dobrze w domu, wydając wszystkie niezbędne dyspozycje telefonicznie, a więc chodzi jedynie o to, by zamienić celę na coś w rodzaju aresztu domowego.

Śledczy Bakłanow uznał, że w takiej sytuacji nie warto się upierać. Nigdy nie był szczególnie pryncypialny i nie bronił zbyt gorliwie przed zwierzchnictwem swego punktu widzenia. Opinia przełożonych była dla niego o wiele ważniejsza niż własne zdanie w jakiegokolwiek sprawie. Nie minęły trzy godziny, jak Wojtowicza zwolniono. A parę dni później powiesił się, zostawiając niezrozumiałą notatkę na temat winy i kary.

Skrętnie wyławiając i układając w całość fragmenty tego, co zapamiętali w związku ze sprawą funkcjonariusze milicji i śledczy, Nastia zwróciła uwagę na pewien szczegół. Wojtowicz nie był psychicznie chory, w ciągu krótkiego czasu dwa razy badał go lekarz, ale nie stwierdził najmniejszych choćby odchyień od normy.

Zatrzymany jednak tuż po dokonaniu przestępstwa zupełnie nie pamiętał, dlaczego zabił żonę; wspomnienia wracały stopniowo, w miarę upływu czasu obraz tego, co się zdarzyło, stawał się coraz wyrazistszy. Dla zabójstwa w afekcie taka reakcja nie jest typowa. Człowiek nieświadomy swego czynu później również niewiele pamięta, nie przypomina sobie żadnych szczegółów. Pozostaje coś w rodzaju czarnej dziury. Przypadek Wojtowicza nie mieścił się w obrazie klinicznym, medycyna nie poświadczała takiej reakcji w podobnych okolicznościach. Nasuwała się natomiast przerażająca myśl, że człowiek ten nie był sprawcą przestępstwa, ale później ktoś zrelacjonował mu dokładnie rzekomy przebieg wydarzeń, a on w dobrej wierze powtórzył śledczemu to, co usłyszał. Ale dlaczego? Po co brać na siebie cudzą winę? Jeśli jednak tak było, to kto mógł opowiedzieć to wszystko Wojtowiczowi w celi? Ciekawe, co też samobójca napisał w przedśmiertnej notatce... Szkoda, że dokument przepadł wraz z aktami sprawy.

Sprzączki zostały w końcu przyszyte, i Nastia niechętnie rozpoczęła poszukiwania czerwonego jedwabnego szalika. Grzebiąc w szafie, odkryła całe mnóstwo potrzebnych rzeczy, które uważała za dawno zgubione czy wyrzucone, albo o których istnieniu zapomniała nazajutrz po ich kupieniu. Okazało się, na przykład, że ma co najmniej pięć par nowych rajstop, dwa komplety chińskich chusteczek do nosa, wspaniałe ciepłe legginsy, które już dawno zamierzała znaleźć — były niezastąpione, kiedy w mieszkaniu robiło się zimno. Odkryła także kupione przed dwoma laty ciepłe domowe pantofle na futerku, których nawet nie wyjęła z plastikowego opakowania. Przypomniała sobie teraz, że kupiła te kaptcie latem i włożyła do walizki, by je wyjąć przed zimą. Na tym jednak biografia

wspaniałych, kosmatych, liliowych papuci niesławnie się zakończyła. Z tego znaleziska Nastia ucieszyła się najbardziej, gdyż stale marzła, a w mieszkaniu wciąż było chłodno. Szalik w końcu także odszukała. Pozostawało jeszcze zająć się włosami, a później z czystym sumieniem mogła już położyć się spać.

### 3

Rejs z Madrytu opóźniony był o czterdzieści pięć minut. Nastia snuła się jakiś czas po lotnisku, potem znudziło ją czekanie i zadzwoniła do Jury Korotkowa.

— Aśka! — ucieszył się. — Gdzieś ty przepadła tak z samego rana? Dzwonię o ósmej, a ciebie nie ma w domu. Chciałem zadzwonić jeszcze wczoraj wieczorem, ale późno wróciłem, bałem się, że cię obudzę. — A co, są jakieś nowiny?

— Zależy, jak na to spojrzeć. Wiesz, kto był tym chuliganem, którego akta ukradziono Bakłanowowi?

— Nie. To znaczy znam jego nazwisko, ale nic mi ono nie mówi. A kto to jest? — Konsultant od image'u Władimira Tarsukowa.

— Coś ty?! Samego Tarsukowa?!

— No przecież mówię! Nie wiem, jaką wiadomość ten idiota Bakłanow przekazał do kancelarii prezydenta, ale podejrzewam, że w ogóle tego zaniechał. Za cienki jest, żeby się na coś takiego odważyć. Ale jeżeli to zrobił, to myślę, że sam Władimir Ignatjewicz

zadbał, żeby nikomu oprócz niego samego notatka nie wpadła w ręce. Wyobrażasz sobie, jaki by wybuchł skandal, gdyby wyszło na jaw, że Tarsukow, chluba i ozdoba rosyjskiej polityki ekonomicznej, kształtuje swój publiczny wizerunek, konsultując się z pospolitym chuliganem? Bożyszczce wszystkich gospodyń domowych nagle tak paskudnie skompromitowane!

— Cóż, Juroczka, zaskoczyłeś mnie — przyznała Nastia, ciesząc się w duchu, że będzie miała nad czym łamać sobie głowę, dopóki nie wyląduje w Moskwie wspaniała latająca maszyna z madryckim żartowniszem na pokładzie. — Masz jakieś plany na dzisiaj? — zapytał Korotkow.

— Nic konkretnego. Jestem teraz na Szeremietiewie, czekam na jakiegoś kolegę mamy z Madrytu, potem muszę go zawieźć do hotelu, a dalej — to już zależy od decyzji obu wysokich stron. A co, masz jakieś propozycje? — Spotkajmy się na WDNCh\* — zaproponował Korotkow. — Przywieź tam swojego ognistego Hiszpana, niech sobie obejrzy występy ludowych zespołów pieśni i tańca, a my przez ten czas obgadamy to i owo.

Nastia zrozumiała, że u Jury w domu wybuchła kolejna awantura i Korotkow szuka tylko pretekstu, żeby się ulotnić.

Zwykle w takich wypadkach jechał do pracy. Pewnie i teraz ma zamiar to zrobić.

— Wybierasz się na Pietrowkę, tak? — zapytała Nastia. — Domyśliłaś się? — odparł ponuro. — A gdzież by indziej? Jasne, że na Pietrowkę.

— No dobrze, to spotkajmy się o czwartej koło tego pawilonu, gdzie latem jedliśmy szaszłyki. Pamiętasz? — Pamiętam — zapewnił

uradowany Korotkow. — Dzięki ci, Aśka, zawsze można na ciebie liczyć. Spróbuję zadzwonić do Lusi, może jej też uda się wyrwać. Będzie zabawiać twojego Hiszpana, a my sobie pogadamy na boku. Ostatnie pół godziny przed przylotem Nastia spędziła w samochodzie. Opuściła szybę, umościła się wygodnie w fotelu, zapaliła papierosa i przymknęła oczy. Trzy sprawy. Trzy sprawy. Która z nich? Ta o chuligaństwo oczywiście przedstawia się teraz zupełnie inaczej. Tylko o nią mogło złodziejowi chodzić. W obecnej sytuacji politycznej rzeczywiście wszystko w tej sprawie należało postawić na jedną kartę — opłacało się podjąć ryzyko kradzieży. Wojna w Czeczenii wpłynęła na układ sił w kręgach władzy, Tarsukow był człowiekiem prezydenta, i każdy kamyk, rzucony w jego ogródek, mógł się zamienić w bombę zagrażającą praworzędnie wybranemu przywódcy. Na teczce z materiałami rzucającymi cień na jedną z osobistości stojących najbliżej prezydenta w równym stopniu mogło zależeć samemu Tarsukowowi, jak i jego przeciwnikom politycznym. Jemu — żeby ukryć prawdę, im — żeby ją odsłonić. I w jednym, i w drugim przypadku kradzież wydawała się skutecznym sposobem na rozwiązanie problemu. Chociaż — jeśli chodzi o Tarsukowa — byłoby chyba prościej posłużyć się starymi, wypróbowanymi środkami nacisku: telefonami i pieniędzmi. Dopiero jeśli te zawiodą — zdecydować się na kradzież. Pod jednym wszakże warunkiem: trzeba było dobrze znać charakter śledczego Bakłanowa i mieć pewność, że nie podniesie szumu wokół skradzionych teczek. A więc — wiedzieć, że Oleg Nikołajewicz Bakłanow to głupiec i tchórz. Zresztą to akurat stało się już dawno tajemnicą poliszynela. Ten, kto zdecydował się na kradzież, musiał być niezłym psychologiem i trafnie przewidział reakcję Bakłanowa.

A może dogadał się z nim i wcisnął mu olbrzymią łapówkę w charakterze rekompensaty za nieprzyjemności w pracy? No bo nieprzyjemności były. Sprawa o zaniechanie obowiązków służbowych — to nie jakieś tam upomnienie czy nagana! Oczywiście, Bakłanow siedzieć nie pójdzie, ale nieźle dadzą mu popalić. Nie, jakoś to wszystko nie trzyma się kupy.

Jeżeli jednak założyć, że kradzież jest dziełem przeciwników Tarsukowa, to szum, który mógłby podnieść wokół niej śledczy, wcale by im nie przeszkadzał, grunt, żeby sprawy nie schowano pod sukno — oni muszą mieć w ręku oryginały protokołów, gdzie opisano, jak nieprzyzwoicie, ordynarnie zachował się obywatel Swiridow, jakich wulgarnych, niecenzuralnych słów używał, jak załatwiał naturalne potrzeby na oczach zbulwersowanych świadków zajścia i komentował te czynności, twierdząc, że manifestuje w ten sposób swój stosunek do programu politycznego jednej z frakcji parlamentarnych. Taki dokument mógłby być istotnie łakomym kąskiem. Wyjaśnienia złożone przez Swiridowa po wytrzeźwieniu, o ile śledczy sobie przypominał, odznaczały się niezwykłą wyrazistością i niespotykaną w kręgach elit prostolinijnością; zawierały kontroskarżenia pod adresem wielu znanych polityków i chociaż nie świadczyły o wysokim poziomie intelektualnym twórcy image'u Władimira Ignatjewicza Tarsukowa, to jednak dla niektórych mogły być interesujące, a dla innych wręcz niebezpieczne. Gdyby nie było wiadomo, kim jest Swiridow, można by jego wypowiedzi zawarte w protokole traktować jako płód rozpalonej wyobraźni człowieka, który na tle swego zaangażowania politycznego zwyczajnie zbzikował. Takich typów jest teraz zatrzęsienie. Właśnie dlategoteczka sprawy o chuligański wybryk



wydała się Nasti z początku jako obiekt kradzieży absolutnie bezwartościowa. Jeśli jednak przyjąć, że wszystko, co wiedzą, się potwierdzi, wtedy rzecz wygląda zupełnie inaczej. Sprawa wykroczenia, którego dopuścił się obywatel Swiridow, była prosta i banalna, ale zarazem bardzo atrakcyjna dla osób zainteresowanych. Akta dotyczące samobójstwa Wojtowicza natomiast nie mogły zainteresować absolutnie nikogo, nikt więc nie ryzykowałby ich kradzieży. Jednak Nasti coś się w tej sprawie zdecydowanie nie podobało. No i pozostawała jeszcze trzecia sprawa — napad na bank. Miejmy nadzieję, że Korotkow dowiedział się o niej wystarczająco dużo, by można było wyciągnąć jakieś wnioski. Nastia spojrzała na zegarek i niechętnie wysiadła z samochodu. Już czas wrócić do sali przylotów.

## 4

Przyjaciółka Jury Korotkowa, Lusja, czyli major milicji Ludmiła Siemionowa, była starszym pracownikiem naukowym w jednym z instytutów naukowo-badawczych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a dawniej — śledczym. Jura poznał ją dwa i pół roku temu podczas dochodzenia w sprawie zabójstwa Iriny Fiłatowej, koleżanki i przyjaciółki Lusi. Od owego czasu kochliwy Korotkow pohamował swoje romansowe zapędy i cierpliwie czekał, aż dorosną dzieci — i jego, i Lusi — by oboje mogli się rozwieść i zawrzeć nowy związek. Choć to dziwne, Jurze udało się wyciągnąć

Lusię na niedzielny spacer po terenach wystawowych, które wciąż nazywano po staremu WDNCh.

Szli powoli, trzymając się za ręce, przez rozległy obszar kompleksu i rozkoszowali się tak rzadką ostatnimi czasy okazją do spędzenia czasu tylko we dwoje i spokojnej rozmowy. Ta jednak wciąż ze spraw osobistych schodziła na służbowe.

— Czy kiedy pracowałaś jako śledczy, bardzo przestrzegano terminów zamknięcia spraw? — zapytał Korotkow, rozpakowując lody i odgryzając mocnymi zębami solidny kawałek porcji.

— Jeszcze jak! Ledwie minęły dwa miesiące, już musieliśmy biec do prokuratora, żeby przedłużył termin, ani o jeden dzień nie wolno było się spóźnić. Jeśli ktoś występował o powtórne przedłużenie, prokurator zapoznawał się z aktami, po czym wygłaszał reprimendę w tym duchu: pan czy pani cztery miesiące nawet nie kiwnęła palcem, nie zgromadziła żadnych materiałów, zmarnowała tyle czasu, a teraz pani chce, żeby przedłużył termin? I tak dalej w tym stylu. Ale dlaczego pytasz? Sam przecież świetnie o tym wiesz. — Lusi, a czy może się tak zdarzyć, żeby sprawa leżała u śledczego miesiącami bez żadnego przesuwania terminu? — Teraz wszystko jest możliwe. W wydziale śledczym panuje taki bałagan, że trudno sobie wyobrazić. Nikogo nic nie obchodzi. Nikt niczego nie sprawdza i nikogo nie kontroluje. Wszystko załatwia się na słowo honoru albo i w ogóle bez niego. No, ale nie powiedziałaś mi, skąd to nagłe zainteresowanie sprawą wstępnego śledztwa.

— Wiesz, Lusieńko, chodzi o to, że śledczemu ukradziono cztery teczki z aktami, a on milczał, no wiesz, nabrał wody w usta. Póki nie został przyparty do muru, nawet słowem się o tym nie zająknął.

Dlatego chciałbym się zorientować, jak coś takiego w ogóle jest możliwe.

— To przecież proste, drogi Watsonie — zażartowała Ludmiła. — Komu mogą być potrzebne akta sprawy? Prokuratorowi i samemu śledczemu. Nikt więcej nie ma prawa żądać, by mu je okazano. Zgadza się? — Owszem — przytaknął Korotkow.

— Prokurator nie zwraca się o nie do śledczego, bo mu to wisi. Śledczy zaś przed pracownikami operacyjnymi udaje, że wszystko jest w porządku, zleca im kolejne zadania, sam natomiast po cichu zakłada nową teczkę, odtwarza protokoły z pamięci, potem wzywa pod jakimkolwiek pretekstem najważniejszych świadków i uszkodzowanego, powtórnie ich przesłuchuje, wreszcie podrabia podpisy — i oto cała historia. Jeżeli w teczce były fotografie z miejsca przestępstwa, to przecież technicy mają negatywy, można pod byle pozorem poprosić ich o dodatkowe odbitki, powiedzieć, na przykład, że są potrzebne do eksperymentu śledczego, że tamte, pierwsze, zostały wklejone do akt sprawy, teczka jest ciężka, trzeba by ją całą dźwigać ze sobą. Oczywiście, istnieją dokumenty, których nie da się odtworzyć, ale zapewniam cię, Jura, że doświadczony śledczy do zaginięcia prawie każdego papierka potrafi dorobić taką legendę, że bez trudu skombinuje duplikat. Zresztą teraz legendy nie są nawet specjalnie potrzebne, powtarzam ci jeszcze raz, że nikogo nic nie obchodzi i nikt niczego nie kontroluje. A już jeżeli przestępstwo zostało wykryte i operacyjni nie kręcą się wokół sprawy, to można po prostu o niej zapomnieć jak o wczorajszym śnie. Co to za sprawy, których akta skradziono?

— Usiłowanie kradzieży dzinsów ze sklepu, chuligański wybryk, zabójstwo, a potem samobójstwo sprawcy oraz napad. Chyba masz

rację, staruszko...

— Oczywiście, że mam! — przerwała mu Ludmiła. — W usiłowaniu kradzieży faktycznie nie ma poszkodowanego, do zaboru mienia nie doszło, kto będzie naciskał na śledczego, żeby winny został ukarany? Nikt. Czy przy chuligańskim wybryku był poszkodowany? — Nie. Nikomu nie obili gęby.

— A widzisz. Sprawca jest, poszkodowanego brak, nie ma kto się skarżyć. Chuligan, sam rozumiesz, też nie poleci do śledczego z krzykiem: „No już, ukarście mnie, na co czekacie!” Po samobójstwie sprawa o zabójstwo zostaje umorzona z powodu śmierci sprawcy. Pozostaje napad. Co tu mamy? — Prawie nic. Sprawa jest zupełnie świeża, sprzed trzech dni. Detektywi pracują pełną parą.

— No właśnie, a śledczy efekty swoich trzydniowych wysiłków zdołał bez trudu odtworzyć i teraz śpi spokojnie. Korotkow, skończ już jeść te lody, bo zimno się robi od samego patrzenia na ciebie. Jura spojrzął na zegarek.

— Pora na obiad, nie uważasz? Kiszki mi już marsza grają. Chodź, zafundujemy sobie po szaszłyku.

Zbliżali się do miejsca, gdzie Jura i Nastia jedli latem smaczne, soczyste szaszłyki. Jednakże teraz, zamiast szaszłykarni, ujrzeli przyjemne pawiloniki, a szyldy na nich informowały zwiedzających teren wystawy, że znajduje się tu indyjska restauracja. — Zaryzykujemy? — spytał Korotkow.

— Trochę strach — odparła Lusia z powątpiewaniem. — A jeżeli to się okaże niejadalne?

— Może jednak warto spróbować — nalegał Jura. — Chodźmy.

Weszli do środka i zajęli miejsce przy stoliku. Po chwili zjawił się smagły Hindus z menu.

— Serdecznie witamy — powiedział z wyraźnym wysiłkiem po rosyjsku. — Co państwo zamawiają?

Wybór okazał się trudny, ponieważ nazwy dań brzmiały nieznamo i nie dawały odpowiedzi na zasadnicze pytanie: z czego potrawa została przyrządzona. W końcu zdecydowali się na przystawkę zwaną spring rolls i kurczaka z pomarańczami.

Jura zauważył, że Ludmiła, rozmawiając z nim, jakoś dziwnie spogląda przez ramię.

— O co chodzi? — zapytał, przechwytyjąc jej spojrzenie. — Za tobą siedzi przy stoliku para. Wydaje mi się, że kobietę skądś znam, zresztą nie wiem, może tylko kogoś mi przypomina. — Jak wygląda? — Korotkow nie odwrócił głowy.

— Blondynka w zielonym futerku. Chyba Francuzka.

— To nasza Aśka — rzekł Jura, odkrawając kawałek chrupiącego krokiecika z farszem warzywnym i podnosząc go do ust.

— Ale mówi po francusku — zauważyła zdziwiona Lusja. — A, zabawia jakiegoś Hiszpana — wyjaśnił z niezmaconym spokojem Jura, starannie przeżuując spring rollsa. — Korotkow, robisz mi wodę z mózgu? Ta blondynka to Kamieńska? Rozmawia po francusku z Hiszpanem? — Przyjrzyj się uważniej — doradził Jura i upił z plastikowego kubeczka duży łyk koktajlu bananowego. Ludmiła zamilkła, co chwila zerkając dyskretnie na siedzącą przy sąsiednim stoliku kobietę i jej towarzysza. Potem popatrzyła na Jurę.

— Korotkow, ty nikczemny, amoralny, kłamliwy draniu! Umówiłeś się z nią tutaj? To spotkanie służbowe? Więc po jakiego diabła wyciągnąłeś mnie z domu? Mam służyć jako przykrywka? Jura zakrzuszył się i rozkaszał.

— Oj, Luśka... A niechże cię! Nie można zasypywać człowieka tyloma pytaniami naraz. Chcesz, żebym się zadławił i umarł? Tak, umówiłem się z nią tutaj. I pomyślałem, że skoro już mam okazję urwać się w niedzielę z rodzinnego domu, to byłbym skończonym idiotą, gdybym nie spróbował się z tobą zobaczyć. Przypomnij sobie, gdzie i jak się spotykamy. Na pół godziny, na czterdzieści minut, w pożyczonej chacie, wszystko w przelocie, w biegu. A rozmawiamy tylko przez telefon, bo kiedy się widzimy, na rozmowy nie ma czasu. Lusi, nie jestem maniakiem seksualnym, chciałbym z tobą pogadać, popatrzeć ci w oczy, nacieszyć się twoją urodą, potrzymać cię za rękę. Co, tak trudno ci to zrozumieć? Jesteś o to na mnie zła?

— Przepraszam. — Ludmiła uśmiechnęła się pojednawczo.

— Ale byłoby lepiej, gdybyś powiedział mi to wszystko wcześniej.

— Dlaczego?

— Przecież prawie wyznałeś mi miłość, w ciągu tych dwóch i pół roku nigdy nic takiego mi nie mówiłeś. Wiesz, jak to miło słyszeć? Po takich słowach przez całe trzy godziny miałabym wspaniałą nastrój.

— Uważasz, że wyznania miłosne naprawdę są konieczne? — Naprawdę.

— Ależ Lusi, i tak przecież jesteśmy razem, cóż słowa mogą tu zmienić?

— Głupi jesteś, Korotkow — powiedziała Lusia bez złości i roześmiała się. — I co teraz robimy? Czekamy, aż ona nas zauważy, czy podchodzimy pierwsi?

— Właściwie wolałbym, żebyś to ty ją rozpoznała. Ja przecież siedzę do niej tyłem, nie widzę jej. Sam nie wiem, jak będzie lepiej. Może rzeczywiście poczekać, aż nas zauważy? — W takim razie będziemy tu siedzieć do jutra — z całym przekonaniem oznajmiła Lusia. — Ona nawet nie patrzy w naszą stronę, tak jest zajęta swoim Hiszpanem. Czyżby się zakochała?

— Nie. — Korotkow przecząco pokręcił głową. — Zdecydowała się wyjść za Czistiakowa.

— Coś podobnego! Świat chyba stanął na głowie. Wobec tego ruszajmy w imię Boże!

Nie minęło parę minut, jak wszyscy czworo siedzieli już przy jednym stoliku i rozmawiali z ożywieniem. Ludmiła zręcznie ściągała uwagę cudzoziemskiego gościa na siebie, zasypując go pytaniami i z zapalem komentując jego odpowiedzi. W końcu Hiszpan zajął się bez reszty nową znajomą; w rozmowie z nią posługiwał się słabą angielszczyzną, za to bez pomocy Nasti jako tłumacza.

— Mów — powiedziała ściszym głosem Anastazja do Korotkowa, upewniwszy się, że gość zaprzątnięty jest pogawędką z Lusią i nie będzie się czuł zaniedbany towarzysko. — O chuliganie Swiridowie już ci opowiedziałem. Jeśli chodzi o napad na bank, nic właściwie nie wiadomo. W aktach były zeznania świadków, ale rysopisu sprawców nie ustalono — wszyscy mieli na twarzach maski. Z miejsca zajścia zebrano trochę materiału, ale wszystkie

próbki i dowody rzeczowe w chwili kradzieży znajdowały się w laboratorium, bo przygotowywano tam ekspertyzę. Nic w niej nie było.

— Wiesz, czego nie mogę zrozumieć? — spytała w zamyśleniu Nastia. — Sprawa o napad jest świeża, w chwili kradzieży teczki upłynęły od przestępstwa zaledwie trzy dni. Sprawa Swiridowa leżała u śledczego tylko tydzień. Samobójstwo Wojtowicza — też coś koło tego, sześć, no, może osiem dni. Ale teczkę Dimy Krasnikowa Bakłanow trzymał u siebie od dwunastego września. Pomyśl, od dwunastego września! Do chwili kradzieży akt leżała u śledczego aż trzy i pół miesiąca. Zważ przy tym, że chłopiec został zatrzymany na gorącym uczynku i nie było w tej sprawie żadnych wątpliwości do rozstrzygnięcia. W ogóle nie rozumiem, dlaczego Bakłanow chłopaka zatrzymał. Na jakiej podstawie? Poza tym, żeby chomikować u siebie sprawę dłużej niż dwa miesiące, musiał pójść do prokuratora i poprosić o przedłużenie terminu śledztwa. Czym uzasadnił taką prośbę? Dlaczego prokurator przedłużył mu termin?

— Pytałem nawet Luśki, bądź co bądź, pracowała kiedyś jako śledczy, zresztą w swoim instytucie też zajmuje się problematyką wstępnego śledztwa. Wszystko dokładnie mi wytłumaczyła. Aśka, nie szukaj jakichś nadzwyczajnych przyczyn, bo to po prostu normalny — chociaż na wielką skalę — burdel. Literuję: Borys, Ulana, Rusłan, Dmitrij, Ewa, Leonid. Bakłanow mógł wcale nie iść do prokuratora, nikt by się nie zorientował, że teczka Bóg wie jak długo poniewierała się u niego w szafie. Mógł też pójść z jakimś lipnym dokumentem i nie pokazując akt, otrzymać przedłużenie terminu na słowo honoru. Albo — po prostu zadzwonić do prokuratora i powiedzieć na przykład: Iwanie Iwanyczu, chciałbym



przedłużyć termin, ale jestem tak koszmarnie zajęty, mam tyle spraw na głowie, że nie mogę znaleźć chwili czasu, żeby do pana wpaść. A prokurator na to: no dobrze, jak będziesz gdzieś w pobliżu, zajrzyj, to wszystko od ręki załatwimy. Najczęściej jednak śledczy chowają teczkę do szafy, gdzie z wolna pokrywa się kurzem bez wiedzy i zezwolenia prokuratora.

— Ale dlaczego? — zdziwiła się Nastia. — Co stoi na przeszkodzie, żeby zamknąć taką nieskomplikowaną sprawę i albo ją umorzyć, albo skierować akt oskarżenia do sądu? Po co ją chować do szafy?

— Oj, Nastiu, ależ z ciebie niepoprawna idealistka! Wiesz, ile zarabia śledczy? No właśnie, niewiele. A ile ma pracy? Zgadza się, dużo. Chciałby mieć więcej forsy, ale skoro to niemożliwe, to może by tak przynajmniej więcej wolnego czasu?... Owszem, tak. No i jak myślisz, będzie się zabijał, żeby zakończyć czym prędzej jakąś gównianą sprawę? Masz rację, Anastazjo, nie będzie. Raczej powie, że jedzie do prokuratury, a wróci do domu, żeby dopilnować remontu. Zawiadomi, że jest potrzebny „w terenie”, i popędzi do prywatnej firmy, gdzie udziela porad prawnych, i to za dolary. Albo po prostu czeka, żeby nieobeznany z kodeksem sprawca lub jego równie zieloni rodzice dali mu łapówkę za umorzenie sprawy. Oni nie wiedzą przecież, że nie ma teraz kolegów do spraw wykroczeń, nie zwalnia się za poręczeniem, komisje do spraw niepełnoletnich nie istnieją. Facet weźmie forszę, powie, że zrobił wszystko, co możliwe, ale prokurator, złośliwa bestia, nie zatwierdził jego wniosku. Nie wszyscy są tacy jak ty. Dla ciebie nic oprócz pracy w życiu się nie liczy. Ale dla przeważającej większości naszych kolegów praca to tylko obciążenie; trzeba ją jak najszybciej odwalić,

żeby móc się zabrać do trochę bardziej dochodowej działalności. Rozumiesz?

— Teoretycznie tak, praktycznie nie — przyznała uczciwie Nastia. — I nie chcę tego zrozumieć, bo to opinia krzywdząca wiele osób. Weźmy, na przykład, takiego Kostię Olszańskiego. Ma dwie dorastające córki, i co, pieniądze nie są mu potrzebne? A on haruje jak wół, i to nie dla forsy, tylko dla idei. Czy wobec tego powinnam go traktować jako naiwny wyjątek od obrzydliwie cynicznej reguły?

— No już dobrze, nie wściekaj się. Nie wszyscy śledczy szukają chałtury, większość rzeczywiście normalnie pracuje. Po prostu usiłowałam ci wyjaśnić, dlaczego Bakłanow... — Zrozumiałam, dziękuję. Nie wiesz, czy Docenko dowiedział się czegoś w sprawie wezwań pogotowia? — Chyba jeszcze jest tym zajęty. Widziałem go dziś w biurze, ślęczał nad jakimiś kilometrowymi spisami. Słuchaj no, czy ten twój hidalgo nie poderwie mi Lusi? Jakoś bardzo czule na nią patrzy.

— Niech sobie patrzy, nie przejmuj się. Popatrzy trochę i wróci do swojej Hiszpanii, a tobie nic od tego nie ubędzie. — Jest żonaty? — zainteresował się Jura.

— Skąd mam wiedzieć? — Nastia wzruszyła ramionami.

— Nie przyszło mi do głowy, żeby go o to zapytać. Co za różnica?

— Ciekawe.

— Jurka, nie wygłupiaj się. Niech sobie dziewczyna poflirtuje z przystojnym i nadzianym facetem, to bardzo pożyteczne.

— Pożyteczne?

— Tak, dla utrzymania formy. Każda kobieta powinna móc poczuć się istotą płci żeńskiej choćby pół godziny na miesiąc. Czy ty

dajesz Lusi taką szansę?

— Cóż... Ja... — zmieszał się Korotkow. — Staram się.

— No widzisz, on też się stara. Nie przeszkadzaj mu.

Na dworze było już zupełnie ciemno. Wyszli z restauracji i zaraz za drzwiami się pożegnali. Jura i Ludmiła skierowali się do metra; chcieli jeszcze trochę побыć we dwoje, więc podziękowali Nasti za propozycję podwiezienia. — Pani przyjaciółka to niezwykle interesująca kobieta — oznajmił gość, wsiadając do samochodu. — Ale wydaje mi się, że ma okropnie zazdrosnego męża. Bardzo groźnie na mnie patrzył. Chyba niczym go nie uraziłem?

— Naturalnie, że nie — uspokoiła Hiszpana Nastia. — Zwłaszcza że nie jest jej mężem.

— O, w takim razie to zrozumiałe! — Gość klasnął w dłonie. — Jego zachowanie wydało mi się dziwne, jako że mężowie rzadko bywają tak zazdrośni jak pani Jurij. Cóż, naprawdę serdecznie go przepraszam.

— Przekażę mu — zapewniła Nastia z uśmiechem, skręcając na prospekt.

## 5

Inna Litwinowa z ulgą postawiła na podłodze w kuchni torby z zakupami i rozejrzała się. Na stole stały dwie nieumyte filiżanki i pusta butelka po dżinie, na talerzu zasychały resztki kanapek z salami i ogórkiem. Jula znów kogoś przyprowadziła, znów piła i postanowiła widocznie jeszcze gdzieś się zabawić. Boże, żeby tylko

wróciła! Inna gotowa była wszystko ukochanej wybaczyć, byleby dziewczyna jej nie rzuciła. Niech sobie sprowadza gości, niech z nimi znika, ale niech wraca!

Najbardziej ze wszystkiego Inna bała się, że Jula się zakocha w mężczyźnie. Dziewczyna do kobiecego ciała odnosiła się obojętnie, nie czuła doń ani pociągu, ani odrazy, ale skoro los zrządził, że spotkała na swojej drodze Innę Litwinową, postanowiła skorzystać z tej szansy i zostać jej partnerką. Wyciągała od niej pieniądze, zadomowiła się w jej mieszkaniu, łaskawie pozwalała się karmić, pić i obsługiwać, ale w zamian za to rzetelnie się starała w łóżku, chociaż sama nie czuła szczególnej przyjemności. Czego się jednak nie robi, kiedy twoja sześćoosobowa rodzina gnieździ się w małej klitce, ojciec jest zdeklarowanym alkoholikiem, a jeden z braci urodził się z zespołem Downa? I w dodatku zawsze brakuje pieniędzy...

Inna wiedziała o tym wszystkim i zdawała sobie również sprawę, że Jula kiedyś odejdzie. Ale oby się to stało jak najpóźniej! A ona musi zdobyć pieniądze, bardzo dużo pieniędzy, bo tylko w ten sposób będzie mogła choć na jakiś czas zatrzymać przy sobie tę białoskórą, rudą kusicielkę o bezwstydnym jasnozielonym oczach i zmysłowym ciele...

# ROZDZIAŁ V

## 1

W życiu Anastazji Kamieńskiej zaczęła się prawdziwa passa złego humoru. Już w sobotę Nastia wściekała się, że przez całą niedzielę będzie się musiała zajmować hiszpańskim gościem, w poniedziałek zaś zjawiała się w pracy niczym chmura gradowa. A tu czekała ją kolejna przykrość. Na schodach wpadła na nią Katia z księgowości.

— Kamieńska, dlaczego nie odbierasz premii? Czekasz, żeby ci przysłano imienne zaproszenie?

— Co to za premia? — spytała uradowana Nastia.

— Roczna, zamknęliśmy bilans. Wszyscy już odebrali pieniądze, przez ciebie jedną lista wypłat wciąż leży w kasie. — Ojej, nic nie wiedziałam, że ja też dostałam premię. Oczywiście, że wstąpię.

— Akurat, nie wiedziałaś! — prychnęła ze złością Katia. — Jeszcze się nie zdarzyło, żeby ci nie przyznano premii. Jesteś przecież pupilką pułkownika Gordiejewa. Wypuściwszy zatrutą strzałę, Katierina pobiegła dalej. Nastia poczuła, jak gorący rumieniec wypływa jej na policzki. Dawno już nie słyszała tak niesmacznych aluzji pod swoim adresem. „Wyszłam z formy — pomyślała. — Dawniej trudno było mnie dotknąć takimi

niewybrednymi docinkami. Jeżeli nawet nie wiedziałam, jak się odciąć, to przynajmniej się nie czerwieniłam i nie odbierało mi mowy z wrażenia". Zgarbiona, ociężale stąpając, dotarła do swojego gabinetu, rzuciła kurtkę na biurko i włączyła grzałkę. Kiedy to się skończy? Gdy zaczęła pracować na Pietrowce, często łowiła pełne niedowierzania i otwarcie nieżyczliwe spojrzenia, słyszała jadowite szeptu za plecami: niby dlaczego Gordiejew ściągnął tu z urzędu dzielnicowego tę smarkulę, która nic nie robi, tylko siedzi całymi dniami w gabinecie (Własnym! Przecież to woła o pomstę do nieba! Podczas gdy detektywi z dwudziestoletnim stażem tłoczą się po trzech w jednym pokoju!) i udaje, że myśli. Dużo czasu musiało upłynąć, by większość złośliwców przestała wygadywać te bzdury, gdyż oficerowie operacyjni z wydziału Gordiejewa sami zaczęli ucinać głupie plotki, przekonawszy się, że ściągnięta przez Pączka dziewczyna potrafi mnóstwo potrzebnych i pożytecznych rzeczy. Owszem, nie umie biegać i strzelać, nie wysiada w zasadzkach i nie zdiera obcasów, obchodząc niezliczonych świadków, nie jeździ na miejsce zajścia i nie musi opanowywać mdłości na widok okaleczonych, a niekiedy na wpół rozkładających się zwłok. Za to potrafi myśleć, analizować, wyciągać wnioski, ma bogatą, nieskrępowaną niczym wyobraźnię, a zarazem trzeźwy, sprawnie działający umysł i fenomenalną pamięć, dzięki której przechowuje w głowie całą masę najrozmaitszych, nawet bardzo odległych od siebie w czasie zdarzeń, okoliczności, nazwisk, dat i adresów. I nie liczy się dla niej nic oprócz pracy, którą wykonuje. A tu proszę, wszystko zaczyna się od nowa...

Nastia machinalnie zaparzyła kawę, usiłując przejść jakoś do porządku nad przykrością, która tak niespodziewanie ją spotkała,

odruchowo wrzuciła do filiżanki dwie kostki cukru i usiadła przy biurku. A, do diabła, pomyślała nagle, niech Katierina udławi się swoją złością, ona nie może pozwolić, by czyjeś brudne aluzje zakłócały jej normalny tok pracy. Jednym haustem łyknęła wrząca niemal kawę, po czym wyszła z gabinetu i skierowała się do pokoju, gdzie siedział Docenko.

— Proszę. — Misza podał jej długą listę wezwań pogotowia, obejmującą okres od września do końca roku. Szytowa trafiła do szpitala dwudziestego drugiego grudnia. — Postawiłem ptaszki przy wszystkich wezwaniach, przy których widnieje zapis: „podejrzenie ciąży pozamaciczej”.

Nastia z aprobatą kiwnęła głową. Jeszcze dwa lata temu inteligentny, ale trochę naiwny Misza z pewnością zażądałby jedynie listy wezwań do konkretnych, mogących go zainteresować przypadków, spis byłby o wiele krótszy, ale Nastię nękałyby wówczas wątpliwości, czy aby ci, którzy go przygotowywali, nie popełnili jakiegoś błędu. Ludzie to nie maszyny, męczą się, myślą, zwłaszcza kiedy spośród całego mnóstwa informacji należy wyłowić tylko te, które są potrzebne. Zawsze można coś pominąć, przeoczyć, zrobić byle jak. Misza długo nie mógł przywyknąć do wymagań Nasti, uważając, że Kamieńska niepotrzebnie z góry podejrzewa wszystkich o nierzetelność i nieuczciwość, i dopiero gdy parę razy sam się naciął, przyznał jej rację. Dlatego też wziął listę wszystkich wezwań, i sam zaznaczył te, które mogły wchodzić w grę, by Nastia jeszcze raz mogła to sprawdzić. Ze spisem w ręku wróciła do gabinetu i zamknęła za sobą drzwi na klucz. Nic nie powinno człowiekowi przeszkadzać w pracy, która wymaga skupienia i uwagi. Do codziennej odprawy u szefa pozostało jeszcze prawie pół

godziny, więc miała nadzieję, że zdąży przejrzeć choćby część listy. Bardzo chciała zidentyfikować tajemniczego mężczyznę, którego Gałaktionow przyprowadził do mieszkania swojej przyjaciółki, pewien, że jej tam wtedy nie będzie. Sądząc z relacji świadków, było to dla niego zachowanie dość nietypowe, a więc pewnie nie chodziło o zwykłego gościa, lecz o kogoś wyjątkowego, szczególnego. A dwa dni po jego wizycie Gałaktionow zmarł, otruty cyjankiem... Nie ma żadnych podstaw, by podejrzewać samobójstwo. Otwartą fiolkę z trucizną znaleziono na miejscu przestępstwa. Filiżanka z zaschniętymi fusami po kawie i nikłymi śladami cyjanku stała w pokoju na stole, a obok, w fotelu, siedział martwy Gałaktionow. Na fiolce były tylko jego odciski palców. Technicy jednak, sumiennie zlustrowawszy każdy centymetr kwadratowy powierzchni, stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że niektóre przedmioty zostały wytarte. Właśnie te, na których zawsze pozostawiają ślady osoby znajdujące się w mieszkaniu. Trudno sobie wyobrazić, żeby Gałaktionow, podjąwszy decyzję o samobójczej śmierci, przedtem starannie wszystko posprzątał, zwłaszcza że miedziany tygielek, w którym parzył kawę, stał na kuchence nieumyty. Od początku nikt nie wątpił, że to było zabójstwo. Tylko ta fiolka...

Jeśli Szytowej coś się nie przywidziało i jeśli tajemniczy gość powiedział prawdę, to w spisie wezwań pogotowia powinno znajdować się również wezwanie z jego miejsca pracy. Ale które to z nich? A poza tym jaki odstęp czasu miał na myśli, mówiąc „niedawno”? Niedawno, czyli kiedy? W zeszłym tygodniu? W zeszłym miesiącu? Nastia postanowiła ograniczyć się na razie do czterech miesięcy, choć zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie



trzeba będzie sięgnąć jeszcze dalej wstecz. I jak wyodrębnić ze wszystkich zapisów ten jedyny właściwy?

Po odprawie u szefa znów wzięła się do studiowania listy. I po godzinie znalazła wezwanie, którego szukała. Okazało się to takie proste, że z początku sama nie wierzyła, że się udało.

## 2

Patrząc na otyłego, cierpiącego na zadyszkę mężczyznę, siedzącego za ogromnym biurkiem w przestronnym gabinecie, z trudem hamował obrzydzenie.

— Boję się, że czekają pana nieprzyjemności — złowróźnie obwieścił grubas, wyjmując z teczki jakiś papier. — Do ministerstwa przyszedł anonim. W sprawie naszego instytutu. Doigraliście się.

— Czego on dotyczy? — zapytał spokojnie, chociaż poczuł, że serce na chwilę jakby przestało bić.

— Waszego urzędnika. Niech mi pan powie, czy wszystko jest pod kontrolą, czy też zmontowaliście je i zapomnieliście o całej sprawie?

— Wszystko znajduje się pod stałą kontrolą, inaczej być nie może, przecież to eksperyment. — I nie ma żadnych niepożądanych efektów?

— Żadnych — zapewnił z całym przekonaniem, czując, że dłonie mu spotniały.

— W takim razie jak należy to rozumieć?

Grubas potrząsnął w powietrzu wyjętą z teczki kartką; jego twarz wyrażała skrajne niezadowolenie. Nagle rzucił papier z powrotem na biurko, wyjął z szuflady aerozolowy inhalator dla astmatyków i parę razy nacisnął zaworek, wdychając lekarstwo. Jego oddech stał się lżejszy.

— Napisano tu, że aparatura daje efekt tak zwanej pętli sprzężenia zwrotnego. Anonim ten wędrował już po wszystkich instancjach, leżał na wszystkich biurkach, aż wreszcie dotarł do mnie jako opiekuna waszego projektu z adnotacją, żebym zbadał sprawę i przedstawił wnioski. I co, pana zdaniem, powinienem napisać w takim podsumowaniu? — Może pan z czystym sumieniem stwierdzić, że przedstawione materiały naukowe, dotyczące działania urządzenia, świadczą o całkowitym braku jakichkolwiek niepożądanych efektów ubocznych — oświadczył zdecydowanie. W ustach czuł nieprzyjemną suchość. Ten sukinsyn Wojtowicz jednak powiadomił ministerstwo, chociaż nie podpisał się pod donosem!

— Ale na razie nie widzę żadnych materiałów — pieklił się dalej grubas. Znowu zasapał, i to z poświstem, jego nalana gęba z trzema podbródkami zaczęła przybierać niebezpiecznie purpurowy odcień. — Za to doskonale pamiętam, jak pan zapewniał mnie i wszystkich członków komisji, że wasza antena nie oddziałuje negatywnie na środowisko. Właśnie dlatego pozwolono wam zainstalować ją w mieście, a nie na poligonie doświadczalnym, jak by należało. I ja jako przewodniczący komisji ponoszę osobistą odpowiedzialność za tę decyzję, a teraz wygląda na to, że zostałem wprowadzony w błąd. Tak czy nie, pytam pana.

— Proszę mnie wysłuchać, Nikołaju Adamowiczu — odparł spokojnie. Udało mu się pokonać strach, i teraz czuł się o wiele pewniej. — Przedstawiliśmy komisji wszystkie dane, inni też się z nimi zapoznali, nie tylko pan. W materiałach było napisane czarno na białym, że efektu, o którym mowa w anonimie, nie stwierdza się. Nie ma go, rozumie pan? A decyzję podjęła komisja w pełnym składzie, kolektywnie. To po pierwsze. Po drugie, kto skierował do pana anonim z adnotacją „zapoznać się ze sprawą”?

— Wiceminister Jakubow. Czy to ma jakieś znaczenie? — A jakże, Nikołaju Adamowiczu. Wiadomo wszystkim, że Jakubow wybiera się na emeryturę. Do jego stanowiska pretendują dwaj liczący się kandydaci — Starostin i pan. Starostin jest starym kumplem Jakubowa. Kierując anonim do pana, Jakubow stwarza pozory obiektywizmu, a w istocie chce tylko rozdmuchać skandal, zależy mu na tym, żeby sprawa nie ucichła. Mógł przecież wrzucić ten donos do kosza, prawda? No właśnie. Już od dawna obowiązuje zasada, że do anonimów nie należy przywiązywać żadnej wagi, więc nikt nie miałby podstaw, by cokolwiek Jakubowowi zarzucić. Mógł przecież pana wezwać i zapytać, czy przypadkiem nie jest prawdą to, co napisano w anonimie. A pan by go zapewnił, że nie. I na tym, Nikołaju Adamowiczu, sprawa by się zakończyła. Oczywiście, gdyby Jakubow miał do pana zaufanie i naprawdę pana cenił. Ale zamiast tego wiceminister przesyła panu anonim ze swoją adnotacją przez sekretariat, żeby jeszcze dodatkowych pięć par oczu mogło go przeczytać i zapamiętać jego treść, a dwa dni później żeby całe ministerstwo już wiedziało, że w instytucie, nad którym sprawuje pan opiekę naukową, wybuchł jakiś smakowity skandal. I jeszcze

coś przyszło mi do głowy, Nikołaju Adamowiczu. Czy to aby nie Starostin maczał palce w całej tej aferze?

— Niewykluczone — wychrypiał grubas, znów biorąc do ręki inhalator. — To bydlę jest zdolne do wszystkiego. Trudno się po nim spodziewać choćby cienia przyzwoitości. Możliwe, że ma pan rację. Mimo to chciałbym raz na zawsze się upewnić: czy efekt sprzężenia zwrotnego istnieje, czy nie? — Nie. Nie, nie i jeszcze raz nie. Niech pan więcej nie zaprzęta sobie tym głowy.

Wychodząc z gabinetu zwierzchnika, pomyślał: „Jest efekt, pewnie że jest. I to jaki! Ale ty, opasy karierowiczu, nie musisz o tym wiedzieć. Bo oka byś nie zmrużył”.

### 3

— No, no, no! — Jura Korotkow aż gwizdnął, kiedy Nastia pokazała mu listę wezwań pogotowia. — Okazuje się, że kobietę z podejrzeniem ciąży pozamaciczej karetka zabrała akurat z tego samego instytutu, w którym pracował nasz samobójca Wojtowicz! Ciekawy zbieg okoliczności. — Ciekawy jak wszyscy diabli — burknęła ponuro Nastia, która jeszcze nie ochłonęła po porannym spotkaniu z Katią z księgowości. — Teraz, Jurik, słuchaj uważnie, opowiem ci, jak widzę tę sprawę, a ty oponuj, jeśli uznasz, że coś jest nie tak. Zaczekaj, poproszę Miszę, będzie arbitrem. Usiedli we trójkę w gabinecie Anastazji, ona przy swoim biurku, Korotkow

przy sąsiednim, które nie miało stałego użytkownika, a Docenko na krześle pod oknem. — Zaczynamy. — Nastia skinęła głową, dając sobie jakby znak „start”. — Siódmego grudnia starszy pracownik naukowy instytutu Grigorij Wojtowicz zostaje zatrzymany przy zwłokach swojej żony, dziesiątego zaś zwolniony do domu, by mógł pokierować końcowymi pracami nad realizacją ważnego projektu naukowego. Trzynastego grudnia Wojtowicz odbiera sobie życie. Dwudziestego pierwszego teczka z aktami jego sprawy zostaje skradziona. Razem z nią złodziej zabiera dla niepoznaki trzy inne teczki. Jedna z nich zawiera materiały dotyczące kradzieży dzinsów przez Dimę Krasnikowa, a wśród innych danych również informację na temat jego usynowienia. Nazajutrz, dwudziestego drugiego grudnia, niejaki Gałaktionow, przyjechawszy do serwisu samochodowego, przekazuje tę informację znajomemu mechanikowi, a następnie w mieszkaniu Nadieždy Szytowej spotyka się z człowiekiem, który najprawdopodobniej jest pracownikiem tego samego instytutu, co Grigorij Wojtowicz. Czy, jak dotąd, wszystko się zgadza?

— Jak dotąd, tak — potwierdził Korotkow. — Oczywiście, jeśli przyjmiemy, że Łykwow, mechanik z serwisu, mówił prawdę.

— Racja, ale nie mamy innego wyjścia, musimy mu wierzyć — powiedziała Nastia. — Jedźmy dalej. Dwa dni później Gałaktionow znów przychodzi do mieszkania Szytowej i tam umiera po wypiciu kawy z cyjankiem. Tyle faktów. Teraz dajmy się ponieść fantazji. Kochani, od tej chwili, jeśli nawet będę pleść od rzeczy, nie śmieście się, bardzo was proszę, tylko poprawiajcie mnie, gdyby coś się nie zgadzało. Rozumiemy się?

Korotkow i Docenko skinęli głowami i rozsiedli się wygodniej.

— Wojtowicz za zabójstwo żony trafia do celi. Komuś ogromnie zależy na tym, żeby go stamtąd wyciągnąć, rozdzwaniają się telefony i wpływa pisemna prośba, by go zwolnić do domu. Chodzi o zakończenie realizacji projektu o ważnym znaczeniu strategicznym, co bez jego udziału jest niemożliwe. Wojtowicz pracuje w instytucie naukowym, który prowadzi badania nad rozchodzeniem się fal elektromagnetycznych w różnych środowiskach, tak że wszystko w zasadzie trzyma się kupy. Ale ja w to nie wierzę. Mam wrażenie, że komuś bardzo, ale to bardzo zależało, żeby wyciągnąć Wojtowicza z aresztu. Dlaczego? Nie wiem. Oto pytanie, na które chciałabym uzyskać odpowiedź. W chwili zatrzymania Wojtowicz znajdował się w dziwnym, delikatnie mówiąc, stanie psychicznym, jednak podczas pobytu w areszcie zaczął powoli wracać do normy, udzielał coraz sensowniejszych, bardziej wyczerpujących informacji, całkowicie zgodnych z obrazem tragicznych wydarzeń, jaki można było odtworzyć na podstawie zabezpieczonych śladów. Lekarze nie stwierdzili u Wojtowicza absolutnie żadnych oznak choroby psychicznej, i pozostaje rzeczą niewyjaśnioną, jaka była przyczyna jego początkowej amnezji. Gdy nieszczęśnik uświadomił sobie w pełni, co się wydarzyło, powiesił się. I zostawił przedśmiertną notatkę, która znalazła się, naturalnie, w aktach jego sprawy. Co dalej? Znowu ktoś przejawia niezdrowe zainteresowanie tym krótkim przesłaniem. Teczka znika z gabinetu śledczego, kiedy ten, zgodnie ze swoim zwyczajem, dokądś wychodzi, zostawiając otwarte nie tylko drzwi do pokoju, ale i sejf, gdzie leżą akta. Najwidoczniej któryś z pracowników instytutu zlecił tę kradzież Gałaktionowowi. Był to albo ktoś, kogo Gałaktionow znał od dawna, ale nie widział się z nim od lat, albo przeciwnie,

jakiś człowiek poznany przypadkowo. Znajomość jednak musiała zostać zawarta w takich okolicznościach, że ów pracownik instytutu zorientował się, iż do Gałaktionowa można się zwrócić z tego rodzaju prośbą. Tak więc człowiek z instytutu prosi go o zdobycie teczki z aktami sprawy Wojtowicza. Nazwisko śledczego i miejsce jego pracy dla nikogo w instytucie nie stanowiły tajemnicy, jako że wielu pracowników wzywano w charakterze świadków w sprawie zabójstwa Jewgienii Wojtowicz. Zgadza się? — Mniej więcej — mruknął Korotkow. — A pan, Misza, co powie?

— Nie jestem pewien, czy Gałaktionow podjąłby się takiego zlecenia — odparł z powątpiewaniem Docenko. — To zdeklarowany oszust, hochsztapler, ale nie złodziej. To jednak trochę co innego.

— Uwaga przyjęta. Żeby się upewnić, czy Gałaktionow mógł się podjąć takiego zadania, musimy go najpierw rozgryźć. Co o nim wiemy? Że w młodości istotnie dopuścił się co najmniej jednej kradzieży. Mam na myśli kradzież kozuska z pierścionkami w kieszeni, należącego do jego własnej żony. Ten fakt dobitnie świadczy o tym, że już wtedy był z niego niezły kawał drania. Ale to historia sprzed wielu lat i Gałaktionow mógł się od tamtej pory zmienić. Dlatego drugie pytanie, na które musimy znaleźć odpowiedź, to, czy nasz bohater w wieku czterdziestu trzech lat pozostał taką samą kanalią, jaką był, mając dwadzieścia trzy. Dochodzą tu jeszcze dwa dodatkowe aspekty. Pierwszy: otóż — jak twierdzili znajomi Gałaktionowa — szczęście się od niego odwróciło, a on usilnie starał się je odzyskać. Czy zatem nie mógł podjąć się ryzykownej, stanowiącej rodzaj wyzwania próby kradzieży teczki z gabinetu śledczego, traktując to jako

potwierdzenie przychylności fortuny, która na nowo przywróciła go do łask?

— W zasadzie mógł — zgodził się po chwili namysłu Docenko. — Kiedy mus, człowiek chwyta się każdego sposobu. — Drugi i dodatkowy aspekt to to, że Gałaktionow, ukradłszy teczkę, natychmiast je przeczytał. W aktach jednej ze spraw znalazł i zapamiętał, a może nawet zapisał informację, którą przy okazji mógł drogo sprzedać. Mam na myśli sprawę Krasnikowa. Szantażowanie groźbą ujawnienia tajemnicy adopcji to podłość. Ohyda. Ale Gałaktionow najwyraźniej tak nie uważa. I bez namysłu przekazuje informację pierwszemu z brzegu znajomkowi, który poprosił go o pożyczkę. Brzydko, prawda?

— Ale, Anastazjo Pawłowno, nie możemy mieć stuprocentowej pewności — sprzeciwił się Misza. — A jeżeli Łykov kłamie?

— A jeżeli Łykov kłamie, a jeżeli Łykov kłamie... — powtórzyła w zamyśleniu Nastia. — Właśnie dlatego musimy zrozumieć, jaki naprawdę był Gałaktionow. Miszeńka, pamięta pan zeznania jego koleżanki z pracy o tym, jak pomagał w organizowaniu leczenia dzieci za granicą? Jak jeździł, nie licząc się z czasem, i własnym samochodem woził chorych malców na wizyty u specjalistów? Niech pan pójdzie do banku jeszcze dzisiaj i wypyta o wszystko. Nikt oprócz tej kobiety nie dostrzegł w Gałaktionowie choćby cienia dobroci czy bezinteresowności. Może ona znała go lepiej niż inni? Lub też Gałaktionow był cichym dobroczyńcą, kimś w rodzaju Jurija Dietoczkina, oskubywał potężnych rekinów biznesu i po cichu przelewał pieniądze na konta domów dziecka i szpitali. Chodzi o to, by rozgryźć jego prawdziwy charakter i na tej podstawie zbudować jakąś hipotezę, ale na razie musi nam wystarczyć to, co mamy.



Jedźmy dalej. Z człowiekiem z instytutu Gałaktionow spotyka się w mieszkaniu swojej przyjaciółki, w porze, kiedy zwykle nie ma jej w domu, to znaczy, wczesnym popołudniem. Pierwsze spotkanie prawdopodobnie odbyło się między piętnastym a dziewiętnastym grudnia, czyli jakiś czas po samobójstwie Wojtowicza i na parę dni przed kradzieżą teczek. Jeśli Gałaktionow zdecydował się podjąć ryzyko, to potrzebował trochę czasu, żeby się rozejrzeć, przygotować itede. Dwudziestego pierwszego pomyślnie realizuje swój plan, a dwudziestego drugiego spotyka się z człowiekiem z instytutu w mieszkaniu Szytowej, by przekazać mu teczki i dostać w zamian umówione wynagrodzenie. Albo nie. Zapłatę miał pewnie otrzymać kiedy indziej. Niestety, Szytowa źle się poczuła i wróciła z pracy wcześniej. Gałaktionow prosi ją, żeby nie wchodziła do pokoju i nie przeszkadzała, gdyż ma z gościem do omówienia ważne sprawy. Co się działo dalej, wiemy z relacji Szytowej. A dwa dni później Gałaktionow znów spotyka się ze swoim znajomym. Jak się okazuje, po raz ostatni. Człowiek z instytutu otrął go, usunął swoje odciski palców i wyszedł z mieszkania. Gdyby nie jego nieopatrzna wzmianka o koleżance z pracy, którą zabrało pogotowie, moglibyśmy pożegnać się z nadzieją, że kiedykolwiek go odnajdziemy. Szytowa właściwie tego człowieka nie pamięta i nie potrafi opisać. To zresztą zrozumiałe, była wówczas prawie nieprzytomna. No cóż, teraz jest już dla nas jasne, że wszystkie nici prowadzą do Wojtowicza, a zabójcy Gałaktionowa należy szukać w instytucie.

— Niby wszystko gra — zauważył sceptycznie Jura — tyle że związek Gałaktionowa ze skradzionymi teczkami nie wydaje się przekonujący. Ale poza tym jest w porządku. — Dlatego właśnie

musimy się dowiedzieć, czy Gałaktionow mógł postąpić tak, jak zakładam, że postąpił. Misza, to pańska działka. A ja i Jura zajmujemy się instytutem. Będziemy tam szukać człowieka bez właściwości.

— I bez najmniejszego śladu jakiegokolwiek akcentu — uzupełnił Korotkow.

## 4

Komputer ciągle się zawieszał i Inna zaczęła się irytować. Dzisiaj już dwa razy wzywała fachowców, ale po ich wyjściu kapryśne urządzenie działało z biedą pół godziny, a potem znów pojawiał się na ekranie nienawistny zielony kwadrat. Teraz ze złością wyłączyła komputer i poszła do kierownika laboratorium dowiedzieć się, kiedy wreszcie przydzielą jej sprzęt jako tako sprawny technicznie.

Jak furia wpadła do gabinetu i nie zwracając uwagi na obecne tam osoby, zaczęła ze wzburzeniem:

— Pawle Nikołajewiczu! Nie jestem w stanie dłużej pracować na istring, ten komputer ma więcej lat niż ja. Wszyscy wiedzą, że w magazynie stoi sześć nowych, jak długo mamy jeszcze czekać na przydział?

— Może państwo się poznają — chłodno rzekł Borozdin. — Doktor Inna Fiodorowna Litwinowa. A państwo są z milicji. W sprawie Wojtowicza.

— W sprawie... Jak to? — spieszyła się Litwinowa. — Przecież on nie żyje.

Dopiero teraz zwróciła uwagę na gości swego szefa. Ważniejszym z nich najwyraźniej był postawny, barczysty mężczyzna około czterdziestki, o sympatycznej, szczerzej twarzy i roześmianych oczach. Obok niego siedziała młoda kobieta, a właściwie dziewczyna, w dżinsach i swetrze, z długimi włosami, związanymi w koński ogon. Niepozorna, blada, chuda, chyba raczej wysoka, nieumalowana. Jakaś niedzisiejsza, pomyślała przelotnie Inna, i zaraz przypomniała sobie swoją Juleczkę, która czesała się w najdroższych salonach fryzjerskich i poświęcała co najmniej czterdzieści minut na staranny makijaż.

— Widzi pani, Inno Fiodorowno — zwrócił się do Litwinowej mężczyzna — zdarzył się wypadek. W budynku rejonowego urzędu spraw wewnętrznych wybuchł pożar, co prawda, tylko na jednym piętrze, szybko go też ugaszono, ale największe szkody ogień wyrządził w gabinecie śledczego Bakłanowa. Spłonęło sporo teczek z aktami, między innymi akta pani kolegi, Grigorija Wojtowicza. Usiłujemy teraz odtworzyć te materiały, dlatego znów państwa niepokoimy. Proszę wybaczyć, zdaję sobie sprawę, że odrywamy ludzi od pracy, ale cóż, skoro tak się złożyło... — Uśmiechnął się bezradnie i rozłożył ręce. — Trudno, siła wyższa.

— Tak, oczywiście. — Litwinowa skinęła głową. — Rozumiem. Mogę się na coś przydać?

— Chcemy tylko, żeby pani odpowiedziała na kilka pytań. Mam nadzieję, że nie zajmie to wiele czasu, a zresztą i tak komputer ma pani chwilowo niesprawny. — Mężczyzna znów się uśmiechnął, tym razem figlarnie. — Zanim go naprawią, możemy porozmawiać, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu. — Chodźmy — powiedziała Inna. Otworzyła drzwi i pierwsza wyszła z gabinetu Borozdina.

— Moje nazwisko Korotkow — przedstawił się gość z milicji, kiedy Inna zaprowadziła go do swego pokoju i wskazała miejsce przy stole. — Jurij Wiktorowicz. Możemy zaczynać? — Proszę. — Na twarzy Litwinowej pojawił się wyraz skupienia i uwagi. — Dobrze pani znała Grigorija Wojtowicza?

— Bardzo dobrze — odparła Inna bez wahania. — Pracowaliśmy razem wiele lat, znamy się jeszcze z czasów studiów doktoranckich.

— Wobec tego proszę mi opowiedzieć o jego życiu rodzinnym. Kiedy się ożenił, czy dobrze żył z żoną, czy nie było między nimi konfliktów i tak dalej.

— Były — potwierdziła bez namysłu Litwinowa. — I to ostre. Grisza nikomu o tym nie mówił, tylko mnie jednej, ponieważ od dawna się przyjaźniliśmy. Zresztą w ogóle był z natury raczej zamknięty w sobie, w pracy z nikim nie utrzymywał bliższych stosunków. Ale mnie się zwierzał. — Co powodowało te konflikty?

— Trudno powiedzieć, całe mnóstwo przyczyn. — Zamyśliła się na chwilę. — Żenieczka była o wiele młodsza, jak pan zresztą zapewne wie, a Grisza długo pozostawał w kawaler skim stanie, wciąż szukał swojej królowny z bajki. Kiedy poznał Żenię, zakochał się bez pamięci, a ponieważ tak cierpliwie czekał i starannie wybierał, jego wymagania były może trochę zbyt wygórowane. Ogromnie się przejmował tym, że Żenia niekiedy, jego zdaniem, nie potrafi im sprostać i nie jest wymarzonym ideałem. Zresztą zdarzało się to rzadko, była przecież wspaniałą kobietą. I bardzo piękną. — Jak pani myśli, kochała męża?

— Do szaleństwa! — z zapalem wykrzyknęła Inna, ale zaraz się zreflektowała. — Chociaż wie pan, cudza dusza to zagadka, może...

— Proszę, proszę mówić śmiało — zachęcił ją Korotkow. Inna jednak straciła kontenans. „Idiotko! — skarciła się w duchu. — Co cię ciągnie za język? Skoro Grisza ją zabił, coś przecież musiało być na rzeczy. I powinnaś podać jakiś konkretny, przekonywający, zrozumiały dla tego milicjanta powód. Zazdrość, pieniądze, wszystko jedno co, byle proste i łatwe do pojęcia”.

— Widzi pan, Żenia była prawdziwą pięknoscią, pracowała w telewizji, grywała w spotach reklamowych. Oczywiście, zawsze kręcili się koło niej mężczyźni, podobała się. Przyciągała tłumy wielbicieli, a przecież była młoda i spragniona rozrywek, flirtu, podbojów. To rozumiałe, bynajmniej nie miałam jej za złe tych niewinnych zabaw, nawet próbowałam przekonać Griszę, żeby nie przeżywał tego tak boleśnie. Ale on mnie nie słuchał.

— A więc sądzi pani, że powodem zabójstwa była zazdrość?

— Myślę, że tak.

— Proszę powiedzieć, Inno Fiodorowno, czy nie zauważyła pani ostatnimi czasy zmian w zachowaniu Wojtowicza. Może był rozkojarzony, rozdrażniony, zapominał o różnych rzeczach?

— Tak, tak, ma pan zupełną rację. Grisza rzeczywiście stał się jakiś... bardziej agresywny. Chyba tak bym to nazwała.

— A w czym się przejawiała ta agresja? Powodowała konflikty w pracy, Wojtowicz był skłócony z kolegami?

— Nie, wiedziałam o tym jedynie ja.

— Jak to możliwe?

— Bo stawał się taki, kiedy mówił o Żenieczce. Wówczas w oczach Griszy pojawiała się nienawiść, głos mu drżał ze złości, ręce

się trzęsły. Niekiedy aż się go bałam. Ale wobec kolegów zawsze był miły i uprzejmy, na nikogo ani razu nie podniósł głosu.

— A rozkojarzenie, luki w pamięci? Nic takiego pani nie zauważyła?

— Nie, szczerze mówiąc, nie zauważyłam.

— I jeszcze jedno pytanie, Inno Fiodorowno. Mówiła pani to wszystko śledczemu Bakłanowowi?

— Olegowi Nikołajewiczowi? Nie, nie mówiłam.

— A można wiedzieć dlaczego?

Litwinowa znów się zawahała. „Dlaczego, dlaczego — pomyślała z irytacją. — Dlatego że Grisza jeszcze wtedy żył i od razu by wszystkim zaprzeczył. Powiedziałyby, że to nieprawda. A teraz już nie powie...”

— Widzi pan... Dopiero teraz, kiedy Grigorij odebrał sobie życie, uwierzyłam, że zabił Żenieczkę. A wtedy nie wierzyłam. Nie chciałam uwierzyć. Znałam go tyle lat, byliśmy przyjaciółmi... Pragnęłam go chronić. Przyznaję, że postąpiłam źle, i bardzo pana za to przepraszam.

— No, przepraszać powinna pani raczej Bakłanowa, nie mnie. Za składanie fałszywych zeznań grozi kara, Inno Fiodorowno, jest na to paragraf. Wie pani o tym?

Litwinowa westchnęła i powiedziała ze skruchą:

— Ale przecież nikomu nie wyrządziłam przez to krzywdy, prawda? Gdyby na podstawie moich zeznań skazano niewinnego człowieka, wtedy, oczywiście, należałoby mnie pociągnąć do

odpowiedzialności. Ale tak... Grisza sam wymierzył sobie sprawiedliwość.

— Ach, o mało nie zapomniałem — zreflektował się Korotkow. — Czy pamięta pani, nad jakim projektem pracował Wojtowicz, kiedy wszystko to się stało?

To był cios poniżej pasa. Korotkow podniósł na nią spojrzenie uważnych, jasnych oczu, a ona sypała terminami naukowymi, wyjaśniała punkt po punkcie plan prac badawczych instytutu i czuła, jak gdzieś w środku wszystko w niej lodowacieje ze strachu.

## 5

Podczas gdy Korotkow przesłuchiwał pracowników laboratorium, w którym prowadził badania Grigorij Wojtowicz, Nastia siedziała w dziale kadr instytutu i przeglądała dane personalne. Najpierw wybrała teczki samych mężczyzn, a następnie tylko dokumenty tych, którzy mieścili się w przedziale wiekowym od czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu lat. Szytowa określiła wprawdzie wiek tajemniczego gościa Gałaktionowa na czterdzieści pięć — pięćdziesiąt, ale ostrożna Nastia na wszelki wypadek poszerzyła granice jego wieku, dodając po pięć lat od dołu i od góry. Wygląd może być mylący — dużo zależy od tego, czy człowiek dba o siebie, czy też przeciwnie, prowadzi niehigieniczny, niezdrowy tryb życia.

Poza tym Szytowej nie można uznać za zbyt wiarygodnego świadka, zważywszy na stan, w jakim się wówczas znajdowała.

Z mężczyzn w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu lat należało wyłuskać tych, których wygląd (w teczkach były zdjęcia) odpowiadałby z grubsza opisowi podanemu przez Szytową. Silni bruneci i nobliwi, szpakowaci uczeni mężowie poszli na bok. Łysi oraz ci, których w żaden sposób nie można by określić jako typ środkowoeuropejski — również. Na oddzielny stosik odłożyła Nastia teczki mężczyzn z wąsami lub brodą; zdjęcia zostały na ogół zrobione dawno, dzisiaj ci sami ludzie mogą już nie nosić zarostu. Następną stertę utworzyły teczki tych, którzy urodzili się i dorastali poza granicami centralnej Rosji. Tacy ludzie dość często zachowują wymowę właściwą dla okolic, z których pochodzą, choć w ciągu wielu lat spędzonych w Moskwie mogli również ów akcent utracić. Tych, podobnie jak wąsaczy i brodaczy, trzeba będzie jeszcze sprawdzić. Wreszcie zostali ci, których typ Nastia określiła umownie jako „czysty” — ciemni blondyni, bez cech charakterystycznych, rodowici moskwianie lub petersburżanie, bez zarostu.

Nastia poprosiła, by jakaś towarzyska laborantka oprowadziła ją po całym instytucie, zatrzymując się po drodze przy każdym napotkanym znajomku i wciągając go w niewinną pogawędkę na zadany wcześniej przez nią, Anastazję, temat. Szły więc długimi korytarzami, pokonywały skomplikowane przejścia i łączniki między budynkami, schodziły do piwnic, wjechały windą na ostatnie piętro, gdzie obite metalem drzwi, zaopatrzone w solidne zamki, strzegły schodów prowadzących na dach. Na dachu, wyjaśniła laborantka, znajdują się liczne urządzenia, bez których nie można byłoby prowadzić prac badawczych, „zgodnych z



profilem instytutu". Pod koniec spaceru nogi ciążyły Nasti jak kłody, krzyż jej pękał, i marzyła tylko o tym, żeby się położyć. Za to zdobyła bardzo wiele pożytecznych informacji. Wszyscy mężczyźni, którzy nosili wąsy, noszą je nadal, za to dwóch brodaczy zgoliło zarost. Jeden z nich, jak się okazało, na początku grudnia złamał nogę i do tej pory leżał w gipsie, drugiego Nastia przeniosła bez wahania do grupy przedstawicieli „czystego” typu. Spośród mężczyzn, którzy ewentualnie mogliby mówić z nieznacznym, choćby niemal nieuchwytnym dla ucha rodowitego moskwianina akcentem, jeden pochodził z Orła, drugi z Riazania, a w tamtych okolicach ludność na ogół posługuje się bardzo poprawnym językiem rosyjskim. W obu wypadkach w pełni się to potwierdziło, i ci mężczyźni również przewędrowali do grupy „czystych” typów. Na koniec z jej pierwotnego składu Nastia wyeliminowała trzy osoby — jedna z nich niemiłosiernie grasejowała i seple niła zarazem, druga wyraźnie się zacinała czy nawet jąkała, trzecia przez cały grudzień przebywała na stażu zagranicznym.

Anastazja wróciła do działu kadr, dokonała odpowiedniego przemieszczenia teczek i podsumowała rezultaty swoich działań. Ewentualnych podejrzanych było pięciu: dyrektor instytutu Alchimienko, doktor habilitowany nauk technicznych, profesor;

sekretarz naukowy instytutu Gusiew, doktor nauk matematyczno-fizycznych, docent;

kierownik laboratorium Borozdin, doktor habilitowany nauk technicznych, profesor;

samodzielny pracownik naukowy Łysakow, doktor nauk medycznych;

pracownik naukowy Charłamow, magister.

„Zaczniemy od nich — postanowiła Nastia, wyjmując miniaturowy aparat fotograficzny. — Pokażemy ich Szytowej, a jeśli żadnego nie rozpozna, zajmiemy się pozostałymi". Szybko pstryknęła dziesięć zdjęć całej piątki ewentualnych kandydatów, po dwa z każdej fotografii, potem to i owo sobie wynotowała, oddała teczki personalnej, po czym udała się na poszukiwanie Korotkowa.

## 6

Litwinowa co sił w nogach pędziła do domu. Serce waliło jej jak oszalałe, brakowało tchu, choć zdarzało się nieraz, że maszerowała jeszcze szybszym krokiem; w młodości uprawiała sport, odnosząc niemałe sukcesy. Wpadła do mieszkania, zobaczyła, że Juli nie ma, i rzuciła się do telefonu. — W instytucie jest milicja — oznajmiła, z trudem opanowując oddech po intensywnym marszu. — Czego szukają? — usłyszała w odpowiedzi.

— Na razie nie t e g o, ale i do t e g o mogą się dogrzebać. Robię, co mogę, ale...

— Jak szybko będzie pani gotowa?

— Jeszcze wczoraj mogłabym dać panu gwarancję, że w ciągu półtora miesiąca wszystko zostanie zapięte na ostatni guzik. Ale teraz nie wiem. Niewykluczone, że prace trzeba będzie przerwać na jakiś czas. Albo w ogóle zarzucić. — To nie wchodzi w rachubę — padła odpowiedź. — Prace muszą zostać ukończone, a urządzenie

trafić do klienta. Do pani należy powiadomienie nas, że opuściło już teren instytutu. Reszta to nasze zmartwienie. Musi pani stanąć na głowie, żeby milicja się do niego nie dobrała. Otrzyma pani za to, oczywiście, odpowiednią gratyfikację.

— W jakiej wysokości? — zapytała natychmiast i wstrzymała oddech z napięcia.

— Czterdziestu procent ustalonej poprzednio sumy.

— Nie wszystko zależy tylko ode mnie. Ale zrobię, co w mojej mocy — obiecała Inna. Pieniądze były jej bardzo potrzebne. Dużo, dużo pieniędzy.

## 7

Mężczyzna, który rozmawiał z Inną Litwinową, odłożył słuchawkę i w zamyśleniu spojrzął na wiszący na ścianie obraz. Malowidło przedstawiało bukiet wspaniałych egzotycznych kwiatów w wysokim, smukłym szklanym wazonie. Lubił patrzeć na tę martwą naturę; jakoś go uspokajała. A jednak miał rację, kiedy nalegał, żeby działać ostrożnie, unikając ryzyka. Jakby przeczuwał niebezpieczeństwo! Miał swoich ludzi w otoczeniu Mierchanowa, oni mu właśnie donieśli, że Mierchanow czeka na jakieś urządzenie. Reszta była sprawą profesjonalnych działań szpiegowskich. Trzeba się było dowiedzieć, o jakie urządzenie chodzi i skąd Mierchanow spodziewa się je otrzymać, a nawet ile ma ono kosztować. Potem —

przechwycić zamówienie, drogo za to płacąc, albo po prostu zlecić wykonanie takiego samego urządzenia. No jasne, po co płacić więcej, kiedy można zapłacić mniej? Śmieszne pytanie. Poza tym lepiej nie ściągać na siebie niepotrzebnie uwagi.

Znaleziono więc Innę; była jedną z osób zatrudnionych przy produkcji urządzenia w instytucie. Nieszczęśliwa w życiu osobistym, gwałtownie potrzebowała pieniędzy, by zatrzymać przy sobie przyjaciółkę lesbijkę; ta miłość stanowiła jedyny jaśniejszy promień w jej szarej egzystencji. Okazało się, że Inna nawet nie podejrzewała, przy produkcji j a k i e g o urządzenia pracuje. Zaproponowano jej więc dodatkowy zarobek — wykonanie z niezewidencjonowanych materiałów specjalnego urządzenia antenowego; następnie miało ono zostać sprzedane za dobre pieniądze klientowi — jakiejś firmie, której właśnie taka aparatura była absolutnie niezbędna. Tak czy owak, wszystko udało się przeprowadzić. Nad urządzeniem pracuje czworo ludzi, pieniądze zostaną między nich podzielone prawie po równo. Prawie, ponieważ ten, kto znalazł klienta i opracował projekt zgodnie z jego życzeniami, dostanie więcej. Inna uważała, że to sprawiedliwy podział.

Tak właśnie sprawa wyglądała, gdy zaproponowano współpracę Litwinowej. Wyjaśniono jej, do czego urządzenie ma służyć, a ona się przeraziła. Ale tylko na moment. Kiedy usłyszała, ile pieniędzy dostanie, przerażenie bardzo szybko minęło. Litwinowa miała obowiązek informować, jak posuwają się prace nad realizacją projektu, i powiadomić o ich zakończeniu. Potem pozostanie już tylko namierzyć ludzi Mierchanowa, którzy zgłoszą się po odbiór urządzenia. Dalej sprawa będzie prosta. Niewielka akcja, fakt, że

przy użyciu broni palnej — i urządzenie znajdzie się w ich rękach. Inna otrzyma swoją dolę z pieniędzy Mierchanowa plus to, co oni jej zapłacą. To i tak wypadnie taniej niż podkupienie urzędnika. Mierchanow przecież nie poleci na skargę. I jedni, i drudzy to złodzieje...

Warto by się dowiedzieć, za czym milicja węszy w instytucie. Może trzeba się jakoś zabezpieczyć? Lepiej dmuchać na zimne.

Nie, nie będziemy się śpieszyć, zdecydował, pośpiech jest dobry przy łapaniu pcheł, a nie przy opracowywaniu ważnych posunięć strategicznych. Nie można podejmować żadnych kroków pochopnie. Lepiej pozwolić sprawie się odleżeć.

Wpatrywał się jak urzeczony w egzotyczne kwiaty na długich łodygach, tak pięknie kontrastujące z jasnoszarym tłem. Wspaniały obraz, naprawdę go uspokaja...

# ROZDZIAŁ VI

## 1

Nadieżda Szytowa długo oglądała fotografie pięciu mężczyzn „w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu pięciu lat, bez znaków szczególnych”.

— Nie mogę wskazać na żadnego z nich — powiedziała na koniec, patrząc niepewnie na Docenkę.

— Ale czy któryś z nich wydaje się pani znajomy?

— Nie, żaden. Naprawdę nie pamiętam jego twarzy. Bardzo żałuję.

— Ja też, Nadieżdo Andriejewno. — Misza westchnął ze znużeniem.

Okropnie chciało mu się spać. W nocy matka znowu miała atak serca, znowu wzywał pogotowie, potem krzątał się przy niej do rana, zdążył się tylko zdrzemnąć zaledwie półtorej godziny i teraz walczył z sennością i ziewaniem. Nie mógł, niestety, rzucić wszystkiego, wrócić do domu i porządnie się wyspać. Musiał jechać do banku, gdzie pracował Gałaktionow, i znaleźć kobietę z wydziału kredytowego, która tak dobrze mówiła o oszuście i hochsztaplerze Sańce, ksywa Wist.

Na poszukiwania stracił dużo czasu, okazało się, że kobiety nie ma w pracy, wzięła dwa dni urlopu na załatwienie jakichś spraw rodzinnych. Tak długo Misza nie mógł czekać, więc choć wydawało mu się nietaktem nachodzić ją w domu, zwalczył w sobie zahamowania dobrze wychowanego młodzieńca i zjawił się bez uprzedzenia w mieszkaniu Natalii Towkacz.

Jego wizyta wypadła najwyraźniej nie w porę, Natalia w podwiniętych do kolan spodniach od dresu i starej trykotowej koszulce akurat sprzątała mieszkanie. Na środku przedpokoju huczał włączony odkurzacz, jego rura niby długi wąż wiła się po podłodze, z łazienki dobiegał szum lejącej się wody, a z kuchni rozdzierające okrzyki: „Andres! Jak możesz! Nie wolno ci tak mówić!” Misza zrozumiał, że gospodyni, robiąc porządki, jednocześnie stara się śledzić akcję jednego z latynoamerykańskich seriali.

Mimo woli się skrzywił. W tym hałasie momentalnie rozboleła go głowa. Oczywiście, gdyby nie bezsenna noc, nie zwróciłby nań w ogóle uwagi. Misza — zdrowy dwudziestosiedmioletni mężczyzna — mógł cały dzień być na nogach, nie przysiadając ani na minutę, mógł długo stać bez ruchu lub leżeć w niewygodnej pozycji, jeśli musiał brać udział w zasadzce, i na dwudziestostopniowym mrozie spacerować beztrąsko w lekkiej dżinsowej kurtce i z gołą głową, nie łapiąc nawet kataru. Za nic jednak nie potrafił obyć się bez snu. Sen to był jego słaby punkt. Misza zasypiał w mgnieniu oka, ledwie przyłożył głowę do poduszki, a równo po sześciu godzinach budził się wypoczęty i pełen sił. Jeżeli do owych sześciu godzin brakowało mu choćby kwadransa, czuł się rozbity i chory. Nastia mawiała zawsze, że ona i Michaił zostali skonstruowani wedle diametralnie

różnych szablonów. Dla Docenki najważniejsze było jego przepisowe sześć godzin, wszystko jedno, czy od dziesiątej wieczór do czwartej rano, czy od czwartej rano do dziesiątej — to nie miało najmniejszego znaczenia. Dla Nasti przeciwnie — w chwili jej przebudzenia na dworze musiało być jasno; nigdy nie czuła się dobrze, wstając o piątej rano, choćby spała przedtem nawet dziesięć godzin.

Pokonując ból głowy i zmęczenie, Misza, uprzejmy i uśmiechnięty, zaczął rozmowę z pracownicą wydziału kredytowego banku. Natalii Towkacz wkrótce nie tylko przeszło rozdrażnienie spowodowane wizytą niespodziewanego gościa, który przeszkodził jej w sprzątaniu, ale była nim wręcz oczarowana. Prawił jej komplementy, zniżał głos niemal do intymnego szeptu; lekkim westchnieniom towarzyszyły zagadkowe, wymowne spojrzenia — Misza potrafił zręcznie zasugerować, że sama gospodyni interesuje go o wiele bardziej niż jakiś tam nieżyjący Gałaktionow.

Jednakże zaraz po wyjściu z mieszkania Docenko przestał się uśmiechać. To, co zdołał wyłowić z relacji Natalii, wcale mu się nie podobało. Z najbliższego automatu zadzwonił do Nasti.

— Anastazjo Pawłowno, będę chyba zmuszony prosić panią o pomoc.

— A o co chodzi? Był pan u tej Towkacz?

— Tak, i teraz chciałbym się wybrać do Amerykańskiego Centrum Medycznego. Podejrzewam, że coś tu zdecydowanie nie gra.

— Aha, i potrzebuje pan tłumacza?

— Gdyby była pani tak dobra...



Do lecznicy przyjechali już pod koniec dnia pracy. Zaprowadzono ich od razu do dyrektora administracyjnego, stamtąd do działu informacji i finansów, gdzie otrzymali dane na temat wszystkich wizyt i konsultacji, jakie w centrum diagnostycznym odbyły dzieci skierowane przez bank Exim, a wreszcie dotarli do lekarzy, którzy je badali. — Uczciwie uprzedzałem rodziców, że dziecku nie można pomóc — oświadczył pierwszy ze specjalistów, patrząc na monitor komputera, gdzie widniały wszystkie wyniki badań chłopca chorego na białaczkę. — Które jeszcze dzieci was interesują?

— Te. — Anastazja podała mu kartkę, na której wydrukowano siedem nazwisk. Otrzymała tę listę w dziale informacji: dzieci skierowane przez bank Exim, doktor Farrell, hematolog.

— Niestety, wszystkie te przypadki były beznadziejne. — Lekarz wzruszył ramionami. — I za każdym razem informowałem o tym rodziców.

— Nie przypomina pan sobie, czy zawsze towarzyszył im ten sam tłumacz?

— Tak, dobrze go zapamiętałem, właśnie dlatego, że jakoś nie wyglądał na tłumacza. Miał na imię Aleksander, prawda? — Tak. A dlaczego uważa pan, że nie wyglądał na tłumacza?

— Wiedzą państwo, tłumacze zwykle nie są zaangażowani emocjonalnie. Niewiele ich obchodzi troski i kłopoty ludzi, którym pomagają się porozumieć. A Aleksander robił wrażenie przejętego losem dzieci. Jak by to państwu wyjaśnić... Sam prowadził malca za rączkę, głaskał go po głowie, uspokajał. Wobec rodziców również był bardzo opiekuńczy i delikatny. Proszę sobie wyobrazić, co czuje matka czy ojciec, gdy się dowiaduje, że dziecko nigdy już nie wróci

do zdrowia, a jego stan nie tylko się nie poprawi, lecz nieubłagana choroba wkrótce zakończy się śmiercią. Aleksander jednak potrafił tak do nich przemówić, że przyjmowali tę straszną wiadomość mężnie i z godnością. Oczywiście, niektórzy płakali, ale w obecności Aleksandra nigdy nie wpadali w histerię i nie mdleli.

— Dziękuję, doktorze Farrell — powiedziała Nastia, po czym udali się do kolejnego lekarza. „Dzieci skierowane przez bank Exim, doktor Totenheim, onkolog”. W torebce Anastazja miała jeszcze dwie listy: „Doktor Robinson, neurolog” i „Doktor Linnes, ortopeda”.

Niestety, od pozostałych specjalistów nie usłyszeli nic nowego. Wszystkie dzieci skierowane przez bank Exim, które przywoził Aleksander, były przypadkami beznadziejnymi. Niekiedy informowano rodziców, że bez operacji dziecko może przeżyć jeszcze rok lub dwa, udana operacja natomiast, choć nie przywróci pełnej sprawności, mogłaby znacznie przedłużyć mu życie, ale ogólny stan organizmu stanowi przeciwwskazanie do zabiegu, gdyż dziecko z pewnością go nie przetrzyma. W niektórych wypadkach lekarze mówili rodzicom uczciwie, że dziecko umiera i tylko cud może je uratować. W jeszcze innych, że istnieją pewne szanse, choć bardzo niewielkie. Ale takich było zaledwie trzy na wszystkie dwadzieścia dziewięć. Niemniej były.

— Widzę, że coś się pani nie podoba — zauważył jeden z lekarzy, doktor Robinson. — Ma pani taki dziwny wyraz twarzy.

— Wie pan, u nas w Rosji raczej nie zapoznaje się chorego tak otwarcie z diagnozą, zwłaszcza jeśli rokowania są złe. Lekarze starają się pacjenta bardziej... oszczędzać. Człowiek powinien mieć nadzieję, inaczej...

— Człowiek powinien znać prawdę o sobie i swojej przyszłości — przerwał Nasti szorstko doktor Robinson, drobny Murzyn o subtelnych rysach i gęstych, gładko przyczesanych włosach. — W przeciwnym razie on sam i jego bliscy znajdą się w stanie absolutnego chaosu finansowego i prawnego. Proszę mi wybaczyć szczerość, ale w waszym niezbyt cywilizowanym kraju te racje wydają się na razie niepojęte. Kiedy jednak każdy tutejszy obywatel będzie posiadał jakąś własność, a co za tym idzie, stosowne prawa i obowiązki oraz spadkobierców, kiedy rozwinię się system ubezpieczeń, staną się one zrozumiałe. Nie wcześniej. Czy mogą służyć czymś jeszcze?

Wyszedszy z Amerykańskiego Centrum Medycznego, Nastia i Docenko pośpieszyli do niemieckiej Fundacji Pomocy Dzieciom, która opiekowała się malcami wymagającymi kosztownego leczenia. Procedura polegała na tym, że najpierw dziecko musiało przejść badania w centrum diagnostycznym (płacił za nie bank, który pośredniczył między obiema instytucjami). Kiedy rodzice mieli już wyniki w rękę, zwracali się o pomoc do fundacji. Tam rozpatrywano złożone wnioski i typowano do leczenia dzieci, które następnie kierowano do najlepszych klinik europejskich. Część wydatków na leczenie pokrywała fundacja, ale jej pomoc sprowadzała się przede wszystkim do tego, by zapewnić chorym możliwość wyjazdu za granicę i miejsce w placówce, zatrudniającej najlepszych specjalistów w danej dziedzinie medycyny. Fundacja również określała wysokość sumy, jaką powinni wnieść rodzice dziecka. Jeśli dziecko umierało w szpitalu, te pieniądze — po drobnych potrąceniach — niemal w całości im zwracano.

To, czego Nastia i Michaił dowiedzieli się w fundacji, zaniepokoiło ich jeszcze bardziej. Z dwudziestu dziewięciu par rodzicielskich, które zgłosiły się z chorymi dziećmi na badania do centrum (w towarzystwie Aleksandra Gałaktionowa), aż dwadzieścia sześć złożyło dokumenty w fundacji. W czterech przypadkach rodzicom odmówiono, dwadzieścia dwoje dzieci zaś wysłano na leczenie za granicę. Wszystkie one zmarły. Rodzice trojga nie wystąpili o pomoc do fundacji. Była to właśnie ta trójka, która miała pewne szanse na wyleczenie.

— Wystarczy na dziś, Misza — oznajmiła zdecydowanie Nastia, gdy wychodzili z luksusowej siedziby niemieckiej fundacji. — Czuję się tak, jakby mnie ktoś wrzucił do szamba. Teraz pozostaje już tylko obejść dwadzieścia dwie rodziny, w których zmarło dziecko, i dowiedzieć się, czy zwrócono im pieniądze, które wpłaciły na leczenie. Jestem przekonana, że ich nie dostały z powrotem. Rodzice podpisali jakieś papiery, niemal w nie patrząc, przytłoczeni zgryzotą i żalem, i na tym koniec. Zresztą nie rozumieją ani po niemiecku, ani po angielsku. Ten łajdak spośród wszystkich, którzy zwracali się do banku-pośrednika, wybierał tylko tych, co mieli ciężko, właściwie śmiertelnie chore dzieci i nie znali języków, więc potrzebowali tłumacza. Lekarz mówił, że dziecka nie da się uratować, a co przekazywał rodzicom Gałaktionow? Sprytnie mącił im w głowach, wykorzystując ich ignorancję i nieznamość języka. Dlatego właśnie lekarze byli zdziwieni, że mimo tragicznego wyroku rodzice nie szlochają i nie wiją się w konwulsjach. Ale najbardziej odrażające jest to, że nie wahał się nadużywać zaufania osób, którym umiera dziecko i które tak bardzo pragną, by ofiarowano im choćby isierkę nadziei. Nadziei na cud. W takiej

sytuacji ludzie często zupełnie bezkrytycznie gotowi są uwierzyć w każdą bzdurę, bo gorąco chcą w nią wierzyć. A ten bydlak zerował na ich nieszczęściu. Kiedy dziecko umierało, przychodził do banku przelew z fundacji — zwrot sumy wpłaconej przez rodziców. Gałaktionow podsuwał im papierki, pokazywał palcem, gdzie mają podpisać, i składał serdeczne wyrazy współczucia. Ci ludzie nie wiedzieli nawet, co podpisują, i wychodzili, a ich pieniądze ten łajdak chował do własnej kieszeni. Co za kanalia!

— A tamte trzy pary? — dodał ponuro Misza, biorąc Nastię pod rękę, gdyż, podniecona i wściekła, nie zwracała uwagi na głębokie kałuże, w których stała czarna woda, zmieszana z brudnym, mokrym śniegiem. — Co im powiedział? Że nie można ich dzieci wysłać na leczenie? Dlaczego nie złożyli wniosków w fundacji?

— Moglibyśmy ich, oczywiście, zapytać, ale to przecież jasne, że coś im nakłamał. Na przykład, że nie ma takich klinik, że choroba jest nieuleczalna, że przypadek ich dziecka z jakichś względów nie kwalifikuje się do leczenia. Po co miał ich wysłać za granicę, skoro dziecko mogłoby wyzdrowieć? Straciłby przecież swoje pieniążki!

— Niczego by nie stracił — zaproponował Misza. — Przecież to nie on płacił za leczenie, więc niechby dzieciaki skorzystały. Co za różnica?

— Żadna. I właśnie to jest najohydniejsze. Facet z pewnością uważał, że fundacje dobroczynne istnieją wyłącznie po to, żeby tacy spryciarze jak on mogli się dzięki nim bogacić, a nie po to, żeby komuś pomagać w potrzebie. Nawet do głowy mu nie przyszło, że skoro już bank opłacił w centrum diagnostycznym badania dziecka, które ma szansę na wyleczenie, to fundacja może się zająć całą resztą. Dla niego była ona tylko narzędziem do wyciągania

pieniędzy od nieszczęsnych rodziców. Co takiego powiedział żonie Gałaktionow, kiedy do pudła od aparatu fotograficznego włożył starą zasuwę, pamięta pan? — „Byłoby grzechem nie skorzystać z okazji”?

— O, właśnie. Cóż, Miszeńka, teraz jestem absolutnie pewna, że jeśli akta sprawy Dimy Krasnikowa znalazły się w rękach tego drania, to Łykw nie kłamie. Taki typ bez skrupułów wyjawia cudzą tajemnicę, gotów cisnąć ją każdemu niczym psu kość, byleby on sam nie musiał pozbywać się gotówki.

Misza prowadził Nastię troskliwie, klucząc między głębokimi kałużami.

— Jedzie pani do domu? — zapytał, podchodząc do przystanku, żeby sprawdzić źle widoczne w wieczornym zmroku numery autobusów.

— Nie, muszę wrócić na Pietrowkę. Kiedy pan zadzwonił, zostawiłam wszystkie papiery na biurku i wyszłam, a tego, co chciałam przejrzeć w domu, nie zdążyłam zabrać. A pan? — Ja też wracam do pracy. O, jedzie nasz autobus. — Machnął ręką w stronę podjeżdżającego na przystanek, zatłoczonego ikarusa. — Wsiadamy, Anastazjo Pawłowno, ten nas dowiezie do metra.

— Ależ co pan, Miszeńka! — przeraziła się nie na żarty Nastia na widok tłoku w wozie. Nie mniejszy tłum szturmował autobus z ulicy. — To dla mnie śmierć. Nie mogę jeździć w takim ścisku i zaduchu, robi mi się słabo. Chodźmy pieszo, bardzo proszę.

— Ale to kawał drogi — uprzedził uczciwie Misza, który dobrze znał krążące po wydziale legendy o nieprawdopodobnym lenistwie Anastazji Kamieńskiej. — Piechotą jakieś dwadzieścia minut.

— Wszystko jedno. — Nastia z uporem pokręciła głową. — Lepsze to niż zasłać, a potem być cuconą amoniakiem. Ruszyli powoli ciemną, nieprzyjazną ulicą. Przykre wrażenie, jakie im pozostało po odkryciu ohydny proceder Aleksandra Gałaktionowa, było tak silne, że obojgu nie chciało się nie tylko o nim mówić, ale nawet myśleć. Nastia szła szerokim chodnikiem, prawie nie patrząc pod nogi i nie podejrzewając, że w istocie od dziś będzie kroczyła po wążiuteńkiej kładce, po obu stronach której czai się jedynie śmierć.

## 2

W domu Nastia najpierw weszła pod gorący prysznic. Wydawało jej się, że moralny brud dawno nieżyjącego Gałaktionowa przyłgnął do niej i nie daje się zmyć. Instynktownie pragnęła jak najszybciej się oczyścić.

Po prysznicu poczuła się trochę lepiej. Plecy już tak bardzo nie bolały, ustały paskudne, zimne dreszcze, które często wywoływało złe krążenie. Nastia zaparzyła mocną kawę, otworzyła jakieś konserwy, ukroiła kawałek chleba, ale nagle, powąchawszy zawartość puszki, wstawiła ją z powrotem do lodówki. Zupełnie straciła apetyt. Zamiast kolacji wypiała dwie szklanki lodowatego soku pomarańczowego.

Znowu chwyciły ją dreszcze, nie pomogła gorąca kawa. Weszła więc do łóżka, przykryła się dwoma kocami i puściła kasetę wideo

ze swoim ulubionym koncertem trzech tenorów na mistrzostwach świata w piłce nożnej. Śpiewali José Carreras, Placido Domingo i Luciano Pavarotti. Z rozkoszą podziwiała kolejny raz niezwykłą finezję, z jaką rozgrywali na melodię O sole mio cały spektakl meczu futbolowego — ze sławnym, uwielbianym napastnikiem, skorym do śmiechu lewym obrońcą i zabawnym, ruchliwym nowicjuszem, który biegnie u boku mistrza i nudzi w kółko: „No daj poprowadzić piłkę, daj poprowadzić!” Trzeba być nie lada aktorem, żeby takie boiskowe namiętności przekazać w interpretacji popularnej neapolitańskiej pieśni. I wreszcie słynna aria Kalafa, którą wielki Pavarotti śpiewa zawsze na zakończenie każdego koncertu. Inaczej publiczność nie pozwoliłaby mu zejść ze sceny. Nastia mogłaby tysiąc, nie, sto tysięcy razy patrzeć w skupioną twarz artysty, którą w finale arii opromienia tryumfalny uśmiech, i słuchać wspaniałego głosu, oznajmiającego w uniesieniu: Vincero! Vincero! W takiej chwili nikt z widzów nie wątpi, że ten tęgi, spocony sześćdziesięcioletni mężczyzna z rozłożystą czarną brodą, olśniewająco białymi zębami i nieodłączną chusteczką w dłoni naprawdę zwycięży, stając na czele wojska, tak jak to obiecuje księżę Kalaf...

Na zasadzie złośliwości rzeczy martwych telefon powinien się odezwać właśnie w tym momencie. I rzeczywiście, zadzwonił.

— Co słyhać, dziecino? — rozległ się w słuchawce głos Leonida Pietrowicza.

— W porządku.

— Nie rozmyślałaś się w sprawie wyjścia za mąż?

— Na razie chyba nie — blado zażartowała Nastia.



— Ej, kto to? — Ojczym usłyszał głos znakomitego tenora.

— Pavarotti? Na którym programie? Poczekaj, zaraz otworzę telewizor.

— To wideo.

— Wideo? Skąd? Przecież go nie miałaś — rzucił Leonid Pietrowicz surowo.

Stale powtarzał Nasti, że „uczciwość przede wszystkim”. Pracownik milicji musi żyć tylko z pensji i ewentualnie z honorariów za książki lub wykłady. Z innych źródeł nie może przyjąć choćby kopiejki. Pochwalał to, że córka w czasie urlopu dorabia przekładami z angielskiego i francuskiego, ale wiedział dobrze, kiedy i na co wydaje pieniądze, zarówno te z pensji, jak i dodatkowe. Zakup aparatury wideo nie leżał w granicach jej możliwości, chyba że pożyczyla forszę. Ale to do niej niepodobne...

— Tatusiu, nie denerwuj się, to wideo stoi u mnie od października. Nie jest moje, to znaczy niezupełnie moje... — Anastazjo, co to za wykręty? Coś przede mną ukrywasz? — Och, tato, wiesz...

Nagle poczuła, że zdradzieckie łzy napływają jej do oczu, a usta zaczynają drżeć. Za chwilę się rozbeczy. Nie może teraz opowiadać o Bokrze, od razu zaczyna płakać. Mały, śmieszny człowieczek, złodziej poliglota i intelektualista, sumienny, twórczy, obowiązkowy, miał wszelkie zalety prawdziwego mężczyzny — był zrównoważony, opanowany, taktowny i powściągliwy. A zarazem niezręczny i czasami żaloszny, o idiotycznym, piskliwym śmiechu. Przyniósł jej to wideo, żeby mogła obejrzeć kasety, które nagrywał wedle jej instrukcji, kiedy prowadziła pewne prywatne śledztwo.

Przyniósł, ale go nie zabrał, ponieważ został zamordowany. Zmarł w szpitalu, niemal na rękach Nasti. Ona chyba już nigdy nie nauczy się mówić o nim spokojnie, bez emocji. Chociaż kto wie...

— Opowiem ci kiedy indziej. No to na razie, dobranoc, bo już śpię. Całuję — powiedziała spokojnym głosem, żeby Leonid Pietrowicz niczego nie podejrzewał. Ostrożnie odłożyła słuchawkę, zgasła telewizor i światło, ukryła twarz w poduszce i dała upust łzom.

### 3

Po cichu, starając się nie obudzić żony, wysliznął się spod kołdry i na palcach wymknął się na korytarz. Zamknął dokładnie drzwi sypialni, odetchnął głęboko, zdjął z wieszaka w łazience frotowy szlafrok w ciemne pasy i wszedł do pokoju, który jeszcze do niedawna należał do ich córki, a teraz — odkąd ta wyszła za mąż i wyprowadziła się — stał się jego gabinetem.

Urządził go w sposób gruntownie przemyślany i wedle własnego gustu, sam kupił i powiesił na ścianach półki na książki, sam jeździł po sklepach meblowych, żeby wybrać biurko, duże, z licznymi szufladami, by można było rozłożyć w nich wszystkie papiery i dokumenty, niczego nie pomieszać i nie poplątać. Nie lubił światła dziennego, dlatego wybrał do gabinetu grube, ciemne zasłony, które

zawsze były zaciągnięte i prawie nie przepuszczały słońca, stwarzając w pokoju przyjemny półmrok.

Sam też wbudował w ścianę, do której przylegał bok biurka, niewielki sejf. Nigdy nie trzymał w nim nic szczególnie wartościowego, tajne dokumenty przechowywał w sejfie w pracy, ale ważne dla niego było poczucie odosobnienia, izolacji od reszty świata, od rodziny i pewność, że jeśli zechce coś ukryć, będzie mógł to zrobić. Nie chodziło tu jedynie o obcych, w równym stopniu dotyczyło to jego żony. Myśl, że ktoś wie o nim zbyt wiele, była dla niego nie do zniesienia, i to nie dlatego, że miał coś do ukrycia, lecz dlatego, iż czuł się wówczas jak nagi pośród ubranych ludzi. Od wczesnego dzieciństwa zazarcie bronił swego prawa do prywatnej przestrzeni, gdyż w przepełnionym baraku mieszkańcy żyli w warunkach przymusowej jawności. Jeśli ktoś miał biegunkę, natychmiast wszyscy o tym wiedzieli, gdyż do ustępu trzeba było defilować pod oknami sąsiadów. W baraku niczego nie dało się zachować w sekrecie, ani jednego słowa, ani najbardziej błahego uczynku. Z dzieciństwa wyniósł nienawiść do ludzi i patologiczną skrytość. Gabinet stał się jego prawdziwym domem, azylem, miejscem, gdzie znajdował wreszcie odrobinę świętego spokoju. Zapalił stojącą lampę, nie włączając górnego światła, wystukał szyfr na panelu, otworzył sejf, wyjął grubą teczkę i usiadł przy biurku. Z nawyku przerzucił, nie czytając, kilka pierwszych stron. No, są zdjęcia.

Na czarno-białych fotografiach dobrze było widać to, co chciał zobaczyć. Poranione ogromnym nożem myśliwskim piękne ciało Jewgienii Wojtowicz, i krew, krew, krew... Nawet po śmierci, takiej strasznej śmierci, jej niezwykła, cudowna twarz wciąż pozostawała

piękna, doskonała, i kryła w sobie nieznaną mu tajemnicę. „Kocham swojego męża” — powiedziała Jewgienia. Głupia. Cóż to jest miłość? Po co go kochałaś? Po to, żeby w końcu zginąć tak tragicznie z ręki brutala?

Po tamtych dwóch rozmowach telefonicznych długo nie mógł się uspokoić. Wydawało mu się, że otarł się przelotnie o coś niepojętego, zagadkowego, ulotnego, czego za nic nie mógł pochwycić. I wtedy po raz pierwszy w życiu naprawdę się przestraszył. Może coś z nim jest nie w porządku? Może jego chłód emocjonalny, który traktował dotąd jako rzecz zupełnie naturalną, to w rzeczywistości jakiś straszny defekt, wada, niedostatek moralny? Ale to by znaczyło, że pieczołowicie skonstruowana przez niego koncepcja własnego „ja” jest niesłuszna, że całe życie przeżył źle, że pozostaje obiektem ukrytych kpin i litości, jaką wywołują ohydne, kalekie stwory.

Myśl ta sprawiła mu tyle bólu, że aż się zdziwił. I zaczął budować wokół swego „ja” mur obronny. Jewgienia Wojtowicz to młoda, głupiutka gaska, naiwnie przyjmująca za dobrą monetę wszystko, co wyczytała w książkach i oglądała w kinie. Nie ma żadnej miłości, nie ma, są tylko różne formy współzycia między ludźmi, którzy z takich czy innych powodów tolerują się nawzajem. Istnieje na to niezbity dowód, on przecież trzyma go w ręku, patrzy na niego — i to jest rzeczywistość. A miłość — to mit.

Przewrócił kartkę i zaczął się z uwagą wczytywać w suche informacje:

„...Powłoki skórne... pokryte świeżą krwią. Zwłoki ciepłe w dotyku. Stężenie pośmiertne słabo wyczuwalne... Temperatura w kiszce stolcowej, zmierzona termometrem chemicznym... Przy

silnym uderzeniu trzonkiem młotka neurologicznego w obnażoną przednią powierzchnię prawego ramienia w jego środkowej części pojawił się obrzęk mięśni. Pionowa rana cięta długości 3,8 cm (brzeży przywiedzione)... Pozioma... długości 3,6 cm... Pionowa... długości 3,9... Pozioma... długości 16,4 cm..."

Zdawał sobie sprawę, że nie powinien trzymać tego w domu. Chciał ukraść teczkę z aktami wcale nie po to. Zależało mu na przedśmiertnej notatce Wojtowicza. Śledczy odmówił mu jej okazania, a on się przestraszył. Co w niej jest? Co napisał ten dureń, zanim się powiesił? On musiał koniecznie zdobyć tę kartkę, żeby albo ją zniszczyć, albo się upewnić, że nie ma powodu do obaw. W końcu notatka znalazła się w jego posiadaniu, rzeczywiście powiedziano w niej wiele, ale zrozumieć jej treść mogli tylko ci, którzy wiedzieli o t y m. A takich z kolei było niewielu. Wszystkim innym z pewnością wydawałaby się chaotycznym bredzeniem człowieka, którego dręczą wyrzuty sumienia po okrutnym zamordowaniu gorąco kochanej żony. Ten oszust Gałaktionow wszystko załatwił jak należy, a śledczy, sam o tym nie wiedząc, jeszcze mu w tym dopomógł. Stchórzył i nie odważył się przyznać, że stale — wbrew wszelkim zaleceniom — zostawia otwarte i drzwi gabinetu, i sejf. Zamiast tego widocznie wolał sprokurować mały pożar na swoim biurku, żeby utratę teczek złożyć na karb owego wypadku. Brawo, tchórzliwy mały zajączku, sprytny jesteś, nie zginiesz!

Ale razem z notatką dostała się w jego ręce reszta zawartości teczki. Protokoły. Zdjęcia. Wpatrywał się w nie jak urzeczony. Proszę, oto dowód, że racja była po jego stronie. On jest normalny, a wszyscy inni to tępaki, ofermi, pleciugi i durnie. Ona też...

Odmówiła mu i myślała, że on się obrazi. Idiotka. Gdyby tego nie zrobiła, żyłaby teraz. Ale wołała powtarzać w kółko: miłość, miłość, kocham swojego męża. Bzdury.

Chłodny, trzeźwy umysł podpowiadał mu, że akta sprawy należy spalić, tak jak spalił trzy inne teczki, a popiół wsypać do muszli klozetowej i spuścić wodę. Ale nie potrafił wyzbyć się tego dowodu. Potrzebuje go, z niego czerpie siłę i pewność siebie. Pewność, że jest normalny — w granicach przyjętych dla homo sapiens. Nie jest potworem. Po prostu inni to niedorozwinięte umysłowo, prymitywne istoty.

## 4

Dyrektor instytutu, profesor Alchimienko, usłyszał dzwonek telefonu już na korytarzu. Miał zamiar pojechać do ministerstwa i w pierwszej chwili postanowił nie wracać do gabinetu i nie podnosić słuchawki. Siedząca w sekretariacie Tanieczka wyszła do toalety, żeby umyć naczynia po porannej herbacie szefa z jego bliskimi współpracownikami, telefon na biurku wprost się urywał, i Alchimienko nagle pomyślał, że z pewnością nie zapowiada on nic dobrego. Sam nie wiedząc dlaczego, wrócił do pokoju i podniósł słuchawkę.

Dzwonił major Korotkow, milicjant z Pietrowki, który odtwarzał dokumenty ze spalonej teczki.

— Zależy mi na krótkiej rozmowie z panem oraz niektórymi pańskimi kolegami i podpisaniu protokołów. Czy mogliby panowie

wszyscy razem przyjechać do nas na Pietrowkę, powiedzmy, o piątej?

— Dlaczego koniecznie razem? — obruszył się Alchimienko. — Nie jestem pewien, czy wszyscy, o których chodzi, nie będą akurat w tym czasie zajęci.

— Proszę się postarać, Nikołaju Nikołajewiczu. Widzi pan, w teczce był dokument, którego absolutnie nie możemy odtworzyć bez waszej wspólnej pomocy. Dlatego proszę, żeby przyjechał pan, sekretarz naukowy instytutu, kierownik laboratorium, w którym pracował Wojtowicz, jego kolega Charłamow i Giennadij Łysakow. Widzi pan, pomyślałem, że jeśli któryś z nich ma samochód, najwygodniej będzie zabrać się wszystkim panom razem, akurat zmieszczą się panowie w jednym wozie. Mógłbym, oczywiście, zaprosić każdego z osobna, ale przyznam szczerze, że brak mi na to czasu. Akurat dzisiaj pod koniec dnia jestem wolny, więc od razu do pana zadzwoniłem.

— Dobrze, zanotowałem. — Alchimienko nagle złagodniał. — Gusiew, Borozdin, Charłamow, Łysakow i ja. O piątej. — Tak jest — potwierdził niby to służbiście Korotkow. — Przed piątą wyślę kogoś do biura przepustek, żeby tam na panów czekał i zaraz zaprowadził ich do mnie. Proszę nie zapomnieć o dowodach tożsamości.

Alchimienko zerknął na zegarek. Był już spóźniony do ministerstwa, nie zdąży wstąpić do Gusiewa i Borozdina. Szybko otworzył biurko sekretarki, wyjął arkusz czystego papieru i napisał zamasyście czerwonym ołówkiem, który leżał na blacie: „Gusiew, Borozdin, Łysakow i Charłamow o 16.00 u mnie. Proszę ich uprzedzić, żeby na koniec dnia pracy nic nie planowali”.

## 5

Kiedy cała piątka wysiadła z samochodu i otworzyła drzwi do biura przepustek, czekała tam już na gości niepozorna, szczupła blondynka. Borozdin poznał ją, była w instytucie razem z Korotkowem.

— Witam — pozdrowiła uprzejmie przybyłych. — Czekam na panów. Poproszę o dowody tożsamości, zaraz zostaną wypisane przepustki, i zaprowadzę panów na miejsce. Kilka minut później wchodzili za blondynką po schodach. Zaprowadziła ich do obszernego, wygodnego gabinetu; stało tu olbrzymie biurko i długi, przysunięty do niego bokiem, stół konferencyjny. U jego szczytu zasiadał Korotkow, błyskając gwiazdkami majora na pagonach. Teraz żwawo wstał, a nawet zerwał się z miejsca, powitał gości z miłym uśmiechem i poprosił, by usiedli, a na dziewczynę w ogóle nie zwracał uwagi. Ta w milczeniu ulokowała się w kącie, na fotelu, na kolanach położyła dużą płaską teczkę i przygotowała się do notowania.

— Jak panom oczywiście wiadomo — zaczął Korotkow, kiedy wszyscy zaproszeni zajęli już miejsca — Grigorij Wojtowicz po zabójstwie swojej żony Jewgienii został zatrzymany i osadzony w pojedynczej celi. Po trzech dniach zwolniono go i pozwolono mu wrócić do domu za wiedzą i zgodą prokuratora. I śledczy, i prokurator twierdzą, że z waszego instytutu wpłynęło pismo z



prośbą o czasowe, podkreślam, czasowe zwolnienie zatrzymanego, by mógł doprowadzić do końca realizację pewnego ważnego i ściśle tajnego projektu. Nie pytam, co to za projekt, nie moja sprawa, nie ma to zresztą najmniejszego znaczenia. Jednakże, ku mojemu zdziwieniu, nie znalazłem w sekretariacie waszego instytutu żadnego śladu, że takie pismo stamtąd wysłano. Dlatego zaprosiłem tutaj kierownictwo oraz osoby, które blisko znały Wojtowicza i mogłyby być inicjatorami skierowania do prokuratury podobnego pisma po prostu z życzliwości wobec kolegi. Powtarzam, nie zamierzam rozważać teraz, czy ci, którym udało się wyciągnąć Wojtowicza z celi, zrobili źle, czy dobrze. Postąpili tak, jak uznali za słuszne, a tego, że rezultat ich zabiegów okaże się tak tragiczny, nie mogli przewidzieć. Interesuje mnie co innego. Jeżeli z instytutu wysłano oficjalne pismo, podpisane przez kompetentną osobę, to jego kopia powinna znajdować się w sekretariacie. Dlaczego jej nie ma? Nad długim stołem konferencyjnym zapanowało pełne niedowierzania milczenie.

— Pierwszy raz o tym słyszę — odezwał się na koniec dyrektor instytutu Alchimienko. — Sam cały czas się zastanawiałem, jak to możliwe, żeby człowiek, który dopuścił się tak straszliwej zbrodni, po trzech dniach znalazł się na wolności. Wiaczesławie Jegorowiczu, może pan coś wie? — Nic. — Sekretarz naukowy instytutu Gusiew bezradnie rozłożył ręce.

— A pan, Pawle Nikołajewiczu? — zwrócił się Korotkow do Borozdina, w którego laboratorium pracował Wojtowicz. — Też nie mam o niczym pojęcia — zapewnił Borozdin. — A może śledczy się myli? Osobiście żadnych papierów nie podpisywałem, za to ręczę. — Pan, Giennadiju Iwanowiczu?

— Nie, nic mi nie wiadomo o tej sprawie. — Łysakow przecząco pokręcił głową.

— Waleriju Josifowiczu? — Nic nie wiem — oświadczył Charłamow.

Nastia uważnie przypatrywała się ze swego kąta pięciu pracownikom instytutu, wiek od lat czterdziestu pięciu do pięćdziesięciu, znaków szczególnych brak, bez akcentu. Jacyż oni są różni, myślała, jak niepodobni do siebie, ale wystarczy to ująć w słowa, a opis brzmi jednakowo. Nawet ubrania wszyscy mają szare. Alchimienko — ciemnopopielaty garnitur z kamizelką, w nikłe niebieskie prążki, Charłamow — też ciemnoszary, ale bez kamizelki i prążków, Gusiew — jasnopopielaty... Uczesani są prawie jednakowo, wszyscy zaczynają łysieć, jeden bardziej, drugi mniej. Ale wyraz twarzy mają różny. Gusiew jest wyraźnie zaniepokojony, Alchimienko — rozdrażniony. Łysakow zachowuje zdecydowany dystans, jakby wszystko to w ogóle go nie dotyczyło. Na twarzy Borozdina maluje się wyraźne zainteresowanie tym, co się dzieje. Charłamow zaś po prostu wpadł w panikę. Ciekawe dlaczego? Może ktoś mu przykazał: gęba na kłódkę?

Siedział spokojnie przy długim stole konferencyjnym, postukiwał palcami po jego lśniącej powierzchni i patrzył na barczystego, skorego do uśmiechu majora. Ale w środku wszystko w nim zamarło.

„W teczce nie było żadnego pisma. Skąd Korotkowowi przyszło to do głowy? Nie było. Ktoś tu kłamie, ktoś chce nas zastraszyć, a wszystko skrupi się na mnie. Czyżby Gałaktionow ukradł pismo? Po co? Nie, to nonsens, instytut nie wysyłał żadnego pisma, absolutnie wykluczone. Przecież Korotkow powiedział, że w sekretariacie nie ma żadnej kopii. A więc oryginału również nie było. Czyli co? Śledczy kłamie? Wypuścił Wojtowicza, a potem zmyślił historijkę o piśmie, które spłonęło w pożarze? Możliwe. Ale po co miałyby to robić? Dlaczego zwolnił Griszę do domu? Za łapówkę? Od kogo? Kto mu zapłacił? Czyżby... Mierchanow? Powiedziałem mu od razu, jak tylko Griszę zatrzymano, że prace mogą się opóźnić. Mierchanow mógł nacisnąć na swoje sprężyny, dotychczas ma jeszcze powiązania na samej górze. Albo po prostu przekupił śledczego i prokuratora takimi pieniędzmi, o jakich im się nawet nie śniło, takimi, których nieprzyjęcie równałoby się wyrokowi śmierci. Stąd legenda o piśmie. Ale jeśli tak było, jeśli Griszę wypuścili, bo Mierchanow się o to postarał, to dlaczego, do cholery ciężkiej, ten bałwan nawet słowem mi o tym nie wspomniał? Uważa, że informować mnie jest poniżej jego godności? No bo kim ja dla niego jestem? Wyrobnikiem, remiechą, któremu w dodatku nie ufa. No nic, zniosę i to, można wiele znieść, by żyć w końcu tak, jak się chce. To warte wszystkich upokorzeń. Głupi postępek durnia nie jest w stanie człowieka obrazić ani zranić. Tylko godny przeciwnik potrafi tego dokonać”.

— A może któryś z panów zwracał się do Ministerstwa Nauki swoimi kanałami, żeby spróbowano jakoś pomóc Wojtowiczowi? Może ktoś ma znajomych w Prokuraturze Generalnej i tam interweniował? Lub w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych? — nie

przestawał naciskać Korotkow, ale na każde z pytań otrzymywał pięć jednakowych odpowiedzi: „Nie, nie zwracałem się, nie wiem”.

— Proszę zrozumieć — mówił z naciskiem — nie chodzi mi o to, by dowieść, że Wojtowicz został wypuszczony bez podstaw prawnych, dla mnie to rzecz absolutnie bez znaczenia, takimi sprawami się nie zajmuję. Zlecono mi tylko odtworzenie materiałów, które znajdowały się w jednej ze spalonych teczek, natomiast zasadność i legalność tych dokumentów zupełnie mnie nie interesuje. Jeżeli jednak Wojtowicza zwolniono, musiały być do tego jakieś podstawy. Proszę, niech panowie postarają się sobie przypomnieć, może rozmawiali panowie o aresztowaniu Wojtowicza z jakimiś przedstawicielami organów ścigania, wymiaru sprawiedliwości... Drzwi gabinetu otworzyły się i w progu stanął niezgrabny młody chłopak w marszczącym się na zbyt pełnej sylwetce mundurze.

— Przepraszam — rzucił niefrasobliwie — ale Kamińska jest proszona do telefonu.

— Niech przełączą rozmowę tutaj — krótko polecił Korotkow, obrzucając zabawnego, misiowatego milicjanta morderczym spojrzeniem.

Po chwili na biurku zadzwonił telefon. Major podniósł słuchawkę i podał ją blondynce, która przez cały czas nie ruszyła się z kąta i nie odezwała się ani słowem. — Halo? Tak, Nadiusza. Zaraz, chwileczkę...

Zasłoniła mikrofon ręką i odwróciła się do majora.

— Juriju Wiktorowiczu, jak pan sądzi, kiedy będę wolna? — Już kończymy. Myślę, że za jakieś piętnaście minut — odpowiedział

Korotkow.

— Nadiusza, zdążysz przyjechać za dwadzieścia minut? Nie, nie trzeba, nie kupuj, znam jeden sklep po drodze do nich, tam jest taniej. Tak. Za dwadzieścia minut. Do zobaczenia.

Po dwudziestu minutach goście wyszli z gmachu Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych razem z blondynką Kamińską. Przed bramą stał jasnoniebieski samochód, a obok, niedbale oparta o maskę, z wiązanką przepięknych róż w ręku, stała efektowna brunetka, w rozpiętym, długim do kostek, eleganckim futrze, pod którym miała krótką jedwabną sukienkę, odsłaniającą fantastycznie zgrabne nogi. Prowokującym, przeciągłym spojrzeniem obrzuciła pięciu mężczyzn, po czym przeniosła wzrok na przyjaciółkę i pomachała do niej. Po chwili trzasnęły drzwi. Dziewczyny odjechały.

— No i co? — z nieśmiałą nadzieją zapytała Nastia, kiedy samochód znalazł się w pewnej odległości od budynku. — Nic — odparła z westchnieniem Szytowa, zmieniając bieg. — Znów go nie poznałam. Pani kolega, Docenko, bardzo liczył na to, że rozpoznam go „na żywo”, po ruchach głowy, spojrzeniu, mimice, czyli po tych cechach, które na zdjęciu trudno uchwycić. Wie pani, ten pani Misza to świetny chłopak. Bardzo chciałabym mu pomóc. Przykro mi, że muszę go rozczarować. Chyba że skłamię, że faceta rozpoznałam. — Roześmiała się.

— Boże broń. — Nastia zrobiła ostrzegawczy gest. — Niech pani nawet o tym nie myśli. Dziękuję, Nadieżdo Andriejewno. I

przepraszam, że musiałam panią fatygować. Proszę mnie podrzucić gdzieś do stacji metra.

Pięciu mężczyzn także wsiadło do samochodu. Właścicielem beżowej wołgi był Władysław Jegorowicz Gusiew. — Jakieś cuda z tym pismem — rzucił Borozdin, stawiając sobie na kolanach dużą teczkę.

— Bez dwóch zdań, Pawle Nikołajewiczu — podchwycił Gusiew. — Ale właściwie to jakby wyrzut pod adresem nas wszystkich. Przecież nawet do głowy nam nie przyszło, żeby jakoś się ująć za Wojtowiczem, spróbować człowiekowi pomóc. Od razu przyczepiliśmy mu etykietkę zabójcy i zapomnieliśmy o nim, jak gdyby nie pracował razem z nami od ponad dziesięciu lat.

Ale z Wojtowicza rozmowa szybko zeszła na sprawy służbowe.

— Pierwszego marca szykuje się ciężkie posiedzenie rady. Dwie obrony, jedna bardzo dyskusyjna...

— Przysięgłem sobie, że już nigdy nie będę się wdawał w żadne kontakty z filią w Kiemierowie. Każdy papierek leży u nich miesiącami, działają w takim tempie, jakby mieli żyć wiecznie. Nigdy niczego nie można od nich wydusić w terminie...

— Łozowski zrobił się naprawdę nieznośny. Przychodzi na radę w charakterze recenzenta i zaczyna bajdurzyć z mównicy o czasach swojej młodości. Robi z siebie pośmiewisko...

— Trzecie laboratorium poczyniła sobie ze wszystkim według własnego widzimisię. Końcowe sprawozdanie robią jak bieżące, na pięciu stroniczkach, z których jedna jest tytułowa, a druga zawiera listę wykonawców. Wyobrażacie sobie, jak można zmieścić na

trzech kartkach szczegółowe podsumowanie trzech lat pracy? A sprawozdań bieżących w ogóle nie piszą, ograniczają się do dwuakapitowej notatki. Ale dział koordynacji i planowania puszcza im to wszystko płazem...

— No pewnie, skoro szefowie mieszkają w tym samym domu, ich dzieci chodzą do tej samej szkoły, to nic dziwnego. Jeszcze nie takie rzeczy zobaczymy.

Automatycznie podtrzymywał rozmowę, jednocześnie gorączkowo odtwarzając w pamięci wszystkie szczegóły spotkania z Szytową. Czyżby była przyjaciółką tej blondyneczki Kamieńskiej? Cóż za pechowy zbieg okoliczności! Poznała go czy nie? Stała i patrzyła na facetów z jawnie prowokacyjnym uśmiechem, każdego lustrując od stóp do głów, jakby miała z nim iść do łóżka. Jednak na niego chyba nie zwróciła baczniejszej uwagi. Chyba. A może jednak go rozpoznała? Ale on stanął na wysokości zadania, opanował się, nie drgnął, nie odwrócił oczu. Wszyscy zagapili się na jej nogi, i on też. Trudno ominąć spojrzeniem taką laskę, to nie po męsku, wydawałoby się podejrzane. Więc patrzył i on. Tak jak tamci. Uśmiechnął się nawet, rozanielony. Nie, chyba jednak go nie poznała...

# ROZDZIAŁ VII

## 1

— A więc na razie nic z tego — podsumowała Nastia, wysłuchawszy relacji Miszy Docenki, który obserwował z boku konfrontację pięciu pracowników instytutu z Nadięzdą Szytową. Sfilmował nawet całą piątkę, i kadr za kadrem, uważnie, obejrzeli film. Nie, żaden z mężczyzn niczym się nie zdradził.

— Obiecujące rezultaty — mruknęła Nastia, chowając kasetę do sejfu. — Albo zupełnie z nas debile i wszystko, co robimy, jest bez sensu, bo uganiamy się nie za tym, za kim trzeba, albo trafił się nam godny przeciwnik. Całogodzinny magiel, który sprawił im Jurka w gabinecie szefa, nękając ich sprawą nieistniejącego pisma, a na koniec jeszcze zniewalająca piękność o fantastycznych nogach i z bukietem róż — mało kto to wytrzyma, jeśli ma coś do ukrycia. No, ale trudno, życie toczy się dalej. Okazanie nic nam nie dało, Szytowa nikogo nie rozpoznała i nikt też niczym się nie zdradził, że rozpoznał ją. Numer z pismem także nie wypalił. Jeden z tych pięciu dobrze wie, że w teczce nie było żadnego pisma, ale i tego nie dał po sobie poznać. Mamy jeszcze do zbadania sprawę cyjanku oraz ewentualnej znajomości z Gałaktionowem. No i przedśmiernej



notatki Wojtowicza. Misza, to zadanie dla pana. A ja i Jura musimy stoczyć bitwę z Lepioszkinem.

Gdy Docenko ruszył na poszukiwanie osób, które widziały i czytały notatkę Grigorija Wojtowicza, Nastia weszła do gabinetu szefa. Musiała się bardzo pilnować, żeby już w progu nie parsknąć śmiechem: jeszcze wczoraj w tym samym fotelu, za tym samym biurkiem siedział młody, silny, wspaniale umięśniony Korotkow, z promiennym uśmiechem i z połyskującymi gwiazdkami na pagonach, a dziś znów, jak zawsze, rezydował tu kochany grubas Pączek w cywilnym garniturze, świecąc ogromną lśniącą łysiną.

— Wejdz, Nastazjo — powiedział pułkownik, szukając czegoś pośród papierów, którymi zaślane było całe wielkie biurko. — Zdaje się, że nasz przyjaciel Korotkow zwędził mi wczoraj mój ulubiony długopis. Nie mogę go nigdzie znaleźć. Wystarczy wpuścić was do gabinetu i wszystko w mgnieniu oka ginie.

— Proszę jeszcze raz dobrze się rozejrzeć — doradziła Nastia. Doskonale pamiętała, jak wczoraj Jura obracał długopis w palcach, a potem odruchowo schował go do kieszeni kurtki mundurowej. Dzisiaj nawet już o tym nie pamięta, zwłaszcza że kurtka znów wisi w szafie, czekając na lepsze czasy, bo Jurka nieprędko po nią sięgnie.

— Diabli wiedzą, co się tu dzieje — burczał Gordiejew, wysuwając kolejno szuflady biurka i sprawdzając ich zawartość. — Detektywi, cholera jasna, szermierze walki z przestępczością! Prawnicy, ludzie z wyższym wykształceniem! Oficerowie. Niczego nie można na chwilę zostawić, bo wszystko lepi im się do rąk, a potem robią wielkie oczy: ale skąd, panie pułkowniku, nie braliśmy,

nie ruszaliśmy, nie widzieliśmy, na pewno pan sam gdzieś zapodział... No — podniósł głowę Pączek — co tam u ciebie?

— Cóż, Wiktorze Aleksiejewiczu, Lepioszkin i Olszański, czyli dwóch w jednym.

— Jak to?

— A no tak, po prostu bracia syjamscy. Lepioszkin ma zabójstwo Gałaktionowa, Olszański — ujawnienie tajemnicy adopcji, ale to, jak się okazuje, zwrotka i refren tej samej piosenki. Z Lepioszkinem współpracujemy oficjalnie, Olszańskiemu pomagamy dyskretnie, po koleżeńsku, podsuwając mu informacje o sprawie Gałaktionowa. Rozumie pan przecież, że nie można tego ciągnąć w nieskończoność. Siedzimy na beczce prochu. Jeśli całym tym pasztetem nadal będzie się zajmować dwóch śledczych, nigdy nie znajdziemy zabójcy Gałaktionowa. Jeżeli zaś obie sprawy przejmie Lepioszkin, ja dostanę w końcu apopleksji, a Miszy Docence grozi poligamia. Żeby naprawić to, co napsuł Igor Jewgienjewicz, Michaił musiał w sobie rozkochać pół Moskwy. Denat miał wiele przyjaciółek, a Lepioszkin każdą z nich zdołał dotknąć do żywego, tak że wychodząc z jego gabinetu, nie tylko wносиły trwałą urazę do organów ścigania, ale i nieprzekazane informacje.

— Chcesz powiedzieć, że Lepioszkin to zły śledczy i nie masz ochoty z nim pracować? — zapytał Gordiejew, uważnie patrząc na Anastazję. Zrzucił już na dobre bezpłodne poszukiwania zaginionego długopisu.

— Doskonale pan wie, co chcę powiedzieć — odparła rozdrażniona Nastia. — Lepioszkin jest dobrym fachowcem, zna prawo, pracuje rzetelnie, nie obija się. Gdyby było inaczej, nie

zajmowałyby się przez tyle lat z powodzeniem przestępstwami gospodarczymi. I jeżeli się już zna osobliwe cechy charakteru Lepioszkina, można się jakoś do niego przystosować i uprzedzić nawał negatywnych konsekwencji. Ale teraz znaleźliśmy się w takiej sytuacji, że Misza musi obchodzić po raz drugi wszystkich świadków płci żeńskiej, Igor Jewgienjewicz się o tym dowiaduje i wyprawia histerie: a po co, a kto ci kazał, a kto ci pozwolił, a co to za samowola. Misza jest zbyt dobrze wychowany, by posłać go do diabła i powiedzieć mu wprost, że naprawia jego głupie błędy. Jeżeli zaś Lepioszkin dowie się na dodatek, że po cichu współpracujemy z Olszańskim, to chyba szlag go trafi na miejscu. Albo udusi mnie i Miszę gołymi rękami. Lub zastrzeli, jako że pracownicy prokuratury mają teraz pozwolenie na broń. — Krócej, moje dziecko! — Gordiejew skrzywił się. — Czego ode mnie chcesz? Żebym udusił Lepioszkina pierwszy? Jakoś nie mogę zrozumieć, o co ci właściwie chodzi. — Chcę — odparła bardzo cicho Nastia — żeby pan otworzył swój sejf i wyjął stamtąd cienką zieloną teczkę. Wie pan, taką z białymi tasiemeczkami.

Pułkownik długo patrzył na nią bez słowa, nawet nie mrugając. Po czym rzekł z westchnieniem:

— Ale z ciebie numer, Anastazjo.

Trudno powiedzieć, czy więcej było w tych słowach zdumienia, czy podziwu.

Szef wydziału śledczego prokuratury miejskiej rozmawiał z Igorem Jewgienjewiczem Lepioszkinem, sam siebie ledwie słysząc.

— Nie rozumiem, dlaczego zabiera mi pan zabójstwo Gałaktionowa — oburzał się Lepioszkin. — Jakie ma pan podstawy, by przypuszczać, że sobie z tym nie poradzę? Odwaliłem kawał roboty, przesłuchałem kupę ludzi, a pan nagle chce przekazać sprawę innemu śledczemu.

— Tłumaczyłem już panu, że jej nie przekazuję, tylko łączę sprawy dwóch różnych przestępstw, między którymi istnieje ścisły związek. I robię to wcale nie dlatego, że uważam pana za złego pracownika, tylko dlatego, że będzie to z korzyścią dla śledztwa, pozwoli na większy obiektywizm i rozszerzy jego zakres.

— Ale dlaczego nie postąpi pan odwrotnie? Czemu nie przekazuje pan sprawy Olszańskiego mnie, tylko zabiera mi ją pan i oddaje Olszańskiemu? Ma pan jakieś zastrzeżenia do mojej pracy? Zrobiłem coś nie tak? Okazałem się niekompetentny? Jestem pańskim podwładnym i chciałbym zrozumieć, czym kieruje się mój zwierzchnik, podejmując decyzję, i czego ode mnie wymaga. Inaczej nie wyobrażam sobie pracy tutaj.

„Chciałbyś zrozumieć — myślał ponuro szef wydziału śledczego. — Tylko że tu nie ma nic do rozumienia. Bo chodzi po prostu o niezbyt dawną wpadkę, o której mało kto wie. Ale pośród tych, którzy wiedzą, jest i ta cholerna piła Gordiejew, a ja o tym na śmierć zapomniałem. No i on właśnie mnie zapytał, czy obu połączonych spraw nie mógłby dostać Olszański. Wtedy ja, stary idiota, palnąłem bez namysłu, że zgodnie z zasadami obie sprawy

otrzyma Lepioszkin, a pan, szanowny Wiktorze Aleksiejewiczu, niech się, z łaski swojej, w to nie miesza. To moja parafia, nie pańska, i ja tu rządę. Ale Gordiejew od razu mi przypomniał, jak to ja zawsze święcie przestrzegam wszelkich zasad; raz nawet dzięki ich skrupulatnemu przestrzeganiu spowodowałem, że zginęła Bogu ducha winna siedemnastoletnia dziewczyna. Oficjalnie nikt mnie o to nie obwiniął, ale był raport Łarcewa, w którym opisano wszystko czarno na białym. I wygląda na to, że ten raport Gordiejew trzyma u siebie do tej pory, chociaż Łarcew nie pracuje już u nich ponad rok, musiał przejść na rentę inwalidzką. Gordiejew nie owijał sprawy w bawełnę, nie kręcił, nie bawił się w uprzejmości, tylko od razu wywalił kawę na ławę: albo dziś odstąpi pan od swoich zasad, a w przyszłości nie będzie zatrudniał byle durniów, albo ja podam rodzicom dziewczyny pański adres domowy i adres pana pięknej, okazałej daczy. Mówiąc zaś „byle durniów”, jak należy sądzić, miał na myśli pana, Igorze Jewgienjewiczu. Ciekawe, z jakiego też powodu pan mu tak podpadł?” — Nie widzę potrzeby wyjaśniania, czym się kieruję przy podejmowaniu decyzji — oznajmił chłodno. — Wymagam natomiast, by wykonywano moje polecenia, a nie poddawano je drobiazgowej analizie i krytykowano. Czy to jasne, Igorze Jewgienjewiczu? — Tak, jasne.

W oczach Lepioszkinina malowała się uraza i złość, ale szefowi wydziału śledczego było to obojętne. Niech już lepiej go nienawidzi jeden z podwładnych, niż gdyby rodzice dziewczyny mieli dostać adres prawdziwego winnego śmierci ich córki.

### 3

Nastia i Jurij Korotkow zajęci byli sprawdzaniem, gdzie można dostać cyjanek potasu. Sprawa okazała się prosta, a zarazem skomplikowana. Ten środek ma zastosowanie w górnictwie, w przemyśle tekstylnym, a także w galwanotechnice i fotografii. Ponadto używa się go często w różnego rodzaju laboratoriach. Z jednej strony, przechowywanie i wydawanie cyjanku regulują surowe przepisy, a z drugiej — jest dostępny w Moskwie w tysiącach miejsc. Więc gdzie szukać trucizny?

Oczywiście, trzeba zacząć od instytutu, zdecydowała Nastia. Koniecznie należy ustalić, który spośród pięciu podejrzanych miał dostęp do cyjanku, mógł go ukraść lub uzyskać legalnie.

— Widzi pani — tłumaczył Nasti technik w jednym z laboratoriów — przy kradzieży złodziej musi wziąć całą fiolkę trucizny. A u nas wszystkie fiołki są policzone i ponumerowane, więc kiedy pobiera się nową z miejsca, gdzie są przechowywane, i ją otwiera, to notujemy to w specjalnym zeszycie i podpisujemy się. O, na przykład, w pierwszych dniach września otrzymaliśmy sto fiołek cyjanku. Zajrzyjmy do zeszytu: numery idą kolejno, od jednego do dwudziestu siedmiu, a obok widnieją podpisy tych, którzy pobierali cyjanek do doświadczeń w warunkach laboratoryjnych. Teraz otwieramy szafę i sprawdzamy numery pozostałych fiołek. Proszę, od dwudziestego ósmego do setnego. Może pani przeliczyć.

Nastia przeliczyła. Potem sprawdziła numery. Każda fiolka była opatrzona nalepką z numerem i dwoma podpisami. Słusznie, pomyślała, to zabezpieczenie na wypadek, gdyby ktoś zechciał nie po prostu ukraść fiolkę, ale ją podmienić, wstawiając na jej miejsce inną, z substancją wyglądającą podobnie, ale nieszkodliwą. Sądząc po oznakowaniu, fiolka znaleziona w mieszkaniu Szytowej musiała pochodzić z tych samych zakładów chemicznych, które dostarczały cyjanek instytutowi. Jednakże tutaj ze stu nie brakowało ani jednej — część była w szafie, część pobrano, potwierdzając to podpisami w zeszycie.

— Proszę mi powiedzieć, czy można użyć cyjanku odsypanego z pobranej fiolki? Chodzi dosłownie o odrobinę. — W zasadzie tak — po chwili namysłu przyznał technik — ale zależy do czego. Jeśli do doświadczeń, tu, na miejscu, to jest to nawet normalna praktyka, wszyscy tak robimy. Ale gdyby ktoś chciał zabrać cyjanek do domu, żeby kogoś otruć, to raczej nie. — Dlaczego?

— Bo to substancja bardzo lotna, wrze w temperaturze dwudziestu stopni Celsjusza. Szybko się rozkłada. Dlatego właśnie jest przechowywana w hermetycznie zamykanych fiolkach. Po otwarciu naczynka zaczyna się zamieniać w ług. Pamięta pani, w książkach opisujących powojenne czasy wspomina się nieraz, że z braku mydła używano do prania i mycia podłóg ługu. Widać z tego, jak szybko cyjanek staje się nieszkodliwy. A zatem albo należy zużyć go od razu po otwarciu, albo ukraść całą fiolkę.

— A czy pracownik może pobrać cyjanek, podpisać się i wynieść go poza teren instytutu?

— Może. — Technik uśmiechnął się. — Ale zawsze istnieje ryzyko, że wpadnie przy niespodziewanej kontroli. Trucizny wydaje

się nie pracownikom naukowym, tylko specjalnie przeszkolonym technikom i laborantom, którzy mają sejfy, gdzie te środki są później przechowywane. Za fiolkę odpowiada ten, kto się podpisał przy jej pobieraniu. On również ma obowiązek ją zwrócić, kiedy cyjanek zostanie zużyty. Proszę — otworzył drugi zeszyt — zdawanie fiolek. Komisyjne, tu są podpisy. Z dwudziestu siedmiu pobranych zwrócono dwadzieścia trzy, cztery znajdują się u laborantów. — Czy możemy od razu to sprawdzić? — zapytała Nastia z nadzieją w głosie.

— Oczywiście. — Technik wzruszył ramionami. — Chodźmy. W ciągu półgodziny obeszlili cztery laboratoria, gdzie powinny się znajdować cztery niezwrócone fiołki cyjanku. Wszystkie były na swoich miejscach. Zgadzały się i numery, i podpisy, i nawet etykiety, wszystkie wykonane z jednakowego kratkowanego papieru.

Wyglądało na to, że fiołka znaleziona przy zwłokach Gałaktionowa nie pochodziła z instytutu. A więc skąd? Nastia zabrała się do studiowania danych, które wynotowała w dziale kadr, typując osoby podejrzane. Może w ten sposób uda się trafić na źródło, z którego pochodził cyjanek.

## 4

Patrzył w ślad za Kamieńską, która właśnie wychodziła z laboratorium, i starał się zapanować nad przyśpieszonym rytmem serca. No tak, wiedział, że dogrzebią się w końcu do sprawy Gałaktionowa. Inaczej po co by nagle zaczęli sprawdzać, w jaki



sposób cyjanek mógł zniknąć z instytutu? Ale jak wpadli na to, że pomiędzy śmiercią Gałaktionowa a instytutem istnieje jakiś związek? Jak? Gdzie popełnił błąd? Spokojnie, nakazał sobie, nie panikuj. Sprawa zabójstwa nie jest zamknięta, milicja wciąż bada, skąd pochodził cyjanek, którym Gałaktionow został otruty. Więc szukają wszędzie tam, gdzie używa się tej trucizny. W następnej kolejności zajmą się fabrykami obuwia, potem zakładami fotograficznymi. Spokojnie, wszystko jest w porządku. Sprawę Wojtowicza prowadzi ten major, Korotkow, zdaje się, a dziewczyna jest u niego na posyłki, stale siedzi w kącie, nie odzywa się, przyprowadza i odprowadza gości. Chyba to jakaś praktykantka, jeszcze taka młoda. Pewnie zlecono jej, żeby w związku ze sprawą Gałaktionowa sprawdziła wszystkie miejsca, w których używa się cyjanku. I tyle. Czym się różni oficer milicji od pracownika naukowego? Niczym, tylko pagonami. Pracownik naukowy może być jednocześnie kierownikiem zespołu autorskiego, konsultantem naukowym i po prostu członkiem grupy badawczej. Każdy uczestniczy co najmniej w kilku różnych przedsięwzięciach — wszystko zależy od opracowywanego tematu. Podobnie oficer operacyjny: w jednej sprawie może być zaledwie pomocnikiem, a w innej powierza mu się jakiś odpowiedzialny odcinek pracy. Tak czy owak, każdy detektyw jest zaangażowany w kilka spraw jednocześnie. A więc bez paniki. Grunt to zachować spokój.

Sprytnie to, swoją drogą, wykombinował, jako człowiek przewidujący, że wybrał do uśmiercenia Gałaktionowa cyjanek, do którego każdy w instytucie ma dostęp, a więc wszyscy są podejrzani, ale z drugiej strony, nie wziął trucizny z miejsca pracy,

licząc się właśnie z taką sytuacją, jaka zaistniała. W ogóle znikąd nie brał cyjanku. Znikąd. Tak, lepiej dmuchać na zimne!

## 5

Dodatkowe dwa dni zajęło sprawdzanie członków rodziny, krewnych i znajomych pięciu podejrzanych. Nastia aż od tego kręciło się w głowie, a Korotkow dosłownie uchodził sobie nogi.

Co za pechowa sprawa, nadal żadnego z pięciu pracowników instytutu nie da się wykluczyć z kręgu podejrzanych. O tym, by wytypować spośród nich jednego, Nastia przestała nawet marzyć od chwili, gdy nie wypalił numer ani z nieistniejącym pismem, ani z Szytową. Teraz czeka ją długa i mozolna analiza wszystkich zebranych informacji, by stopniowo wyeliminować te osoby, z których uda się zdjąć podejrzenia. Jak na złość, możliwość zdobycia cyjanku za pośrednictwem przyjaciół czy krewnych miała cała piątka. Boże drogi, dlaczego takie trudności zawsze piętrzą się akurat w sprawach, nad którymi pracuję, rozmyślała z rezygnacją Nastia, przeglądając notatki.

Żona dyrektora instytutu, Nikołaja Nikołajewicza Alchimienki, pracowała jako główny inżynier w fabryce obuwniczej.

Mąż rodzonej siostry sekretarza naukowego instytutu, Wiaczesława Jegorowicza Gusiewa, był jubilerem i używał cyjanku do prac złotniczych.

Siostrzenica kierownika laboratorium, Pawła Nikołajewicza Borozdina, była laborantką w instytucie geologiczno-poszukiwawczym.

Córka doktora Giennadija Iwanowicza Łysakowa była żoną fotografa.

Wreszcie magister Walerij Josifowicz Charłamow miał sąsiada, z którym niekiedy jeździł na ryby. Ów sąsiad pracował w przemyśle włókienniczym i znał mnóstwo osób zatrudnionych w fabrykach tekstyliów.

Jeszcze jeden dzień zajęło objechanie wszystkich tych instytucji i porównanie oznakowania na fiolce znalezionej w mieszkaniu Szytowej z etykietkami fiolek, którymi dysponowały owe zakłady. Nigdzie jednak nie dostarczano cyjanku z tej samej fabryki chemiczno-farmaceutycznej, z której pochodziła fiolka użyta do otrucia Gałaktionowa. Ale Nastia nie upadała na duchu. Pozostawało jeszcze wiele możliwości do zbadania, a niepowodzenia, wprawiając ją w coraz większą złość i rozdrażnienie, tylko dodawały jej sił.

— Znowu nici — oznajmiła wesoło Korotkowowi. — Ale przestępca nam się trafił, prawdziwa przyjemność mieć z takim do czynienia! Wiesz co, jeżeli wykryjemy sprawcę tego zabójstwa, nabiorę wreszcie szacunku dla siebie. Słowo daję. — Boże! — Korotkow chwycił się za głowę. — Obyś tylko już jak najprędzej wyszła za mąż! Wkrótce skończysz trzydzieści pięć lat...

— Wcale nie wkrótce — sprostowała Nastia — bo dopiero za cztery miesiące. Jestem spod znaku Bliźniąt, z czerwca. — Wszystko jedno, niech będzie trzydzieści cztery, to też niemało. Powinnaś

pracę mężowi koszule, smażyć mu kotlety, chować dzieci i mieć dla siebie szacunek właśnie za to, a nie za to, że potrafisz wykryć kolejnego przestępcę. — Jura, zrozum, jestem już trochę za stara, żeby mnie wychowywać. Sam powiedziałeś, że niedługo skończę trzydzieści pięć lat. A pracę koszul i smażyć kotletów i tak nie będę, choćbyś nawet pękł. Nie będę i koniec. — Ciekawe, kto cię będzie w tym wyręczał?

— Czistiakow. Niech zarabia kupę forsy w twardej walucie i kupuje najnowsze cuda techniki z dziedziny gospodarstwa domowego, a na kolacje może mnie zabierać do restauracji. Nie po to wychodzę za męża, żeby się zajmować zmywaniem garów.

— Ciężki z tobą los, Aśka. — Korotkow westchnął. — Co robimy dalej?

— Spróbujemy ruszyć sprawę od drugiego końca. Nie wpuścili nas drzwiami, wejdziemy oknem. Poprosimy zakłady chemiczno-farmaceutyczne o listę wszystkich instytucji, którym dostarczają cyjanek. I tam będziemy szukać śladów, które przywiodą nas do jednego z pięciu uczonych mężów. — Wykończymy się. — Jura z powątpiewaniem pokręcił głową.

— Nie-e — wesoło rzuciła Nastia. — Przyszła mi właśnie do głowy pewna szalona myśl...

— No? — ożywił się Korotkow. — Jaka?

— Nie, nie powiem ci, bo się będziesz śmiał. Co prawda, istotnie jest dość dziwaczna. Lepiej najpierw sama wszystko sprawdzę.

— Jak chcesz.

Prychnął urażony i zaczął się zbierać do wyjścia.

## 6

Nazajutrz wieczorem leżał przed Nastią pokaźny spis przedsiębiorstw i instytucji, którym fabryka chemiczno-farmaceutyczna nr 16 dostarczała cyjanek w fiolkach. Anastazja szybko przebiegła wzrokiem listę i westchnęła ciężko. Niewykluczone, że szalona myśl, której nie chciała zdradzić Korotkowowi, się potwierdzi. Ale jeżeli tak, to zabójca, którego ona szuka, może okazać się jeszcze bardziej okrutny i niebezpieczny, niż do tej pory przypuszczała. Możliwe też, że pojedynek, jaki przyjdzie z nim stoczyć, nie będzie przesądzał jedynie o tym, że Nastia nabierze dla siebie szacunku, lecz stanie się walką na śmierć i życie. Na myśl o tym Anastazja poczuła strach.

Na liście przedsiębiorstw figurowały między innymi zakłady wyrobów jubilerskich „Diament”; tam właśnie pracował niejaki Sietunow, przyjaciel Gałaktionowa. — Jurik, lecimy w te pędy do Sietunowa — zakomenderowała Nastia, porównawszy spis instytucji z listą osób z kręgu znajomych ofiary.

Pojechali razem do niego do domu, ale nie mieli szczęścia — gospodarz był pijany, i to do tego stopnia, że nie zdawał sobie sprawy, kto do niego przyszedł i po co. Pił — wszystko na to wskazywało — w towarzystwie swojej przyjaciółki, która też była mocno nietrzeźwa, ale coś niecoś jeszcze kojarzyła i nawet mówiła

do rzeczy. Jednakże nie można było przesłuchiwać ich w tym stanie.

— Zostawiam tutaj wezwanie — głośno i wyraźnie mówił Korotkow, kładąc papier na widocznym miejscu. — Jutro z samego rana, jak tylko się obudzicie, macie się natychmiast stawić w prokuraturze, u śledczego Olszańskiego, numer pokoju macie tu podany. Wszystko jasne?

— M-m-m — myczał potakująco Sietunow, ale widać było, że nie rozumiał ani słowa.

— Jasne — zapewniła jego nieco mniej pijana przyjaciółka. — A o co chodzi? Może powiemy teraz, od razu, żeby jutro nie jeździć, dobra?

Prosząco zaglądała Nasti w oczy, uważając ją widać za łagodniejszą i bardziej uступliwą niż Korotkow. — Pytajcie, powiemy wszystko, co wiemy. To nic, że trochę wypiliśmy, jesteśmy całkiem przytomni... Wszystko w porządku, władzo kochana...

— Chodźmy. — Jura pociągnął Nastię za rękaw. — Teraz nie będzie z nich żadnego pożytku. Nakłamię tylko, ile wlezie.

— Szkoda. Przez noc może bym wpadła na jakiś sensowny pomysł.

— W nocy człowiek powinien się kochać i spać, a nie rozmyślać — oświadczył Korotkow z przekonaniem. — Musisz skończyć z tymi głupimi przyzwyczajeniami, jeśli zamierzasz rozpocząć życie rodzinne.

Do domu wróciła Nastia późno. Po raz pierwszy w ciągu tych długich lat pomyślała nagle, jak by to było dobrze, gdyby czekał na nią jasny krąg światła lampy, nakryty stół i Loszka. Ostatnio jakoś

się bała zostawać na noc sama. Dawniej nie czuła strachu. Wszystko zaczęło się ponad rok temu, wtedy gdy zdarzyła się tragedia z Wołodią Łarcewem. Przestępcy, którzy chcieli Nastię zastraszyć, dorobili klucze do jej mieszkania i, by nie miała żadnych wątpliwości, że byli w środku, zostawili drzwi niezamknięte. Takiego strachu, jaki przeżyła tamtej nocy, znalazłszy się w otwartym przez bandytów mieszkaniu, nie zaznała nigdy przedtem ani potem. Wówczas właśnie zaczęła się bać.

Zamknęła za sobą drzwi, zmęczona, z ulgą opadła na kuchenne krzesło i zaczęła rozważać leniwie, co by tu zjeść na kolację. Oprócz kilku puszek konserw mięsnych i rybnych w lodówce były jajka, pół butelki keczupu, majonez i kawałek sera, który nadawał się już tylko do utarcia. Można by usmażyć omlet z serem. Albo ugotować dwa jajka i zrobić sałatkę rybną z majonezem. Lub jeszcze prościej: rzucić na patelnię kilka kromek chleba, posypanych tartym serem, a do grzanek zaparzyć kawę. Całkiem dobra kolacja. A co najważniejsze, można ją przygotować łatwo i szybko, nie tracąc niepotrzebnie czasu.

Zmełła w elektrycznym młynku kawę, nalała wrzątku do metalowego tygielka i postawiła go na maleńkim ogniu. Lubiła, żeby kawa dobrze naciągnęła. Wyjęła tarkę, zdzierając sobie skórę na palcach, startła na niej twardy jak kamień ser, posypała nim smażące się na maśle grzanki, na każdą kromkę białej bułki kapnęła parę kropel keczupu i zostawiła wszystko na parę minut pod przykryciem. Walor tej kolacji polegał na tym, że można ją było przygotować, nie wstając z krzesła. Swoją ciasną kuchnię Nastia z rozmysłem urządziła w taki sposób, żeby siedząc i nie ruszając się z

miejsca, móc sięgnąć do lodówki, kuchenki i wiszącej szafki z naczyniami.

W oczekiwaniu na grzanki i kawę zapaliła papierosa, odchyliła się na twarde, wysokie oparcie krzesła i wróciła myślami do zabójcy Gałaktionowa. Jeśli jej przypuszczenia się potwierdzą, to nie jest on po prostu tylko bardziej niebezpieczny, niż sądziła. Nie, to człowiek całkowicie pozbawiony skrupułów, podstępny, o wiele groźniejszy od samego Gałaktionowa. To wyjaśnia, dlaczego spotkali się obaj jeszcze raz. Dwudziestego drugiego grudnia Gałaktionow przekazał tamtemu ukradzione teczki. W zasadzie również wtedy powinien otrzymać zapłatę w gotówce. Więc po co mieliby się ponownie umawiać? Nastia przypuszczała, że z jakiegoś powodu Gałaktionow nie dostał pieniędzy dwudziestego drugiego, ale prawdę mówiąc, nie domyślała się, z jakiego. Hochsztapler i oszust Sańka Wist za nic nie oddałby teczek, gdyby nie poczuł forsę w ręku. Wykorzystując stale zaufanie innych, sam starał się niepotrzebnie nie ryzykować i nie popełniać błędów. A co, jeśli przyszedł zabójca, zabrawszy teczki i wręczywszy Gałaktionowowi umówioną zapłatę, poprosił go o jeszcze jedną przysługę? Na przykład, żeby zdobył dla niego cyjanek. I tym właśnie cyjankiem otruł Gałaktionowa podczas następnego spotkania. Jeśli taka sprawa trafi w ręce niezbyt inteligentnego śledczego, ten może łatwo uznać, że chodzi o samobójstwo. Cyjanek został dostarczony na prośbę Gałaktionowa. Fiolka — proszę, jest, nie zniknęła z mieszkania. A jeżeli nawet śmierć nie zostanie zakwalifikowana jako samobójcza, nic nie szkodzi, to nie takie ważne. Zabójca? Proszę, szukajcie wiatru w polu...



Ocknęła się, czując wyraźny zapach przypalonego pieczywa. Cholera, nawet takiej niewyszukanej kolacji nie potrafi porządnie przygotować!

Zdejmując z patelni grzanki i nalewając do dużej filiżanki mocnej, aromatycznej kawy, Nastia Kamieńska po raz nie wiadomo już który pomyślała, jak dobrze zrobiła, godząc się wreszcie na małżeństwo z Czistiakowem. Przy nim czuła się spokojna, bezpieczna i kochana. Niczego się nie bała. No i Loszy nigdy nic się nie przypalało.

## 7

Nastia aż drżała z niecierpliwości, czekając na telefon Olszańskiego. A jeśli pijany Sietunow zapomniał, że wczoraj była u niego milicja i zostawiła wezwanie? Albo jeżeli je zgubił i nie wie, gdzie i do kogo ma się zgłosić? Może jeszcze w ogóle nie wytrzeźwiał? Od wczesnego ranka Nastia wydzwaniała do niego do domu, ale nikt się nie zgłaszał. Olszański odezwał się około południa.

— Słuchaj no, Kamieńska, co to za alkoholika mi przysłałaś? — rozległ się w słuchawce jego kpiący tenorek. — Facet miał taki chuch, że aż mi się okulary zapociły. Ale zeznał przynajmniej, że dostarczył Gałaktionowowi cyjanek. Dwie fiołki. Zuch jesteś, żeś na to wpadła. Skąd ci to przyszło do głowy?

— Nie wiem. — Nastia roześmiała się zadowolona. — Zresztą nie miałam innego wyjścia. Jeśli nie udaje się znaleźć związku między trucizną i zabójcą, można spróbować go poszukać między trucizną i

ofiara. Pomysł zresztą nie jest nowy, w literaturze był często wykorzystywany.

— No, nie rób już ze mnie takiego skończonego ciemniaka, to lekka przesada — oznajmił w swoim niewyszukanym stylu Konstantin Michajłowicz. — Książek przeczytałem nie mniej od ciebie. Istotnie opisywano wiele przypadków, kiedy to zabójca posłużył się trucizną należącą do ofiary. Ale żeby poprosić ofiarę o zdobycie trucizny, a następnie za jej pomocą dokonać zabójstwa, no wiesz... To to samo, co zmusić człowieka, żeby sam sobie wykopał grób albo założył pętlę na szyję. Takie postępowanie z pewnością nie świadczy najlepiej o charakterze przestępcy. Ale ciekaw jestem, jak ty do tego doszłaś? Taka subtelna istota — niebieskie oczęta, włoski blond, buzia w ciup, delikatna jak mimoza — która każdego pożałuje i o wszystkich się martwi? Myślisz, że o tym nie wiem? I jak to możliwe, że młodej, miłej, dobrej dziewczynie przychodzą do głowy takie przewrotne myśli i koszmarnie przypuszczenia, co? Żeby na coś takiego wpaść, trzeba mieć zimny, wyrachowany umysł i nienawidzić ludzi, a ty ich kochasz. A może tylko udajesz?

— Konstantinie Michajłowiczu, niepotrzebnie próbuje pan mnie obrazić — odparła Nastia, starając się mówić spokojnie. Z trudem hamowała wzbierającą złość. — Jeżeli to było pana celem, uznajmy, że już pan go osiągnął, i przejdźmy wreszcie do meritum. Nie lubię, żeby mężczyzna, nawet jeśli jest śledczym prokuratury miejskiej, roztrząsał szczegóły mojego wyglądu, w dodatku jeszcze przy użyciu wyświechtanych zdrobnień. Wiem, że mnie pan nie lubi, nawet nie znosi, ale nie zamierzam się z tego powodu powiesić z rozpacz. Tak więc skoro ani pan, ani ja w najbliższej przyszłości nie planujemy odejścia z pracy, powinniśmy stworzyć jakiś modus

vivendi, bo jeszcze niejeden raz będziemy mieli ze sobą do czynienia. Sądzi pan, że to możliwe, czy też absolutnie niewykonalne?

— Wiesz co, Kamieńska, moim zdaniem, masz kompletnego bzika na punkcie swojej godności osobistej — usłyszała w odpowiedzi. Olszański w ogóle się nie przejął jej reprimendą. — Przecież ja cię chwale, co, nie rozumiesz tego? Chwałę! Powiedziałem wyraźnie, że zuch z ciebie. Czego się wściekasz? Fakt, język mam niewyparzony, ale chyba mogłabyś się już przyzwyczać, znamy się nie od wczoraj. — To dlaczego traktuje mnie pan jak dziecko... — Głos jej się załamał i chlipnęła cicho.

— A bo dzieciak z ciebie. Moja starsza córka jest prawie w twoim wieku. Ile masz lat? Dwadzieścia siedem? A ja czterdzieści sześć, mógłbym prawie być twoim ojcem. Niepotrzebnie się obrażasz.

— Mam trzydzieści cztery. Wkrótce skończę trzydzieści pięć — sprostowała Nastia, pociągając nosem. — Ładnie to tak kłamać?

— Boże drogi, Konstantynie Michajłowiczu, niech pan spyta, kogo pan chce, wszyscy wiedzą! Jeżeli pan nie wierzy, to pokażę panu dowód osobisty.

— A bo wyglądasz jak smarkula. Pijesz eliksir młodości, czy co?

— Nie, nie dojadam i żyję beztrosko jak ptak. Nie mam ani męża, ani dzieci, tylko pracę. Żadnych więcej obowiązków. Oto cała tajemnica.

— A to dopiero! — zachwycił się szczerze Olszański. — Dobra, przepraszam, jeśli coś było nie tak. Dawno już chciałem z tobą pogadać, nawet Docence mówiłem, żebyś nie reagowała tak ostro na

moje odzywki. No co, zgoda? — Zgoda. — Nastia westchnęła z ulgą. Dzięki Bogu, przynajmniej jedno się udało.

Sietunow zdobył dla Gałaktionowa dwie fiołki cyjanku. Ciekawe, co się stało z drugą? W mieszkaniu Szytowej jej nie było. Ani u Gałaktionowa w domu, ani w banku też nie znaleziono trucizny. Więc gdzie może być druga fiołka? Cóż, to pytanie czysto retoryczne, gdyż odpowiedź jest oczywista: u mordercy. Jak to było u Bernarda Shawa? Kto ukradł kapelusz, ten załatwił ciotkę. A więc, kto ma cyjanek, ten zabił. Proste.

## 8

Przedśmiertną notatkę Grigorija Wojtowicza czytały cztery osoby — jego matka, lekarz i milicjant, którzy przyjechali na jej wezwanie, oraz śledczy Oleg Nikołajewicz Bakłanow. Misza Docenko uznał, że treść notatki najlepiej powinien pamiętać śledczy, gdyż z pewnością przeczytał ją niejeden raz. A więc trzeba zacząć od niego.

Ale rozmowa z Bakłanowem niewiele wyjaśniła. Słabo pamiętał tekst, twierdził, że notatka nie zawierała nic istotnego. — Ot, jakiś bełkot bez związku — powtarzał w kółko. — Coś takiego, że niby zawiniłem, ale nie jestem winien, to moja wielka wina, ale nie moja... No, takie tam brednie. — Niech pan się postara sobie przypomnieć, dlaczego odniósł pan wrażenie, że treść notatki jest

blaha i bez znaczenia — nalegał nieustępliwy Docenko. — Może piszący opuścił jakieś wyrazy i dlatego trudno panu było uchwycić sens? — Chyba nie.

— A może urwał jakąś myśl w pół słowa, w środku zdania?

— Też nie, o ile pamiętam.

— A czy nie było w notatce jakichś niezrozumiałych dla pana określeń? Specjalistycznych terminów, nieznanymi nazwami?

— Tak, zdaje się, było coś takiego... Wie pan, czytałem w kółko ten tekst, czytałem, aż raptem wydało mi się, że to jakiś nonsens. Niby wszystko jest logiczne, zrozumiałe, a potem nagle bęc! I już nic nie rozumiałem.

„Bęc! Nakładłbym ci po pysku, jak Pan Bóg przykazał, to na drugi raz byś pamiętał, co robić, kiedy teczki z aktami znikają ci z gabinetu! Najprawdopodobniej w drugiej części notatki, a może nawet pod sam jej koniec znalazła się jakaś zakamuflowana wskazówka. Za wszelką cenę muszę ją odtworzyć”.

Następnie Docenko przesłuchał matkę Wojtowicza, która po przeżyciu dwóch kolejnych tragedii w odstępie zaledwie paru dni znalazła się w szpitalu. Ta do niedawna jeszcze silna i krzepka siedemdziesięciolatka stała się dosłownie ruiną człowieka, z trudem mówiła i prawie nie wstawała z łóżka. Do Miszy odniosła się z wyraźną rezerwą. — Po co to wszystko? — zapytała cicho. — Akta spłonęły, i Bóg z nimi. Griszeńki i tak nic nie wskrzesi. Żenieczki także.

Sporo czasu upłynęło, nim Miszy udało się uspokoić staruszkę i nakłonić ją, by wróciła pamięcią do tamtego strasznego dnia, kiedy

to wróciła ze sklepu do domu i zastała syna martwego, z pętlą na szyi.

— Wie pan, co mnie uderzyło? Przecież samobójstwo popełnił dlatego, że nie mógł sobie wybaczyć zabicia Żenieczki. Ale w liście nie było ani słowa skruchy. Przyznawał się do winy, i na tym koniec. Nic o grzechu, karze, pokucie. Tylko o winie. Moja wina — nie moja wina, zawiniłem — jestem niewinny... I na końcu jakieś niejasne zdanie o nieskończoności.

— A konkretnie? — nalegał Misza. — Mario Daniłowno, kochana, błagam, niech pani sobie przypomni, to bardzo ważne!

— Nie — pokręciła głową kobieta — dokładnie nie pamiętam, a nie będę kłamać. Coś o winie i nieskończoności Wobec lekarza i funkcjonariusza milicji, którzy zostali wezwani do mieszkania Wojtowicza, Docenko zastosował inną metodę. Posadził ich obu przed sobą i każdemu podsunął arkusz papieru.

— Piszcie, co pamiętacie — powiedział. — Nawet jeśli to będą oderwane słowa, a nie logiczne, pełne zdania. — A teraz zamieńcie się kartkami i poprawcie to, co napisał ten drugi — polecił, kiedy lekarz i milicjant nakreślili już po parę słów.

Mężczyźni skupili się nad nowym zadaniem. Nagle lekarz podniósł głowę.

— Nie, to nie było tak — zwrócił się do milicjanta. — Nie napisał: „Nie jestem winien”, tylko: „Winien jestem nie ja”. Pamiętam jeszcze, że pomyślałem wtedy: jeżeli nie ty, to kto? — A co to za różnica? — spytał zdziwiony milicjant.

— Jest różnica — potwierdził Docenko. — Kiedy człowiek mówi: „Nie jestem winien”, usprawiedliwia się. Natomiast gdy twierdzi:

„Winien jestem nie ja”, chce zasygnalizować, że zawinił ktoś inny, a on wie, kto to taki. Prawda? — Tak, oczywiście — zgodził się lekarz. — Właśnie to przyszło mi na myśl, kiedy czytałem notatkę. I jeszcze na końcu było tam coś o korzeniach... Nie mogę sobie przypomnieć... — Tak jest! — Milicjant poruszył się gwałtownie. — „Korzenie naszej winy tkwią w nieskończoności”. Pomyślałem wtedy, że to jakiś bełkot. — Na pewno dobrze pan pamięta te słowa?

— Tak, tak — dorzucił lekarz — tak właśnie było napisane. Widzi pan, przez to zdanie całość wydawała się bez sensu. Z początku wszystko trzymało się kupy: winien jestem nie ja, ale moja wina polega na tym, że do tego dopuściłem. Mniej więcej taki był sens. A potem nagle wyskakiwało to zdanie o nieskończoności.

— Nie domyślają się panowie przypadkiem, co ono mogłoby oznaczać? — upewnił się jeszcze Docenko. — Nie — odpowiedzieli zgodnie obaj mężczyźni. — To brzmi zupełnie niedorzecznie.

## 9

Siedział w pracy i przeglądał rezultaty testów. Cóż, wszystko idzie bardziej niż zadowalająco. Urządzenie pewnie będzie gotowe nawet wcześniej, niż obiecał Mierchanowowi. Trzeba jeszcze tylko to i owo poprawić, wzmocnić prawy obwód, o jedną trzecią zmniejszyć powierzchnię A-6 i o jedną ósmą powiększyć A-2. To chyba

wszystko. Nie aparatura, ale po prostu cukiereczek. Palce lizać. I wielkość dobra, po rozmontowaniu można urządzenie nosić w teczce.

Żeby tylko Mierchanow nie szykował jakiegoś oszustwa. Może, na przykład, wziąć urządzenie, a nie dać pieniędzy. Jak je potem od niego wyszarpać? Oczywiście, teraz, kiedy tamtym zależy, gotowi są przybiec w podskokach na pierwszy telefon. A potem przepadną jak kamień w wodę. Trzeba by obmyślić jakiś chytry fortel, zabezpieczyć się tak, żeby musieli zapłacić. Nie pozwolić z siebie zrobić durnia. Tamci mogą przecież zacząć go zwodzić, powiedzieć, że pieniądze przekażą dopiero po wypróbowaniu urządzenia, bo może wcisnął im jakiś szmelc. Trzeba będzie pojechać z nimi, przetestować aparaturę w warunkach naturalnych. Ale to niebezpieczne. Można przecież stamtąd nie wrócić... Kim on jest dla nich? Giaurem, niewiernym...

A może zaprosić ich przedstawiciela tutaj, do instytutu, zademonstrować działanie urządzenia w warunkach laboratoryjnych, wziąć pieniądze i odprowadzić gościa z cennym ładunkiem w teczce do wyjścia? Tak będzie, oczywiście, bezpieczniej. Ale w warunkach laboratoryjnych efekt nie jest aż tak widoczny. Co innego zresztą demonstrować działanie urządzenia na myszach czy królikach, a co innego na ludziach.

Zorientował się nagle, że w zadumie kreśli ołówkiem na papierze poziome ósemki. W matematyce ten znak jest symbolem nieskończoności. Rozkleił się, zupełnie się rozkleił. To niewybaczalny błąd! Podarł kartkę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Wytarł spotniałe nagle dłonie, wziął głęboki oddech. Czuł się tak,



jakby przed chwilą omal nie chwycił za przewód elektryczny pod napięciem i tylko cudem się od tego powstrzymał.

Po chwili namysłu wyjął strzępki papieru z kosza, położył je na metalowej popielniczce i podpalił. Tak będzie bezpieczniej.

# ROZDZIAŁ VIII

## 1

Niedzielę Nastia postanowiła poświęcić na zapoznanie się z programami komputerowymi, które będzie mogła wykorzystać w swojej pracy. Losza przyniósł jej program z planem Moskwy i Anastazja z zapalem wzięła się do roboty. Rozłożyła arkusze z danymi statystycznymi za ubiegły rok i własne raporty analityczne, sporządzane dla Gordiejewa co miesiąc, po czym zaczęła zaznaczać na planie miasta punkty, w których dokonano zbrodni i gwałtów. Kropki w kolorze zielonym oznaczały przestępstwa wykryte. W czerwonym — niewykryte.

Pracowała pilnie, nanosząc różnokolorowe kropeczki na mapę Moskwy na ekranie. Z każdą chwilą ich przybywało i Nasti wszystko zaczynało już migać przed oczyma. Postanowiła zrobić sobie przerwę i napić się kawy.

Po półgodzinie znów podeszła do włączonego komputera i nagle stanęła jak wryta. W prawej części ekranu, czyli we wschodnim rejonie Moskwy, wyraźnie rysowała się zielona elipsa, złożona z punktów oznaczających przestępstwa wykryte. Miała idealny kształt, a jej położenie wyznaczały kierunki północno-wschodni i południowo-zachodni. „Nonsens — pomyślała Nastia. — Igraszki

rozpalonej wyobraźni. Za długo wyteżałam wzrok i oczy się zmęczyły od wysiłku. Coś mi się przywidziało i tyle".

Wróciła do kuchni i posiedziała tam z zamkniętymi oczyma jeszcze parę minut, po czym znów podeszła do komputera. Elipsa nie zniknęła. Co gorsza, trochę wyżej, tak samo ukierunkowana, rozciągała się jeszcze jedna, wyznaczając na jasnoszarym tle planu przestrzeń prawie wolną od kropek, zarówno czerwonych, jak i zielonych.

„Musiałam popełnić jakieś błędy przy wprowadzaniu danych — wytłumaczyła sobie dziwne zjawisko Nastia. — Albo do komputera dostał się wirus. Chociaż skąd miałyby się wziąć? Urządzenie jest zupełnie nowe, mam je zaledwie od tygodnia, nikt oprócz mnie go nie używa".

Postanowiła jednak sprawdzić komputer na wirus. Okazało się, że nie jest niczym zarażony.

Nastia wymazała wszystkie kropki i zaczęła całą operację od początku. Po dwa razy sprawdzała każdy adres, zanim zaznaczyła go na planie. Po trzech godzinach we wschodnim rejonie miasta znów pojawiły się elipsy — zielona i jasnoszara. Stykały się ze sobą, tworząc ósemkę o pętlach różnej wielkości. Szara była dłuższa i szersza, zielona krótsza i węższa.

„To niemożliwe. Tylko mi się wydaje" — uznała znów Nastia, głowiąc się jednocześnie, czym można by wytłumaczyć powstanie zagadkowej ósemki. Wzięła drugą tabelę statystyczną, gdzie podział przestępstw był inny — nie według wykrywalności, lecz według motywów: konflikty w rodzinie, chuligaństwo, rozboje, morderstwa na zlecenie, podłoże seksualne, i na czysty plan miasta znów zaczęła

nanosić kropeczki w różnych kolorach. Tym razem było ich pięć. Nastia z przerażeniem stwierdziła, że w miarę przybywania barwnych punkcików we wschodnim rejonie Moskwy znów zaczęła się rysować przekłeta ósemka. Tym razem dolna pętla była czarno-fioletowa (co odpowiadało przestępstwom na tle konfliktów w rodzinie i wybryków chuligańskich), a górna — jak poprzednio — jasnoszara.

„Zaczynam tracić rozum. Muszę jak najszybciej wziąć urlop i porządnie wypocząć. Dużo spać i normalnie się odżywiać. Tego tylko brakowało, żebym zbzikowała w wieku trzydziestu pięciu lat, i to tuż przed ślubem”.

Dzień minął niepostrzeżenie, była już prawie dziewiąta. Nastia wyłączyła komputer, zjadła kolację, poszła dwadzieścia minut pod gorącym prysznicem. Potem wypła martini, które działało na nią lepiej niż wszelkie tabletki nasenne, i położyła się.

W środku nocy się obudziła, wstała i znów włączyła komputer. Ósemka wciąż była na swoim miejscu. Nastia powiększyła obraz, rozciągając dwie różnokolorowe elipsy na cały ekran, i sprawdziła, na jakiej ulicy wypada miejsce przecięcia się pętli. Była to ulica, przy której mieścił się instytut.

Przede wszystkim znalazła dzielnicowego. Czterdziestoletni kapitan już zaczynał tyć, miał przerzedzone włosy i czerwone żyłki na nosie.

— Rejon mi się trafił, że nie daj Boże — skarżył się. — Nie uświadczy tu choćby jednego normalnego małolata, wszyscy biorą narkotyki, piją, kradną, wdają się w bijatyki. Jest i szkoła, okropna zawodówka, nie ma dnia, żeby milicja nie była tam wzywana. Albo dzieciaki tłuką się między sobą, albo jeśli przyłapią w okolicach szkoły jakiegoś obcego chłopaka, spuszczają mu manto. Jakby diabeł w nie wstąpił. Kiedyś nic takiego się nie zdarzało. A co się wyprawia po domach! Koszmar! Mężowie biją żony, matki — dzieci, dzieci — staruszków, męczą psy i koty. Nie wiem, dokąd to wszystko zmierza. Niby ludzie teraz mniej piją, zarobić też można, więc skąd w nich tyle złości? Pojęcia nie mam. — Powiedział pan, że kiedyś nic takiego się nie zdarzało — powiedziała Nastia. — To znaczy co, zaczęło się niedawno? — Jakieś pół roku temu — odparł gadatliwy dzielnicowy. — A co mnie najbardziej wkurza, to to, że przedtem pracowałem w sąsiednim rejonie, przeniosłem się dopiero w zeszłym roku, a tam cisza i spokój, nie to, co tutaj. Po prostu jak u Pana Boga za piecem. Gdybym wiedział, co tu się wyrabia, w życiu bym się stamtąd nie ruszył. Ale to wszystko przez mojego syna. Zapisalem go do szkoły z wykładowym angielskim, która się mieści tuż obok naszego komisariatu, no i przeniosłem się, żeby móc go rano odwozić, w razie czego mieć na niego oko... Sama pani rozumie. — A tam, gdzie pan przedtem pracował, zawsze był spokój?

— Właśnie o to chodzi, że nie. Kiedy się przenosiłem, wszędzie było jednakowo. Dlatego właśnie myślałem sobie, że to bez różnicy,

gdzie pójdę. Obowiązki te same. Kto mógł przewidzieć, że sytuacja tak się zmieni?

— A jak pan sądzi, jaki był powód tej zmiany? — spytała Nastia, sama gubiąc się w domysłach. — Może na pańskim terenie działa jakaś grupa przestępcza, która zakłóca spokój? Dostarcza dzieciom narkotyków, na przykład.

— Nie, wiedziałbym o tym. — Dzielnicowy pokręcił głową. — Może niewiele mógłbym zdziałać, fakt, ale wiedzieć, tobym wiedział. Zresztą ten rejon miasta nie jest dla nich atrakcyjny, są tu same osiedla mieszkaniowe, nie ma ani firm, ani salonów samochodowych, ani banków. No owszem, jeden przyzwoity hotel, ale więcej nic. W sąsiednim rejonie jest więcej obiektów, które mogłyby ich zainteresować, ale tam akurat panuje spokój.

— Nic nie rozumiem. — Nastia wzruszyła ramionami. — Dlaczego tam jest w porządku, a u pana tak źle? Musi przecież istnieć jakieś wytłumaczenie.

— Na pewno. — Kapitan bezradnie rozłożył ręce. — Wy tam, na Pietrowce, macie lepsze rozeznanie, z góry zawsze wszystko lepiej widać. Znajdziecie przyczynę.

Nastia wróciła na Pietrowkę zmęczona i podenerwowana. Ósemka jej się nie przywidziała, ale było zupełnie niezrozumiałe, skąd się wzięła. Czyżby chodziło o instytut?... Może właśnie tę ósemkę miał na myśli nieszczęsny Wojtowicz, kiedy pisał: „Korzenie naszej winy tkwią w nieskończoności”? Pozioma ósemka to właśnie jej symbol...

### 3

— Wiktorze Aleksiejewiczu, mam w głowie kompletny zamęt. W tym instytucie dzieje się coś niedobrego. Potrzebuję specjalisty od urządzeń antenowych.

— Stop, stop, nie tak szybko. — Gordiejew skrzywił się. — Uspokój się i opowiedz wszystko po kolei.

— Muszę się dowiedzieć, czy na dachu instytutu nie zamontowano przypadkiem jakiegoś chytrego urządzenia, które w jednym kierunku przekazuje fale mające pozytywny wpływ na system nerwowy człowieka, a w drugim — na zasadzie jakby pętli sprzężenia zwrotnego — wywołujące zupełnie przeciwny skutek. Pętla zwrotna jest zawsze krótsza i węższa; widać to na planie. O proszę, strefa spokoju jest większa, strefa nasilenia zachowań agresywnych — mniejsza. A przecinają się ze sobą obie w miejscu, gdzie stoi ten cholerny instytut. Bardzo możliwe, że rozwiązania sprawy Wojtowicza należy szukać właśnie tam.

— I jak byś się do tego zabrała? — zainteresował się Gordiejew. W zębach trzymał zauszniak okularów, który z przyzwyczajenia gryzł w chwilach wytężonego namysłu, tak że mówił trochę niewyraźnie.

— Potrzebuję kogoś, kto zna się na promieniowaniu elektromagnetycznym, a jednocześnie jest dobrze zorientowany w profilu działalności instytutu. I powinien to być ktoś z zewnątrz, spoza grona pracowników.

— Dlaczego? Co, wszyscy co do jednego są, według ciebie, podejrzeni?

— Nie, oczywiście że nie, ale...

— Dobrze, poszukam kogoś. Masz jeszcze coś? Zamierzasz może znaleźć zabójcę Gałaktionowa czy też teraz zajęłaś się nowym hobby — fizyką fal?

— Kiedy będę wiedziała, co się dzieje w instytucie, powiem panu, kto zabił Gałaktionowa.

— No, no — sarknął Pączek. — Lepiej nie mów hop.

## 4

Nocą znowu siedział w gabinecie i oglądał fotografie. Nie chciał się przyznać przed samym sobą, że długo i namiętnie pragnął Jewgienii Wojtowicz. Czyż można pragnąć t e g o? — zastanawiał się z ironią, patrząc na jej straszliwie okaleczone piękne ciało. Czy można pragnąć kobiety, o której napisano: „Zewnętrzne narządy płciowe rozwinięte prawidłowo. Okolice odbytu (przed wprowadzeniem termometru) bez śladu zanieczyszczeń. Kości długie kończyn nienaruszone”. Znowu chciał się przełamać i pozbyć na zawsze swoich „dowodów”. Ale zrozumiał, że nie może. Potrzebował tych protokołów i zdjęć jako potwierdzenia własnych racji. Nikt ich nie znajdzie, póki on żyje. A po śmierci będzie mu wszystko jedno...

Już niedługo dostanie pieniądze, które uczynią go wolnym. Za nic nie wyjedzie z Rosji, to nie ma sensu. Niepotrzebna mu zagranica,



luksusy, sukcesy, limuzyny i willa z basenem oraz służba. Chce mieć dom, duży, solidny dom w lesie i samochód terenowy, żeby raz na tydzień, a jeszcze lepiej — raz na miesiąc móc pojechać po zakupy. I koniec. Więcej niczego mu nie potrzeba. Zaszyć się w leśnej głuszy, nikogo nie widzieć, nikogo nie słyszeć. Rozwieść się z żoną, zostawić jej mieszkanie w Moskwie, niech sobie żyje, jak chce. Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu, na odwrót, będzie zadowolona, że zostanie w trzech pokojach z kuchnią. Nie kocha go przecież... Co? Co takiego? Nie kocha? No, no, roześmiał się w duchu, za długo myślałem o Jewgienii, wciąż wspominałem jej słowa, no i nieświadomie ich użyłem. Zresztą żona pewnie nie wie, że żadnej miłości nie ma, też mierzy życie ich obojga tymi głupimi, mitycznymi miarkami. Ileż to razy w ciągu ostatniego miesiąca wstawał tak w nocy i przesiadywał w gabinecie, a ona ani razu się nie obudziła, nie poczuła, że nie ma go obok. Tak, na pewno się ucieszy, kiedy on zaproponuje rozwód i powie, że się wyprowadza. Nie jest jej potrzebny. Podobnie zresztą jak ona jemu.

Zaczął myśleć o wymarzonym domu, który sobie zbuduje w głębi gęstego lasu. Koniecznie z cegły, piętrowy, z garażem i sauną. I z suchą piwnicą, w której można trzymać zapasy. Z własną kotłownią, żeby było ciepło. Potrzebna będzie kupa forsy — trzeba doprowadzić tam elektryczność i linię telefoniczną. Ale pieniędzy powinno wystarczyć, jeśli tylko Mierchanow go nie oszuka.

Zabierze ze sobą książki, swojego psa, setera szkockiego, czarnego z podpalanymi łapami i zabawnymi podkówkami nad oczyma. Ten pies to jedyne stworzenie na świecie, które go nie irytuje.

## 5

Na wizytę w Ministerstwie Nauki Nastia musiała się przyzwoicie ubrać. Dżinsy i sweter absolutnie nie wchodziły w grę. Długo stała przed otwartą szafą, namyślając się, co włożyć, żeby czuć się swobodnie, a jednocześnie wyglądać surowo i oficjalnie. W końcu zdecydowała się na czarne spodnie i oliwkowy żakiet z czarnym wykończeniem. Kupiła ten kostium jesienią za pieniądze brata, który koniecznie chciał jej zrobić jakiś prezent, ale dotąd ani razu nie miała go na sobie. Zresztą pewnie nigdy więcej go nie włoży. Tylko dziś, do ministerstwa.

Gordiejew już czekał w holu. Był wyraźnie zdenerwowany.

— Czy zdajesz sobie sprawę, dokąd i po co idziemy? — pytał raz po raz, gdy szli długim, wyścielonym miękką wykładziną korytarzem. — Idziemy do poważnego człowieka i zamierzamy przedstawić poważne oskarżenie instytutowi, który mu podlega. Bez mocnych dowodów w zanadru nie mamy czego szukać, ośmieszymy się tylko.

— No i dobrze — beztrąsko odpowiedziała Nastia. — Niech się śmieją, za to my otrzymamy odpowiedź na nasze pytania i przynajmniej się upewnimy, że to koszarne podejrzenie, które zrodziło się w mojej głowie, nie ma żadnego potwierdzenia w rzeczywistości. Uważam, że to lepsze niż niepewność. Może nie?

— Nie — ostro uciął Pączek, szukając wzrokiem właściwych drzwi. — Ja, moja kochana, nie jestem już młodzikim, żeby wystawiać się na pośmiewisko. Mamy teraz wolność słowa i jutro

może się pojawić w prasie artykuł o tym, jacy to ignoranci pracują na Pietrowce. I tacy durnie chcą strzec spokoju i bezpieczeństwa ufnych moskwian! No wiesz, w szkole mieliśmy słabe stopnie i brak nam elementarnych wiadomości z fizyki. Za to w literaturze byliśmy bardzo obcykani i do dziś z zapałem czytujemy powieści science fiction. Nie zapomniałaś przypadkiem, ile mam lat? — Niedługo skończy pan pięćdziesiąt sześć.

— Otóż to. I jeżeli przez ciebie, smarkulo jedna, będę się musiał czerwienić, to pamiętaj, głowę ci urwę. Zrozumiano? — Tak jest, Wiktorze Aleksiejewiczu. Urwie mi pan głowę. — To tutaj. Wchodź.

W sekretariacie siedziała naburmuszona dziewczyna o szczurzej twarzyczce. Na widok Gordiejewa i Nasti z lekka tylko podniosła głowę z przylizanymi włosami i milcząc, wlepiała w nich wzrok.

— Nikołaj Adamowicz ma nas przyjąć o dziesiątej trzydzieści — uprzejmie poinformował sekretarkę Pączek. Dziewczyna, nadal bez słowa, wstała i weszła do pokoju za obitymi czerwoną skórą drzwiami. Po półminucie pojawiła się z powrotem i w milczeniu stanęła przy otwartych drzwiach, z ręką na klamce. Widać oznaczało to zaproszenie do wejścia.

Nikołaj Adamowicz Tomilin przywitał gości serdecznie, wskazał im fotele i zaproponował kawę lub herbatę. Gordiejew podziękował, a Nastia poprosiła o kawę.

— Słucham pani uważnie — walcząc z astmatyczną zadyszką, oświadczył Tomilin. — Cóż mogło przywieść tak czarującą kobietę w progi naszego nudnego, ponurego ministerstwa? — Nikołaju Adamowiczu — zaczęła Nastia — czy w instytucie, który ma pan

pod swoją opieką, prowadzono prace dotyczące promieniowania działającego pozytywnie na system nerwowy i psychikę człowieka?

— Skąd takie dziwne pytanie? — Tomilin zafalował całym swoim tęgim ciałem, co najwidoczniej miało znamionować śmiech. — Odkąd to wydział kryminalny interesuje się problemami naukowymi, związanymi z promieniowaniem elektromagnetycznym? — Zaraz wyjaśnię.

Nastia wyjęła plan Moskwy i w paru zdaniach opisała stan przestępczości na terenie wyznaczonym przez dwie kolorowe elipsy. Oczywiście, ani o Wojtowiczu, ani o kradzieży teczek, ani o Gałaktionowie nie wspomniała.

— Natknęliśmy się na to niewytłumaczalne zjawisko w trakcie rocznej analizy danych dotyczących przestępczości. Wie pan, to rutynowa sprawa — zawsze w początkach lutego przeprowadzamy taką kontrolę.

— Ale na jakiej podstawie uznała pani, że prace prowadzone w instytucie mają związek z przestępczością w tych dwóch rejonach?

— Na takiej, że instytut znajduje się dokładnie pośrodku, o tutaj, proszę spojrzeć, Nikołaju Adamowiczu. Nastia końcem długopisu wskazała na planie miejsce, gdzie stykały się obie elipsy — szara i czarno-fioletowa. — I co z tego wynika? — z niezmaconym spokojem zapytał Tomilin.

— O ile pamiętam, w fizyce istnieje coś takiego jak sprzężenie zwrotne — zaczęła Nastia, ale przerwał jej gromki wybuch śmiechu.

Tęgie ciało Tomilina podrygiwało tak gwałtownie, że wydawało się, iż za chwilę wyleje się z fotela niczym rosnące ciasto. Śmiech przeszedł w uporczywy kaszel ze świstami i zadyszką; mężczyzna

wyjął z szuflady biurka aerozol i prysnął sobie do ust. Potem wysapał się. — Można zapytać, gdzie się pani uczyła fizyki?

— W szkole.

Już miała dodać, że ukończyła szkołę o profilu matematyczno-fizycznym, ale zmilczała.

— A kiedy to było? Dziesięć lat temu?

— Prawie dwadzieścia — odpowiedziała zgodnie z prawdą. — Kochaneczko, proszę się nie obrażać, ale skoro tak, można uznać, że nie ma pani bladego pojęcia o fizyce. Skąd przyszedł pani do głowy te głupstwa?

Nastia, starając się mówić jak najzwięźlej, by uniknąć elementarnych błędów, przedstawiła Tomilinowi swoją hipotezę na temat pętli zwrotnej.

— Nonsens! — oświadczył ten nieznoszącym sprzeciwu tonem. — Już pięć lat temu dowiedziono, że takie zjawisko nie istnieje. Dawniej rzeczywiście uważano, że w szeregu wypadków, zwłaszcza jeśli chodzi o emisję fal o wysokiej częstotliwości, istnieje to, co pani raczyła nazwać sprzężeniem zwrotnym czy też pętlą sprzężenia zwrotnego. To fałszywe przekonanie było skutkiem niewłaściwego rozumienia natury tego promieniowania. Przed pięcioma laty niemiecki uczonec Meierstranz dokonał przewrotu w fizyce, udowadniając, że nasze wyobrażenia na temat emisji fal elektromagnetycznych są błędne. Był twórcą nowej szkoły w fizyce, a jego poglądy przejął dziś cały świat naukowy. W wyniku tego nowego podejścia do problemu dowiedziono również, że sprzężenie zwrotne w emisji fal o wysokiej częstotliwości to mit. Ni mniej, ni więcej, tylko skutek błędu w doświadczeniach. A pani, dziecinko,

przyszła do poważnej instytucji, uzbrojona w szkolną wiedzę sprzed dwudziestu lat, i próbuje oczernić wybitnych naukowców, nie mając najmniejszego wyobrażenia o problemach, którymi oni się zajmują. A fe! Gordiejew był purpurowy ze wstydu i złości. Wszystko toczyło się zgodnie z jego przewidywaniami. A nawet jeszcze gorzej. Nastia pragnęła uciec jak najdalej stąd, ukryć się w jakimś ciemnym kącie i rozpłakać.

— Absolutnie nie zamierzałam oczerniać pracowników naukowych instytutu — powiedziała, przemagając to przykre uczucie. — Po prostu chciałam zrozumieć, co się dzieje. Pan od wielu lat kieruje sprawami nauki, Nikołaju Adamowiczu, więc wie pan, jak wielką ciekawość budzą zjawiska niewytłumaczalne. Człowiek nie może jeść, spać, rozmawiać z bliskimi. Owa ciekawość potrafi zawładnąć nim bez reszty i ona jest motorem wszelkich jego poczynań, niekiedy śmiesznych, niekiedy wręcz niedorzecznych, ale zawsze mających jeden cel: zrozumienie, dlaczego coś się dzieje i jak to się dzieje. Z pewnością mój pomysł, by przyjść tutaj i z panem porozmawiać, wydaje się panu naiwny i niemądry, ale mocno wierzę, że nie wyrzuci mnie pan stąd za moją ignorancję, lecz doradzi, ku której dziedzinie nauki powinnam się zwrócić, by znaleźć odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. A może nawet będzie pan tak uprzejmy, że wskaże mi konkretnego specjalistę w tej właśnie dziedzinie. Bardzo na to liczę, Nikołaju Adamowiczu.

— Cóż, dziecino, cenię pani zapał do zdobywania wiedzy — łaskawie przyznał Tomilin. — To miłe, kiedy ludzie młodzi pragną rozszerzać swoje horyzonty. Ale jestem zmuszony panią rozczarować. Powinna pani szukać wyjaśnienia owego zagadkowego zjawiska w sferze nauk społecznych. Przesztyń czość, jak wiadomo,

jest zjawiskiem społecznym, nie ma korzeni biologicznych, o ile się orientuję, dowiedziono tego już dawno. Z naukami ścisłymi problemy przestępczości we wschodnim rejonie Moskwy nie mają żadnego związku. I doradzam pilnie się uczyć fizyki, bo inaczej znów czeka panią kolejna wpadka. Miała pani szczęście, że trafiła do mnie, a nie do kogoś innego. Ja jestem człowiekiem pobłażliwym i wyrozumiałym wobec cudzej niewiedzy, nie wszyscy w końcu mogą być encyklopedystami, jak Łomonosow czy Rousseau. Pani pracuje w milicji, więc odnoszę się ze zrozumieniem do faktu, że nie ma pani pojęcia o fizyce. Z pewnością do swojej działalności zawodowej jest pani o wiele lepiej przygotowana. Ale nie wszyscy są tacy łagodni i życzliwi jak ja. Niejeden po prostu bez pardonu wyrzuciłby panią za drzwi.

— Dziękuję, Nikołaju Adamowiczu. — Nastia zdobyła się na wymuszony uśmiech, chowając do torby plan Moskwy. Wstała. — Miło mi było z panem porozmawiać. — Mam nadzieję. — Chciał się chyba roześmiać, ale nagle poczerwieniał, machnął ręką i sięgnął po inhalator. Po wyjściu z gabinetu Tomilina Nastia i Gordiejew długo milczeli. Bez słowa ubrali się w szatni, wyszli na ulicę i skierowali się do najbliższej stacji metra. Gdy zjechali ruchomymi schodami na dół, Nastia skrzyła na prawy peron. — Nasz pociąg odchodzi z lewego — rzucił ponuro Pączek, ledwie otwierając usta. — Nie jadę z panem. — Dlaczego?

— Bo wracam do domu. Muszę z siebie zmyć ten kubeł pomyj, który na mnie wylał Tomilin. I nie przyjdę do pracy, póki się nie dowiem, co się dzieje w tym przeklętym instytucie. Może mnie pan zwolnić za naruszenie dyscypliny. Z prawej strony rozległ się łoskot

wjeżdżającego na stację pociągu. Nastia odwróciła się od Gordiejewa i ruszyła do wagonu.

— Nastazjo! Poczekaj! Nastazjo! — wołał za nią pułkownik, usiłując się przebić przez tłum wysiadających, ale nie obejrzała się. W ostatniej chwili zdołał jednak wskoczyć do wagonu, przytrzymując ręką drzwi, które już się zamykały. Nastia siedziała w kącie, z głową opartą o ściankę i zamkniętymi oczyma. Pułkownik zauważył, że jej twarz jest śmiertelnie blada, zapadłe policzki okrywa siny cień, a wargi drżą zdradliwie. Pączek podszedł do Nasti i nachylił się nad nią. — Stasienko — powiedział cicho. — Nie denerwuj się, dziewczynko. Wszystko jest w porządku. Nic wielkiego się nie stało. Anastazja powoli otworzyła oczy i próbowała się uśmiechnąć.

— Niech się pan nie przejmuję, Wiktorze Aleksiejewiczu. Dobrze się czuję. Proszę wysiąść, chciał pan przecież jechać w przeciwnym kierunku.

— Daj słowo, że nie będziesz płakała — zażądał Gordiejew. — Daję słowo.

— I daj słowo, że nie będziesz się zamartwiać. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że jakaś hipoteza nie znajduje potwierdzenia. To się zdarza częściej niż sytuacja odwrotna. Nie warto z tego robić tragedii. Słyszysz? — Słyszę. — Nie będziesz się zamartwiała? — Nie będę — obiecała Nastia słabym głosem.

— Mogę z czystym sumieniem wracać do pracy i mieć pewność, że z tobą wszystko w porządku?

— Oczywiście, Wiktorze Aleksiejewiczu. Nie jestem małym dzieckiem, poradzę sobie. Posiedzę, pomyślę, zbiorę siły — i do



roboty. Wszystkie rany goją się na mnie jak na psie. Pociąg zwolnił, dojeżdżając do następnej stacji. Wiktor Aleksiejewicz przesunął się bliżej drzwi, ale nie spuszczał oczu z Nasti. Zdawało mu się, że trochę się uspokoiła, wargi już jej nie drżały i chyba nie miała zamiaru płakać. Drzwi się otworzyły, pułkownik rzucił na Nastię ostatnie spojrzenie. Siedziała jak przedtem, z zamkniętymi oczami, blada i nieszczęśliwa. Serce Gordiejewa ścisnęło się ze współczucia. „To nic, jest mądra i silna, ma chłodny, precyzyjny umysł, który pracuje jak komputer. Nie pozwoli, by emocje wzięły nad nim górę. Da sobie radę. Ten grubas Tomilin obraził ją, ale ona jakoś to zniesie. Moja dziewczynka, moja Stasieńka...”

Wysiadł wraz z tłumem pasażerów i przeszedł na peron, z którego odjeżdżały pociągi w przeciwnym kierunku.

## 6

Drzwi za gośćmi już dawno się zamknęły, a Nikołaj Adamowicz Tomilin wciąż siedział bez ruchu, wpatrzony w jeden punkt, i usiłował zwalczyć niepokój. Wreszcie sięgnął po słuchawkę i zadzwonił do instytutu.

— Jak mam to rozumieć? — zaczął bez wstępów. — Zapewniał pan, że wasza antena jest absolutnie nieszkodliwa, a tu przychodzi do mnie jakaś smarkula z milicji i twierdzi coś wręcz przeciwnego.

— Jaka smarkula? Co takiego twierdzi? Nikołaju Adamowiczu, nie rozumiem, o czym pan mówi.

— O czym mówię? — gorączkował się Tomilin. — O waszej pieprzonej antenie mówię, ot co. Ta dziewczyna podsunęła mi pod nos plan, na którym tylko ślepy by nie zauważył pola działania waszego urządzenia i pola efektu zwrotnego. Więc co, oszukiwał mnie pan? Ukrywał to przede mną? Sfałszowaliście wyniki prób?

— Niech się pan uspokoi, Nikołaju Adamowiczu. Omówiliśmy przecież wszystko, kiedy byłem u pana. Żadnego sprzężenia zwrotnego nie ma i być nie może. Owszem, jest efekt pozytywny, żeby go dokładnie zbadać, zamontowaliśmy antenę w środowisku miejskim, gdyż ma być wykorzystywana właśnie w takich warunkach. Ale zaraz, o jakim planie pan mówił?

— O planie Moskwy, na którym zaznaczono obszar podwyższonej agresji wśród mieszkańców. Ciekawe, co miałem jej powiedzieć, kiedy położyła przede mną ten plan?

— A co pan powiedział?

— Że jest głupia, ot co. Przekonywałem ją, że nie ma pojęcia o podstawach dzisiejszej fizyki. Krótko mówiąc, powiedziałem, co trzeba. Ale to ja powiedziałem j e j. A teraz chcę usłyszeć, co p a n ma do powiedzenia m n i e. — Nic nowego, Nikołaju Adamowiczu — odparł z westchnieniem jego rozmówca. — To zwyczajna prowokacja. Starostin nie przestaje intrygować, żeby otrzymać stołek wiceministra, i to wszystko. Jak się nazywa ta dziewczyna, która u pana była?

— Zaraz sprawdzę, mam zapisane. Cholera, kartka gdzieś mi się zawieruszyła... Nie mogę jej znaleźć. Chyba Kamienie

wa, a może Kamińska?

— Czy nie Kamieńska?

— Tak, tak, racja, Kamieńska.

— No nie, Nikołaju Adamowiczu, a to heca! — Rozmówca Tomilina wybuchnął serdecznym śmiechem. — Wie pan o tym, że Kamieńska jest krewną Starostina? Rzecz zupełnie oczywista, że jej wizyta u pana to po prostu sprytne posunięcie, mające podsycić pożar, który wywołał tamten anonim. Kamieńska udawała po prostu pracownicę milicji. Widział pan jej legitymację?

— Nie. A skąd pan wie, że ta dziewczyna jest jego krewną? — Sam kiedyś opowiadał, chwalił się po pijanemu, że jego siostrzenica pracuje w drogówce, więc dzięki temu on nie ma kłopotów z przeglądami technicznymi wozu. I wymienił jej nazwisko. Mówiłem panu przecież, że referent Starostina to mój sąsiad z dachy, dlatego jestem poinformowany lepiej od pana. Proszę się uspokoić, Nikołaju Adamowiczu, szkoda pańskich nerwów. Co panu powiedziała ta dziewczyna? Że jest z wydziału kryminalnego?

— Nie, tego nie mówiła. Tylko coś o dorocznej analizie statystyk.

— No widzi pan, nawet nie miała odwagi skłamać, że zajmuje się wykrywaniem przestępstw. A słyszał pan kiedyś, żeby milicja zatrudniała specjalistów od analizy danych? — Nie słyszałem. — Tomilin najwyraźniej zaczął się uspokajać.

— Ja także nie. Do pracy analitycznej potrzebne są określone predyspozycje intelektualne, a skąd miałyby się one wziąć u milicjantów? Więc niech się pan nie martwi bez powodu i nie przejmuj intrygami Starostina. Rozumie pan przecież, że facet

wyłazi ze skóry, byle tylko dochrapać się awansu, ale i tak nic nie zwojuje. Stanowisko będzie pańskie, może mi pan wierzyć.

— Skąd taka pewność? — czujnie spytał Tomilin. — Wie pan coś konkretnego?

— Wiem, Nikołaju Adamowiczu, wiem. Więcej na razie powiedzieć nie mogę, ale wiem z całą pewnością, że pańskie szanse na fotel wiceministra są o wiele większe. Miał pan już przecież okazję się przekonać, że moje źródła informacji są niezawodne. Pamięta pan historię z instytutem radiologii? Mówiłem panu pół roku wcześniej, że wybuchnie skandal i Rusakow wyleci z trzaskiem. I dokładnie tak się stało, gdyż było to zaplanowane posunięcie, a nie żaden przypadek. Ale jeśli mimo to pan mi nie wierzy, gotów jestem jeszcze raz przedstawić panu wszystkie dane dotyczące naszej anteny — opinie specjalistów, dziennik wdrożeń, wyniki doświadczeń. — Nie, nie! — odzegnał się pośpiesznie Tomilin. — Nie trzeba. I tak nie znajdę czasu, żeby się tym zająć. Ale mam do pana prośbę — na wszelki wypadek proszę sprawdzić wszystko jeszcze raz. W życiu różnie bywa, lepiej, żeby cała dokumentacja była w idealnym porządku. Rozumiemy się? — Oczywiście, Nikołaju Adamowiczu, skoro pan nalega...

Pułkownik Gordiejew, jak zawsze, miał rację. Złego humoru starczyło Nasti dokładnie na tyle, żeby dotrzeć do domu. Już wjeżdżając windą na ósme piętro, uznała, że niepotrzebnie zachowała się tak paskudnie wobec Pączka, a w dodatku zapowiedziała, że nie pokaże się w pracy, dopóki nie rozwiąże sprawy tajemnicy zagadkowych elips na planie i tego, co się dzieje w instytucie.

W domu szybko się przebrała — zrzuciła elegancki i oszałamiająco drogi kostium i włożyła swoje ulubione dżinsy i sweter — po czym zadzwoniła do Loszy. Bez szemrania zgodził się natychmiast przyjechać i nawet, jak na prawdziwego dżentelmena przystało, zapytał, czy nie trzeba czegoś kupić po drodze.

— Nie trzeba, słoneczko. Zaraz pójde do sklepu i nawet postaram się coś upichcić. Przyszło mi właśnie do głowy... Może zdążymy podskoczyć do urzędu stanu cywilnego, jeżeli jeszcze będzie otwarty, kiedy przyjedziesz? — Mówisz... serio? — upewnił się ostrożnie Czistiakow. — Jeżeli mam być szczery, bałem się o to zapytać, bo gdybyś się nagle rozmyśliła...

— Losza, nie rób ze mnie potwora — rzuciła żartobliwie Nastia.

— A kim ty jesteś? — rezolutnie odciął się Czistiakow. — Może Czerwonym Kapturkiem? Czternaście lat trzymałaś mnie w niepewności. Oczywiście że jesteś potworem. Gruba, przypominająca przekupkę baba w urzędzie stanu cywilnego długo studiowała wypełnione formularze, a z jej wymalowanej niczym odpustowa karuzela twarzy nie schodził wyraz podejrzliwości.

— To pani pierwsze małżeństwo? — zapytała z niedowierzaniem, patrząc na Nastię.

— Pierwsze — potwierdziła Anastazja.

— Rok urodzenia tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty?

— Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty.

Baba pokiwała głową i wbiła wzrok w formularz Loszy.

— I pana też pierwsze?

— Też.

— Żadne z was nie ma dzieci? — wypytywała dalej grubaska, chociaż wszystko, co ją interesowało, mogła przeczytać na wypełnionych blankietach.

Nastia już miała powiedzieć coś w rodzaju: „Tam przecież jest napisane”, ale w porę się zreflektowała. Uświadomiła sobie, że tłuście babsko po prostu nie rozumie, jak takiej niepozornej, zabiedzonej milicjantce udało się poderwać uczonego profesora, który w dodatku nie musi się rozwodzić i płacić potem przez całe lata alimentów pierwszej żonie. Skąd kobiecina może wiedzieć, że Nastia „poderwała” Czistiakowa w czasie egzaminu z matematyki pod koniec dziewiątej klasy? Wtedy to, oddawszy pracę pisemną, nie wyszła ze szkoły, tylko stanęła w korytarzu pod oknem i próbowała rozwiązać zadanie egzaminacyjne innym sposobem. Nawet się nie spostrzegła, jak pochłonięta problemem, znalazła nie jeden, lecz trzy różne warianty rozwiązania, a kiedy się ocknęła z zamyślenia, sprzątaczką już brzęczała kluczami i wiadrami.

— Ano, nie tyś jeden taki — usłyszała Nastia jej dobroduszny, gderliwy głos. — Jest tu jeszcze jakaś pannica, co też drogi do domu zapomniała.

Podniosła wtedy wzrok i zobaczyła wyrośniętego, niezgrabnego, rudego chłopaka z równoległej klasy, który z ponurą miną włókł się

obok sprzątaczkę, niskiej, niemłodej kobiety. Przewyższał ją wzrostem niemal dwukrotnie. — Zamknęłam już szkołę, a tu słyszę — w gabinecie fizycznym ktoś śpiewa, wyciąga trele jak słowik, i to tak przejmująco, że człowieka coś aż za serce chwyta. Myślałam, że to radio — zwróciła się kobiecinka do Nasti. — Wchodzę — Boże kochany! Ten siedzi, grzebie w przyrządach i śpiewa sobie w najlepsze, jakby rodzice na niego w domu nie czekali. Pewnieś całutki dzień nic nie jadł, fizyku? Chodźmy, chodźmy, nie wlecz się tak. Jutro dokończysz swoje doświadczenia. Ty też, moja panno, się zbieraj, przecie to już ósma niedługo.

Nastia i dryblas razem przeszli przez szkolny dziedziniec i skierowali się na przystanek tramwajowy.

— Jesteś z dziewiątej B? — zapytała Anastazja rudzielca. — Aha — odburknął ponuro. — A ty?

— Z dziewiątej A.

— Jakoś cię nie pamiętam. Jesteś nowa?

— Nie, chodzę od początku roku, jak wszyscy. Po prostu nie rzucam się w oczy, dlatego mnie nie zauważyłeś. — Kto powiedział, że nie rzucasz się w oczy? — Tata. On się na tym zna.

— Nonsens. Powiedz swojemu tacie, że na dziewczynach nie zna się zupełnie.

Loszka już w wieku szesnastu lat był dżentelmenem.

Może dzięki temu właśnie Nastia się nim zainteresowała?

— Dlaczego zostałeś w szkole? — zapytał.

— Rozwiązywałam zadanie egzaminacyjne.

— A co, na egzaminie nie zdążyłaś?

— Zdążyłam, zdążyłam. Ale chciałam to zrobić innym sposobem.

— I co? Udało się?

— Tak. Znalazłam aż trzy różne możliwości.

Przesiedzieli na skwerze w pobliżu szkoły jeszcze półtorej godziny, dyskutując z zapalem o wariantach rozwiązań. Dwa razy omal się nie pokłócili. Dwa razy się godzili, wymieniając z szacunkiem uściski dłoni. Opamiętali się dopiero wtedy, gdy się zaczęło ściemniać.

— W domu mnie zabiją — jęknęła przerażona Nastia.

— Chcesz, to pójdę z tobą? — zaproponował dzielnie Loszka. — Powiem, że to moja wina, mnie nie zabiją. — Nie, pójdę sama. — Nastia pokręciła głową. — Tata zawsze powtarzał, żebym się nie chowała za cudzymi plecami. Poza tym, jeżeli oberwę, to słusznie mi się należy. Zawiniłam, więc głupio teraz tchórzyc.

— Jesteś dziewczyna pierwsza klasa! — zachwycił się rudzielec.  
— A właśnie, jak ci na imię?

— Nastia.

— A mnie Aleksiej. Albo po prostu Loszka.

To było osiemnaście lat temu... I dla niej został do dziś „po prostu Loszką” mimo tytułów naukowych i prestiżowych międzynarodowych nagród. Pierwszy raz oświadczył się jej, kiedy mieli po dwadzieścia lat. Potem, w wieku dwudziestu trzech, Nastia zakochała się bez pamięci. Odchodziła od zmysłów. Niemal traciła rozum. Loszka mężnie zniósł jej zdradę, chociaż właśnie wtedy pojawiły się w jego rudej czuprynie pierwsze siwe nitki. Potrafił czekać. Gdy miała lat dwadzieścia pięć, uspokoiła się i wzięła w garść, uświadomiwszy sobie, że miłość bez wzajemności jest



upokarzająca dla niej, a uciążliwa dla obiektu tej miłości. Nigdy więcej nie zgotowała już Czistiakowowi podobnej niespodzianki, a jeśli nawet zainteresował ją jakiś inny mężczyzna, starała się, żeby Loszka o tym nie wiedział.

Z urzędu stanu cywilnego wrócili do domu. Przy kolacji Nastia opowiedziała Loszy o przykrości, jaka ją spotkała dzisiejszego ranka.

— Masz pojęcie, okazuje się, że wszystko, czego nas uczono w szkole, jest beznadziejnie przestarzałe. Przekonałam się dziś o tym tak boleśnie, że chyba długo jeszcze będę lizała rany.

I w paru słowach opisała swoją wizytę w ministerstwie.

— Co?! — Czistiakow wytrzeszczył oczy. — Tak ci powiedział?

— No tak.

— Powiedział, że Meierstranz zakwestionował w całości fizykę fal?

— Przecież ci mówię. A co, nie jest tak?

— Ależ facet cię oszukał jak zwykłą smarkulę. A ty wzięłaś wszystko za dobrą monetę. Każdy fizyk wie o sprzężeniu zwrotnym. W Stanach przerwano nawet prace nad kilkoma projektami właśnie z powodu tego zjawiska. U nas, oczywiście, nikt tego nie przestrzega, po prostu opracowuje się instrukcje dotyczące bezpiecznego korzystania z urządzeń, ogranicza się ich eksploatację i tak dalej. Ale sprzężenie zwrotne występuje bardzo często. Jest, na przykład, taka antena, której nie wolno umieszczać równoległe do powierzchni Ziemi, ponieważ nic tam wówczas nie rośnie. To urządzenie oddziałuje negatywnie na procesy biologiczne. Zresztą przykłady można by mnożyć... Jak mogłaś tak się dać nabrać, Asieńko?

— Nie wiem — odparła w zamyśleniu. — Czułam się przytłoczona jego autorytetem. A może celowo starał się mnie jak najbardziej skołować, żebym nie mogła logicznie myśleć. I tak właśnie się stało. No dobrze, Loszka, załóżmy, że ja jestem kompletną idiotką, ciemną masą. W porządku. Ale on? Przecież musiał wiedzieć, że plecie kompletne bzdury! Nie może chyba być takim skończonym nieukiem? — Dlaczego nie? Może. Gdyby był naprawdę zdolnym fizykiem, zajmowałby się pracą naukową, a nie biurową. Wiadomo powszechnie, że dawni piątkowi studenci są dziś profesorami na uczelniach, a rządzą nimi dwójkowicze, którzy obsiedli ministerialne stołki. — Och, Loszka, daj Boże, żebyś miał rację. — Dlaczego?

— Dlatego, że jeśli nie jest tak, jak Tomilin mówił, to znaczy, że rozmyślnie wprowadził mnie w błąd. A więc coś ukrywa. To fatalnie. Tylko tego mi brakowało! — jęknęła Nastia, chwytając się za głowę. Potem spojrzała na Czistiakowa niemal wesoło i mrugnęła do niego. — Ale jeśli coś ukrywa, to mimo wszystko ja mam rację. Czyli jest całkiem nieźle!

## 8

Z budynku laboratorium wrócił do swojego gabinetu. Otworzył sejf, wyjął teczkę i włożył do niej kilka arkusików z wynikami kolejnych prób. Wszystko idzie zgodnie z planem, bez zakłóceń.

Niewiele już zostało do zrobienia. Żeby tylko ta dziewczyna nie zaczęła rozrabiać...

Jak się do tego dogrzebała? Skąd o tym wie? Rozsądniej byłoby może na jakiś czas zawiesić prace i uprzedzić kolegów, którzy w nich uczestniczą, że realizacja lewego zamówienia musi zostać chwilowo przerwana. Mierchanow poczeka, nic się nie stanie. Bezpieczeństwo jest ważniejsze. Ale z drugiej strony, wszystko mają już prawie na ukończeniu. Tak bardzo chciałby jak najszybciej zamknąć całą sprawę, wziąć pieniądze, zwolnić się wreszcie z tego cholernego instytutu, którego ma już po dziurki w nosie, i zaszyć się w lesie, gdzie nikogo nie ma! Ostatnio coraz trudniej znosi kontakty z ludźmi. Stał się jeszcze bardziej rozdrażniony i agresywny, choć zrećźnie to ukrywa, kontroluje swoje reakcje, trzyma się w karchach. Prace nad urządzeniem to nie bagatelka, solidnie dały mu w kość. No nic, trzeba jeszcze trochę wytrzymać, jeszcze tylko trochę — i koniec. Uwolni się od wszystkich i od wszystkiego.

A Tomilin, patrzcie no! Wystraszył się. Ohydny, spasiony wieprz. Dobrze, że przynajmniej sąsiedztwo z referentem Starostina na daczy to prawda. Mógł dzięki temu na poczekaniu sklecić jakieś kłamstwo na temat prowokacji rywala Tomilina do ministerialnego stołka, a ten opasły tchórz przełknął je gładko, nawet się nie zakrztusił.

Nie, nie można ryzykować. Jutro porozmawia z człowiekiem Mierchanowa. Nie wolno dopuścić, żeby z powodu jakiejś gówniary, tej Kamieńskiej, legło w gruzach jego od dawna hołubione marzenie. Ale jak ta baba się, do cholery, dowiedziała? Kto się wygadał? Cóż, tym bardziej należy wstrzymać prace, dopóki się nie wyjaśni, kto ma za długi język.



# ROZDZIAŁ IX

## 1

W nocnym barze panował półmrok, zaduch i hałas. Przychodziły tu prostytutki, nie te z samego dna, ale i nie najdroższe, i kryminaliści — nie całkiem drobni i nie największego kalibru. Ot, średnia klasa marginesu. Znaczną część bywalców stanowili młodzi poszukiwacze silnych wrażeń, pragnący zakosztować uroków nocnego życia. Bar nie należał do kategorii wytwornych, przydałoby się wyszorować podłogę, a i szkło mogłoby być lepiej wymyte, chociaż kiedy plastik przedstawił wystrój wnętrza, wydawało się, że zaprojektował cichy, przytulny lokal, gdzie solidne, przyzwoite towarzystwo będzie mogło sobie pogwarzyć półgłosem, a zakochane pary przy kieliszku szampana będą omawiać swoje sercowe sprawy. Ale jak to bywa, rzeczywistość okazała się zupełnie inna. Pierwszy właściciel, który chciał mieć elegancki i zadbane lokal, przepadł nie wiadomo gdzie, po czym bar przechodził kolejno z rąk do rąk, dopóki nie osiągnął mizernego statusu przybytku odwiedzanego przez podejrzanych i będących raczej na bakier z prawem gości. Do awantur i bijatyk na razie nie dochodziło, ale duch zły, ledwie hamowanej agresji, od dawna tu obecny, groził, że każdej chwili może się ona przerodzić w prawdziwą, realną przemoc.

Jula siedziała przy swoim ulubionym stoliku w kącie i popijała z maleńkiego kieliszka likier bananowy. Obok niej ulokowała się jej nowa przyjaciółka Oksana, zwana Kobrą. Wysoka, zgrabna, gładko uczesana brunetka, miała dziwny zwyczaj uporczywego wpatrywania się w rozmówcę szeroko rozstawionymi, ciemnymi, nieruchomymi oczyma — stąd właśnie wzięła się jej ksywka. Spojrzenie Kobry było ciężkie i jakieś hipnotyzujące. Klientów to podniecało. Dziewczyna była stałą bywalczynią baru, wszyscy ją tutaj znali. Kiedy Jula parę tygodni wcześniej zawitała tu po raz pierwszy, Kobra podejrzewała w niej bezczelną konkurentkę, która przyszła poskubać trawkę na cudzej łące, i ostro, bez wstępnych ceregieli, zabrała się do wyjaśniania zamiarów nowej. Okazało się jednak, że ładniutka Jula nie uprawia wiadomej profesji i nie zamierza odbijać Ksanie potencjalnych klientów. Co więcej, Kobrze podobało się, że dziewczyna w ogóle obojętnie odnosi się do mężczyzn. Nie to, żeby była frygidą czy lesbijką, po prostu mężczyźni ją nudzili. Jula i Kobra szybko się zaprzyjaźniły.

Dziś snuły plany wyjazdu nad ciepłe morze. Jego inicjatorką była Jula, która bardzo chciała poopalać się na śródziemnomorskiej plaży, ale bała się jechać sama. — Weź ze sobą jakiegoś frajera — doradzała jej Kobra. — Zawsze co chłop, to chłop, no i trochę się rozerwiesz. — Nie-e. — Jula kapryśnie krzywiła wargi. — Facet zepsuje mi tylko całą przyjemność. A może ty byś ze mną pojechała? — No coś ty? — zdumiała się Kobra. — Nie mam luźnej forsy, urządzam teraz mieszkanie, każda kopiejka się liczy. — Głupstwo. — Jula machnęła ręką. — Forsa to już moje zmartwienie.

— Ja pieniędzy nie pożyczam — uprzedziła Kobra.

— Wcale nie mówię o pożyczce, po prostu cię zapraszam, żebyś pojechała ze mną. Wiesz, tak jak to bywa w lepszym towarzystwie. Kto zaprasza, ten płaci.

Kobra z zaciekawieniem popatrzyła na Julę. Dziewczyna wcale nie wyglądała na kogoś, kto wie, co to lepsze towarzystwo.

— A czy ty czasem nie... — Kobra wbiła w Julę ciężkie, nieruchome spojrzenie. Tego tylko brakowało, żeby pojechała na zagraniczną wycieczkę z lesbijką.

— Nie, nie — uspokoiła ją Jula. — Jestem normalna. Baby mnie nie interesują. Ale facetów też mam dość. Przecież wiesz, jak pojedę tam z jakimś napalonym chłopem, nie da się w ogóle wyjść z łóżka. A jeżeli po dwóch dniach będę go miała dość? Pozostaje tylko po cichu zwiać. Może nie? — Zależy, na kogo trafisz — zgodziła się Kobra. — Są i tacy, od których się nie odczepisz.

— Właśnie o tym mówię. Ale jeżeli poderwie się ktoś na miejscu, nie będzie żadnych zobowiązań i problemów. Zabawisz się z nim dwa dni i chodu. Tylko że sama boję się jechać. Nigdy jeszcze nie byłam za granicą, nie znam języka, no wiesz... Wybierzmy się razem, co?

Propozycja była kusząca, ale budziła trochę podejrzeń. Jechać z mało znaną, choć na oko sympatyczną dziewczyną, i w dodatku jeszcze na jej koszt? Można wdepnąć w takie szambo, że strach o tym nawet pomyśleć.

— A skąd weźmiesz forszę? — rozpoczęła indagację ostrożna i podejrzliwa Kobra.

— Nie bój się, nie ukradnę. — Jula uśmiechnęła się cynicznie. — Mamusia mi da.

— O, mamy bogatą mamuszkę? — zdziwiła się Oksana. Wulgarna Jula zupełnie nie wyglądała na córkę zamożnej matki. Owszem, była kapryśna, rozpieszczona, ale dzieciństwo spędzone w biedzie na zawsze pozostawia ślad, nie skryją go ani drogie fatałaszki, ani wielkopańskie gesty, a oko miała Kobra wprawne, wyćwiczone.

W końcu jednak zgodziła się pojechać z Julą nad Morze Śródziemne. Wycieczkę zaplanowały dziewczyny na maj. Woda wprawdzie będzie jeszcze trochę chłodna, ale za to słońce — w sam raz. Opalą się na czekoladkę, a popływać można ostatecznie w basenie.

## 2

Zbierając się do wyjścia z instytutu, Inna Litwinowa ze strachem myślała o tym, jak wytłumaczyć Juleczce, że wyjazd nad morze trzeba będzie trochę odłożyć. Właśnie przed chwilą się dowiedziała, że praca nad realizacją lewego zamówienia musi zostać na pewien czas wstrzymana. Z powodu tego idiotycznego pożaru, w którym spłonęły akta sprawy Griszy Wojtowicza, w instytucie wciąż kręcą się ludzie z milicji. Uparli się, żeby wyjaśnić, kto wysłał pismo z prośbą, by Griszę zwolniono do domu, rzekomo w celu zakończenia pod jego kierunkiem realizacji jakiegoś ważnego projektu! W całym instytucie nikt oprócz Inny nie wie, co to było za pismo i jaki projekt, więc teraz milicjanci zażądali planu prac badawczych i sprawdzają, czym się ostatnio zajmował Wojtowicz. A to już



niebezpieczne. Ale wiedzą o tym tylko dwie osoby. Jedną z nich jest ona — Inna Fiodorowna Litwinowa.

Po drodze z instytutu do domu wstąpiła do paru sklepów, żeby znaleźć coś smacznego dla Juleczki. Może jakiś wyszukany, apetyczny kęs złagodzi jej rozczarowanie, kiedy dziewczyna dowie się, że wyjazd nad morze trzeba będzie trochę odłożyć. Przed wejściem na klatkę schodową Inna spojrzała na zegarek, zastanawiając się, gdzie może być teraz jej białoskóry i rudowłosy skarb. Jeśli w domu, trudno będzie zadzwonić, a ten kontakt jest pilny. Tamci muszą pomóc. Zawróciła zdecydowanie i po chwili weszła do budki telefonicznej.

— Prace nad urządzeniem zostały wstrzymane — oznajmiła, kiedy na drugim końcu linii podniesiono słuchawkę. — Dlaczego?

— Milicja węszy, czemu Wojtowicza zwolniono i kto wystąpił z taką prośbą.

— Mam nadzieję, że nie powiedziała im pani, że to my? — Oczywiście że nie. Ale będą się plątać po instytucie, dopóki nie znajdą odpowiedzi na swoje pytania. Na cały ten czas prace zostaną zawieszane i trudno na razie określić termin ich zakończenia. W instytucie naprawdę nikt nie wie, o co w tym wszystkim chodzi, a więc milicja jeszcze długo nie dojdzie do tego, czego szuka. To znaczy, że i my również długo nie będziemy mogli wrócić do pracy nad projektem. W tej sytuacji powinniście coś przedsięwziąć.

— Dlaczego to panią tak niepokoi, Inno Fiodorowno? Ma pani jakieś kłopoty?

— Potrzebuję pieniędzy. Pilnie. I dużo. Nie mogę czekać, aż historia z Wojtowiczem rozejdzie się po kościach. — Kto z

pracowników milicji, pani zdaniem, może być najbardziej niebezpieczny?

— Jest ich troje. Dwóch mężczyzn i kobieta. Mnie osobiście najbardziej niebezpieczny wydaje się Jurij Wiktorowicz Korotkow. Ale dzisiaj dano mi do zrozumienia, że obawiać się należy kobiety. Nazywa się Kamieńska. Imienia nie znam, ani razu z nią nie rozmawiałam. — A pani ta Kamieńska nie wydaje się groźna?

— Powiedziałam przecież, że w ogóle z nią nie rozmawiałam, dlatego nie wyrobiłam sobie o niej zdania. Ale Kamieńska nie przychodzi do instytutu, przynajmniej w ostatnich dniach jej nie widziałam. Mężczyźni są u nas codziennie. — Dobrze, Inno Fiodorowno, niech pani będzie spokojna. Rozejrzymy się w sytuacji i zrobimy, co w naszej mocy. Dziękuję, że nas pani uprzedziła.

Inna wyszła z budki telefonicznej i powłokła się do domu. Po raz pierwszy, odkąd zamieszkała u niej Jula, wracała tam tak niechętnie.

Julę zastała, jak zwykle, w łóżku.

— Nie zapomniałaś, że obiecałaś wysłać mnie nad morze? — zapytała dziewczyna, gdy tylko Inna weszła w próg. — Pojadę w maju. Wszystkiego się już dowiedziałam w biurze podróży. W ciągu dwóch tygodni trzeba złożyć w ambasadzie kwestionariusz i paszport, a nie później niż w połowie marca opłacić koszt pobytu i bilety. W sumie to dwa tysiące osiemset dolarów. Dodatkowo można zabrać ze sobą pięćset na drobne wydatki. Dasz mi pieniądze?

— Aż tyle? — zdumiała się Inna. — Myślałam, że koszt całej wycieczki to maksimum półtora tysiąca. Jaką miejscowość

wybrałaś, czemu jest taka droga?

— Miejscowość jest w porządku — odparła ostro Jula. — Ale jeżeli żal ci forsy, to powiedz wprost. Bo zawracasz mi tylko głowę, ja na coś liczę, robię plany, a ty... Dziewczyna niemal płakała ze złości.

— No coś ty, coś ty — spłoszyła się Inna. — Dla ciebie nie żal mi nawet największych pieniędzy. Ale widzisz, kotku, nie jestem pewna, czy uda mi się je zdobyć do połowy marca. Pojawiły się pewne trudności... — Ale przecież obiecałaś! — Jula rozplakała się.

— Juleczko, kochanie, nie zawsze wszystko układa się tak, jak byśmy chcieli. Posłuchaj mnie, koteczku, pieniądze będą, będą na pewno, ale może trochę później. Możesz przecież pojechać jesienią, prawda? Wtedy bywa jeszcze przyjemniej, morze jest jak ciepłe mleko...

Ale Jula nie słuchała. Wstrząsał ją rozpaczliwy, gorzki szloch, a zaciśnięte pięści młóciły histerycznie kołdrę. — Obiecałaś! Tak się cieszyłam! Planowałam! Specjalnie to wszystko wymyśliłaś, bo nie chcesz, żebym pojechała! Robisz mi na złość, na złość, na złość!

Inna w milczeniu siedziała na brzegu łóżka. Przygarbiła się i zakryła uszy rękami. Wszystko, tylko nie to, nie może słuchać płaczu Juleczki. Musi zdobyć te pieniądze za wszelką cenę. Jeżeli będzie trzeba kogoś zabić, nie zawaha się. Byleby tylko Jula się nie złościła. I byleby jej nie rzuciła. Bo wtedy znów ona, Inna, byłaby skazana na całe lata samotności. I na poniżające uczucie niespełnienia, które budzi człowieka po nocach i sprawia, że brzydzi się sam siebie. I na przypadkowe znajomości, które tak trudno zawrzeć i które często pozostawiają straszliwy niesmak, gdyż te

dziewczyny wcale nie rozumieją i nie czują słodyczy i czaru miłości między kobietami, tylko po prostu udają, żeby zarobić trochę grosza. A jej, Innie, potrzebna jest stała partnerka, która nie tylko dzieliłaby z nią łóżko, ale o którą można by się troszczyć jak o najbliższą, ukochaną osobę. Jak o Juleczkę...

### 3

Po rozmowie telefonicznej z Inną Litwinową Igor Suprun odchylił się na oparcie fotela i pogрузzył w rozmyślaniach. Litwinowej pilnie potrzebne są pieniądze — to jej problem. Ale im potrzebne jest urządzenie. Również pilnie. I koniecznie bez niepotrzebnego rozgłosu. Żołnierze nie chcą walczyć, patriotyzmu dawno już się wyżyli, odrzucili go jak zmięty, niepotrzebny świstek, śmieć. Nie rozumieją, za co muszą przelewać krew. Państwo też nie ma środków, by płacić młodym chłopakom za udział w działaniach bojowych. Płacić tyle, ile trzeba, by obudziło się w nich zainteresowanie tą wojną. Ale cóż? Nie ma zainteresowania. Nie ma patriotyzmu. Nic nie ma.

Dlatego potrzebne jest urządzenie.

A ta cholerna mentownia przeszkadza.

Suprun zdjął słuchawkę wewnętrznego telefonu. — Bojcow do mnie — rzucił krótko.

Czekając na podwładnego, Suprun jak zwykle patrzył na obraz. Egzotyczne kwiaty na długich łodygach w wysokim szklanym wazonie. Co takiego jest w tej niewymyślnej kompozycji? Dlaczego ona go tak uspokaja?

Wadim Bojcow wszedł prawie niedosłyszalnie. Był to trzydziestoletni, dobrze zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, o inteligentnej twarzy i zimnych szarych oczach. Zdyscyplinowany i okrutny. Wykształcony i opanowany. Suprun ufał mu bardziej niż pozostałym.

— Interesują mnie dwie osoby. Oficerowie z wydziału kryminalnego na Pietrowce, Korotkow i Kamieńska. Chcę o nich wiedzieć wszystko. I możliwie najszybciej.

## 4

W stołówce instytutu było gorąco i gwarno, niewielkie pomieszczenie, przeznaczone dla kadry kierowniczej, zamknięto na czas remontu i dyrektor zmuszony był jadać w ogólnej sali. Już od samego zapachu stołówkowego jedzenia robiło mu się niedobrze i z trudem hamował irytację, bezskutecznie usiłując pokroić żylaste mięso tępym nożem. Razem z nim siedział przy stole Wiaczesław Jegorowicz Gusiew, sekretarz naukowy instytutu. Właściwie prawie nigdy nie jadał w pracy, ale w ostatnim czasie te wspólne obiady były jedyną okazją do rozmowy z dyrektorem w cztery oczy.

Alchimienko — rzecz dziwna — nie lubił, by ktoś czekał w sekretariacie, dlatego wszystkich, którzy do niego przychodzili, oprócz, oczywiście, gości z zewnątrz, spoza instytutu, sekretarka natychmiast wpuszczala do przełożonego, tak że kolejka tworzyła się w samym gabinecie i każdej rozmowie przysłuchiwały się co najmniej dwie, trzy osoby.

— Nikołaju Nikołajewiczu — zaczął Gusiew — wciąż jeszcze nie zatwierdził planu prac naukowo-badawczych na bieżący rok.

— Skąd to opóźnienie? — Alchimienko podniósł głowę. — Wpłynęło kilka oficjalnych pism z prośbą, by włączyć do planu konkretne opracowania. Rozesłałem kopie do wszystkich laboratoriów z poleceniem ustosunkowania się do tej sprawy najpóźniej do pierwszego lutego. Do dziś nie otrzymałem ani jednej odpowiedzi. Laboratoria bronią się przed dodatkowymi obciążeniami, plan na ten rok i tak jest napięty. Gdyby to ode mnie zależało, odmówiłbym ewentualnym zleceniodawcom. Z roku na rok podejmujemy się wykonania coraz większej liczby zleceń z zewnątrz, a w rezultacie nasze własne, ważne inicjatywy giną, zanim się narodzą. Chciałbym to z panem omówić. Jako sekretarza naukowego bardzo mnie niepokoi fakt, że instytut powoli traci swój naukowy charakter. Proszę tylko spojrzeć, co się dzieje! Łysakow do tej pory nie może skończyć pracy habilitacyjnej, przesuwamy termin z roku na rok, a on po prostu nie ma czasu usiąść i pomyśleć. Dwa razy już występował o urlop na dokończenie dysertacji, a my dwukrotnie mu odmawialiśmy, ponieważ siedział po uszy w płatnych zleceniach, za które instytut bierze pieniądze. Rozumiem, Nikołaju Nikołajewiczu, że jesteśmy biedni i te sumy wiele dla nas znaczą, możemy zakupić sprzęt i wypłacać premie, ale przecież w

końcu dojdzie do tego, że nie będziemy mieć ani jednego doktora habilitowanego. W zeszłym roku odeszło na emeryturę czterech doktorów, w tym roku wybiera się jeszcze trzech, a młodzi naukowcy nie mają czasu bronić prac, ponieważ na nich opiera się faktycznie cały budżet instytutu. Jak tak dalej pójdzie, zabraknie nam nawet zwykłych doktorów. Wszyscy harują jak woły, a doktoraty schodzą na daleki plan.

— Prawdziwie płomienne przemówienie — odparł sucho Alchimienko. — Przekonał mnie pan co do dramatycznej sytuacji instytutu. Ma pan jakieś konkretne propozycje naprawy czy też powinienem potraktować pańskie wystąpienie jako zwykły płacz w dyrektorską kamizelkę?

— Nikołaju Nikołajewiczu, instytut może zwrócić się do ministerstwa z prośbą o zwiększenie liczby etatów. Jeśli je dostaniemy, zatrudnimy zdolnych absolwentów wyższych uczelni i odciążymy chociaż trochę tych, którzy wciąż muszą odkładać obronę prac.

— Jest pan pewien, że znajdziemy chętnych na nasze śmieszne pensje?

— Nawet jeżeli nie, będziemy mogli obecnym pracownikom dodać po pół etatu. Ludzie muszą mieć motywację, Nikołaju Nikołajewiczu! Inaczej nigdy nie wygrzebiemy się z tego dołka. Roboty będzie wciąż przybywać, a pracowników naukowych przeciwnie.

— Ministerstwo nie wyrazi zgody — rzucił Alchimienko, jednym haustem dopijając herbatę z cieniutkim, przejrzystym plasterkiem cytryny.

— Ale dlaczego? — zaproponował Gusiew. — Moim zdaniem, Nikołaj Adamowicz Tomilin bardzo ceni nasz instytut i pana osobiście. To nasz opiekun naukowy, z pewnością od jego opinii będzie wiele zależało. Jestem pewien, że pójdzie nam na rękę. — A ja nie.

— Tak czy owak, warto spróbować — nie przestawał nalegać sekretarz. — Nie powinniśmy siedzieć z założonymi rękami i patrzeć, jak się obraca wniwecz potencjał naukowy instytutu. Przygotuję pismo do ministerstwa, dobrze? — Nie — uciął kategorycznie Alchimienko. — Nie chcę niczego zawdzięczać Tomilinowi. Nie będziemy się zwracać w tej sprawie do ministerstwa. Podzielam pańskie obawy i zastanowię się, co można zrobić. Ale nie mieszajmy w to Tomilina.

Dyrektor szybko wstał i ruszył do wyjścia, nie życząc nawet Gusiewowi smacznego. Zresztą ten uprzejmy gest i tak niewiele by pomógł — po zakończonej fiaskiem rozmowie z dyrektorem sekretarz naukowy na dobre stracił apetyt.

## 5

Konstantin Michajłowicz Olszański wpadł do swego gabinetu i ze złością trzasnął drzwiami. Nie cierpiał, kiedy traktowano go jak smarkacza. Minęły już czasy, gdy jawnością wymachiwano jak sztandarem i żądano jasnej i zrozumiałej odpowiedzi na każde



pytanie. Wszystko wróciło do poprzedniej normy, znów pojawiły się tajemnice, wieloznaczne przemilczenia, frazesy o krótkowzroczności politycznej i konieczności wspierania legalnej władzy.

Przed chwilą wrócił od prokuratora miejskiego, gdzie usiłował uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego zatrzymany Grigorij Wojtowicz został zwolniony. Śledczy Bakłanow nie miał w tej sprawie nic sensownego do powiedzenia, ponieważ absorbowały go bez reszty problemy prawa mieszkaniowego, cały bowiem swój wolny czas poświęcał na pracę konsultanta w firmie zajmującej się rozkwaterowywaniem wspólnych mieszkań komunalnych oraz kupnem i sprzedażą lokali. Obowiązki służbowe lekceważył Bakłanow tak dalece, że nie zaprzętał sobie głowy głupstwami w rodzaju dziwacznych i niespodziewanych poleceń zwierzchników. Pamiętał jedynie, że Wojtowicz został zwolniony, zanim oficjalnie odwołano zastosowanie wobec niego rutynowych środków prewencji. Jako zatrzymany, zgodnie z przepisami mógł spędzić w celi trzy doby, do chwili podjęcia przez prokuraturę decyzji, czy będzie aresztowany, czy też ma odpowiadać z wolnej stopy. Widocznie decyzja o zwolnieniu zapadła wcześniej. I cóż w tym nadzwyczajnego? Mogło być wiele przyczyn takiego przyśpieszenia.

— Zwierzchnicy, zwierzchnicy! — gorączkował się Olszański. — Pan jest śledczym, ma pan prawo samodzielnie podejmować decyzje, więc i ta powinna być pańska, a nie pańskich zwierzchników. Oni są władni jedynie zatwierdzić ją lub nie. Pytam więc, dlaczego podjął pan taką decyzję? — No... — Bakłanow wzruszył ramionami. — Ktoś mi coś napomknął i podjąłem. Zwykła sprawa, tak jakby pan nie wiedział. — Kto napomknął? — Prokurator rejonowy.

— A na kogo się powoływał? Kto napomknął jemu? — Prokurator miejski.

I oto dziś prokurator miejski ze znaczącym uśmieszkiem pokrętnie wyjaśnił Olszańskiemu, że są sprawy, o których się nie dyskutuje, zwłaszcza ze śledczymi. A podstawy do podjęcia decyzji o zwolnieniu były, i to nader ważkie! Niczego więcej nie udało się Olszańskiemu dowiedzieć — usłyszał jeszcze tylko kilka ogólników na temat ochrony interesów państwa i ustnego wstawiennictwa właściwych organów. Ale jakie to interesy, jakie organy? Odpowiedzią na te pytania było jedynie wymowne milczenie.

Olszański usiadł przy biurku, nie zdjawszy palta i nie zapaliwszy światła. Pod koniec ponurego zimowego dnia w gabinecie było prawie zupełnie ciemno. Myślał o tym, że można by sobie poradzić z prokuratorem, ale czy warto? Istnieją mechanizmy, które — puszczane w ruch — sprawiłyby, że facet by wyśpiewał wszystko o anonimowych orędownikach w sprawie Wojtowicza, pytanie tylko, czy należy je uruchamiać?

Nadal nie zapalając światła, wyciągnął rękę do telefonu i wpatrując się z nateżeniem w słabo widoczne w ciemności cyfry i przyciski, wybrał numer Kamieńskiej.

— Dziwne, że była interwencja, a w instytucie nikt o tym nie wie, nie sądzi pan? — zapytała Anastazja.

— Sądzę — przytaknął śledczy. — Mnie też się to nie podoba. Albo kierownictwo instytutu coś ukrywa, albo znowu wdepnęliśmy w jakieś gówno i dostaniemy po głowie. Więc co, Kamieńska, idziemy na otwarte ryzyko czy dajemy nura pod powierzchnię?

— Jasne, że pod powierzchnię. — Nastia roześmiała się.

— To dla nas najlepsze wyjście. Grunt, że nikt nie zobaczy, co kombinujemy.

— A nie zabraknie nam powietrza?

— Weźmiemy rurki do oddychania pod wodą. Osobiście w ogóle nie jestem zwolenniczką dobijania się czegokolwiek na siłę. Jeżeli pański szanowny prokurator nie chce nam nic powiedzieć, nie będziemy go zmuszać. To słynna zasada, sformułowana jeszcze przez Bułhakowa, pamięta pan? Nigdy o nic nie proście tych, którzy są potężniejsi od was. Oni sami wam to dadzą, ba, jeszcze będą prosić, żebyście wzięli. — Złote słowa, Kamieńska. — Olszańskiemu humor wyraźnie się poprawił. — Myślisz tak samo jak ja. I po cośmy tyle czasu się na siebie boczyli, skoro jesteśmy tacy do siebie podobni? Nie wiesz czasem?

— Może właśnie dlatego. — Nastia roześmiała się. — Po prostu byłam na pana obrażona, bo zachowywał się pan wobec mnie arogancko.

— Przepraszam cię. Ale pamiętaj, że to się będzie zdarzało nadal, taki już jestem, nie zmienię się. Zresztą nie musisz tego znosić w milczeniu, odgryzaj się. Nie tak łatwo mnie obrazić, nie bój się.

— Kiedy nie potrafię — rzekła Nastia z westchnieniem. — Już lepiej niech pan się postara zachowywać uprzejmiej. — Prędzej dolar spadnie do jednej trzeciej wartości. Kamieńska, nie żądaj ode mnie rzeczy niemożliwych. Przyhamuj swoją aktywność w instytucie, sprowadź ją do poziomu nudnych rutynowych czynności, a i to przeprowadzanych tylko od czasu do czasu, tak aby nie zapomniano o naszym istnieniu, ale nie podejmowano żadnych kroków przeciwko nam. Powinniśmy stać się kimś w rodzaju

dokuczliwej muchy, która jest w zasadzie nieszkodliwa, nie ukąsi, ale nie pozwala o sobie zapomnieć, bo wciąż bzyczy nad uchem i co jakiś czas usiłuje usiąść nam na nosie, nie ze złości, tylko ze zwykłej głupoty. Rozumiesz? — Mhm — mruknęła Nastia.

— I jeszcze jedno pytanie. Delikatnej natury, więc możesz nie odpowiadać. Wiesz, że sprawę Krasnikowów i sprawę Gałaktionowa połączono i przekazano mnie? — Wiem.

— A że Lepioszkin na wieść o tym omal nie zemdłał, też wiesz?

— Domyślam się.

— A kto to wszystko załatwił? Gordiejew?

Nastia milczała. Nie miała najmniejszego zamiaru opowiadać Olszańskiemu o cienkiej teczce z sejfu Pączka.

— Zrozumiałem — powiedział bynajmniej nieurazony Olszański.  
— Twarda z ciebie baba.

— A pan znowu swoje?

— Dobra, dobra, już nie będę.

Po rozmowie ze śledczym Nastia zajęła się bieżącymi sprawami, których nagromadziło się niemało. Pod koniec dnia skontaktowała się z Korotkowem i Docenką, i razem od ręki naszkicowali scenariusz „życia pod powierzchnią”. Bez efektów specjalnych, nieprzejaskrawiony, oszczędny.

Człowiek Mierchanowa zapłonął świętym oburzeniem na wieść, że prace nad urządzeniem trzeba będzie zawiesić, i to w dodatku na czas nieokreślony.

— Ależ my nie możemy tak długo czekać! — protestował. — Będziecie musieli, bo niewykluczone, że w przeciwnym razie w ogóle niczego nie dostaniecie. Czy pan nie rozumie, że naszym instytutem interesuje się milicja?

— Powinien pan podjąć jakieś kroki — nalegał człowiek Mierchanowa.

— Ja? — zdziwił się jego rozmówca. — Do mnie należy tylko wykonanie urządzenia. I żadnych kroków nie mogę podejmować, ponieważ jestem pracownikiem naukowym, a nie ministrem spraw wewnętrznych.

— A jeżeli usuniemy tych, którzy wam przeszkadzają w pracy, wznowicie realizację zamówienia?

— Oczywiście. Tylko proszę uważać, żeby to nie pogorszyło sytuacji.

— Co pan ma na myśli? Dlaczego to miałyby ją pogorszyć? — Dlatego że kiedy milicjant, który zajmuje się konkretną sprawą, zostaje odsunięty od dochodzenia, jest dla wszystkich jasne, o co chodziło. I wtedy dopiero zaczyna się prawdziwe polowanie. To mam na myśli.

— Niech pan nie piętzy trudności. Załatwimy to tak, żebyście mogli spokojnie pracować nad urządzeniem. — W takim razie muszę postawić pewien warunek. — Jaki warunek?

— Potrzebne mi absolutnie niepodważalne alibi. Jeżeli chcecie coś zrobić, to tylko w czasie, kiedy będę się znajdował w towarzystwie ludzi, którzy mogliby potwierdzić, gdzie i w otoczeniu jakich osób wówczas przebywałem. — W porządku.

— Zaraz przejrzę swój kalendarz. A więc tak. W środę, pierwszego marca, mamy w instytucie posiedzenie rady naukowej. Początek o piętnastej. Dwie obrony i parę spraw bieżących, to razem zajmie jakieś trzy i pół godziny. Dalej. Trzeciego marca, w piątek, będziemy uroczyście obchodzić sześćdziesięciolecie urodzin akademika Minajewa. Najpierw część oficjalna, potem bankiet dla wszystkich pracowników naukowych instytutu. Obchody rozpoczną się o szesnastej i potrwać, jak sądzę, do późnej nocy.

— A wcześniej nic pan nie ma w swoim kalendarzu?

— Tylko jutro, ale czas byłby bardzo ograniczony, musielibyście z tym zdążyć między dziewiątą a dziesiątą.

## 7

Wadim Bojcow uporał się ze swoim zadaniem zadziwiająco szybko. Miało to zresztą określoną przyczynę — zebrać dane w pełnym zakresie musiał jedynie na temat majora Korotkowa. Jeśli chodzi o Anastazję, informacje, jak to się mówi, same wpadły Bojcowowi w ręce.

— Kamieńska wybiera się za mąż — z lekkim uśmiechem oznajmił swemu przełożonemu Suprunowi. — A wie pan, kto jest szczęśliwym narzeczonym?

— Kto taki?

— Profesor Czistiakow z instytutu naukowo-badawczego numer trzydzieści cztery.

— Czyżby? — zdziwił się Suprun. — T e n Czistiakow? — Właśnie. Przyglądaliśmy mu się od dawna; już kiedy był rokującym wielkie nadzieje młodym asystentem, zaczęliśmy gromadzić jego dossier. Nasza Kamieńska stale się tam przewija. Okazuje się, że się znają od tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Chodzili do tej samej szkoły. W materiałach operacyjnych Kamieńska figuruje wciąż jako jego przyjaciółka.

— Bardzo ciekawe — rzekł w zamyśleniu Suprun. — I co, Czistiakow wcześniej ani razu nie był żonaty? — Nie, wciąż jest kawalerem.

— A Kamieńska? Też nie była zamężna?

— Nie.

— Coś podobnego, taki kawał czasu razem, a pobierają się dopiero teraz. Co to może znaczyć, jak sądzisz? Po co im ślub, skoro przez tyle lat doskonale obywali się bez niego?

— Trudno powiedzieć, Igorze Konstantinowiczu. Może ona jest w ciąży, a może chodzi jeszcze o coś innego. — Właśnie, właśnie, jeszcze o coś innego. Przyjrzyj się tej parze uważniej, niewykluczone, że w tym „czymś” kryje się klucz do całej sprawy. Jak będziemy mieć na nią haka, szybko przestanie nam się płatać pod nogami.

Jurij Korotkow w roztargnieniu kartkował okazałych rozmiarów plan prac naukowo-badawczych instytutu na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty. Trudno się w nim było rozeznaczyć, gdyż większość terminów i sformułowań okazała się dla Jury całkowicie niezrozumiała. W planie zresztą interesowały go tylko te przedsięwzięcia, w których uczestniczył nieżyjący Grigorij Wojtowicz. Które z nich było tak ważne, że nieznany dobroczyńca dotarł aż do szefów prokuratury, by spowodować zwolnienie Wojtowicza? Gdyby to wiedzieli, można by znaleźć także tych, którym zależało na ukończeniu prac, czyli właśnie owych anonimowych orędowników.

Kierownik laboratorium Borozdin cierpliwie czekał, aż namolny detektyw zaspokoi wreszcie ciekawość. — Wojtowicz zajmował się w grudniu opracowaniem sześciu tematów. Jednym na zlecenie Ministerstwa Rolnictwa, jednym — Ministerstwa Zdrowia, dwoma — Wszechrosyjskiej Spółki Radiowo-Telewizyjnej, jednym — Instytutu Energetyki. Szósty temat był zwiadowczy, nie miał zleciodawcy. — Co znaczy „zwiadowczy”? — zainteresował się Korotkow.

— To znaczy, że naukowcom przyszedł do głowy jakiś pomysł, który może okazać się obiecujący albo nie. Żeby się o tym przekonać, trzeba zgłębić problem, przeprowadzić wiele doświadczeń. Krótko mówiąc, wgryźć się weń. Dlatego właśnie do planu włącza się tematy zwiadowcze. Zwykle przeznaczają się na nie pół roku, rzadziej — dziewięć miesięcy. Potem sporządza się sprawozdanie i przedstawia je na posiedzeniu rady naukowej. Po dyskusji rada podejmuje decyzję, czy temat zostaje zamknięty, czy



też przeciwnie, należy zalecić jego włączenie do planu prac instytutu. — Wynika z tego, że żadnymi supertajnymi przedsięwzięciami Wojtowicz w grudniu się nie zajmował? — Ano nie — potwierdził Borozdin.

— A kto mógł wystąpić o jego zwolnienie?

— Nie mam pojęcia. Po prostu nie mam pojęcia — zapewnił z całym przekonaniem kierownik laboratorium. — W każdym razie nie było najmniejszych podstaw do wysłania takiego pisma przez nas, za to mogę ręczyć. Wie pan, Juriju Wiktorowiczu, bardzo panu współczuję. Mało tego, że ma pan przed sobą tak niewdzięczne zadanie, jak odtworzenie spalonych akt, to jeszcze musi się pan zagłębiać w sprawy bardzo odległe od materii, którą się pan na co dzień zajmuje. Pewnie umiera pan z nudów, studiując nasz plan? Zgadłem? — Zgadł pan. — Korotkow uśmiechnął się. — I, jak na złość, zabrali mi Anastazję. A miałem w niej dużą pomoc, jest bardzo inteligentna, sumienna i obowiązkowa. Mógłbym na nią przerzucić połowę roboty. Tymczasem muszę dźwigać swój krzyż sam. — Zabrali panu pomocnicę? Dlaczego?

— Inni też potrzebują wsparcia, dodatkowa para rąk jest na wagę złota. Niech pan mnie źle nie zrozumie, Pawle Nikołajewiczu, ale sprawa Wojtowicza nie jest dla nas najważniejsza. Rozumiem, to tragiczna historia, chodzi o pańskiego kolegę, którego znał pan od wielu lat, ale... W Moskwie co dzień zdarza się dziesięć zabójstw, przestępcy pozostają na wolności, więc przede wszystkim pracujemy nad tymi sprawami. A Wojtowicz odebrał sobie życie z własnej woli, nie ma winnych, tak że odtworzeniem materiałów śledztwa zajmujemy się jedynie w wolnych chwilach, rozumie pan? — Tak, tak, oczywiście. Trudno się z tym nie zgodzić, choć to przykre. I bez

naszego Wojtowicza ma pan dość na głowie. À propos, Juriju Wiktorowiczu, wciąż zapominam pana zapytać: dlaczego pana pomocnica interesowała się, jak w instytucie jest przechowywany cyjanek? Czy to ma jakiś związek ze sprawą Wojtowicza?

— Ależ skąd. Rzecz w tym, że w Moskwie w ubiegłym roku było kilka wypadków umyślnego otrucia cyjankiem i Komitet Śledczy skierował do nas na Pietrowkę alarmujące pismo, że wszędzie panuje skandaliczny bałagan i nie są przestrzegane zasady przechowywania i użytkowania substancji zrących, trujących itede. No i jak reaguje góra na takie reprimendy, może się pan łatwo domyślić. Teraz sprawdzamy wszystkie podejrzane miejsca po kolei, wykrywamy uchybienia i głowy lecą. Ot, taka sama biurokracja jak wszędzie. Korotkow spojrzął ma zegarek.

— O Boże, godziny pracy dawno się już skończyły, a ja pana zatrzymuję. Przepraszam, Pawle Nikołajewiczu. — Nic nie szkodzi. — Borozdin roześmiał się dobrodusznie. — Nigdzie się nie śpieszę, dzieci mi nie płaczą. Chodźmy, odprowadzę pana do windy, muszę jeszcze zajrzeć do laboratorium.

Rozstawszy się z Korotkowem, Paweł Nikołajewicz przez przeszkloną galerię przeszedł do budynku, gdzie mieściły się laboratoria. Długie korytarze były jasno oświetlone, ale prawie wszystkie drzwi — zamknięte i opieczętowane. Borozdin minął dużą tablicę ogłoszeń, na której codziennie wywieszano grafiki prac poszczególnych laboratoriów, skręcił i pchnął niezamknięte drzwi. W dużym pomieszczeniu, zastawionym najrozmaitszym sprzętem, pracował tylko jeden człowiek — Giennadij Iwanowicz Łysakow. Usłyszawszy kroki, zwrócił w stronę Borozdina zmęczoną twarz o zaognionych oczach. — Dobry wieczór, Pawle Nikołajewiczu.

— Dobry wieczór, dobry wieczór. Czemu się pan tak zasiedział? Niech pan lepiej spojrzysz w lusterko — wygląda pan jak nieboszczyk. Ma pan zaraz z tym skończyć i iść odpocząć.

— Nie mogę. Mam pilną robotę. Posiedzę do dziewiątej, jeszcze trochę popracuję — odparł ponuro Łysakow. — Niech pan się nie wygłupia, Giennadiju Iwanowiczu — rozsierdził się Borozdin. — Chce pan, to pogadam z szefami, żeby pana trochę odciążyli? Przecież strach na pana patrzeć. Chodźmy, chodźmy, niech pan zamyka swój sklepik, podrzucę pana do domu samochodem. Proszę się zbierać. — Naprawdę nie mogę, Pawle Nikołajewiczu. Muszę poobserwować króliki, jeszcze... — spojrzął na duży elektroniczny zegar — jeszcze przez godzinę i piętnaście minut, potem sprawdzić wyniki i wypełnić dziennik. W sumie co najmniej dwie godziny. Niech pan jedzie, nie czeka na mnie. — Jak pan chce. — Borozdin machnął ręką. — Haruje pan przynajmniej na własne konto czy znów odwała pan robotę za kogoś? — Na własne. Wie pan, to do mojej pracy...

— Aha, w porządku. Niech pan nie krzywdzi królików i myszek, nie częstuje ich trucizną. Żegnam.

— A propos trucizny — ożywił się nagle Łysakow. — Nie wie pan, dlaczego milicjanci sprawdzali cyjanek w laboratoriach? Wojtowicz przecież się powiesił, a nie otruł. — To jakaś ogólna kontrola we wszystkich instytucjach w mieście. Ten oficer z Pietrowki sam mi dzisiaj opowiadał, że w Moskwie doszło do kilku zabójstw przy użyciu cyjanku potasu, więc postanowili wreszcie zaprowadzić jakiś ład. Wie pan, jak to u nas jest: robi się porządki nie wtedy, kiedy można jeszcze czemuś zapobiec, tylko wtedy, kiedy najgorsze już się

stało i trzeba kogoś ukarać. No, pytam po raz ostatni: jedzie pan ze mną?

— Nie, Pawle Nikołajewiczu, dziękuję za propozycję, ale naprawdę muszę popracować.

— Jak pan chce. Jest pan tu sam czy ktoś jeszcze gdzieś markuje po nocy?

— Zdaje się, że pańska Inna. Też ma jakąś pilną robotę. — Inna? Cóż ona może mieć pilnego? Śmiechu warte! — rzucił od drzwi Borozdin. — Stara panna, nie chce jej się wracać do pustego domu, to siedzi w pracy. Spróbuję przynajmniej ją stąd wypędzić, skoro z panem mi się nie udało. Wyszedł, starannie zamykając za sobą drzwi. Doktor Giennadij Iwanowicz Łysakow długo wsłuchiwał się w jego cichnące kroki, po czym przeniósł wzrok na rękę z zaciśniętym w niej flamastrem. Drżała tak silnie, że zdawało się, iż nie będzie mógł nakreślić prostej linii. Do diabła, czy naprawdę jest tak przemęczony, że znajduje się na granicy załamania nerwowego?

## 9

Nastia znużona wlokła się od przystanku autobusowego do domu. Było już późno, przechodniów mało, a ona jak zwykle czuła się na opustoszałej ulicy bardzo nieswojo. Nigdy nie była zbyt odważna i ciemne, bezludne zaułki przejmowały ją strachem, dlatego zawsze

starala się wybierać trasy dobrze oświetlone i położone bliżej głównych magistrali, nawet jeśli przez to droga się wydłużała.

Skręciła za róg i powoli szła wzdłuż ogrodzenia otaczającego spółdzielczy parking. Miejsce było puste i nieprzyjemne. Kiedyś Nastia z ciekawości zapukała do budki stróża i spytała go o jakieś głupstwo, ot tak, po prostu, żeby zamienić z kimś parę słów, i zorientowała się, że w razie ewentualnych kłopotów nie ma co na niego liczyć. Pilnowało parkingu na zmianę dwóch opryskliwych staruszków, którzy najchętniej jedynie by pili, spali i „zakazywali, czego nie wolno”, a cała reszta była im głęboko obojętna. Serce ostrzegawczo zabiło wcześniej, niż Nastia zdążyła sobie uświadomić, że tuż przed nią wyrosły sylwetki kilku mężczyzn. „No cóż, wiedziałam, że prędzej czy później to się musi zdarzyć” — pomyślała z rezygnacją, mocniej zaciskając dłoń na uchwycie dużej sportowej torby. W torbie miała legitymację służbową, klucze od mieszkania i od gabinetu na Pietrowce. Pieniądzy w portmonetce było niewiele, ale o nie się nie martwiła, gdyż w porównaniu z perspektywą utraty legitymacji i wynikających stąd przykrych konsekwencji żadna skradziona suma nie wydawała się wielka. W ułamku sekundy zdała sobie sprawę, że oprócz torby nic nie mogą jej zabrać. Nie nosiła kolczyków ani pierścionków, na sobie miała najzwyklejszą kurtkę, tak że jeśli mężczyźni zamierzają ją obrabować, z całą pewnością wyrwą jej torbę. Nasti błysnął jeszcze cień nadziei, że może jakoś się uda... Ale sądząc z tego, jak sprawnie przegrupowały się i ruszyły wprost na nią mającące w ciemności sylwetki, chyba jednak się nie uda. Nie widziała w mroku twarzy, lecz wyraźnie poczuła obezwładniającą falę złości i agresji. „Do diabła z torbą, byleby mnie nie zabili” — zdążyła tylko pomyśleć,

mrużąc oczy ze strachu. Jeden z mężczyzn podszedł zupełnie blisko, czuła na twarzy jego oddech o zapachu truskawkowej gumy do żucia.

I w tej samej chwili gdzieś w pobliżu gruchnął wystrzał. W ułamku sekundy rozległo się przenikliwe wycie alarmu samochodowego.

Okrażające Nastię cienie znieruchomiały. Najbardziej porażające było to, że mężczyźni nie wydali najlżejszego choćby dźwięku, nie zamienili między sobą słowa. W następnej sekundzie grupka rozsypała się i rzuciła do ucieczki. Nastia wydawało się nawet przez chwilę, że nic nie zaszło, że wszystko to jej się przywidziało. Alarm wciąż był rozdzierająco, potem wycie zamieniło się w ohydny skowyt. Nastia obejrzała się i dostrzegła, że nadjeżdża w jej stronę radiowóz. Samochód zbliżał się ze średnią prędkością, minął ją i zniknął za zakrętem. Pewnie kierował się tam, gdzie przed chwilą ktoś strzelał.

Nastia stała jak skamieniała. Przeżyty strach sprawił, że nogi odmawiały jej posłuszeństwa, ręka konwulsyjnie wczepiona w uchwyt torby omdlała, wzdłuż kręgosłupa ściekały krople potu. Nagle usłyszała za plecami czyjeś kroki i znów skuliła się przerażona. Ale mężczyzna, który przeszedł obok niej, nawet nie odwrócił głowy w jej stronę, po prostu dalej kroczył przed siebie. Anastazja opanowała się i ruszyła w ślad za nim. W ciemności nie wiedziała, czy jest stary, czy młody, ale sądząc z ruchów i postawy, mógłby chyba w razie potrzeby przyjść jej z pomocą.

Dopiero w domu poczuła, że jest zupełnie rozbita. Leniwie pogrzebała łyżką w puszcze konserwowej kukurydzy, zjadła kanapkę i wypila filiżankę kawy. Napiecie z wolna ustąpiło i Anastazja nawet

nabrała otuchy, przypomniał sobie, że zgodnie z wojskową statystyką, pociski nigdy nie trafiają dwa razy w to samo miejsce. Jeśli więc — wedle niebiańskich statystyk — było jej sądzone stać się ofiarą rabunku, to należy uznać, że ten fakt miał miejsce, i teraz Nastia przez rok czy dwa może chodzić po ciemnych ulicach zupełnie swobodnie. Pokrzepiona tą myślą, wzięła długi gorący prysznic i położyła się do łóżka.

## 10

Wadim Bojcow minął Kamieńską, ale wymagało od niego pewnego wysiłku woli, by się nie odwrócić i nie spojrzeć jej w twarz. Miał doskonały wzrok i zlewające się niemal z ciemnością sylwetki mężczyzn dostrzegł z daleka. Doświadczenie i intuicja podpowiedziały mu, że jego podopieczna zaraz rozstanie się z życiem. W pierwszej chwili pomyślał nawet, że to chyba najlepsze wyjście z sytuacji. Niechby jej się coś przydarzyło, a wtedy na jakiś czas (jeśli nie na zawsze) wypadnie z gry i przestanie wchodzić w paradę realizatorom zamówienia. Ale profesjonalista zaraz wziął w nim górę. Na sąsiedniej ulicy widział radiowóz, więc jeśli Kamieńska zacznie krzyczeć albo posłuży się milicyjnym gwizdkiem, niekoniecznie wszystko potoczy się tak gładko, jak powinno. A jeśli choć jeden z napastników zostanie zatrzymany, milicja łatwo dojdzie prawdy. Trzeba było zatem za wszelką cenę zapobiec napaści. Wadim musiał przyznać, że zaplanowano całą

akcję bez zarzutu; ciemno, żadnych świadków, typowe zabójstwo na tle rabunkowym. Aż szkoda, że rzecz nie dojdzie do skutku, ale... Napastnicy jednak z pewnością nie zauważyli tego cholernego radiowozu z włączonym silnikiem i trzema gliniarzami w środku, który mógł przecież podjechać w jednej chwili.

Bojcow zobaczył tuż obok dwa samochody. W rogu przedniej szyby jednego z nich paliło się małe czerwone światełko, co znaczyło, że w wozie jest włączony alarm. Szybko wyjął gazowy pistolet, strzelił w powietrze i całym ciężarem ciała naparł na maskę samochodu. Alarm zadziałał, rozdzierając ciemności wokół przenikliwym, ogłuszającym wyciem.

Udało się. Napastnicy dosłownie rozplynęli się w mroku i Bojcow odetchnął z ulgą. Byleby tylko nie natknąć się teraz na milicjantów.

Miał wielką ochotę podejść do Kamieńskiej i zagadnąć ją. Ciekawe, czy się przestraszyła? Czy ma przy sobie broń i czy zamierzała zrobić z niej użytek? Czy zrozumiała, co się stało? Gdyby mógł z nią teraz porozmawiać, wiele by się wyjaśniło. Gdyby mógł... Ale nie było mu wolno.

## 11

Nazajutrz rano Wadim Bojcow zameldował o zajściu swojemu przełożonemu. Wyglądało na to, że Suprun jest zadowolony.



— Doskonale — powtarzał, splatając i rozplatając palce dużych, wypielegnowanych dłoni. — A więc wykonawca urzędnika już zdążył się skontaktować z Mierchanowem i naskarżyć na naszą ptaszynę. A Mierchanow, człowiek popędliwy i zdecydowany, oczywiście nie chce zwlekać i postanawia załatwić się z nią w jedyny skuteczny sposób. No i proszę bardzo. A twoim zadaniem, Wadim, jest nie dopuścić do tego, żeby jego ludzie narobili jakichś głupstw. Nie mam nic przeciwko temu, żeby Kamieńska zniknęła z horyzontu, ale trzeba to zrobić tak, by nikt nie mógł się dokopać prawdziwej przyczyny tego zniknięcia. Rozumiesz? Wczoraj zareagowałeś absolutnie prawidłowo, tak samo działaj dalej. Depcz jej po piętach i pilnuj, żeby akcja tamtych była idealnie przygotowana. Nie może być żadnej wpadki, bo inaczej nigdy nie dostaniemy urzędnika. Zlikwidujemy Kamieńską rękami Mierchanowa, a swoich nie będziemy sobie tym brudzić. Zgoda?

Bojcow w milczeniu skinął głową, wpatrując się w Supruna zimnymi szarymi oczyma. Jego twarz, jak zwykle, nie wyrażała żadnych emocji, a Suprun nie był pewien, czy podwładny akceptuje jego plan. Ale to nie niepokoiło zbytnio Igora Konstantinowicza. Wiedział, że Wadim nigdy nie działa samowolnie i wypełnia ściśle polecenia przełożonych, gdyż jest człowiekiem wyjątkowo zdyscyplinowanym. A tym, co sobie myśli, nie warto się specjalnie przejmować. Cóż zresztą takiego miałby myśleć?

— A, jeszcze coś, przyjacielu. Zrobiłeś to, o co cię prosiłem? Sprawdziłeś już, dlaczego Kamieńska i Czistiakow postanowili się pobrać?

— Na razie nie, Igorze Konstantinowiczu. Myślę, że odpowiedzi na to pytanie może udzielić jedynie ona sama. Wedle naszych

informacji, jest osobą skrytą i nie zwierza się nikomu, zwłaszcza ze... ze spraw tak intymnej natury. — Więc zawrzyj z nią znajomość i dowiedz się. Nie bądźże dzieckiem, na Boga! — zirytował się nagle Suprun. — Czyżby trzeba ci było podpowiadać takie elementarne rzeczy? — Wolałbym nie zawierać znajomości z Kamieńską. To mi utrudni śledzenie jej, ponieważ będzie wiedziała, jak wyglądam.

Twarz Supruna stężała. Na co sobie pozwala ten gówniarz? Cóż to, wydaje mu się, że on o tym nie wie? Miernota! — Jesteś starszym grupy. Przypominam ci to na wypadek, gdybyś o tym zapomniał. I jeżeli ci mówię, żebyś coś zrobił, to nie znaczy, że masz wszystko wykonać osobiście. Powierz komuś to zadanie. Ty odpowiadasz za ostateczny rezultat. A jak się zabierzesz do wykonania rozkazu, to już twoja sprawa. I jeżeli tego nie rozumiesz, to znaczy, że za szybko cię awansowałem, żaden z ciebie dowódca.

Bojcow milczał, nie spuszczał wzroku z twarzy przełożonego. Od tego spojrzenia Suprunowi zrobiło się nieswojo. Tak, miał do Wadima absolutne zaufanie. Cenił jego profesjonalizm. Wierzył w czysto ludzką przyzwoitość. Ale zupełnie go nie rozumiał.

# ROZDZIAŁ X

## 1

Jak niemal każdy, tak i Wadim Bojcow miał swój szkielet w szafie. Ale w odróżnieniu od wielu innych, jego szkielet bezustannie o sobie przypominał, ba, co więcej, usiłował wypaść z szafy w najmniej odpowiednim momencie, wyjawiając wszem wobec starannie ukrywany sekret. Sekret sprowadzał się do tego, że Bojcow bał się kobiet. Bał się panicznie, jego strach graniczył z histerią. I doprowadził do tego, co lekarze nazywają impotencją psychogenną. Najdziwniejsze przy tym, że Bojcow był absolutnie zdrowy fizycznie i miał niezwykłą kondycję jako partner seksualny.

Kobiety od dzieciństwa wydawały mu się owiane mgłą tajemnicy i o jej rozproszeniu nawet nie marzył. Jego matka była krytykiem teatralnym, co wywarło silny wpływ na życie całej rodziny. Wadik czuł się całkowicie pozbawiony wszystkich elementów, które w jego rozumieniu powinny się składać na pojęcie „dom” i „rodzina”. Matka co wieczór wychodziła do teatru, dlatego też układał go do snu ojciec. On również opowiadał synowi przed zaśnięciem bajkę i całował go na dobranoc. Mama wracała grubo po północy, a rano spała do dziesiątej czy jedenastej, dlatego budził Wadima i robił mu

śniadanie także ojciec, a z początku odprowadzał również malca do szkoły.

Za to kiedy Wadik wracał po lekcjach, matka zazwyczaj była w domu. Nie oznaczało to jednak wcale, że — jak tysiące innych matek — zarzucała syna pytaniami, co było w szkole, jakie dostał stopnie, i podawała mu obiad. Nic podobnego. Siedziała w kuchni, z nieodłącznym papierosem w ustach, i szybko coś pisała na maszynie, a powrót Wadima traktowała jak przykre zakłócenie procesu twórczego. Nie przychodziło jej do głowy, by przerwać pracę, uprzątnąć stół w kuchni i dać synowi jeść. Też coś! Chłopiec szybko stał się samodzielny, potrafił cicho, nie przeszkadzając matce, podgrzać sobie obiad i zabrać talerz do swojego pokoju, a potem wrócić na paluszkach, umyć go i odstawić na miejsce. Oceny Wadima także nie interesowały matki. Cóż za różnica, jakie stopnie wpisywano synowi do dzienniczka? Byleby był zdrowy i nie wałęsał się po bramach i podwórkach w złym towarzystwie. Mniej więcej do trzeciej klasy Wadik naiwnie próbował rozmawiać z matką o swoich szkolnych sprawach, pokazywał jej piątki w dzienniczku, chwalił się postępami w rysunkach i robotach ręcznych. Istotnie miał złote ręce, a wykonane przez Wadika Bojcową śmieszne zabawki i drobne przedmioty rokrocznie zajmowały honorowe miejsce na szkolnych wystawach prac uczniów i zdobywały nagrody. Ale ona i do tego nie przywiązywała żadnej wagi. Dla Wadika matka była w ogóle tajemnicza i zagadkowa niczym zaczarowana królowna, zamieniona przez złą czarownicę w nerwową, rozszalałą histeryczkę. Chłopiec obudził się którejs nocy i usłyszał dobiegające z łazienki rozpaczliwe szlochanie. Wystraszony pobiegł do pokoju rodziców. Ojciec leżał w

łóżku i palił papierosa przy zgaszonym świetle. — Tatusiu, co się stało? — zapytał malec.

— Nic, synku, wszystko jest w porządku — spokojnie odparł ojciec, jakby rzeczywiście nic niezwykłego się nie działo. — Dlaczego mama płacze? Co, pokłóciliście się?

— Nie, synku, skąd. Wiesz przecież, że nigdy się nie kłócimy. Po prostu zrobiło jej się smutno i poszła do łazienki trochę sobie popłakać. To nic strasznego, z kobietami często tak bywa.

Ojciec powiedział prawdę, rodzice istotnie nigdy się nie kłócili. Naprawdę wyglądało to tak: matka rozpętywała histeryczne sceny, jawnie prowokując ojca do takiej reakcji, która pozwoliłaby jej wywołać awanturę, trochę sobie ulżyć, pokrzyczeć, popłakać, może nawet rozbić parę talerzy, słowem — dać upust emocjom, pozbyć się napięcia. Ale ojciec ani razu, o ile Wadim sobie przypominał, nie dał się sprowokować. To właśnie wyprowadzało matkę z równowagi, z czego — choć to dziwne — sama nie zdawała sobie sprawy. Wszystko rozgrywało się za każdym razem według tego samego scenariusza.

— Chyba naprawdę zwariuję! — oznajmiała mama, wpadając do domu, ciskając torebkę na podłogę i rzucając się w płaszczu na kanapę. — Dłużej już tego nie wytrzymam! Udusiliby mnie gołymi rękami za tę recenzję. Wszyscy uważają Lebediewa za króla sceny, zaglądają mu w oczy, podlizują się, chętnie by go w tyłek pocałowali, a ja śmiałam napisać, że w drugim akcie Mieszczan układ sceniczny jest nieudany. Owszem, nie zaprzeczam, Lebediew to wielki reżyser, co wcale nie znaczy, że jest nieomylny. Jemu też czasem noga się powinie. A ja od tego jestem krytykiem, żeby mu to wytknąć. Gdybyś tylko słyszał, jak naczelny dzisiaj na mnie

nawrzeszczał! Po prostu zmieszał mnie z błotem. Życ się człowiekowi odechciewa!

W tym miejscu mama robiła pauzę i rozglądała się wokół. I jak to bywa w każdym normalnym domu, gdzie gospodyni nie jest zbikowaną czyścioszką, dostrzegała tu czy tam jakiś „nieporządek”. Czasami było to coś poważnego, jak warstewka kurzu na politurowanej powierzchni mebli, kiedy indziej zaś jakiś drobiazg, na przykład zdjęta z półki książka, nieodłożona na miejsce. Skala „nieporządku” czy „bałaganu” nie miała znaczenia, ważny był powód, jako że dawał pierwszy impuls do przeniesienia złości — akurat w tym wypadku — z redaktora naczelnego na osoby, które znalazły się pod ręką.

— Boże! — zaczynała jękliwie wyrzekać matka. — Tyle nerwów tracę w tej przeklętej redakcji, a nawet w domu nie mogę mieć chwili spokoju! Od razu trzeba chwytać za ścierkę i po was sprzątać! Żeby dwóch dorosłych mężczyzn nie mogło utrzymać jakiego takiego porządku! Dlaczego wszystko muszę robić ja, czemu wszystkie obowiązki domowe zepchnęliście na mnie, obiad — ja, sprzątanie — ja, pranie — ja, a na dodatek mam jeszcze zarabiać pieniądze! — Uspokój się, kochanie — odpowiadał zwykle ojciec. — Połóż się i odpocznij, jesteś zmęczona, a my z Wadikiem zaraz wszystko posprzątamy, nie złość się.

Wadima dziwiło zawsze, dlaczego ojciec nie krzyknie na mamę, nie powie jej, że on też pracuje, i to nie mniej od niej, zarabia także o wiele więcej, a w mieszkaniu jest zupełnie czysto, bo nie dalej jak wczoraj wszystko odkurzyli. Matka nakręcała się coraz bardziej, występując z wciąż nowymi pretensjami pod adresem męża i syna. Gdy się już przekonała, że nie uda jej się sprowokować awantury,

zaczynała szlochać, po czym wychodziła do kuchni, zamykała za sobą drzwi i nie odzywała się do żadnego z nich. Po pewnym czasie jednak wracała jej wesołość i dobry humor, jakby w ogóle nic się nie stało.

— Tatusiu, czemu nie powiesz mamie, że ty też pracujesz i zarabiasz? — pytał chłopiec.

— Dlatego, synku, że to nie ma sensu, nie warto — mgliście tłumaczył ojciec. — Nie myślisz chyba, że mama o tym nie wie, prawda? Oczywiście, doskonale wie, że pracuję, a ponieważ moja praca jest ciężka i niebezpieczna, więcej też zarabiam.

— Więc czemu ciągle ma do ciebie pretensje, skoro wszystko wie? — nie mógł zrozumieć Wadik.

— Trudno to wyjaśnić, ale postaram się, jesteś przecież dostatecznie dorosły, żeby zrozumieć. Mama nie ma pretensji do mnie, tylko jest zła na swojego szefa i na tych, którzy jej źle życzą, a ponieważ na nich nie może krzyczeć, bo się ich boi, krzyczy na nas. To dlatego, że nas kocha, ufa nam i nie czuje przed nami strachu. A swoich wrogów się obawia, więc nie może otwarcie okazać im złości. Rozumiesz? — To znaczy, że urządza nam sceny dlatego, że nas kocha? — Oczywiście.

— A w takim razie dlaczego ty nigdy na mnie nie krzyczysz? Nie kochasz mnie?

— Och, synku, co za głupstwa wygadujesz! — mówił z uśmiechem ojciec. — Jesteś dla mnie najukochańszy na świecie. Ale ja jestem mężczyzną, a mama — kobietą. Kobiety są inne niż mężczyźni, myślą i czują inaczej. Nigdy nie próbuj zrozumieć

kobiet, synku, to na nic. My, mężczyźni, tego nie potrafimy. Trzeba je po prostu zaakceptować, tak jak ja mamę.

Kiedy Wadik Bojcow miał piętnaście lat, był już głęboko przekonany, że ojciec ma rację. Kobiety są skonstruowane inaczej niż mężczyźni i nie chodzi tu tylko o różnice w fizjologii. Z kobietami nie można się zadawać, gdyż bywają nieobliczalne, nieprzewidywalne, nielogiczne, stale naruszają reguły gry, i to te, które same ustanowiły. Mówią: „Pamiętaj, punktualnie o siódmej” — po czym nie przychodzą w ogóle lub spóźniają się o dwie godziny. Mówią, że chcą obejrzeć film z Alainem Delonem, a kiedy kupisz bilety, z pogardą rzucają ci w twarz: „Akurat mi potrzebny do szczęścia ten stary pedał!” Nigdy nie dadzą nic odpisać z zeszytu, ale stale jęczą, że nie mogły rozwiązać zadania, i proszą, żebyś im pomógł (to znaczy pozwolił ściągnąć).

Wadik doszedł do wniosku, że najlepiej nie mieć z kobietami do czynienia. Z wyjątkiem jednej jedynej sprawy, która absolutnie tego wymaga. Długo zresztą nie mógł się zdecydować, jak pogodzić niechęć do nawiązywania wszelkich stosunków z kobietami z jednoczesnym pociąganiem do nich. Podczas gdy mozolnie konstruował osobisty pogląd w tym zakresie, wszystko potoczyło się własnym torem. Wadik był przystojnym chłopcem. Nawet bardzo przystojnym. Natura, jakby dla żartu, obdarzyła go spojrzeniem tak uwodzicielskim, że dziewczyny traciły głowę, zaledwie podniósł na nie wzrok. Równie pieszczotliwe i łagodne były jego ręce, gdy dotykał ich dłoni, włosów, ramion. Sam tego nie chcąc, doprowadzał kobiety do szaleństwa. Gdy dodamy do tego jasne oczy, pięknie zarysowane kości policzkowe, proste brwi i brodę z dołączkiem, otrzymamy portret naprawdę przystojnego młodzieńca.



Siedemnastoletni dziesięcioklasista wpadł w oko starszej siostrze swego kolegi, która miała wówczas dwadzieścia trzy lata. Nigdy nie uskarżała się na brak powodzenia, ale zapragnęła mieć Wadika. I zdobyła go.

Uwiodła małolata szybko i bez szczególnego wysiłku. Z początku chłopak po prostu nie pojmował, czego Anna od niego chce, i jej nieskrywane zainteresowanie brał za zwykłą sympatię i życzliwość. W końcu Anna zrozumiała, że Wadik nigdy dotąd nie zabiegał o względy dziewczyn i nie ma żadnego doświadczenia w subtelnej sztuce flirtu, dlatego też nie potrafi odróżnić szczerzej przyjaźni od zainteresowania seksualnego. Postanowiła więc iść na całość i zaaranżowała sytuację, w której każdy normalny mężczyzna musi ulec podnieceniu. No i Wadik Bojcow oczywiście uległ. To było jego pierwsze doświadczenie i o tym, co i jak trzeba robić, wiedział tylko z opowieści kolegów oraz pieprzonych dowcipów. Niestety, owe opowieści nie opierały się na realnym gruncie, stanowiły jedynie przekaz zasłyszanych przypadkiem historii, przyozdobionych wytworami młodzięczych fantazji erotycznych. Seksualny folklor nastolatków głosił kult tężyzny i wytrzymałości. Dlatego kiedy Wadikowi udało się „obrabiać” swoją partnerkę całe piętnaście minut, był z siebie okropnie dumny i zadowolony. Zwłaszcza że pamiętał ostrzeżenia kolegów, iż pierwszy raz wszystko kończy się żenująco szybko i kobiety zwykle nie są usatysfakcjonowane. Jemu nic takiego się nie zdarzyło, nie skompromitował się.

— No i jak? — zapytał chełpliwie Annę w szesnastej minucie. To, co nastąpiło potem, było dla niego całkowitym zaskoczeniem — dziewczyna zepchnęła go z siebie, okryła się kołdrą i krzyknęła:

— Spadaj stąd, idioto! Żebym cię więcej nie widziała! Boże, co za kretynka ze mnie, myślałam, że jesteś człowiekiem, a ty... Potwór! Bydlak! Już cię tu nie ma!

Mniej więcej w tydzień później, po kilku bezsennych nocach, strawionych na gorączkowych rozmyślaniach, Wadim zrozumiał, że nie zachował się jak należy. Czegoś nie zrobił, i to czegoś ważnego, czego Anna od niego oczekiwała. Ale o co chodziło, niestety, się nie domyślił. Co więcej, był absolutnie przekonany, że ponieważ kobiety zawsze naruszają reguły gry, które same ustanawiają, nigdy nie można być pewnym, że postąpiło się wobec nich właściwie. Nawet jeśli się zrobi wszystko tak, jak sobie życzą, trzeba się liczyć z przykrymi słowami i kopniakiem w tyłek na do widzenia. W ciągu następnych trzech lat Wadik parę razy próbował zbliżeń z dziewczynami, które mu się podobały, ale rezultat nieodmiennie bywał opłakany. Chłopak, miły i czarujący w obejściu (choć Bóg wie, ile trudu go to kosztowało!), okazywał się zupełnie beznadziejny w sytuacjach intymnych. Zawdzięczał to Annie, która w ciągu kilku chwil, wyrzucając z siebie może dwadzieścia gniewnych słów, wykopała bezdenną przepaść między dwoma pojęciami — „seks” i „stosunki między dwojgiem ludzi”. Dla Wadima obcowanie z kobietami okazało się tak trudne, że konieczność wchodzenia z nimi w jakiegokolwiek relacje emocjonalne napełniała go przerażeniem. Jednocześnie wpadka z Anną wskazywała wyraźnie na to, że bez takich relacji, choćby nawet pozorowanych, nigdy nie będzie mowy o żadnym seksie, podobnie jak o wycieczce do zoo bez trzech piątek z geografii. Młody organizm domagał się swego, więc Wadim doszedł do wniosku, że powinien szukać kobiety, która oddawałaby mu swoje ciało, nie

żądając w zamian jego duszy. Rozwiązanie nasuwało się samo — tak proste, jak proste bywają zwykle rozwiązania skomplikowanych problemów: potrzebna mu była prostytutka.

Około trzydziestki życie Bojcowo ustabilizowało się. Jako dobry profesjonalista, potrafił nawiązywać przyjazne stosunki z kobietami, ze starszami, z dziećmi, zdobyć zaufanie zarówno dyrektora banku handlowego, jak i zwykłego menela. Ale sypiał, jak dawniej, tylko z prostytutkami, gdyż wiedział przynajmniej, że nie będzie musiał z wysiłkiem wyduszać z siebie miłych słów i dostosowywać się do kobiecych reguł gry. Płacił i otrzymywał, co mu się należało. Do niczego więcej nie był zobowiązany. Przez ostatnie dwa lata miał stałą partnerkę, milczącą, spokojną dziewczynę, która brała niedrogo i dobrze obsługiwała. Przy niej Wadim nie musiał nic udawać, i to mu w pełni odpowiadało. Mieszkał ze swoim ukochanym psem, sympatycznym młodym riesensznuccerem, o ożenku nawet nie myślał, kobiet nadal nie rozumiał i bał się, chociaż nie odbijało się to w żaden sposób na jego działalności zawodowej.

Zadanie, które miał teraz przed sobą, związane z Anastazją Kamieńską, wydawało mu się interesujące. I trochę straszne. Na podstawie informacji na jej temat, zebranych w ciągu wielu lat obserwacji Czistiakowa, Bojcowo uznał, że coś tu musi być nie tak. Ci dwoje tyle lat byli ze sobą — a pobierają się dopiero teraz. Bardzo dziwne. Z materiałów wynikało, że Czistiakow niejednemu raz prosił Kamieńską o rękę, ale ona zawsze odmawiała. Dlaczego? Jaka kobieta nie pragnie wyjść za mężczyznę, z którym i tak jest? Rozumowanie Wadima było proste: jeżeli nie chcesz go poślubić, bo

ci się nie podoba, nie śpij z nim. Jeżeli zaś z nim sypiasz, ponieważ ci odpowiada, to dlaczego nie masz ochoty za niego wyjść?

Pierwszy raz ujrawszy Kamieńską „na żywo”, zdziwił się, że jest taka nieładna i niepozorna. I pomyślał wtedy, że chyba rozumie, dlaczego ta kobieta żyje z Czistiakowem, chociaż on się jej nie podoba. Po prostu dlatego, że inny mężczyzna może się jej już w życiu nie trafić. A tak przynajmniej jakiś jest. Ale w chwilę potem nasza Wadima refleksja, że Czistiakowowi jakoś bardzo zależy na małżeństwie z Anastazją. Ciekawe, co ona w sobie ma?

## 2

Ludzi, których wynajął Mierchanow do „wyeliminowania” Kamieńskiej, Suprun zidentyfikował szybko. Tylko jeden z nich był „osobnikiem niesłowiańskiego pochodzenia”, reprezentującym interesy Mierchanowa; pozostali byli moskwianami. Wszystkich stale śledzili ludzie Supruna, którzy przy najmniejszych oznakach zagrożenia nawiązywali kontakt z Bojcowem, osobiście odpowiedzialnym za bezpieczeństwo Anastazji Kamieńskiej. Oczywiście, bezpieczeństwo to było względne, a Bojcow odpowiadał za nie tylko dopóty, dopóki nie uzna, że akcja tamtych jest odpowiednio przygotowana i szanse na wykrycie sprawców zabójstwa są minimalne.

Pierwszego marca o 15.10 Wadim otrzymał sygnał, że samochód z najemnymi mordercami jedzie w kierunku Szosy Szczełkowskiej, gdzie mieszkała Kamieńska. Dobrze znał trasy miejskie, a i wóz miał szybki, dlatego też pod blok Anastazji podjechał zaledwie o parę

minut później niż zabójcy. Wiedział, że nie ma jej w domu. Gdy tylko otrzymał wiadomość, zatelefonował do Kamieńskiej do pracy, a usłyszawszy kobiecy głos, rozłączył się. Znał głos Anastazji, gdyż specjalnie kilka razy dzwonił do niej do domu, a potem milczał, słuchając, jak zniecierpliwiona rzuca w słuchawkę: „Halo, nic nie słyszę, proszę zadzwonić jeszcze raz”. Teraz siedział w swoim samochodzie, czekając, aż killerzy wyjdą z budynku i odjadą. Potem wejdzie do mieszkania, do którego ma klucz, i sprawdzi, co tam zmagistrowali. Poprawi, jeśli coś jest nie w porządku.

— Znów tu zaparkowali wóz! — rozległ się rozhisteryzowany głos. — To jedyne miejsce, które można przejść, żeby się nie utopić w błocie, a ci akurat tutaj musieli postawić samochód! Skaranie boskie, ile razy można mówić... Wadim spojrzał w kierunku, skąd dobiegał głos, i zobaczył tęgą, wspierającą się na lasce staruszkę, która usiłowała podejść do budynku od strony miejsc przeznaczonych do parkowania. Teren nie był wybrany najszcześliwiej, ponieważ znajdował się dokładnie na wprost przystanku tramwajowego, tak że wysiadający z wagonu pasażerowie, którzy chcieli dojść do wejścia na klatkę schodową, musieli albo obchodzić błotnisty gazon, znacznie nakładając drogi, albo przeciskać się między stłoczonymi samochodami, ryzykując pobrudzenie palt i kurtek. Otaczający parking gazon był jedną wielką, mętną kałużą czarnej mazi — na przejście tędy mógłby się zdecydować jedynie kamikadze o sokolim wzroku i w nieprzemakalnym obuwiu. Tylko w jednym miejscu jakaś dobra dusza rzuciła parę długich desek, po których można było w miarę bezpiecznie przebyć grząskie błoto, nie obchodząc szerokim łukiem

gazonu. Killerzy zaparkowali swojego saaba akurat na tych deskach...

— Chyba milicję trzeba wezwać czy co! — pomstowała dalej starucha. Rzeczywiście z trudem się poruszała i obejście gazonu stanowiło dla niej nie lada problem.

— Racja — podtrzymały ją dwie inne staruszki, siedzące na ławce koło domu. — Jeżdżą, rozjeżdżają, stawiają samochody, gdzie popadnie, a o ludziach nie pomyślą. Co im tam, są młodzi, zdrowi, a nas, starych, mają gdzieś. Pełno ich wszędzie, wszyscy tylko do Moskwy i do Moskwy, ściągają Bóg wie skąd, dwóch kroków przejść nie można, żeby się na tych buraków nie napatoczyć...

Wymiana zdań szybko przeskoczyła na inne tematy — władze miejskie, Dumę Państwową, wreszcie prezydenta. Staruszki okazały się jednomyślne i jeszcze przez pewien czas z ożywieniem rozmawiały, pomstując na wszelkie organy i urzędy pełnym głosem, tak żeby mogła je usłyszeć tęga sąsiadka, pokonująca z mozołem drogę wokół gazonu. Scena, która z początku bawiła Wadima, zakończyła się w całkiem nieoczekiwany sposób.

— Tak, Wiero Isaakowno, nie ma co, zadzwonię na milicję, to właściciel auta przynajmniej zapłaci mandat. Niech pani zobaczy, numery nie są moskiewskie, zawsze mówię, że przez tych przyjezdnych tylko same kłopoty... Zaraz sobie zapiszę...

Staruszka wyjęła z torby świstek papieru i ołówkę, po czym spisała numery z tablicy rejestracyjnej. Tym samym uratowała życie swojej sąsiadce, Nasti Kamieńskiej. Po jakimś czasie najemni mordercy wyszli z klatki schodowej, wsiedli do saaba i odjechali. Była 16.30. Odczekawszy parę minut, Wadim wjechał na ósme

piętro, baczynym spojrzeniem zlustrował drzwi Anastazji i na samym dole zauważył małe, zgrabne nacięcie na dermie, którą je obito. Przykucnął i obejrzał z bliska podejrzone miejsce. Potem lekko dotknął go palcami — tak jest, nacięcie zalepiono kawałkiem przezroczystej taśmy, żeby wyłaząca spod dermy gąbka nie rzucała się w oczy. Wadim wyjął z kieszeni niewielki skórzany futerał z narzędziami i zabrał się do roboty. Po chwili miał już w ręce całkowicie teraz nieszkodliwe miniaturowe urządzenie wybuchowe, które miało zadziałać, gdy Kamińska otworzy drzwi swego mieszkania. Cienki drucik łączył je z drewnianym progiem. Gdyby został zerwany, nastąpiłby wybuch na zasadzie wyrwania zawleczonego z granatu. Z drzwi oraz właścicielki mieszkania zostałyby jedynie strzępy.

Bojcow odetchnął z ulgą i schował niebezpieczną zabawkę do kieszeni. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie napastliwa starucha, która zapisała numery samochodu zabójców. Właśnie takie staruszki, które stale przesiadują na ławkach pod domem, to ulubieni świadkowie gliniarzy, gdy dojdzie do jakiegoś włamania czy morderstwa. Przesłuchuje się je w pierwszej kolejności. Gdyby nie to, już dziś można byłoby załatwić Kamińską, a jutro podjęto by na nowo pracę nad urządzeniem, na którym tak zależy Suprunowi. Wadim wrócił do wozu i znów zadzwonił do Kamińskiej na Pietrowkę. Anastazja wciąż jeszcze tam była. Zegarek wskazywał 17.42.

### 3

Ogromna sala posiedzeń instytutu była zapełniona zaledwie w połowie. Obrony prac doktorskich dawno już przestały budzić zainteresowanie środowiska naukowego. Oprócz członków rady na posiedzenia przychodzili tylko ci, których dotyczyły sprawy poruszane na tych posiedzeniach, a także kibice ubiegających się o stopnie naukowe — ich koledzy, przyjaciele i krewni (jeśli, oczywiście, temat pracy był jawny, a nie utajniony).

Członkowie rady naukowej zachowywali się jak na bankiecie, gawędzili swobodnie w niewielkich grupkach, wymieniając wrażenia z tymi, z którymi dawno się nie widzieli, wstawali, przechodzili z miejsca na miejsce, opuszczali salę i znów do niej wracali. Nieszczęsnego doktoranta nikt nie słuchał, a on dukał coś pod nosem, nawet nie próbując przekrzyczeć panującej w sali wrzawy. Kiedy głos mieli zabrać recenzenci, gwar nieco przycichł — ci byli ludźmi szanowanymi, i chociaż nikt nie zamierzał ich słuchać, należało zachować pozory uprzejmego zainteresowania. — Oddaję głos recenzentowi, doktorowi habilitowanemu, profesorowi Łozowskiemu — uroczyście obwieścił przewodniczący rady Alchimienko, przybierając surową minę i obrzucając członków szacownego grona miażdżącym spojrzeniem. — Bardzo proszę, Michaile Sołomonowiczu.

— Szanowni koledzy! — zaczął Łozowski, wdrapawszy się na mównicę i objąwszy ją oburącz, jakby ktoś chciał mu ją odebrać. — Mamy oto przed sobą rezultat wieloletniej, wytrwałej pracy, co już samo w sobie zasługuje na najwyższy szacunek. Mam na myśli, oczywiście, wytrwałą pracę, a nie jej rezultat. Walerij Josifowicz Charłamow przedstawił nam niewątpliwie interesującą rozprawę, która stanowi zarazem jasną odpowiedź na podstawowe pytanie:



czy doktorant może być w pełni samodzielny, czy dysponuje wystarczającymi zasobami wiedzy i intelektu. Sens pisanie dysertacji polega właśnie na tym, jeśli mnie pamięć nie myli, i tak pojmuję wymagania wysokiej komisji.

Wygłosivszy tę tyradę, Łozowski zamilkł i odwrócił głowę w stronę Wiaczesława Jegorowicza Gusiewa, który jako sekretarz naukowy winien być biegły we wspomnianej materii. Gusiew z godnością skinął głową, powstrzymując śmiech. Scena ta powtarzała się za każdym razem, gdy Łozowski występował jako recenzent. Był jedynym, który utrzymywał, że podczas obrony pracy należy dyskutować nie o treści rozprawy, lecz o jej poziomie i walorach poznawczych. „Gdybyśmy omawiali treść, Einstein nigdy by u nas nie obronił pracy, ponieważ uznalibyśmy jednogłośnie, że nie ma racji. Doktorantowi wcale nie powinno zależeć na tym, żebyśmy wszyscy się z nim zgadzali, ponieważ jeśli będziemy przyznawać tytuły tylko tym, których opinie podzielamy, zahamujemy wszelki postęp w nauce. Nie powstaną żadne nowe szkoły. Nikt nie będzie mógł powiedzieć nowego słowa, gdyż nowe jest odrzuceniem starego. W toku obrony pracy winniśmy znaleźć odpowiedź na jedno tylko pytanie: czy poziom intelektualny kandydata jest wystarczająco wysoki, czy on sam rozumuje logicznie i czy potrafi wymyślić bądź odkryć coś oryginalnego. Żeby ująć to jeszcze prościej: musimy stwierdzić, czy ma on dość oleju w głowie, czy nie. To wszystko. I ja jako recenzent będę mówił tylko o tym. Jeśli wam się to nie podoba, zwróćcie się do kogo innego" — oznajmiał kategorycznie profesor Łozowski. Takie stanowisko imponowało doktorantom, którzy prosili zawsze, by na recenzenta ich pracy wyznaczono właśnie jego. Było jednak kilka wypadków, o których

również bardzo dobrze pamiętali, kiedy to uparty profesor, zapoznawszy się z całkiem solidną rozprawą doktorską, mówił na obronie: — Nie mogę absolutnie nic zarzucić tej pracy. Wszystko w niej jest poprawne. Wszystko od pierwszej litery tytułu do ostatniej kropki. I dlatego nudziłem się, czytając ją. To solidne wypracowanie studenckie, nic więcej. Żadnej pracy myśli tutaj nie widzę. Nie czuję też zamiłowania do badań, doświadczeń, eksperymentów. Moja opinia jest następująca: kandydat nie jest gotów do prowadzenia samodzielnej pracy naukowej, za wcześnie dla niego jeszcze na uzyskanie tytułu doktorskiego.

Niektórzy przychodzili posłuchać Łozowskiego, tak jak przychodzi się do cyrku. Sprawdzali, czy będzie występował jako recenzent podczas obrony pierwszej, czy też drugiej pracy, przychodzili do sali posiedzeń rady tylko na ten czas i opuszczali ją, gdy Michaił Sołomonowicz schodził z mównicy.

— Żywię głęboki szacunek dla promotora naszego kandydata, profesora Borozdina — ciągnął Łozowski. — I ponieważ dobrze znam styl i podejście Pawła Nikołajewicza, ze szczególną uwagą czytałem tę pracę, starając się wychwycić w niej wkład opiekuna naukowego i — co całkiem możliwe — niedostatek samodzielności Walerija Josifowicza Charłamowa. Ale nie! — Przy tych słowach Łozowski podniósł do góry zniekształcony przez artretyzm palec. — Nie dostrzegłem najmniejszego śladu wpływów promotora. Można odnieść wrażenie, że profesor Borozdin po prostu okradł nasze państwo, biorąc pieniądze za dozór naukowy nad pracą człowieka, który będąc prawdziwie dojrzałym uczonym mężem, wcale takiej opieki nie potrzebował.

W sali zapanowało ożywienie. Wszyscy rozumieli, że Michał Sołomonowicz żartuje i że w rzeczywistości jego słowa stanowią najwyższą pochwałę dla autora pracy. Ale raz już się zdarzyło coś podobnego... A skończyło się wówczas tym, że pewien uczony mąż został pozbawiony tytułu profesorskiego, jako że po identycznym wystąpieniu Łozowskiego okazało się, iż ani jeden z doktorantów nie pisał pracy pod kierunkiem swego promotora, ponieważ ten od dawna nie miał pojęcia o nowych, aktualnych prądach i odkryciach w dziedzinie nauki, którą reprezentował, i od wielu lat pozostawał daleko w tyle za młodymi. Rozdziały i podrozdziały prac, które otrzymywał od swoich doktorantów, przekazywał synowi, zdolnemu młodemu fizykowi, a on robił uwagi na marginesach i wyjaśniał ojcu ich sens, po czym tatuś z mądrą miną powtarzał to wszystko swoim podopiecznym. Zależało mu bardzo na zachowaniu dobrego imienia w nauce, pozycja profesora nadzwyczaj mu odpowiadała, więc pilnie strzegł swojej tajemnicy, która sprowadzała się do tego, że już dawno przestał być człowiekiem nauki. Wybuchł wówczas wielki skandal i od tamtego czasu właśnie zaczęto chodzić „na Łozowskiego”, jak dawniej ludzie chodzili do cyrku, by obejrzeć akrobatów występujących bez zabezpieczenia. Bywali na przedstawieniach codziennie, w nadziei, że kiedyś wreszcie coś się wydarzy — czyli dojdzie do jakiegoś nieszczęścia.

— Mam nadzieję, że w swoim wystąpieniu promotor powiadomi nas, kto pod jego kierunkiem pisał prace przez wszystkie te lata i na czym polegała owa kuratela naukowa — głądził Łozowski.

— Może pan być spokojny, Michaile Sołomonowiczu — odezwał się ze swojego miejsca Borozdin.

Członkowie rady zaczęli się uśmiechać, a nawet cichutko śmiać. Zorientowali się, że staruszka Łozowskiego przed samym posiedzeniem ktoś musiał uraczyć paroma kieliszkami koniaku.

Drzwi do sali lekko się uchyliły, wszedł Łysakow, i starając się nie zwracać na siebie uwagi, zajął najbliższe wolne miejsce, obok Inny Litwinowej.

— No i co się dzieje? — zapytał szeptem.

— Łozowski się wygłupia jak zawsze — również szeptem poinformowała go Inna Fiodorowna.

— A ty po coś przyszedł? Posłuchać naszego Michaiła Sołomonycza?

— Ano tak. Żałuję, że się spóźniłem, jakoś źle się obliczyłem z czasem. Jak tam Charłamow? Zdenerwowany?

— A co myślisz! O zobacz, tam siedzi. Błady jak ściana.

— A czym się tak przejął? Pisemne opinie są niedobre?

— Chyba nie. Gusiew nawet wspominał, że wszystkie były pozytywne, a Walerij sam pojechał do Nowosybirsk, żeby nie zdawać się na pocztę.

— To czemu się tak denerwuje? Rozumiem jeszcze, gdyby to był jakiś żółtodziób, dla którego cały ten cyrk to nowina. Ale Charłamow zaliczył już w swoim życiu tyle obron, że scenariusz chyba zna na pamięć.

— A niech cię, Giena! — rozzłościła się Litwinowa. — Dobrze ci mówić teraz. Przypomnij sobie swoją obronę. Byłeś cały spocony ze strachu.

— Też mi porównanie! — Łysakow roześmiał się cicho. — Miałem wtedy dwadzieścia sześć lat i bałem się w ogóle wszystkiego, a na widok Łozowskiego omal nie mdlałem, uczyłem się z jego podręczników na studiach, był dla mnie żywym pomnikiem ku czci biofizyki, aż tu nagle proszę — prawdziwy, z krwi i kości, we własnej osobie. A Charłamow ma, bądź co bądź, o dwadzieścia lat więcej, niż ja w tamtych czasach. No i czego innego też można od niego wymagać.

Łozowski zakończył wystąpienie i powoli zszedł z mównicy. Głos miał zabrać drugi recenzent. Giennadij Iwanowicz spojrział na zegarek.

— Stoi, czy co? — mruknął, wpatrując się w cyferblat. — Która godzina?

— Za kwadrans czwarta — powiedziała Litwinowa.

— A u mnie dziesięć po trzeciej. Już rozumiem, to dlatego spóźniłem się na Łozowskiego, chociaż wszystko sobie dobrze wyliczyłem. Słuchaj, nie wiesz, czy on jest recenzentem również drugiej pracy?

— A jakże. To dość dyskusyjny temat, sam promotor ostrzy sobie zęby na swego podopiecznego, bo podobno był krnąbrny i wszystko robił po swojemu, więc za naukową stronę zagadnienia trudno ponosić odpowiedzialność. Ale dla Łozowskiego to prawdziwa gratka, Sołomonycz uwielbia takie historie. Będzie niezłe przedstawienie. Żeby się tylko nie pobili! Na tę drugą obronę wybiera się cały instytut. — Świetnie! — Łysakow zatarł ręce. — Wobec tego mam następującą propozycję. Chodźmy teraz do mnie, pokażę ci część ostatnich wyników, szybciotko je omówimy, przy

okazji napijemy się herbaty, a potem wrócimy na obronę drugiej pracy. Co ty na to?

— Coś ty, Giena? Zgłupiałeś? — Przyszłam tutaj po to, żeby podtrzymać Charłamowa na duchu. Chcesz, żebym teraz wyszła i zostawiła go tutaj samego? Nie, nie mogę. Spójrz, oprócz mnie nie ma nikogo z naszego laboratorium, Walerijowi musi być przykro. — Jak to nie ma nikogo? A Borozdin?

— On się nie liczy. Jest promotorem i członkiem rady. Pomyśl tylko, Charłamow spojrzy na salę, a tam pusto, nikt się nawet do niego nie uśmiechnie, żeby dodać mu otuchy. A najgorszy moment jest wtedy, kiedy członkowie rady wychodzą na głosowanie. Dobrze pamiętam, jak się wówczas bałam. Stoi człowiek na korytarzu sam, samiuteńki, a za zamkniętymi drzwiami rozstrzygają się jego losy. Decyduje o nich grono uczonych mężów, których on nie obchodzi, którzy go lekceważą i mają za nic. Woleliby z pewnością zapalić, napić się herbaty, pogadać, zadzwonić tu czy tam. Przecież napisanie na kartce „tak” czy „nie” i wrzucenie jej do urny nie trwa więcej niż pół minuty, a oni się z tym grzebią pół godziny, bo nie chce im się wracać do sali, snują się po całym instytucie, odwiedzają znajomych, zajmują się swoimi sprawami. A ty stoisz w korytarzu, między salą a pokojem do głosowania, umierasz ze strachu i wiesz, że twoja praca, rezultat wielu nieprzespanych nocy, obchodzi ich tyle co zeszłoroczny śnieg. Nie można pozwolić, żeby w takiej chwili nikogo przy Waleriju nie było. Dobrze pamiętam, jakie to przykre. — A co, ty czekałaś sama?

— Sama. Tego, co przeżyłam przez te pół godziny, nie życzę najgorszemu wrogowi. Miałam wtedy trzydzieści sześć lat, a to

całkiem co innego, niż kiedy się ma dwadzieścia sześć. — Ciekawe dlaczego?

— Dlatego że im człowiek starszy, tym większych wyrzeczeń trzeba, żeby napisać tę cholerną pracę. Kiedy się ją pisze, będąc na stażu, jak ty, to człowiek zaczyna, mając dwadzieścia trzy lata, i kończy w wieku dwudziestu sześciu, nic nie traci, nawet jeśli obrona wypadnie słabo czy w ogóle się nie uda. Nadal wszystko jest przed nim. Ale kiedy zabierasz się do pisania rozprawy, już pracując, i piszesz ją nie trzy lata, tylko dziesięć, a tych dziesięć przypada między trzydziestką a czterdziestką albo nawet później, wciąż musisz dokonywać wyborów. Co jest ważniejsze? Nauka czy rodzina? Nauka czy dziecko? Nauka czy zdrowie? Nauka czy starzy rodzice? Wciąż czujesz się moralnie zobowiązany wobec kogoś albo wobec siebie samego. I dokonujesz wyboru, a siwych włosów i wyrzutów sumienia wciąż przybywa. Więc, Gienoczka, kiedy stoisz na korytarzu i czekasz na wyniki głosowania, myślisz tylko o jednym. Przypominasz sobie wszystkie ofiary, jakie złożyłeś na ołtarzu swojej, przepraszam cię, pieprzonej pracy i rozważasz, czy nie były one daremne i czy ta praca naprawdę okaże się warta poświęceń. I jesteś świadom, że jeśli członkowie rady zaraz zbiorą się w sali, a przewodniczący komisji skrutacyjnej ogłosi, że czarnych kul wrzucono więcej niż białych, to okaże się, iż wszystkie twoje wysiłki poszły na marne. Wspominasz kobietę, być może najcudowniejszą w twoim życiu, z której miłości musiałeś zrezygnować. Wspominasz, jak ciężko chorowali twoi rodzice, a ciebie przy nich nie było. Wspominasz wiele różnych rzeczy. I kiedy się dowiesz, że oblałeś, zrozumiesz, że żyłeś nie tak, jak trzeba, że

postawiłeś na złego konia i w rezultacie przegrałeś wszystko, choć poniosłeś tyle ofiar.

— Dobrze, dobrze, poddaję się. — Łysakow podniósł ręce. — Przekonałaś mnie, że jestem obrzydliwym egoistą. Na znak solidarności będę siedział z tobą do końca, a potem podtrzymał na duchu Walerija Josifowicza, gdy się już znajdzie na korytarzu sam na sam ze swoimi ponurymi myślami. Tylko powiedz mi jedno: kiedy wreszcie zabierzemy się do roboty, co? Bo że nikt jej za nas nie zrobi, to pewne. — Giena, przyrzekam, zaczniemy jutro od samego rana. Ale tak przy okazji, masz zamiar skończyć swoją rozprawę habilitacyjną, czy całkiem już ją zarzuciłeś?

— Odczep się, Inka. Borozdin już mi wywiercił dziurę w brzuchu, a teraz ty zaczynasz?

— No dobrze, już nie będę. Posłuchajmy lepiej, Borozdin zaraz będzie odpowiadał Łozowskiemu.

Łysakow i Litwinowa umilkli, przeprowadzając spojrzeniem profesora Borozdina, który nieśpiesznym krokiem kierował się ku mównicy.

## 4

Patrzył na rozpromienionego, zadowolonego z siebie Łozowskiego i czuł, jak kipi w nim nienawiść. Stary pajac. Skończony błazen. Sklerotyczny zrzęda o ohydny, skrzypiącym głósie i rzadkich



siwych włosach. O, jak nienawidził wszystkich siedzących w tej sali, jak go irytowali swoją głupotą, prostactwem, gadatliwością. Oby już czym prędzej wszystko się zdecydowało, oby zakończyli pracę nad urządzeniem i dostali wreszcie pieniądze! Ach, nigdy więcej nie widzieć tych obrzydłych gąb, nie słyszeć głosów, z emfazą wygadujących wierutne bzdury!

Za pierwszym razem Mierchanowowi coś się nie udało. Ciekawe, czy uda się dzisiaj? Mają cztery godziny, od trzeciej do siódmej. Mógłby dać im więcej, gdyby wiedział wcześniej, że Łozowski będzie w takim wojowniczym nastroju. Zwykle obrona trwa godzinę i kwadrans, no, maksimum półtorej godziny, wliczając w to głosowanie i ogłoszenie wyników. A dzisiaj upłynęła już godzina i dwadzieścia minut, a nie doszło jeszcze nawet do oddania głosów.

Kamieńska chyba przycichła. Po wizycie u Tomilina ani razu nie pokazała się w instytucie; Korotkow też pojawia się od przypadku do przypadku. Przez chwilę było naprawdę niebezpiecznie — och, ten plan Moskwy z wyraźnie zaznaczoną strefą oddziaływania anteny! I gdyby dziewczyna była bardziej zawzięta, z pewnością uczepliłaby się tego planu i doprowadziła sprawę do zwycięskiego końca, czyli odkryłaby antenę i urządzenie. Ale ona dała za wygraną. Tak więc może się jeszcze okazać, że żadne radykalne posunięcia nie będą potrzebne i uda się spokojnie doprowadzić rzecz do końca. Oczywiście, bez Kamieńskiej byłoby spokojniej. Ale tak czy inaczej, trzeba na razie odczekać jakiś tydzień. Jeśli w tym czasie Mierchanow ją sprzątnie, Bóg z nią. A jeżeli nie zdąży, i tak można będzie kontynuować pracę. Inna ostatnio zrobiła się jakaś nerwowa. Kiedy jej powiedział, że trzeba będzie przerwać robotę, wpadła w panikę, powtarzała, że bardzo liczyła na sumę, którą jej

obiecał za pracę nad urządzeniem. Po co tej starej pannie pieniądze? Litwinowa wygląda i ubiera się tak, iż można by pomyśleć, że ma się do czynienia z żebraczką. A przecież nawet z marnej pensji na pewno coś niecoś udaje jej się odłożyć. Może jest zakonspirowaną milicjantką, jak Korejko? Ciuła pieniądze i trzyma je w walizce. Ale na co jej one? Jest sama, mieszkanie ma, czego jej więcej potrzeba? Boże, gdyby tak on mógł mieszkać sam i nikogo nie widzieć! Samotność to największe szczęście. Większym jest tylko śmierć.

## 5

Tego wieczoru wszystko toczyło się zwykłym trybem. Nastia znów wróciła z pracy późno i znów nie chciało jej się nic ugotować na kolację, wobec czego zadowolila się filiżanką herbaty i kolejną niesmaczną kanapką. Porozmawiała chwilę z ojczymem, potem zadzwoniła do Loszki. Wzięła prysznic. Pooglądała telewizję. Długo leżała w ciemności z zamkniętymi oczyma i myślała. Wreszcie, prawie o drugiej w nocy, udało jej się zasnąć.

Wieczór jak inne. Podobne zdarzają się trzysta razy w roku.

Dzisiaj znowu znalazła się o włos od śmierci. I znowu nawet tego nie zauważyła.



# ROZDZIAŁ XI

## 1

Bojcow szedł za Anastazją od gmachu Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych na Pietrowce. Był piątek, trzeci marca. Kamieńska znów wyszła z pracy późno i znów musiała przejść koło parkingu, obok którego chciano ją zaatakować. Od metra do przystanku autobusowego było już bardzo niedaleko, gdy Bojcow zobaczył przed sobą znajomy samochód — ten sam saab, którego numery dwa dni wcześniej spisała staruszka przed domem Kamieńskiej.

Kiedy Nastia znalazła się kilka metrów od wozu, ten powoli ruszył jej naprzeciw, nie zapalając świateł. Wadim zdążył zauważyć, że prawa tylna szyba się opuszcza. Na podjęcie decyzji nie pozostawał choćby ułamek sekundy. Ruszył gwałtownie do przodu, roztrącając przechodniów, błyskawicznym, tygrysim skokiem dopędził idącą przed nim kobietę w niebieskiej kurtce i padł wraz z nią na zabłocony chodnik. Saab szybko dodał gazu i zniknął.

Kamieńska leżała bez ruchu i Bojcow przestraszył się, że uderzyła głową o kamienne płyty i straciła przytomność. — O mój Boże, przepraszam — powiedział, wstając. — Zaraz pomogę pani się podnieść.

Pochylił się nad Nastią i natknął się wzrokiem wprost na jej oczy, pełne złości i błyszczące od łez. Kobieta w milczeniu wyciągnęła do niego rękę, a on ostrożnie pomógł jej stanąć na nogi. Jaskrawoniebieska kurtka była teraz szarobrązowa, dzinsy zupełnie przemokły.

— Boże, co ja narobiłem! Po prostu nie wiem, jak panią przeproszać! Co mógłbym zrobić? Może odwiozę panią do domu taksówką?

— Nie trzeba — mruknęła Nastia. — Mieszkam tu obok. Dokąd panu było tak śpieszno?

— Do autobusu. — Wadim uśmiechnął się skruszony. — Proszę, niech mi pani pozwoli jakoś się zrehabilitować. Co mógłbym dla pani zrobić? Chętnie kupię pani nową kurtkę. — Proszę bardzo. Tylko zaraz — powiedziała Nastia rozbawiona. — Muszę przecież w czymś dojść do domu, bo jak milicja zobaczy mnie w takim stanie, uzna, że jestem jakąś menelką, i znajdę się na dołku. Czy gdzieś tu w pobliżu nie ma przypadkiem pralni chemicznej? Chociaż o tej porze pewnie i tak wszystko jest już pozamykane.

— Mam pomysł! — ucieszył się Bojcow. — Tutaj niedaleko widziałem hotel, tam na pewno samoobsługowa pralnia dla gości jest czynna całą dobę. Chodźmy, odprowadzę panią. — Hotel? — powtórzyła z powątpiewaniem Nastia. — Ma pan na myśli hotel „Szafir”? Tam za wszystko trzeba płacić w dewizach.

— Nie szkodzi, musi być na miejscu kantor. Chodźmy. — Nie. — Anastazja pokręciła głową. — I tak wypadnie bardzo drogo. Nie mam przy sobie dość pieniędzy. Przesunęła ręką po mokrej kurtce i podniosła do oczu dłoń czarną od błota.

— Cholera, że też musiał pan akurat na mnie wpaść! — wykrzyknęła ze złością. — W czym jutro pójdę do pracy? — Dlatego powinna pani skorzystać z pralni zaraz — zrećźnie podchwycił Bojcow. — Jeśli nie ma pani pieniędzy, chętnie pani pożyczę. Daję słowo, tak mi głupio, że chciałbym przynajmniej jakoś pomóc! Bardzo proszę, niech mi pani pozwoli chociaż zapłacić za czyszczenie kurtki. Naprawdę, bardzo, bardzo proszę.

— Dobrze, chodźmy. — Nastia westchnęła ze znużeniem.

— Ale niech mi pan zapisze swój telefon, jutro zadzwonię i zwrócę pieniądze.

— Tylko pod tym warunkiem?

— Tylko pod tym — potwierdziła stanowczo Nastia.

Ruszyła szybkim krokiem w stronę hotelu „Szafir”, ale już po chwili z jękiem chwyciła się za krzyż.

— Do diabła, chyba znowu nadwerężyłam sobie kręgosłup. Tego mi tylko brakowało!

— A co się dzieje? — zaniepokoił się nie na żarty Bojcow. — Cierpi pani na bóle pleców?

— Okropne. I to od lat. Też kiedyś pechowo upadłam, no i... — Bezradnie rozłożyła ręce. — Będzie pan teraz musiał wziąć moją torbę.

— Oczywiście, oczywiście — zreflektował się Wadim. — Proszę mi ją dać, poniosę. A co mówią lekarze? Chyba te pani dolegliwości można leczyć?

— Ach, nie chodzę po lekarzach, nie mam na to czasu. — To bardzo nierozsądnie, z kręgosłupem nie ma żartów. Zwłaszcza

kobiety powinny uważać. Wie pani, zawsze się to odbija przy porodzie. Ma pani dzieci? — Nie.

— A więc będzie pani miała — orzekł autorytatywnie. — Dlatego koniecznie musi się pani zająć swoim kręgosłupem.

— Dobrze, zrobię to w jakiejś wolnej chwili — mgliście obiecała Nastia.

— A kiedy to będzie?

— Myślę, że gdzieś tak przed emeryturą. — Nastia roześmiała się. — Ale, ale, jest pan pewien, że wpuszczą nas do tego dewizowego rajy? Bo wyglądam, prawdę mówiąc... — Jakoś sforsujemy tę twierdzę — odparł beztrosko Bojcow. — Najważniejsze to pewna siebie mina — i cała naprzód! Portier wpuścił ich bez słowa sprzeciwu, co niezmiernie zadziwiło Nastię.

— Coś podobnego — mówiła, zdejmując mokrą, ubłoconą kurtkę — okazuje się, że aby wejść do hotelu za dewizy, należy wyglądać jak najgorzej, wtedy wezmą człowieka za zagranicznego turystę. Właściwie to całkiem zrozumiałe, już dawno zauważyłam, że turyści ubierają się bardzo prosto i wygodnie. A więc ile mnie będzie kosztował luksus doprowadzenia garderoby do porządku?

— Dwanaście dolarów — poinformował Wadim, który zdążył tymczasem przestudiować cennik wiszący przy stanowisku, gdzie rezydowała pracownica pralni.

— Ohoho! To pięćdziesiąt pięć tysięcy rubli, nawet więcej. Drogo mnie będzie kosztował pański sprint do autobusu — zauważyła Nastia, wkładając kurtkę do pralki i zamykając drzwiczki. — To nieładnie narażać kogoś na straty „bez powodu”.

— Nie bardzo rozumiem. — Bojcow spojrział na nią pytająco. — Co to znaczy: „bez powodu”?

— Dokładnie to, co mówię, drogi panie. Skoro pan tutaj spokojnie ze mną siedzi i czeka, aż się wypierze moja kurtka, to znaczy, że wcale tak bardzo się pan nie śpieszył. Więc po co było pędzić do autobusu na złamanie karku? O co chodziło?

„O twoje życie, Anastazjo Kamieńska, o twoje życie — odpowiedział jej w myślach Bojcow. — Kiedy szyba w samochodzie zaczęła się opuszczać, było jasne, że za chwilę będą do ciebie strzelać. Trafiliby na pewno, szłaś wolno, a wóz też ledwie się toczył. W takiej sytuacji spudłować może tylko ostatni fajtłapa. Ale strzelanie z samochodu mnie nie urządzało. Taki rodzaj zabójstwa wskazuje na to, że ofiarą miała być konkretna osoba, że to płatne zlecenie, a nie przypadkowa strzelanina. Owszem, wtedy, koło parkingu, wszystko było obmyślane jak należy. Gdyby nie milicyjny radiowóz pod bokiem, sprawa zostałaby pomyślnie załatwiona. Nawet gdybyś zginęła od ładunku wybuchowego, który tamci podłożyli wczoraj w twoich drzwiach, mogłoby to zostać potraktowane jako akcja terrorystyczna czy wybryk chuligański, zwłaszcza jeśli odpowiednim ludziom podsunąć informację, że było to skierowane przeciwko pracownikom milicji w ogóle. Już coś tam by się wymyśliło, gdyby nie twoja zrzędząca, kulawa sąsiadka, która zapisała numery samochodu. Ale dzisiejsza próba zamachu to pomysł absolutnie partacki. Typowe morderstwo na zlecenie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy. Cóż, skoro już się poznaliśmy, warto by wyjaśnić, ile wiesz, a przy okazji wy badać, dlaczego nagle tak gwałtownie zapragnęłaś wyjść za mąż”.



— Rzeczywiście nigdzie się nie śpieszyłem — przyznał. — Po prostu autobusy chodzą tak rzadko, że gdyby ten mi uciekł, musiałbym Bóg wie jak długo czekać na następny. — Szkoda, że dzinsy też są zabłocone. — Nastia westchnęła.

— Można by było się napić kawy w barku, i tak kurtka będzie gotowa nie prędzej niż za dwadzieścia minut. — Ma pani ochotę na kawę? Zaraz przyniosę. — Co, tutaj?

— A dlaczego nie? Przepraszam, nie wiem, jak pani na imię...

— Anastazja.

— Wadim — przedstawił się. — A więc, Anastazjo, hotele dla dewizowych gości są o tyle dobre, że i porządki w nich panują dewizowe. Bywała pani za granicą? — Zdarzało się.

— Wobec tego wie pani, że po zapłaceniu w barze może pani zabrać swoją szklankę, kieliszek czy filiżankę dokądkolwiek, choćby na koniec świata, oczywiście, w obrębie hotelu i należącego doń terenu, i nikt pani słowa nie powie. Uważa się za rzecz całkowicie normalną, że człowiek chce wypić swoją kawę, gdzie mu się podoba, na świeżym powietrzu, na tarasie, pod schodami. Życzy pani sobie coś jeszcze oprócz kawy?

— Nie, dziękuję, nic więcej nie trzeba. Tylko kawę.

— A może ciastko? Orzeszki? Sok? Coś zimnego do picia? — Nie, wystarczy kawa, dziękuję.

Wadim poszedł do baru po dwie filiżanki kawy. Jest jakaś dziwna, nie taka jak inne, myślał. Kiedy upadła, omal nie rozpląkała się z bólu, ale się opanowała, nie zrobiła awantury, nie wpadła w złość. Pieniądze zgodziła się przyjąć tylko pod warunkiem, że to będzie pożyczka, nie lubi zobowiązań. Od wspólnej jazdy taksówką

się wymówiła, a więc musi być ostrożna. Temat chorego kręgosłupa i przyszłego potomstwa potraktowała zdawkowo, czyli nie wybiera się za mąż dlatego, że jest w ciąży. Nie chce też, jego, Wadima, naciągać na pieniądze, bo prosiła tylko o kawę.

Wszystko to było tak odmienne od jego doświadczeń z kobietami... Uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nie ma uczucia dyskomfortu, jakiego zwykle doznawał w damskim towarzystwie. Tak, Kamieńska różni się od innych kobiet, zachowuje się inaczej, bo nie ma w nim napięcia, które go zawsze ogarnia w obecności tych nieprzewidywalnych istot. Anastazja wydaje się szczerą, otwartą, chyba nie należy się po niej spodziewać zaskakujących, nieoczekiwanych reakcji. Dziwne. Pewnie dlatego, że jest tak nieładna i niepozorna, on nie traktuje jej jak kobiety, z którą można flirtować i iść do łóżka.

Zapłacił w barze za dwie kawy i ostrożnie, starając się ich nie rozlać, zaniósł filiżanki do pralni. Kamieńska siedziała w tej samej pozycji, w jakiej ją zostawił, pogrążona w jakichś głębokich rozmyślaniach. Chyba nawet nie zauważyła jego nieobecności.

— Proszę bardzo. — Zadowolony z siebie postawił kawę na niskim stolyczku obok jej fotela.

W milczeniu wzięła kawę i upiła kilka małych łyków. Wadim patrzył na rękę, w której trzymała filiżankę, i zachwycił się wytworną, smukłą linią dłoni i palców. Dłonie miała Nastia gładkie, zadbane, tylko długie migdałowe paznokcie nie były pociągnięte lakierem. Wadim uznał, że Anastazja jest świadoma tego, jakie ma piękne ręce, ale nie chce, by przyciągały uwagę. — Można tutaj palić?

— Tutaj można robić wszystko. — Roześmiał się. — Mówiłem pani przecież. Zaraz przyniosę popielniczkę z holu. Po chwili wrócił z popielniczką i gdy Nastia paliła, nadal zamyślona i milcząca, dyskretnie, choć z ciekawością obserwował nową znajomą. Miała dziwną twarz — surowe, regularne rysy, prosty nos, wydatne kości policzkowe, pięknie zarysowane usta — ale mimo to wydawała się jakaś mało wyrazista, bezbarwna. Może dlatego, że brwi i rzęsy były jasne, wargi nietknięte szminką? Umiejętny makijaż zamieniłby Anastazję w prawdziwą piękność. Czyżby o tym nie wiedziała? A jeśli wie, czemu nie zależy jej na atrakcyjnym wyglądzie? Tak, naprawdę, zupełnie nie przypominała innych kobiet.

Po chwili bęben pralki przestał się obracać. Wadim podskoczył, wyjął kurtkę, na której nie został najmniejszy nawet ślad zabrudzenia, i powiesił ją na wieszaku. — Po co to? — zdziwiła się Nastia.

— Żeby trochę wywietrzała. Te środki czystości mają okropnie nieprzyjemny zapach — wyjaśnił. — Proszę spokojnie dopić kawę.

— Niech pan mi poda swój telefon — przypomniała Nastia, wydając z torby notes i długopis. — Kiedy najłatwiej pana zastać?

Bojcow podyktował Anastazji numer.

— To domowy, tak że może pani dzwonić o dowolnej porze, choćby od szóstej rano. — Tak wcześnie pan wstaje? — zdziwiła się.

— Zdarza się, że jeszcze wcześniej. W każdym razie najpóźniej o szóstej jestem na nogach. Chciałbym nieraz pospać dłużej, ale pies mi nie pozwala. Punkt szósta przychodzi i zaczyna mnie lizać w nos, a jeśli udaję, że śpię, zębami ściąga kołdrę. Tak że może pani

dzwonić śmiało wczesnym rankiem i późnym wieczorem, nikogo pani nie obudzi. Mieszkam sam. Nastia spojrzała na niego uważnie, ale nic nie powiedziała. Jej wzrok speszył trochę Wadima. O co chodzi? Nie wierzy mu, czy co? A może popełnił jakiś błąd? Przegiął? — Dziękuję panu, Wadimie — powiedziała Nastia, wkładając czystą kurtkę, która wciąż jeszcze wydzielala silny, chemiczny zapach. — Jutro zadzwonię i zwrócę panu pieniądze. Zręcznym ruchem zarzuciła na ramię pasek dużej sportowej torby i aż się skrzywiła. — Bardzo boli? — spytał współczująco Wadim.

— Bardzo. No nic, jakoś dokuśtykam do domu.

— A może lepiej wziąć taksówkę? Odwiozę panią.

— Nie — odmówiła stanowczo Nastia. — Pojadę autobusem. Jeśli pan chce, może mnie pan odprowadzić, poniesie mi pan torbę.

Wyszli z hotelu i powoli skierowali się w stronę przystanku.

— Ta torba wydaje mi się trochę za ciężka dla pięknej kobiety — zażartował. — Co w niej jest? Zakupy? — Nie musi mi pan fałszywie schlebiać, wcale nie jestem piękna. A w torbie noszę różne różności. — Narzędzia pracy?

— No, można tak to ująć. — Nastia uśmiechnęła się. — A czym się pani zajmuje?

— Widzi pan, Wadimie, są zawody, do których wykonywania niebezpiecznie się przyznawać. Powie pan na przykład, że jest lekarzem, a rozmówca od razu zaczyna się uskarżać na swoje dolegliwości, po czym żąda natychmiastowej diagnozy i terapii. Jeżeli pan zdradzi, że jest fachowcem od naprawy telewizorów, zaraz zostanie pan poproszony o przegląd czyjegoś sprzętu. Człowiek nie ma ochoty świadczyć tych przysług, a odmówić też nie

wypada. — Więc jest pani lekarzem? — Nie. Fachowcem od naprawy telewizorów. — Poważnie?!

— Absolutnie. A jeżeli teraz poprosi mnie pan, żebym się zajęła pańskim aparatem, zabiorę panu torbę i dalej pójdę sama. Pana natomiast będą dręczyć wyrzuty sumienia, że nieszczęsna kobieta z chorym kręgosłupem cierpi z powodu pańskiej natarczywości. Wadim wybuchnął serdecznym śmiechem.

— Wie pani co, niezwykła z pani kobieta. Mało, że nie dała mi pani w pysk, kiedy przewróciłem panią, naraziłem na kontuzję i kłopot z czyszczeniem zabłoconej kurtki, mało, że nie chciała pani, żebym zapłacił za szkody, odmówiła odwiezienia taksówką i że ma pani tak zadziwiająco łagodny charakter, to jeszcze jest pani fachowcem od naprawy telewizorów! W życiu tak nie bywa!

— Dlaczego nie? Może mnie pan przecież uszczypnąć, istnieje naprawdę. Nasz autobus, wsiadamy.

W autobusie Wadim, jakby to się rozumiało samo przez się, wyjął z portfela dwa bilety i skasował.

„Dobra jesteś, Kamieńska. Jako pracownik milicji masz przecież prawo do bezpłatnych przejazdów. Dlaczego mnie nie powstrzymałaś, kiedy kasowałem dwa bilety? Udajesz fachowca od naprawy telewizorów? No, no, no". Przejechali cztery przystanki i wysiedli. Nastia poprowadziła go przez ciemną, bezludną okolicę, gdzie był już parę dni wcześniej.

— Dosyć nieprzyjemne miejsce — zauważył. — Nie boi się pani chodzić tędy sama?

— Boję się, ale co zrobić? Inną drogą idzie się dziesięć minut dłużej i też nie jest o wiele lepsza. Tak samo ciemna i pusta.

Bojcow był pewien, że Anastazja opowie mu o tym, jak to omal nie została tutaj obrabowana. Ale ona, o dziwo, milczała.

— Powinna pani poprosić, żeby ktoś po panią wyszedł, skoro tak późno wraca pani do domu.

— A cóż to, wieczór bezpłatnych porad? — zażartowała Nastia. — To namawia mnie pan do leczenia kręgosłupa, to znów organizuje mi bezpieczne powroty do domu. — Przepraszam — zmieszał się Wadim. — Nie chciałem być natrętny. Pani jest osobą bardzo niezależną, prawda? — Tak, bardzo. No, dobrze, Wadimie, dziękuję. Jesteśmy na miejscu. Mieszkam w tym domu. Proszę mi dać torbę. Niechętnie zwrócił ciężką torbę i uświadomił sobie ze zdziwieniem, że nie chce się z Anastazją rozstawać. Czyżby mu się spodobała? Nie, na pewno nie, jako kobieta nie budzi w nim żadnego zainteresowania. A zarazem właśnie jako kobieta jest dlań interesująca przez to, że wydaje się zupełnie niepodobna do innych kobiet. Po raz pierwszy w życiu on, Wadim, czuje się w towarzystwie kobiety swobodnie, rozmawia z nią bez skrepowania, jak z mężczyzną. Okazuje się, że i z kobietami można obcować tak zwyczajnie, po prostu, odczuwając przyjemność, a nie ze strachem myśląc o tym, co się stanie, kiedy nadejdzie ten najważniejszy moment. Jako że przy t e j kobiecie najważniejsze wydaje się coś zupełnie innego. Nie można jej oszukać ani okłamać. Jest na to zbyt... Nie potrafił nawet znaleźć właściwego słowa. Zbyt mądra? Prostolinijna? Skryta? Diabli wiedzą, ale jeśli spodziewa się coś od niej uzyskać, jedynym kluczem jest absolutna szczerłość. Prostota.

— Przepraszam, Anastazjo, nie chciałem się wydać banalny ani natrętny, dlatego nie będę się do pani wpraszał na filiżankę herbaty. Mogłaby to pani źle zrozumieć. Ale proszę mi wierzyć, żałuję

bardzo, że droga do pani domu okazała się tak krótka. Daję słowo, że to prawda. Nie pytam o pani numer telefonu, bo mam szczerą nadzieję, że pani zadzwoni.

— Oczywiście, że zadzwonię — zapewniła z całą powagą. — Nie cierpię mieć długów, a dwanaście dolarów to przecież duża suma. Tak że proszę się nie obawiać, zadzwonię na pewno. Dobranoc, Wadimie.

Patrzył, jak znika za drzwiami klatki schodowej, i jeszcze dobrych parę minut stał zamyślony pod jej domem. Potem zrobił w tył zwrot i szybko ruszył w stronę przystanku autobusowego. Ciekawe, kiedy Anastazja się odezwie? Sytuacja nieoczekiwanie się skomplikowała, co pomieszało mu szyki. Wolałby nie zawierać znajomości z Kamieńską, ale dziś to był jedyny sposób, żeby ją uratować. Teraz trzeba będzie zlecić ochronę Anastazji komuś innemu, jednocześnie powierzając mu obserwację dalszych poczynań killerów. Jemu natomiast przypadnie rola jej wielbiciela i wyciąganie z niej przy okazji pożytecznych informacji. Przeczował, że trudno będzie sprostać temu zadaniu. Anastazja najwyraźniej nie ma zamiaru zdradzić, że pracuje w wydziale kryminalnym i interesuje się instytutem. Żeby ją do tego skłonić, trze ba będzie się do niej zbliżyć, zaprzyjaźnić, ale skoro ona wkrótce wybiera się za męża, nie wiadomo, czy będzie to w ogóle możliwe. Trzeba by co najmniej udawać zakochanego, któremu coraz trudniej powściągnąć namiętność. Ale czy Anastazja się na to nabierze? Mało prawdopodobne. Poza tym on nie może dowieść jej siły swoich uczuć, gdyż tak naprawdę nie potrafi przecież być z kobietą. Nie, trzeba na nią znaleźć jakiś inny sposób. Jakiś inny sposób...

## 2

Nastia zgasila światło, podciągnęła kołdrę pod brodę i zwinęła się w kłębek. Wiedziała, że nie uśnie szybko, tabletki nasenne się skończyły, a wciąż nie udawało jej się kupić nowego opakowania. A to nie było potrzebnego leku, a to żądano recepty, po którą musiałyby jechać do przychodni, a to zastawała aptekę już zamkniętą, kiedy wreszcie, pokonawszy swoje patologiczne lenistwo, zdołała do niej dotrzeć.

Próbowała uporządkować myśli, ponieważ coś nieuchwytnego wciąż ją niepokoiło. Najpierw postanowiła określić, co to takiego. „Wszystko — odpowiedziała sobie niemal bez namysłu na to pytanie. — Wszystko. Dziwny jest ten Wadim, chociaż bardzo miły i przystojny. Chciałabym wiedzieć, co mnie w nim tak niepokoi. Poza tym niepokoi mnie coś jeszcze, ale ani rusz nie mogę tego uchwycić. Od rana towarzyszy mi jakieś nieprzyjemne uczucie. No dobrze, zacznijmy od początku”.

Obudziła się, jak zwykle, z trudem, ledwie się zmusiła do wstania. Cóż, powtarzało się to codziennie. Stała pod prysznicem, czekając, aż poczuje się zdolna do działania. Żeby nie tracić czasu, postanowiła przypomnieć sobie co najmniej osiem wersów Boskiej komedii po włosku. Taki mały trening językowy. Potem piła kawę. Ale co to takiego?... Dlaczego kawa jej nie smakuje, skoro jest świeżo zmielona i zaparzona tak jak ona, Nastia, lubi? Nonsens!



Później zapaliła papierosa i ubrała się. Więcej nic się rano nie wydarzyło. Więc skąd to nieprzyjemne uczucie?

Stop! Podczas gdy kawa stała na maleńkim ogniu, Nastia postanowiła wyrzucić śmiecie. Wiadro, jak zawsze, niemal się przesypywało, więc jedną ręką trzymała je za pałąk, a drugą przygniatała leżące na wierzchu dwa puste opakowania po papierosach, które w każdej chwili mogły się ześliznąć. Już przy drzwiach musiała zdjąć rękę ze śliskich pudełek, żeby otworzyć zasuwę. Ledwie przestąpiła próg, opakowania po papierosach zsunęły się na podłogę. Schyliła się, żeby je podnieść, i wtedy... I wtedy. Co — wtedy? Przez głowę przemknęła jej jakaś myśl. Czy to ta nieprzyjemna myśl zepsuła jej nastrój? Czego mogła dotyczyć? Tego, że ona, Anastazja, jest zawsze taka niezręczna i roztargniona? Tego, że bolą ją plecy i trudno jej się schylać? Ale przecież przez wszystkie te lata zdołała się już przyzwyczaić do tych ograniczeń, tak że dawno przestały ją irytować. Nastia znów wróciła myślami do nieszczęsnego kubła ze śmieciami. A więc podchodzi do drzwi, otwiera je, wychodzi na klatkę schodową, pudełka spadają, ona klnie cicho ze złości, odstawia kubeł, schyla się, żeby podnieść opakowania. I widzi dziurkę w dermie, którą obito drzwi. O czym wtedy pomyślała? O tym, że ma dwie lewe ręce i sama nie potrafi naprawić uszkodzenia. Będzie musiała poprosić o to Loszkę. I w ogóle niedobrze, że w domu nie ma mężczyzny. Mieszkanie dawno powinno być odmalowane, kontakty, które niemal wyłazą ze ścian i iskrzą — wymienione. Przez szpary pod drzwiami balkonowymi wieje, a tapety w przedpokoju odłazą, gdyż sąsiad z góry niedawno zalał jej mieszkanie. Czyżby gdzieś w głębi duszy czaiła się niemiła myśl o tym, że ona, Anastazja, wychodzi nie za ukochanego

mężczyznę i wiernego przyjaciela, lecz za „męską rękę”, tak potrzebną w domu? No cóż, to istotnie mogło zepsuć jej nastrój. Tak, chyba tak właśnie było.

Naderwane obicie drzwi natychmiast skojarzyło się Nasti z samochodem, który powoli ruszył w jej stronę ze zgaszonymi światłami. Widziała go, ale w tamtej chwili, parę godzin temu, nie przyszło jej na myśl, że może to mieć jakiś związek z nagłym pchnięciem z tyłu i jej upadkiem na chodnik. Samochód to było jedno, a śpieszący się na autobus mężczyzna — drugie.

Nastia poczuła, że serce jej na chwilę stanęło, poczuła nagły dreszcz. Jeszcze szczelniej otuliła się kołdrą, a potem szybko sięgnęła do wyłącznika i zapaliła światło. Zegar wskazywał parę minut po dwunastej. O tej porze nie wypada do nikogo dzwonić. Chyba że do Wadima... Ale on nic jej teraz nie pomoże, potrzebny jest Oleg Zubow, bez jego wskazówek Nastia nie odważy się grzebać przy uszkodzonym obiciu drzwi. A jeśli zamontowano tam jakiś ładunek wybuchowy? Ona będzie się trząść ze strachu w ciepłym łóżku, a tymczasem całe mieszkanie wyleci w powietrze, zamieniając się w kupę gruzu! Więc co robić? Zadzwonić do Olega? Nie, nie wypada, Zubow ma małe dzieci, telefon wyrwie ze snu całą rodzinę. Do Loszki? On też nie mieszka sam, w domu są rodzice. Do Korotkowa? Żona, dwoje dzieci i sparaliżowana teściowa. Do Docenki? Mieszka z matką. Pozostaje tylko Wadim.

Wstała, przyniosła z przedpokoju torbę i wyjęła notes, w którym zapisała numer jego telefonu.

### 3

Tuż przed wpół do pierwszej, kiedy zadzwonił telefon, Bojcow jeszcze nie spał. Po powrocie do domu najpierw skontaktował się z Suprunem, opowiedział mu o kolejnym zamachu na Kamieńską i o tym, jak zawarł z nią znajomość. Suprun kazał mu zameldować się jutro wcześniej, przed ósmą, w celu omówienia nowych okoliczności, zapytał o adres Anastazji i obiecał wyznaczyć do jej ochrony kogoś innego.

Potem Wadim wyszedł na spacer z psem Billem, następnie szybko coś przegryzł, włączył wideo i zaczął oglądać jeden ze swoich ulubionych starych filmów — Dźwięki muzyki. Lubił obrazy, w których miłość między bohaterami nie rodziła się z porywu namiętnego pożądanego, lecz z wzajemnej potrzeby czułej bliskości i przywiązania, dlatego z przyjemnością któryś już raz z rzędu oglądał historię niełatwego uczucia wielodzietnego wdowca i młodziutkiej guwernantki. I oto właśnie w tej chwili, gdy bohaterka i jej podopieczni śpiewali uroczą piosenkę, ćwicząc gamy, rozległ się dzwonek telefonu. Wadim z żalem zatrzymał wideo i podniósł słuchawkę.

— Mówi Anastazja — usłyszał. — Mogę zadać panu jedno pytanie?

— Oczywiście — zgodził się bez wahania Bojcow. — Cieszę się, że pani zadzwoniła. O co chce mnie pani spytać? — A więc: dlaczego pan to zrobił?

— Nie bardzo rozumiem — odparł ostrożnie, nagle spięty. No proszę, już się zaczęły niespodzianki. A przecież wydawała się taka szczerą i przewidywalną...

— Dlaczego pan mi uratował życie? Wadimie, nie chcę bawić się z panem w kotka i myszkę, zmuszać pana do mówienia nieprawdy, a potem przyłapywać na kłamstwie, dlatego od razu postawmy sprawę jasno. Parę dni temu przeszkodził pan czterem mężczyznom, którzy zamierzali mnie napaść. Nie będę kłamać, nie widziałam pańskiej twarzy, kiedy pan przechodził obok, ale zapamiętałam zapach pana wody po goleniu. Dzisiaj znów udaremnił pan zamach na moje życie. Myślę, że nie muszę mówić, iż jestem panu za to wdzięczna. Ale chciałabym wiedzieć, dlaczego pan to zrobił. A jeżeli pan mi odpowie, zadam jeszcze jedno pytanie. Bojcowowi zaschło w gardle. Parę razy nerwowo przełknął ślinę, myśląc gorączkowo, co teraz zrobić i jak jej odpowiedzieć.

— Słyszysz mnie pan, Wadimie? Czekam na pańską odpowiedź.

— Widzi pani... — wykrztusił wreszcie. — Powinienem był z panią porozmawiać, wyjaśnić pewną dość delikatną sprawę. Ale najpierw chciałem się pani przyjrzeć bliżej, rozumie pani? I właśnie kiedy panią obserwowałem, to wszystko się stało. — Co powinienem był mi pan wyjaśnić?

— Bardzo proszę, Anastazjo — rzekł z naciskiem — odłóżmy tę rozmowę do jutra. Niczego się nie wypieram, nie zaprzeczam, ma pani całkowitą rację, ale proszę mnie zrozumieć, podlegam komuś, ja także mam zwierzchników, nie jestem prywatnym detektywem.

— Musi pan otrzymać błogosławieństwo z góry? — zażartowała Nastia.

— No... Coś w tym rodzaju. Przysięgam, że nie miałem złych intencji. Wyjaśnię pani wszystko jutro, dobrze? — Bo ja wiem, czy dobrze? — odparła niechętnie. — Ale nie mam wyboru. Wobec tego proszę odpowiedzieć na drugie pytanie. Skąd wzięła się dziurka w moich drzwiach? Czy coś tam podłożono?

— Tak. Przedwczoraj podłożono ładunek wybuchowy.

— I znajduje się on tam do tej pory?

— Nie, zdemontowałem urządzenie.

— Kiedy?

— Jeszcze tego samego dnia.

— A więc mogę spać spokojnie? Twierdzi pan, że nic tunie wybuchnie?

— Nic.

— Na pewno?

— Tak jest. Po tym, co się stało, nie mogę prosić, żeby mi pani wierzyła, ale daję słowo, że nie ma już niebezpieczeństwa.

— W porządku. Dobranoc — rzuciła Nastia sucho i z hałasem cisnęła słuchawkę na widełki.

Bojcow odetchnął. A to dopiero się wkopał! Nie mógł się niczego wyprzeć, bo to tylko pogorszyłoby sytuację. Skoro wszystkiego się domyśliła, skojarzyła ze sobą fakty i bezbłędnie nie odtworzyła biegu wydarzeń, bez trudu przyłapie go na kłamstwie, a wtedy nabierze wody w usta. Mało, że musiał naruszyć uzgodniony z Suprunem plan, iż będzie kontrolował próby zamachów na Kamińską, sam będąc dla niej niewidzialnym, i że się zdekonspirował, to jeszcze może się okazać, iż nie potrafi utrzymać z nią kontaktu. Dla kogoś,

kto cieszy się opinią profesjonalisty, takie błędy są niewybaczalne. Istnieje wszak żelazna zasada: chociaż wszystko toczy się gładko tylko na papierze, z najgorszej nawet opresji powinienes wyjść zwycięsko. Z każdego nieprzewidzianego incydentu, z każdej wpadki — umieć wyciągnąć maksimum korzyści.

Kamieńska zapędziła go w kozi róg jasnym postawieniem sprawy. I poraziła tempem i logiką rozumowania. I wprowadziła w zakłopotanie swoim zręcznym manewrem. Tak, tak, właśnie manewrem, gdyż nie mógł inaczej nazwać tego, co zrobiła. Zrozumieć, że ktoś prowadzi z tobą grę, i nie próbować jej podjąć, narzucając przeciwnikowi własne reguły — o nie, tak nie postępują prawdziwi zawodowcy. Zaczynać od natychmiastowego wyjaśniania, kto i dlaczego cię oszukuje, pytając o to wprost i waląc kolejno do wszystkich drzwi — to postępowanie absolutnie nieprofesjonalne. Teraz on, Bojcow, chciałby znać odpowiedź na takie samo pytanie, jakie zadała mu Kamieńska: dlaczego to zrobiła? Z głupoty? Czy też był to rewanżowy ruch w jakiejś jeszcze bardziej skomplikowanej grze?

Nie zostało zresztą zbyt wiele czasu, by to wszystko przemyśleć. Już jest pierwsza, a jutro przed ósmą musi się zameldować u Supruna.

— Aleś narozrabiał — burknął ponuro Igor Konstantinowicz Suprun, podnosząc wzrok na siedzącego naprzeciwko Bojcową. — Jedno jest jasne: killerzy Mierchanowa nie potrafią sprzątnąć Kamieńskiej jak należy. Pierwsze podejście było jeszcze, nie powiem, całkiem przyzwoite, szkoda, że się nie udało. Czas ich nagli, to zrozumiały, nie starcza go na staranne przygotowanie akcji i dopracowanie wszystkich szczegółów. Lekkomyślnie zdaliśmy się na nich, ale to nie było dobre posunięcie. Trzeba będzie rozegrać sprawę całkiem inaczej. Masz może jakiś pomysł?

— Proponuję powiedzieć Kamieńskiej prawdę. Jakiegokolwiek próby oszukania jej to bezsens, można tylko wszystko zepsuć.

— Chyba zwariowałaś! — wycedził Suprun wściekły. — Co jej powiemy? Że mamy zamiar przechwycić urządzenie, które w instytucie robią na zamówienie Mierchanowa? — Nie, Igorze Konstantinowiczu, nic podobnego. Korotkowa interesuje tylko ustalenie, kto w instytucie występował z prośbą o zwolnienie Wojtowicza. Dopóki się tego nie dowie, nie da za wygraną. A ponieważ nie dowie się tego nigdy, praca nad urządzeniem nie zostanie na nowo podjęta. Sądzę, że powinniśmy powiedzieć Kamieńskiej, iż to my wystąpiliśmy z interwencją w sprawie Wojtowicza. To powinno zadowolić ludzi z Pietrowki. Przestaną szaleć.

— Przypuśćmy — już spokojniej odparł Suprun. — A dlaczego uważasz, że nie można jej oszukać? Cóż to, ma jakiś szósty zmysł do wykrywania kłamstwa?

— Nie, nie sądę — odparł w zamyśleniu Wadim. — Chyba nie. Ale potrafi bardzo logicznie rozumować. Zdumiewająco logicznie. Tyle że spokojnie, powoli. Nie od razu dostrzega kłamstwo, ale za to

potem, kiedy zaczyna wszystko analizować, bezbłędnie kojarzy fakty. Myślę, że ma również doskonałą pamięć. Słowem, rozgryzie każdą nieprawdziwą historyjkę. Poza tym jest nieufna i ostrożna. Wydaje mi się, że należałoby przyjąć wobec niej następującą taktykę: nie wciskać jej, broń Boże, żadnego kłamstwa, ale też nie mówić całej prawdy.

— Wydaje mu się! — sarknął Suprun. — Szkoda, że ci się tak nie wydawało wczoraj, nie spaprałbyś przynajmniej sprawy. Twoja informacja operacyjna nie jest warta funta kłaków, skoro nie wiedziałeś tego wszystkiego wcześniej. No dobra, bierz się do roboty, teraz już nie możemy się wycofać, dałeś Kamieńskiej swój telefon, więc w parę minut ustali twoją tożsamość. Lepiej, żebyś powiedział jej o sobie, póki sama jeszcze wszystkiego się nie dowiedziała. Aha, zaraz, wyjaśniłeś już, dlaczego Kamieńska wybiera się za męża? — Nie, nie zdążyłem. Mogę tylko powiedzieć, że raczej nie jest w ciąży.

— Widzisz go! — Suprun lekko się uśmiechnął. — Nic nie działał, a taki drobny szczegół nie uszedł jego uwagi! No dobrze, ale czy jest w ogóle jakaś nadzieja, że rozgryziesz tę babę? Potrafisz zdobyć jej zaufanie? Sprawić, żeby się rozgadała?

— Postaram się. Ale to nie będzie łatwe, jest bardzo zamknięta w sobie.

— Przestań mnie tutaj czarować! „Niełatwe”, „zamknięta”! I kto tu jest zamknięty?

Wyjął z kartonowej teczki zdjęcie Kamieńskiej i rzucił je na biurko.



— Przecież baba powinna się skichać ze szczęścia, że taki facet jak ty w ogóle się nią zainteresował. Założę się, że z takim wyglądem nie trafiło jej się w życiu nic słodsze od marchewki. I ani słowa, więcej nie chcę o tym słyszeć! A jeżeli jesteś impotentem i masz problemy z seksem, to powiedz od razu, znajdę dla tego brzydactwa innego samca, gościa z jajami. To wszystko, Bojcow, na razie z tobą skończyłem. Napiszesz teraz szczegółowy raport o płatnych zabójcach, którzy na nią polują, i mi go przyniesiesz. Potem masz ruszać na poszukiwanie Kamińskiej, dzisiaj sobota, a więc do poniedziałku możesz się tu nie pokazywać. I nie piętrz trudności, jasne? Milicja zajmuje się teraz tylko zabójstwem tego dziennikarza telewizyjnego, cała reszta zeszła na drugi plan, więc jak Bóg da, załatwimy wszystko niewielkim kosztem. Idź.

Półtorej godziny później Igor Suprun miał na biurku raport Bojcowo na temat killerów, którzy trzy razy próbowali zabić Anastazję Kamińską. Wziął do ręki słuchawkę i wezwał do siebie podwładnego, równego stopniem Bojcowowi, lecz dowodzącego inną grupą.

— Zlikwiduj tych gości — polecił, wręczając mu raport Wadima.  
— Tylko tak, żeby informacja o tym nie dotarła do wydziału kryminalnego na Pietrowce. Wypadek samochodowy, pożar, powódź — co chcesz, wybór należy do ciebie. Byleby ich zdjęcia nie trafiły tam, gdzie powiedziałem, bo ktoś mógłby tych osobników rozpoznać. Zrozumiano?

— Tak jest — zwięźle, po wojskowemu odparł zapytany. Kiedy Suprun został sam, swoim zwyczajem odchylił głowę na oparcie fotela i jął się wpatrywać w obraz — egzotyczne kwiaty w smukłym szklanym wazonie. Dlaczego sytuacja wokół urzędnika nagle tak

się skomplikowała? Przecież przez długi czas panowała cisza i spokój, nawet zabójstwo, popełnione przez Wojtowicza, a potem jego samobójstwo, nie wznieciło takiej burzy, jaką raptem wywołały ten idiotyczny pożar w gabinecie śledczego i teczka z aktami, która wówczas spłonęła. Czyżby rzeczywiście pismo z prośbą o zwolnienie Wojtowicza było takie ważne? A może coś innego jest na rzeczy? Dla świętego spokoju trzeba by to sprawdzić. No i przy okazji wyjaśnić sprawę cyjanku. Litwinowa twierdzi, że to pozaplanowa kontrola, gdyż doszło do kilku wypadków otrucia przy użyciu tego środka. Ale czy rzeczywiście tylko o to chodzi?

# ROZDZIAŁ XII

## 1

Nastia siedziała u pułkownika Gordiejewa nieszczęśliwa i roztrzęsiona.

— Nie rozumiem! — szalał Pączek; odbijając się niczym sprężysta piłeczka, biegał po gabinecie wokół długiego stołu konferencyjnego. — Jak mogłaś zrobić coś tak głupiego! Przecież mądra z ciebie dziewczyna, ja w każdym razie zawsze za taką cię miałem! To mi dopiero argument! Bała się mnie obudzić, widzicie ją! A gdyby ten ładunek eksplodował — co wtedy? Dostrzegasz różnicę między drobnym nietaktem a niechybną śmiercią czy nie? I w dodatku, zamiast zadzwonić do pierwszego z brzegu technika i zażądać, żeby przyjechał obejrzeć twoje drzwi, telefonujesz do tego Wadima i sama pchasz się w paszczę lwa! Pytam się ciebie, dziewczyno, masz ty rozum?!

— Okropnie się wystraszyłam, Wiktorze Aleksiejewiczu — wymamrotała ze skrucą Nastia. — Wie pan, jak się bałam? Sama w domu, głucha noc, niewiele brakowało, żeby parę godzin wcześniej zastrzelili mnie z samochodu, a tu jeszcze te drzwi... O mało nie

zwariowałam ze strachu. — Nie o mało, tylko zwariowałam — sarknął Gordiejew, z wolna się uspokajając.

Przestał się miotać po pokoju i usiadł przy biurku. Splótłszy pulchne dłonie, oparł na nich podbródek i wpatrzył się w Nastię, jakby w oczekiwaniu, że ta wygłosi zaraz jakąś niezwykle mądrą sentencję.

— Sprawdziłaś tego Wadima? Masz jego numer telefonu. — Sprawdziłam. Nie udzielają informacji.

— Ja myślę — prychnął Gordiejew. — Bądź co bądź, to nasz kolega po fachu. Daj mi ten numer, dowiem się przez ministerstwo. Czemu tak milczysz, Nastazjo? Widzę przecież, że jakiś pomysł chodzi ci po głowie. Mów, mów, nic nie ukry waj. Wszystko, co o tobie myślę, już powiedziałem, więc nie bój się, nic gorszego nie usłyszysz.

— Widzi pan, Wiktorze Aleksiejewiczu, wszystko zaczęło się od naszej wizyty w Ministerstwie Nauki. Nie mówiłam panu o tym, ale okazało się, że Tomilin nas oszukał. — Jak to oszukał? — znów zapłonął oburzeniem Pączek. — Dlaczego do tej pory milczałaś? Nie, chyba jeszcze za mało na ciebie nawrzeszczałem! Byłem za łagodny!

— Błagam, Wiktorze Aleksiejewiczu, niech pan nie krzyczy, bo zaraz się rozplączę, i tak jest mi przykro. Zaraz po naszej wizycie w ministerstwie zapytałam Loszkę o wszystkie te mądrości ze sprzężeniem zwrotnym i o Meierstranza, a on powiedział, że to zwykłe brednie jakiegoś niedouczonego durnia. Byłam wtedy przekonana, że Tomilin nie działał rozmyślnie, w złej intencji, tylko zrobił to po prostu z głupoty. Losza twierdził, że gdyby tamten

dobrze się orientował w zagadnieniach fizyki, toby pracował naukowo, a nie zajmował się zarządzaniem. Więc pomyślałam, że... — To jasne, co pomyślałaś — przerwał jej niecierpliwie Gordiejew. — I co było dalej?

— Dalej próbowano mnie zabić w pobliżu domu późnym wieczorem, ale na szczęście, napastnikom się nie powiodło. Ktoś wystrzelił z pistoletu, włączył się alarm samochodowy, i tamci się rozbiegli, a po chwili nadjechał radiowóz. Sądziłam wtedy, że po prostu miałam szczęście, ale po wczorajszym zrozumiałam, że ktoś mnie uratował. Może spróbujemy zacząć od tego końca?

— Możemy. — Pułkownik w zamyśleniu pokiwał głową. — Ludzi, co prawda, mamy mało, wszyscy są teraz zajęci sprawą tego dziennikarza z telewizji. Ale spróbujemy, a nuż coś z tego wyjdzie. Niech Docenko się pokręci w ministerstwie i przewącha, co i jak z tym Tomilinem, a Korotkowa wyślemy do instytutu, żeby sprawdził alibi wszystkich pięciu podejrzanych. Pechowo się składa, że dziś sobota, jutro niedziela, więc zostaje na to tylko poniedziałek i połowa wtorku.

— Dlaczego połowa? — zdziwiła się Nastia.

— Bo wtorek, siódmego marca, to wigilia Dnia Kobiet. Co, zapomniałaś?

— Zapomniałam — przyznała się Nastia. — Nie znoszę świąt. Tylko przeszkadzają pracować.

— A przestępcy ci nie przeszkadzają? — podstępnie zainteresował się Gordiejew. — Nie udawaj niewiniątka, moja kochana. Zresztą wywiad już mi doniósł, że w końcu wychodzisz za Czistiakowa. To prawda?

— Prawda. — Nastia skinęła głową. — Pan też będzie się ze mnie nabijał?

— Dlaczego miałbym się nabijać? Pochwalam to. Wreszcie poszłaś po rozum do głowy, zaczynasz myśleć jak normalny człowiek.

— No właśnie, mówiłam, że będzie pan ze mnie kpił. O co wszystkim chodzi z tym ślubem? Co wam przeszkadza, że nie jestem mężatką? Gorzej przez to pracuję, czy co? — Naprawdę nic nie rozumiesz! — Gordiejew roześmiał się. — To nie tyle przeszkadza, co budzi zazdrość reszty kolegów. No wiesz, jakbyś mówiła: spójrzcie tylko, jak mi się dobrze powodzi bez rodziny i dzieci, a w dodatku pracuję najlepiej ze wszystkich. Więc oni patrzą na ciebie i myślą: nam jest tak ciężko, tyle kłopotów na głowie, stale brakuje forsy, nie mamy gdzie mieszkać, w pracy ciasnota, obijamy się dosłownie jeden o drugiego, z niczym nie możemy nadażyć, czyli co — może to my coś robimy nie tak? A pokaż mi człowieka, który chętnie by się przyznał do tego, że coś robi nie tak. Rusz swoją mądrą główką i powiedz, gdzie takiego znaleźć? Natomiast kiedy wyjdiesz za mąż, wszyscy wreszcie odetchną z ulgą: no, w porządku, postępowaliśmy jak należy, człowiek powinien mieć rodzinę, nawet nasza Kamieńska, chociaż się tak stawiała, tak zgrywała kobietę wyzwoloną i feministkę, koniec końców się złamała i przyznała nam rację.

Rozmowa z szefem trochę podniosła Nastię na duchu. Należała jej się reprimenda, bez dwóch zdań. Ale jednak Pączek zaakceptował pomysł i obiecał pomóc. Trzeba jak najszybciej złapać Korotkowa i Docenkę, chociaż wątpliwe, czy przed poniedziałkiem zdążą wiele zdziałać. Boże, po co ludzie wymyślili dni wolne od pracy!

## 2

Oleg Zubow, wiecznie nachmurzony i niezadowolony z życia technik kryminalistyczny, pochylił się nad dziurą w obiciu drzwi, po czym się wyprostował, otworzył swoją walizeczkę i wyjął z niej silną lampę na statywie. — Włącz ją do kontaktu — poprosił Nastię, rozwijając sznur dziesięciometrowej długości. — I przynieś mi jakąś niepotrzebną gazetę, żebym mógł na niej uklęknąć. Stary już jestem, ciężko mi siedzieć w kucki.

To był nieszkodliwy konik Zubowa: stale uskarżał się na wiek i choroby, chociaż nie miał nawet czterdziestki, a zdrowie również mu dopisywało. Wszyscy o tym wiedzieli, ale z poważną miną przytakiwali Zubowowi, gdyż w przeciwnym wypadku na ekspertyzę musieliby czekać trzy razy dłużej niż normalnie. Tym, którzy nie wierzyli w jego nieuleczalne dolegliwości, Oleg mówił, że ma bóle głowy na tle odklejania się siatkówki, lekarze zabronili mu wyteżać wzrok, zapuszczają mu do oczu jakieś krople, więc ekspertyza będzie gotowa jeszcze nieprędko. Lub też wymyślał inną, równie dramatyczną historyjkę. Nikt nie mógł zrozumieć, po co Zubow to robi, ale ponieważ był w swojej dziedzinie naprawdę zdolnym fachowcem, wszyscy znosili cierpliwie jego dziwactwa i chronicznie zły humor.

Nastia przyniosła Olegowi złożony kilkakrotnie koc, który zwykle rozkładała na podłodze, gdy bolał ją kręgosłup i nie mogła leżeć na

miękkiej kanapie.

— O, świetnie — ucieszył się Zubow. — Na siedząco będzie jeszcze lepiej.

Usadowił się wygodnie, lampę ustawił tak, żeby światło padało na dolną część drzwi i próg, po czym wyjął narzędzia.

— Odejdź stąd — zakomenderował.

— Dlaczego? Przeszkadzam ci? — zdziwiła się Nastia. — Ciekawie mnie twoja robota.

— Ciekawi ją! — burknął Zubow, nie podnosząc głowy. — A co będzie, jak ten dyngs zadziała?

— Przecież tam nic nie ma.

— Skąd wiesz? Ktoś ci tak powiedział? A jeżeli cię okłamał? No już, już, spadaj stąd, nastaw lepiej czajnik. Nastia bez dalszych sprzeciwów poszła do kuchni, skąd z zamierającym sercem przysłuchiwała się dochodzącym od drzwi wejściowych odgłosom. A jeśli Wadim rzeczywiście ją okłamał? I ten cholerny ładunek zaraz wybuchnie?... Nawet nie chciała myśleć, co będzie dalej. Prawdziwy koszmar... Zagotowała wodę, zaparzyła mocną herbatę, zrobiła kanapki z szynką i serem i ułożyła je na dużym talerzu. Po chwili uznała, że warto by je trochę urozmaicić. Rozejrzała się z namysłem po ubogiej zawartości lodówki, wyjęła z niej dwa jajka, włożyła je do rondelka i postawiła na gazie. Następnie pokrajała na cienkie, ozdobne plasterki kilka konserwowych ogórków. W zamrażalniku znalazła dawno zapomniane opakowanie żurawin. Świetnie, też się przyda. Kiedy jajka się ugotowały, Nastia zalała je zimną wodą, po czym obrała i pokroiła na apetyczne biało-żółte krążki, położyła po dwa na każdej kanapce, a na koniec udekorowała wszystkie



zielonym plasterkiem ogórka i kilkoma jaskrawoczerwonymi jagódkami żurawiny. Kompozycja wyglądała bardzo ładnie, takimi eleganckimi kanapkami śmiało można by nawet podejmować zaproszonych gości. Nastia postawiła na stole filiżanki na spodeczkach, cukiernicę, imbryczek z esencją i słoiczek kawy rozpuszczalnej, pośrodku umieściła talerz z poczęstunkiem i cierpliwie czekała. Wybuchnie czy nie wybuchnie? Zjedzą oboje te apetyczne, pięknie udekorowane kanapki czy też wszystko zaraz wyleci w powietrze? Napięcie było tak wielkie, że Nastia najchętniej zawyłaby cichutko cienkim głosem. — Nastazja! — usłyszała głos Olega. — Wyłącz lampę, skończyłem.

Zubow władował się do kuchni niczym olbrzymi, niezgrabny niedźwiedź i ciężko klapnął na taboret. — Uuu, jak na wystawę! — Aż gwizdnął z zachwytu, łapczywie chwytając kanapkę z talerza. — Od razu widać, że kobita wybiera się za męża, szykuje się do rodzinnego życia. — Jeszcze jedno słowo i wyląduje na tobie czajnik z wrzątkiem — ostrzegła Nastia.

— Co z tobą, Kamieńska? Zgłupiałaś? — zapytał Zubow z pełnymi ustami. — Co cię ugryzło? Słowem nie można się do ciebie odezwać.

— Przepraszam. Po prostu wszyscy się na mnie wyżywają z powodu tego ślubu. Chyba będę musiała go odwołać. Znalazłeś coś?

— Aha. Faktycznie coś tam było. Masz, zobacz, kawałek przewodu. A tu jeszcze jeden. Ten, kto rozbierał ładunek, wiedział, co i jak zrobić, ale widać zabrakło mu czasu. Albo nie miał przy sobie odpowiednich narzędzi.

— A czy można stwierdzić, kiedy założono ten ładunek? — Nie, kiedy założono — nie. Ale kiedy go rozbrajano, można. Nieizolowane przewody utleniają się, więc moment, gdy zdemontowano urządzenie, można ustalić z dość dużą dokładnością. Czy to pilne?

— Oleżku, kochany... — Nastia zrobiła błagalną minę. — Im prędzej się tego dowiem, tym będę się czuła bezpieczniejsza. Zanim zacznę rozmawiać z człowiekiem, który powiedział mi o tym ładunku, chciałabym wiedzieć, czy kłamał, czy nie. A muszę się z nim skontaktować jak najszybciej. — Jeśli dobrze zrozumiałem, sugerujesz, żebym zamiast jechać teraz do domu, wrócił do pracy? Sprytnie to wykombinowałaś! Ściągnęłaś mnie na pięć minut, żebym rzucił okiem na dziurkę w drzwiach, a tu masz! — Ojej, Oleżku...

— Dobra już, dobra, nie jęcz, zrobię, co trzeba. Nie daj Boże, coś ci się stanie, a winę zwałą potem na mnie. Mogę jeszcze jedną kanapkę? Są takie smaczne. I dolej mi gorącej herbatki. — Podsunął Nasti filiżankę.

— Jedz, Oleżku, jedz na zdrowie, a jak coś zostanie, zapakuję ci, weźmiesz ze sobą do pracy, żeby ci się nie nudziło — smutnie zażartowała Nastia. — Tylko daj mi odpowiedź jak najszybciej.

Odprowadziła Zubowa do drzwi, wróciła do kuchni i zaczęła sprzątać ze stołu. Nagle ręce jej omdlały, palce same się rozwarły i filiżanki i spodeczki, które chciała wstawić do zlewu, upadły na podłogę. W pierwszej chwili Nastia nie zrozumiała, co się stało, i schyliła się, żeby zebrać skorupy. Zdawało się, że kawałki rozbitej porcelany ożyły i za nic nie pozwalają się wziąć w ręce, mimo że są tuż-tuż, prześlizgują się złośliwie między palcami, które nagle stały

się niezręczne i sztywne. Nasti zakreśliło się w głowie; musiała się wyprostować i usiąść. Chwyciły ją dreszcze.

Od chwili, gdy zrozumiała, że próbowano ją zabić, minęło osiemnaście godzin. Przez cały ten czas zachowywała się normalnie, jak osoba przy zdrowych zmysłach i sprawnie funkcjonującej pamięci, rozmawiała z szefem, znalazła Korotkowa i Docenkę, jasno wytłumaczyła im sens kolejnego zadania, przywiozła do domu Olega Zubowa i bawiła się przybieraniem kanapek. Jej świadomość skutecznie wypierała myśl o tym, że ona, Nastia, przez cały tydzień stąpała nad skrajem przepaści i tylko cudem w nią nie wpadła. W ciągu tego tygodnia trzykrotnie mogła umrzeć. Trzy razy śmierć była już tak blisko, że Anastazji zdawało się, iż zna teraz jej zapach. Zapach truskawkowej gumy do żucia i intensywny, gorzkawy — płynu do golenia. Ten drugi tylko przelotnie poczuła tam, przy przystanku autobusowym, ale wczoraj, kiedy nieznajomy mężczyzna pchnął ją, tak że się przewróciła, i sam upadł, ta ciepła, piołunowa woń, zmieszany aromat kosmetyku i rozgrzanej skóry, dosłownie buchnęła jej w nozdrza. Przez ostatnie osiemnaście godzin Nasti udawało się działać mniej więcej świadomie i rozumnie, ale teraz siły ją opuściły, mechanizm wyparcia przestał funkcjonować i straszna myśl o śmierci przeszła ją nieopisanym bólem. Z początku zaczęły jej się trząść ręce, potem zaszczękała zębami. Miotła się po mieszkaniu, sama nie wiedząc, czego szuka, bezmyślnie wędrowała z kuchni do pokoju i z powrotem. Co pewien czas przyłapywała się na tym, że w pokoju szuka oczyma kuchenki i lodówki, a w kuchni z przestachem konstatuje, że nie widzi komputera. Traciła kontrolę nad swoimi myślami, nie rejestrując, że przechodzi z jednego pomieszczenia do drugiego. Patrzyła na zegar,

żeby sprawdzić godzinę, a po chwili zapomniała, która jest, i znów szukała oczyma cyferblatu. Wydawało się Nasti, że jeśli krzyknie, choćby cichutko, przyniesie jej to ulgę, ale gardło miała ściśnięte i nie była w stanie wydać najłżejszego choćby dźwięku.

Z każdą chwilą czuła się gorzej, do lodowatych dreszczy przyłączył się jeszcze ból głowy i zaczęła drętwieć lewa ręka. Nastia chciała zadzwonić do Loszy i poprosić go, żeby przyjechał, ale nie mogła prawidłowo wybrać jego numeru. To było jak zły sen, w którym koniecznie musisz zatelefonować, ale na tarczy nie ma odpowiednich cyfr albo aparat jest tak zmyślnie skonstruowany, że ani rusz nie potrafisz się nim posłużyć. Nastia kilka razy błędnie wybrała numer i w końcu zrezygnowana zaniechała jałowych prób dodzwonienia się do Czistiakowa. Wydawało jej się, że po prostu zapomniała numeru jego telefonu, i to wprowadziło ją w jeszcze większe zdenerwowanie. Pamięć nigdy Nasti nie zawodziła, działała bezbłędnie, więc jeśli ona teraz nie może przypomnieć sobie numeru, pod który dzwoniła od wielu lat, to znaczy, że z jej głową dzieje się coś niedobrego.

Nastia straciła kontrolę nie tylko nad swoimi myślami, ale i nad czasem. Kiedy zadzwonił Zubow, miała wrażenie, że dopiero co wyszedł, chociaż od tej chwili minęły co najmniej trzy godziny.

— Wszystko w porządku — poinformował Anastazję. — Przewody zostały odcięte mniej więcej siedemdziesiąt pięć, może siedemdziesiąt osiem godzin temu. To znaczy w środę, pierwszego marca, między godziną piętnastą a osiemnastą. Po telefonie Zubowa poczuła się trochę lepiej. Zmusiła się, by myśleć o zabójstwie Gałaktionowa, samobójstwie Wojtowicza i trzech zamachach na jej własną osobę nie jak o zgonach, które przynoszą ludziom ból po

stracie, lecz jak o elementach mozaiki, które układają się w pewną całość. Mniej emocji, mniej ocen moralnych — teraz należy operować wyłącznie suchymi faktami, żeby zająć mózg, nawykły do precyzyjnych analiz, procesem chłodnego, logicznego konstruowania hipotez, nie pozwolić, by paraliżujący strach zatryumfował i zniweczył zdolność myślenia i działania. Trzeba się w końcu wziąć w garść i zadzwonić do Wadima. Obiecał przecież wyjaśnić jej dzisiaj jakąś skomplikowaną sprawę. Oczywiście, byłoby lepiej porozmawiać z nim już po otrzymaniu informacji od Korotkowa i Docenki, ale nie da się tego dłużej odkładać.

Wybrawszy bezbłędnie numer za pierwszym razem, Nastia odetchnęła głęboko i leciutko się uśmiechnęła. Chyba udało jej się nad sobą zapanować.

— I co, otrzymał pan już instrukcje? — zapytała, nawet się nie witając. — Usłyszę wreszcie pańskie wyjaśnienia? — Tak — odparł Wadim zdecydowanie. — Gdzie mógłbym się z panią spotkać?

Nastia spojrzała na zegar. Wpół do dziesiątej. Trochę późna pora, jak na spotkanie z prawie nieznanym mężczyzną, którego w dodatku nie darzy się zbytnim zaufaniem. — A nie możemy tego załatwić telefonicznie? — zapytała. — Wolałbym nie. To nie jest historia na telefon.

— Stawia mnie pan w trudnej sytuacji, Wadimie. Rozumie pan przecież, że po pańskiej wczorajszej bajeczce z niby to przypadkowo zawartą znajomością i autobusem, który rzadko chodzi, nie mogę panu ufać. I chociaż wiem, że w pewnym sensie jest pan moim kolegą po fachu i działał pan jak profesjonalista, muszę zachować czujność. Gdybym była zwykłą babą z ulicy, która przypadkiem znalazła się w orbicie przestępczych działań, pańskie postępowanie

można by określić jako posunięcie operacyjne, a bajeczkę o autobusie — jako legendę. Ale ponieważ nie jestem zwykłą babą z ulicy, a owymi przestępczymi działaniami zajmuję się służbowo, wszystkie pańskie stosowane wobec mnie profesjonalne chwytły uważam za podejrzane. A nazywając rzeczy po imieniu, mamy tu do czynienia z ordynarnym kłamstwem. Mówiąc łagodniej — z brudną grą, którą prowadzą moi koledzy po fachu. Nie wiem, co prawda, dla kogo pracują, ale wiem, że ich działania skierowane są przeciwko mnie i mają pokrzyżować moje plany. Czy wyraziłam się jasno? No właśnie. A pan chce, żebym spotkała się z panem późnym wieczorem. Gdzie? Na ulicy? U mnie? U pana? Rozumie pan chyba, że te propozycje są dla mnie nie do przyjęcia. Nie ufam panu i boję się pana.

— Nie wiem, doprawdy, co jeszcze mógłbym wymyślić — powiedział zaskoczony Wadim. — Zgadza się na wszystkie pani warunki, byleby nie była to rozmowa przez telefon. — A ja z kolei mogę panu zaproponować tylko takie rozwiązanie. I jak wybrniemy z tego impasu?

— No cóż. Może przyjadę do pani do pracy? Odpowiadałoby to pani?

— Owszem, ze względu na bezpieczeństwo tak, ale chodzi o czas. Nie mogę czekać do jutra, muszę usłyszeć pańskie wyjaśnienia dzisiaj. A najlepiej zaraz.

— No nie, doprawdy! — wykrzyknął Wadim poirytowany. — Sama pani nie wie, czego chce. Powiedziałem przecież, że zgadzam się na wszystko z wyjątkiem rozmowy telefonicznej. Kiedy obmyśli pani wariant, który będzie pani odpowiadał, proszę mnie powiadomić.

Usłyszawszy ciągły sygnał, Nastia z niedowierzaniem popatrzyła na słuchawkę. A to ciekawe! Wczoraj Wadim niemal ścielił się jej do stóp, trudno mu było się z nią rozstać, uratował ją od śmierci, ryzykując własne życie, i posyłał jej czułe spojrzenia. A dziś rozmawia z nią tak, jakby jej robił łaskę. To zupełnie oczywiste, że nie będzie nic wyjaśniał przez telefon. I mogą być tylko dwie przyczyny tak zdecydowanej odmowy: albo to, co chce jej powiedzieć, to niezwykle ważna tajemnica państwowa, a Wadim ma uzasadnione podejrzenia, że jego telefon jest na podsłuchu, albo szuka pretekstu, żeby się z nią spotkać, bo z jakichś względów bardzo mu na tym zależy. Ale dlaczego? No cóż, powodów może być kilka. Chce ją zabić. Od wczoraj sytuacja mogła się zmienić i choć wówczas przeszkodził killerom, dziś może uważać, że nadeszła właściwa pora. Lub też chce ją, Nastię, komuś pokazać. Może właśnie tym samym zabójcom, którzy rozprawią się z nią trochę później, w innym miejscu i czasie. Albo chce nagrać jej głos, by zmontować potem chytrą fałszywkę. Albo zrobić jej zdjęcie, które posłuży później do jakiegoś fotomontażu. W każdym razie Wadim koniecznie musi się z nią zobaczyć, może nie zaraz, ale spotkanie jest konieczne dla jakiejś kolejnej kombinacji. Nie ma wyjścia, trzeba będzie zaprosić go do domu, przynajmniej może być pewna, że tu nikt jej nie sfotografuje i nie posłuży się potem jej zdjęciem w niewiadomych celach. Wykręciła numer Wadima.

— Może pan przyjechać do mnie — oznajmiła sucho. — Pod warunkiem, że spełni pan wszystkie moje warunki. I proszę pamiętać, o pańskiej wizycie, jeśli, oczywiście, zgadza się pan tu przyjść, niezwłocznie powiadomię swojego szefa. Będzie do mnie dzwonił co dziesięć minut, dopóki pan nie wyjdzie. Jeżeli nie

odbiorę telefonu, do mojego i pańskiego mieszkania zostaną wysłane grupy operacyjne. Nazywa się pan Bojcow? — Tak.

— Mieszka pan przy bulwarze Oriechowym siedemnaście, mieszkania pięćset trzydzieści dwa?

— Tak, zgadza się.

— Widzi pan, że nie blefuję. Więc co, Wadimie, zgadza się pan na moje warunki?

— Już wychodzę — powiedział krótko.

### 3

Zaparkował samochód tam, gdzie trzy dni temu, gdy czekał, aż płatni mordercy wyjdą z domu Anastazji. Włączył alarm, zamknął i z przyzwyczajenia sprawdził drzwi. Wjeżdżając windą na ósme piętro, czuł, jak głucho wali mu serce. Ta kobieta jest nieprzewidywalna. Główny chwyt, jaki stosuje, to brak wszelkich chwytów, do czego nie przywykł. Przez całe życie doskonalił swoją umiejętność rozwikływania skomplikowanych, przemysłnych ruchów i posunięć i niezwykle chytrych podstępów; w tej materii czuł się pewnie. Okazuje się, że do szczerości i prostolinijności też trzeba się przyzwyczaić, jeśli człowiek nie miał z nimi przedtem do czynienia. Co innego niedomówienia, aluzje, wykręty, manipulacje, a co innego kiedy ktoś ci mówi wprost: raz już mnie okłamałeś, więc nie wierzę ci i boję się ciebie. To idiotyczna sytuacja, kiedy musisz się zaklinać i udowadniać, że nie kłamiesz, wiedząc, po pierwsze, że kłamiesz, a po drugie, że ów ktoś i tak ci nie wierzy.



Wadim podszedł do znajomych drzwi, z których trzy dni temu wyjmował ładunek wybuchowy, i nacisnął dzwonek. — Otwarte! — usłyszał z głębi mieszkania. — Proszę wejść! Ostrożnie otworzył drzwi i wszedł do oświetlonego przedpokoju. — Anastazjo?

— Jestem tutaj — dobiegł go jej głos. — W kuchni. Proszę się rozebrać, zaraz będę gotowa.

Bojcow zdjął skórzaną kurtkę — nie lubił się ciepło ubierać, kiedy jeździł samochodem. Powiesił okrycie na wieszaku i zerknął w lustro. Kobiety uważały go za przystojnego, a mężczyźni mówili o nim, że jest „rasowy”, to znaczy nie ma cukierkowej urody, lecz czuje się w nim prawdziwą klasę. — Zdjąć buty? — zapytał głośno.

— Oczywiście. Jeżeli jest pan w swetrze lub marynarce, proszę je również zdjąć.

— Po co? — zdziwił się, zrzucając ciężkie buty. Postawił je na chodniku, żeby nie zostawić na parkiecie śladów błota. — Powiedziałam — proszę je zdjąć — usłyszał w odpowiedzi chłodny głos Kamieńskiej. — Umówiliśmy się przecież: ma pan spełnić wszystkie moje warunki. To może być dość nieprzyjemne, zważywszy mój brak zaufania do pana. Proszę się na to przygotować.

Bojcow posłusznie zdjął pulower i rzucił go na krzesło w przedpokoju.

— Czy teraz mogę wejść do kuchni?

— Może pan, tylko powoli. Proszę stanąć w progu, tak żebym pana widziała.

Wadim zrobił dwa kroki w stronę kuchni i zatrzymał się w drzwiach. Kamieńska stała tuż przed nim. W jednej ręce trzymała

spodnie od dresu i jakąś bawełnianą koszulkę, w drugiej ściskała pistolet, wycelowany prosto w jego brzuch.

— Proszę to wziąć — podała mu spodnie i T-shirt — i przebrać się.

— Gdzie? — zapytał odruchowo Wadim.

— Tutaj, chcę widzieć, jak pan to robi. — Ale po co?

— Nie rozumie pan? Muszę być pewna, że nie włożył pan do kieszeni ani nie przykleił plastrem do ciała nic, co mogłoby mi się wydać podejrzanе. Nie zamierzam pana rewidować, będzie prościej, jeśli się pan przebierze. I proszę mi nie opowiadać, że to pana krępuje, niech pan nie będzie śmieszny.

Bojcow bez słowa rozluźnił węzeł krawata i jednym ruchem ściągnął go przez głowę, potem rozpiął koszulę, zdjął ją i rzucił za siebie, na krzesło, gdzie już leżał jego sweter. Wciągnął T-shirt, który dała mu Nastia, i niezdecydowanie sięgnął do paska od spodni.

— No już, Wadimie, niech pan się nie ociąga, jest prawie jedenasta. Porządni ludzie kładą się o tej porze spać, a pan zawraca mi głowę swoimi tajemniczymi wyjaśnieniami. Posłusznie rozpiął pasek i zdjął spodnie, w duchu dziękując losowi za to, że nigdy nie musiał się wstydzić swego dobrze umięśnionego, proporcjonalnego ciała. Spodnie od dresu okazały się trochę za krótkie, ale w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia. Stał więc w progu kuchni w skarpetkach, za krótkich spodniach i cudzej, ciasnej trykotowej koszulce, a w jego brzuch mierzył pistolet, bez wątplenia naładowany. I tylko to się teraz liczyło.

— Proszę wejść i usiąść — nakazała Nastia, cofając się i robiąc mu przejście. — Nie, nie tutaj, tam, tyłem do okna. Kiedy już wykonał polecenie, Kamińska usadowiła się naprzeciwko niego, tuż przy drzwiach. „Sprytnie — ocenił Bojcow. — Teraz nie będę mógł stąd wyjść, dopóki ona tego nie zechce”.

Nie wypuszczając pistoletu z rąk, Anastazja zdjęła słuchawkę ze stojącego na kuchennym stole telefonu i wybrała numer.

— To ja — powiedziała. — Bojcow przyjechał. Tak, dobrze, co pięć minut.

— Mówiła pani, że co dziesięć — zauważył Wadim, kiedy odłożyła słuchawkę.

— Zmieniłam zdanie — odparła spokojnie Kamińska. — A więc słucham pana.

— Dowiedzieliśmy się — zaczął — że odtwarzacie akta sprawy Grigorija Wojtowicza, które spłonęły podczas pożaru. Chcecie ustalić, na czyją interwencję został on wypuszczony do domu. Jestem upoważniony, by powiadomić panią, że to my wystąpiliśmy o jego zwolnienie. Oczywiście, nie ma żadnych dowodów na piśmie. Nie chcielibyśmy jednak, żeby prokurator, który poszedł nam na rękę, miał z tego powodu jakieś nieprzyjemności. Zapewniam panią, że nie od razu zgodził się spełnić naszą prośbę, ale wobec zagrożenia bezpieczeństwa państwa wszystkie racje i argumenty muszą zejść na dalszy plan. Zgadza się pani?

— Na razie nie. O jakie zagrożenie bezpieczeństwa chodzi?

— Widzi pani, Wojtowicz na nasze zlecenie pracował nad realizacją pewnego ściśle tajnego projektu, a zabójstwa żony dokonał w najważniejszym momencie tych prac. Prowadzić je dalej

bez jego udziału byłoby niemożliwe, on był najbardziej utalentowanym pomysłodawcą, całe przedsięwzięcie utknęłoby w martwym punkcie. Naturalnie nacisnęliśmy wszystkie możliwe sprężyny, żeby Grigorija Iljicza wypuszczono. Jak sama pani rozumie, nie chodziło o to, by zwolnić go z odpowiedzialności za jego czyn, popełnił przecież ciężkie przestępstwo i powinien ponieść karę. Zależało nam jedynie na tym, żeby w okresie wstępnego śledztwa, po podpisaniu zobowiązania o nieopuszczaniu miejsca stałego pobytu, Wojtowicz znajdował się na wolności i mógł kontynuować pracę. To wszystko. Nie zamierzał przecież nigdzie uciekać, nie wypierał się swego czynu i w żaden sposób nie mógł przeszkodzić w czynnościach śledczych. Był zainteresowany doprowadzeniem realizacji projektu do końca, gdyż miał za to otrzymać wysokie honorarium, które pozwoliłoby matce Wojtowicza wychować jego małe dziecko bez kłopotów materialnych, w czasie gdy on będzie odbywał wyrok za zabójstwo. Tak więc z pewnością nie uciekłby przed wymiarem sprawiedliwości, był uczciwym, prawym człowiekiem.

— Na tyle prawym, że zabił swoją żonę? — uściśliła Kamieńska, nie kryjąc ironii. — Czy mogę się dowiedzieć, o jakim projekcie mowa?

— Nie. Mamy kategoriyczny zakaz wszelkich rozmów na ten temat. Nawet ja nie wiem nic więcej ponadto, co pani powiedziałam.

— Czy w instytucie ktoś wiedział, że Wojtowicz pracuje dla was?

— Nikt. Została podpisana umowa robocza, w której jedną stroną był on, a drugą — pewna prywatna firma. — Jaka?

— Nie wiem. Daję słowo. Nie mam dostępu do ważnych przedsięwzięć merytorycznych, jestem takim samym pracownikiem operacyjnym jak pani.

— A więc w instytucie nikt o tym nie wie?

— Mam nadzieję, chyba że Wojtowicz sam komuś powiedział. Ale spodziewam się, że do tego nie doszło. Nasza instytucja już nie pierwszy raz korzystała z usług Grigorija Iljicza, więc wiedzieliśmy, że jest człowiekiem bardzo odpowiedzialnym i potrafi dochować tajemnicy. Świadczy zresztą o tym również fakt, że pani koledzy badają tę sprawę w instytucie już cały miesiąc, ale jak dotąd, nie udało im się wyjaśnić, kto interweniował w sprawie zwolnienia Wojtowicza. Gdyby Grigorij Iljicz powiedział choć jednej osobie, że pracuje dla nas, już dawno stałoby się to tajemnicą poliszynela i bez trudu byłoby się o tym dowiedzieli.

„Na razie chyba wszystko idzie jak należy. To, co jej opowiadam, w dużej mierze odpowiada rzeczywistości. Istotnie występowaliśmy w sprawie Wojtowicza, gdyż zależało nam, by doprowadził pracę do końca. To najprawdziwsza prawda. Z jednym niewielkim wyjątkiem: Wojtowicz nie podpisywał żadnej umowy i w ogóle nie wiedział, że pracuje dla nas. Był pewien, że zleceniodawcą jest jakaś „prywatna” firma czy osoba, która koniecznie zapragnęła mieć taką samą antenę, jaką niedawno zainstalował u siebie instytut. Nawet główny realizator projektu nie wie, że w ostatecznym rozrachunku pracuje dla nas, jest przekonany, że jego urządzenie trafi do Mierchanowa. Sam Mierchanow też tak myśli. Ale czeka go wielkie rozczarowanie... Dobrze, że pośród osób zaangażowanych w sprawę znalazła się Litwinowa, łatwo z nią poszło, bo można było babie zagrozić ujawnieniem jej preferencji seksualnych... Z powodzeniem

zastąpiła Wojtowicza. Oczywiście, Grigorij Iljicz był niezwykle uzdolniony, ale w pracy nad urządzeniem działał ślepo, został cynicznie wykorzystany — nie powiedziano mu, jakie jest prawdziwe przeznaczenie anteny. Główny kontrahent Mierchanowa okazał się bardzo ostrożny i nikogo nie wtajemniczył w swoje plany. Z pewnością musiał zdawać sobie sprawę, że gdyby Wojtowicz znał prawdę, zaprojektowałby urządzenie w ciągu dwóch tygodni. Ponieważ jednak należało zachować rzecz w tajemnicy, grzebią się z tym już prawie trzy miesiące. W końcu trzeba było wprowadzić we wszystko Litwinową — otworzyć jej oczy. Do Wojtowicza babie daleko, nie jest nawet w jednej dziesiątej tak zdolna jak on, ale znając prawdziwe przeznaczenie urządzenia i mając do dyspozycji materiały Grigorija Iljicza, radzi sobie całkiem dobrze. A człowiek, pod którego kierownictwem Litwinowa realizuje lewe zamówienie, nawet się nie domyśla, że Inna Fiodorowna jest o wszystkim poinformowana. Na szczęście, w naszym kraju ludzie o odmiennej orientacji seksualnej wciąż jeszcze uważani są za zбочeńców, za upośledzoną, zwyrodniałą mniejszość".

— To właściwie wszystko, co miałem pani do powiedzenia. — I zamiast to zrobić, deptał mi pan po piętach cały tydzień? — spytała zirytowana Kamieńska. — A właściwie dlaczego mnie, a nie Korotkowowi, który zajmuje się w tej chwili instytutem, albo mojemu szefowi?

— Miałem sam zdecydować, komu z was o tym powiedzieć. Widzi pani, to dość delikatna materia, nie każdemu te sprawy można powierzyć. Nie wiedziałem nic ani o pani, ani o Korotkowie, ani o pułkowniku Gordiejewie, więc musiałem najpierw trochę się wam

przyjrzeć, nim podejmę decyzję, kogo wybrać. Byłem świadom, że ta informacja powinna przybrać jakąś... powiedziałbym, oficjalną formę. To znaczy, osoba odtwarzająca akta musi mieć w ręku ważki dowód na to, dlaczego Wojtowicz został zwolniony, a nie istnieje w tej sprawie żaden dokument oprócz postanowienia śledczego. Stąd wydawało mi się bardzo ważne, żebym z tym, kto się o tym pierwszy dowie, mógł znaleźć wspólny język. Powinniśmy się rozumieć i wspólnie ustalić linię, której należy się w przyszłości trzymać, żeby nie ujawniać tajemnicy państwowej i nie postawić innych w niezręcznej sytuacji. — Czyli pan mi się przyglądał, a ktoś inny w tym samym czasie próbował mnie zabić. Czy tak?

— Tak — potwierdził Wadim, patrząc na nią wyrazistymi szarymi oczyma i starając się, by jego spojrzenie było szczere i ciepłe. Jednakże pod lufą pistoletu niełatwo tego dokonać. Kamieńska siedziała naprzeciwko; na jej twarzy, nieruchomej i zimnej, nie pojawił się ani na moment nawet cień uśmiechu, przejrzyste jasne oczy wydawały się przewiercać człowieka na wylot, mimo iż Wadim wiedział, że oczy takiego koloru zawsze robią podobne wrażenie, kiedy ich właściciel jest rozgniewany, choć naprawdę niekoniecznie musi się odznaczać szczególną przenikliwością.

— Kto próbował mnie zabić? — kontynuowała swoje śledztwo Anastazja.

— Nie wiem. — Bojcow usiłował nadać twarzy wyraz absolutnej szczerości. — Sam gubię się w domysłach. — Nie wierzę panu — spokojnie oświadczyła Kamieńska, wpatrzona w jakiś dla niej tylko widoczny punkt pomiędzy brwiami Bojcową.

— Ale ja naprawdę nie wiem! — wykrzyknął, stwierdzając z niepokojem, że nie potrafi wzbudzić w sobie tego dramatycznego

ognia, który zawsze pomagał mu szybko wczuć się w rolę i grać ją przekonywająco. Dziś ogarnęło go jakieś odrętwienie i najwyraźniej nic mu nie wychodziło. Albo za bardzo się denerwował, albo ta dziewczyna tak na niego działała. Skuteczne budzenie zaufania wymaga wcielenia się w rolę takiego człowieka, który cieszyłby się największą sympatią rozmówcy. Jaki typ preferuje Kamińska, Wadim nie wiedział. Intuicja nie była mu pomocna, gdyż Anastazja w niczym nie przypominała kobiet, które znał wcześniej i zdążył odpowiednio zaklasyfikować, a potem stworzyć w myśli psychologiczne portrety mężczyzn, którym prawdopodobnie byłoby najłatwiej zbliżyć się do przedstawicielek każdej z tych grup. Ta kobieta nie mieściła się w żadnych ramkach, i Wadim nie potrafił wybrać sposobu zachowania, który przyniósłby oczekiwane rezultaty. Być może rozpraszał go dzwonek telefonu, rozlegający się regularnie co pięć minut. — Nie wierzę panu — powtórzyła ze znużeniem. — I nie wyjdzie pan stąd, dopóki nie wyjaśnimy tej kwestii. Albo przedstawi mi pan przekonywające dowody na to, że rzeczywiście pan tego nie wie, albo powie mi pan, kto to był. Tertium non datur, jak mawiali starożytni Rzymianie. Chce pan kawy albo herbaty?

— Proszę — powiedział z wdzięcznością, ukrywając zdziwienie tak nagłą zmianą tonu gospodyni. Deklaruje całkowity brak zaufania do niego, po czym, jakby nigdy nic, proponuje mu herbatę. Naprawdę, jest niesamowita!

— Wobec tego proszę wstać, zapalić gaz i nastawić czajnik. Nie mogę ryzykować, muszę cały czas trzymać pana na muszce.

— Przecież ja nie mam broni — odparł Wadim, stawiając czajnik na kuchence. — Czego się pani boi?



— Jest pan silny i wytrenowany, a ja nie znam sztuk walki ani samoobrony. Jeśli opuszczę broń, da mi pan radę jedną ręką.

— Skąd pani przyszło do głowy, że chcę panią zaatakować, Anastazjo? Gdybym miał wobec pani złe zamiary, nie ratowałbym pani trzy razy od śmierci! Czyż to nie oczywiste? — Nie. — Nastia pokręciła głową i nagle uśmiechnęła się figlarnie. — Ale to właśnie najbardziej mnie ciekawi. A więc jak, Wadimie Bojcow, rok urodzenia tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dwa, wykształcenie wyższe, nieżonaty, dzieci nie posiada, niekarany, dwukrotnie wyjeżdżał za granicę, powie mi pan, kto na mnie poluje, czy nie?

## 4

Słuchała, jak Bojcow gorąco ją przekonuje, że nie ma pojęcia, kto z takim uporem usiłuje ją zabić. Podsuwał różne wersje, mówił coś o szalonych ekstremistach, którzy strzelając do funkcjonariuszy milicji, chcą uświadomić społeczeństwu, że na służby powołane do ochrony prawa i porządku nie można liczyć, i spowodować tym samym zmiany personalne na kierowniczych stanowiskach w rzeczonych organach. Pytał, czy Nastia w ostatnim czasie nie zajmowała się jakimiś groźnymi przestępstwami, za których wykrycie ktoś może się na niej teraz mścić. I czy nie ma aby zazdrosnego kochanka lub niewypłacalnego dłużnika, który wolałby nie zwracać pożyczonych pieniędzy. Słowem, bardzo się starał. Nastia ledwie podtrzymywała rozmowę, popijała herbatę i

cierpliwie czekała, kiedy „klient pęknie” i przestanie się wygłupiać. Co pięć minut dzwonił Gordiejew, ona rzucała w słuchawkę parę słów w rodzaju „jeszcze żyję”, i spektakl trwał dalej. „On wie — dudniło jej w głowie. — Wie, kto chciał mnie zabić. Dlaczego mnie ratował? Może przypadkowo znalazłam się w jakiejś grze, którą tamci ze sobą prowadzą? Może Wadim jest przeciwnikiem tych, którzy usiłują mnie zlikwidować, i dlatego mnie ratuje? Przecież panują pomiędzy nimi ściśle podziały... A on im w czymś przeszkadza, z jakichś powodów miesza im szyki. Oczywiście, nie powie mi, kim tamci są, bo podpisałby na siebie w ten sposób wyrok śmierci. Nie darują mu, jeśli się wygada. Ale skoro mordercy nie są jego kolegami z tej samej paczki, a on mimo to ich kryje, to marne moje widoki. Wygląda na to, że nieźle wdepnęłam. Mocodawcy Bojcowo muszą mieć wspólne interesy z przestępcami. Na pewno się już z tego nie wypłaczę. Cóż znaczę sama przeciwko nim...”

— Dlaczego pani mi nie wierzy? — rzucił zdesperowany Bojcow. — Naprawdę nie mam pojęcia, kto próbował panią zabić. Nie mam pojęcia! I tak już powiedziałem pani wszystko, co wiem.

— W porządku — oświadczyła pojednawczym tonem Nastia. — Teraz ja opowiem panu wszystko, co wiem, żeby nie czuł się pan pokrzywdzony. Chce pan? To proszę słuchać. ...Żył sobie w Moskwie uzdolniony naukowiec, fizyk, nazwiskiem Grigorij Wojtowicz. Długo się nie żenił, wciąż nie mógł znaleźć odpowiedniej kandydatki, wreszcie wybrał młodą kobietę, przecudnej urody Jewgienię. Proszę zobaczyć, oto jej zdjęcie z okresu, kiedy poznała Wojtowicza. Pobrali się, urodziła im się córka. Wszyscy mężczyźni zazdrościli małemu łysiejącemu Griszy

Wojtowiczowi, któremu trafił się taki łakomy kąsek. Jewgienia kochała męża i była mu wierna, a w jej rodzinie panowała miłość i zgoda.

Przed kilkoma miesiącami Wojtowicz zauważył, że urządzenie, nad którym pracuje, wywołuje efekt sprzężenia zwrotnego. Zwierzęta doświadczalne stawały się pod jego wpływem agresywne, pożerały się nawzajem, do czego w naturalnych warunkach nigdy nie dochodzi. Ponieważ urządzenie miało być wykorzystywane w środowisku miejskim, Grigorij Iljicz zaczął nalegać, by wyniki obserwacji zwierząt doświadczalnych uwzględnić w sprawozdaniu podsumowującym opracowany temat. To doprowadziłoby niewątpliwie do ujawnienia faktu, że antena, mająca całkowicie pokojowe przeznaczenie, daje również efekt odwrotny, który wyraża się w gwałtownym wzroście agresji wszelkich istot żywych, znajdujących się w jego polu działania. Komuś jednak ten pomysł bardzo się nie spodobał, więc zaczął odwozić Wojtowicza od ujawnienia wyników doświadczeń. Nie wiem, jak go przekonał, niewykluczone, że pieniędzmi, ale swój cel osiągnął. Sprawozdanie zostało sfałszowane, nie było w nim ani słowa o tym, że w polu bezpośredniego działania anteny obserwuje się efekt uboczny, polegający na obniżeniu poziomu agresji, a w polu działania zwrotnego jej poziom gwałtownie wzrasta. Osoby pracujące nad anteną zataiły te dane. Dlaczego? Właśnie tego chciałabym się dowiedzieć. Gdybym uzyskała odpowiedź na to pytanie, potrafiłabym odpowiedzieć na wszystkie inne. A pan, Wadimie, nie wie przypadkiem, dlaczego te dane zatajono, a sprawozdanie sfałszowano? Nie? Szkoda, bo bardzo na to liczyłam. No cóż, będę mówiła dalej. Grigorij Iljicz Wojtowicz razem ze swoją piękną żoną i

uroczą małą córeczką mieszkał niedaleko instytutu, właśnie na terenie, który obejmowała swym działaniem pętla sprzężenia zwrotnego. I po pewnym czasie zaczął to odczuwać na własnej skórze. Uroda i młodość żony, które dawniej były przedmiotem jego dumy i uwielbienia, nagle zamieniły się w źródło nieustającej zazdrości. To dręczące uczucie wciąż się pogłębiało, kłótnie, których dawniej w ogóle nie było, wybuchały codziennie i stawały się coraz gwałtowniejsze, z krzykiem, tłuczeniem talerzy i pogrózkami. Wojtowicz dużo pracował, przesiadywał w instytucie do późna, także w niedziele i wolne dni, praktycznie nie bywał nigdzie poza laboratorium i domem. Innymi słowy, przez kilka miesięcy znajdował się stale w polu działania anteny. Rozumiał, co się z nim dzieje, i parę razy zwracał się do człowieka, z którym kiedyś nad nią pracował, z prośbą, aby ujawnić prawdziwe wyniki doświadczeń. Ale jemu znów udało się odwieść Wojtowicza od tego zamiaru. W jaki sposób? Nie wiem, choć bardzo chciałabym się dowiedzieć. Wreszcie doszło do najgorszego — Wojtowicz zabija swoją gorąco kochaną żonę. Antena wpływa na ludzi różnie, w zależności od czasu ich przebywania w polu jej działania oraz indywidualnych właściwości układu nerwowego i psychiki. Grigorij Iljicz nie miał szczęścia, efekt zwrotny odczuwał bardzo silnie, a w polu działania anteny znajdował się niemal bezustannie przez pół roku. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że zabił żonę, nie mógł w to uwierzyć, w chwili przybycia milicji był na wpół zamroczony. Zabrano go i odwieziono do izby zatrzymań, dość daleko od instytutu i anteny. Tam dopiero zaczął przychodzić do siebie, uświadamiać sobie, co się stało, i przypominać, jak i dlaczego do tego doszło. Dał się przekonać, skusić, uległ namowom... I zrozumiał, że sam jest

wszystkiemu winien. Nie wie pan, Wadimie, przed jakimi argumentami ustąpił? Nie? Szkoda. A więc Wojtowicz zdał sobie sprawę, że tylko on jeden zawinił. Wtedy spowodowaliście, że został zwolniony. Po trzech dniach nieszczęśnik popełnił samobójstwo, napisawszy przedtem takie oto słowa: „Korzenie naszej winy tkwią w nieskończoności”. Czy sens tego zdania jest dla pana jasny? Też nie? No cóż, zaraz wszystko panu wytłu maczę. Najpierw jednak proszę spojrzeć na to. Proszę otworzyć teczkę i popatrzeć. Niech pan otwiera, no, już. To zdjęcia brutalnie zamordowanej Jewgienii Wojtowicz. A tu są ofiary innych przestępstw, popełnionych w polu wyznaczonym działaniem pętli zwrotnej. Tego chłopca pobili ze skutkiem śmiertelnym uczniowie ósmej klasy. Wie pan za co? Spacerował z psem w pobliżu boiska, gdzie grali w piłkę nożną. Pies zobaczył piłkę, wyrwał się i wbiegł na boisko. Był młody i jeszcze nie ułożony, chciał się pobawić. Młodym sportowcom się to nie spodobało, więc zabili właściciela psa. Chłopiec miał osiem lat. Niech pan zobaczy, co z nim zrobili. Proszę się dobrze przyjrzeć tym zdjęciom, przyda się to panu. A tu są dwie dziewczynki, uczennice szóstej klasy, miały po jedenaście lat. Zostały zgwałcone i zamordowane przez czternastu szesnasto- i siedemnastoletnich chłopców z zawodówki. Ten mężczyzna znalazł się tam przypadkowo, wracał od znajomych, chciał zapalić, ale nie miał zapalek, i na swoje nieszczęście poprosił o ogień grupkę młodych ludzi na skwerku. Uznali, że przechodzień zachował się nie dość uprzejmie, zwracając się do nich ze słowami: „Chłopaki, dacie przypalić?” Według nich, powinien najpierw powiedzieć „dobry wieczór”. Zwłok długo nie można było zidentyfikować, gdyż mężczyzna nie miał przy sobie dokumentów, a młodzi ludzie

zamienili jego twarz w krwawą miazgę. Tu jest sparaliżowana staruszka, którą zabiła rodzona córka. Kobieta była całkowicie bezwładna, ale nie utraciła mowy, i jak każdy chory, a w dodatku stary człowiek, bywała nieznośna. Kaprysiła, czepiała się, skarżyła, uniemożliwiała córce jakiegokolwiek życie osobiste. Ale czy to wystarczający powód, by zabić? I na dodatek w tak okrutny sposób? Niech pan obejrzy uważnie te zdjęcia, Wadimie, to wszystko, co udało mi się zebrać, bo miałam za mało czasu. To tylko częściowa ilustracja koszmaru, jaki zapanował we wschodnim rejonie naszego miasta. Ale wystarczy, żeby zrozumieć, ile nas wszystkich kosztowało to, że ktoś namówił Wojtowicza do milczenia. A może pan mi powie, dlaczego zgodził się milczeć. Dlaczego sprawił, by ludzie zapłacili tak potworną cenę? Także nie? Dobrze, proszę mi oddać teczkę i popatrzeć teraz na ten plan. To wschodni rejon miasta, tam mieści się instytut. Widzi pan tę ósemkę o pętłach nierównej wielkości? Większa wyznacza pole pierwotnego działania anteny, a co za tym idzie, obszar, na którym występuje obniżenie agresji. Jest tu bardzo niewiele kropek, a one oznaczają miejsca dokonania zabójstw i gwałtów. Nawet jednak pośród tych różnokolorowych punkcików prawie nie ma czarnych i fioletowych. To wskazuje, że zabójstwa wprawdzie się tutaj zdarzają, ale na ogół nie w wyniku chuligańskich napaści czy na tle konfliktów w rodzinie, lecz z chęci zysku, z zemsty, na zlecenie, w celu zatajenia innego przestępstwa, na przykład gwałtu. I w ogóle zabójstw jest tu o wiele mniej niż w innych rejonach miasta. Natomiast w obszarze wyznaczonym przez mniejszą pętlę widać całe mnóstwo fioletowych i czarnych kropek, które symbolizują zabójstwa w wyniku napadów chuligańskich i konfliktów rodzinnych. Wie pan, co to takiego

zabójstwo z pobudek chuligańskich? Otóż mamy z nim do czynienia wtedy, gdy sprawcy nie znają ofiary, nic ich z nią nie łączy, a zabijają po prostu dlatego, że nie podoba im się czyjś kolor włosów, to, że ktoś nie powiedział „dobry wieczór”, zanim poprosił o ogień, lub dlatego, że są akurat w złym humorze i zwyczajnie chcą kogoś zabić. Czemu pan tak na mnie patrzy, Wadimie? Nie wiedział pan, że ludzie z takich powodów zabijają? No tak, oczywiście, wy się troszczycie o bezpieczeństwo państwa, nie zniżacie się do powszednich, przyziemnych kłopotów milicji, nie wiecie nawet, dlaczego zwykli ludzie zabijają innych zwykłych ludzi, was interesują tylko afery szpiegowskie...

Zabrała Bojcowowi plan, w drugiej ręce mocno ściskając pistolet. Twarz Wadima właściwie się nie zmieniła, stała się tylko jakby odrobinę surowsza, ciepłe szare oczy były teraz pełne chłodu i rezerwy. Wadim ani słowem nie przerwał długiej perory Anastazji, nawet wtedy, gdy jej ponurą opowieść przerywał z irytującą regularnością dzwonek telefonu. — Więc co, Wadimie Bojcow, nieżonaty i niekarany, usłyszę od pana jakąś odpowiedź na moje pytania? Po co to wszystko? Kto jest odpowiedzialny za to, że musieliśmy zapłacić taką straszną cenę? I kto skłonił Wojtowicza do milczenia?

Bojcow wciąż się nie odzywał. Nastia nagle wstała i zrobiła wymowny ruch lufą pistoletu.

— W takim razie proszę już iść. Niech pan się ubierze i wyjdzie. Nie mogę prowadzić rozmów z człowiekiem, który nie ma nic do powiedzenia po tym, co tu zobaczył i usłyszał. Dziękuję panu za informację o interwencji w sprawie zwolnienia Wojtowicza. I za to, że nie pozwolił pan mnie zabić. Ale moja wdzięczność nie

równoważy obrzydzenia, jakie we mnie budzi pańska obojętność. Interesuje pana bezpieczeństwo państwa? A mnie nie interesuje państwo, które ma ludzi za nic. I jego bezpieczeństwo też mnie nic nie obchodzi. Jestem gotowa przystać na to, żeby takiego państwa w ogóle nie było, skoro przeszkadzają mu własni obywatele, tak jak aroganckiemu sprzedawcy przeszkadzają klienci, złemu lekarzowi — pacjenci ze swoimi głupimi chorobskami i nudnymi skargami. Jeżeli pan, panie Bojcow, występuje w imieniu t a k i e g o państwa, to chcę, żeby pan wiedział, że nienawidzę i jego, i pana, i wszystkich pańskich kolegów. I zrobię wszystko, co uznam za konieczne, by przerwać ten koszmar, który zagnieździł się we wschodnim rejonie Moskwy. Na dachu instytutu zainstalowano z pół setki anten, i nie wiem, o którą z nich chodzi. Ale jeśli nie dojdę prawdy, gotowa jestem wysadzić instytut w powietrze. Jedna bomba i raz na zawsze położę kres tej zbrodniczej działalności. Nawet gdybym miała to przyplacić więzieniem.

## 5

Bojcow słuchał cichego, monotonnego głosu i nie mógł uwierzyć własnym uszom. Kiedy ludzie wypowiadają takie słowa, podniecają się, oburzają, wygłaszają przecież swoje credo, wszystko to płynie prosto z ich serc. Słyszał niemało podobnych monologów i wyznań i wiedział, jak zazwyczaj brzmią. Kamińska mówiła tak, jakby była u kresu rozpacz, za którym nie istnieje już nic, nawet strach o własne



życie, nawet instynkt samozachowawczy, jaki ma w sobie każdy psychicznie zdrowy człowiek.

Bez słowa przebrał się w swoje rzeczy, włożył kurtkę i wyszedł z mieszkania. W progu przystanął na chwilę, jakby walcząc z silną pokusą, żeby się odwrócić i spojrzeć Kamińskiej w twarz. Ale wiedział: lufa pistoletu przyciągnie jak magnes jego wzrok, a on po prostu nie znajdzie w sobie dość siły, by popatrzeć Anastazji w oczy. Wadim Bojcow miał dobrze rozwinięty instynkt samozachowawczy. Kiedy przeciwnik trzyma broń w ręku, ten fakt staje się głównym wyznacznikiem wszelkich działań.

Wyszedł z mieszkania Kamińskiej, nie odwracając głowy.

# ROZDZIAŁ XIII

## 1

W odróżnieniu od Nasti śledczy Olszański lubił dni wolne od pracy. Budziły go wtedy smakowite zapachy, dolatujące z kuchni, i pobrzękiwanie naczyń. Wydawało mu się, że nie ma na świecie nic piękniejszego od tych dźwięków i woni, niezmiennie zapowiadających dzień, który będzie mógł spędzić z żoną i córkami. Zwykle wstawał wcześniej od Niny, która pracowała w szpitalu blisko domu, a on musiał jechać do prokuratury miejskiej ponad godzinę.

Konstantin Michajłowicz przeciągnął się słodko, położył głowę na poduszce żony i wciągnął w nozdrza ledwie uchwytny, znajomy zapach jej włosów. Nie chciało mu się wstawać.

— Tatusiu! — Do pokoju zajrzała młodsza córka we flanelowej niebieskiej piżamce w kwiatki. — Mama mówi, żebyś wstawał, bo bliny wystygną.

— A z jakiej to okazji mamy bliny? — zainteresował się Olszański, leniwie unosząc głowę.

— Koniec zapustów, dziś ostatki, co, zapomniałeś? — zdziwiła się dziewczynka. — Mama mówi, że trzeba się dzisiaj najść, bo zaraz się zacznie Wielki Post.

Konstantin Michajłowicz wybuchnął serdecznym śmiechem. Jakie to przyjemne i jednocześnie zabawne obserwować pokolenie, którego nigdy nie wychowywano w duchu wojującego ateizmu. Oczywiście, jego córki nie były zbyt religijne, a opowieści biblijne poznały nie z Pisma Świętego, lecz z książek Zenona Kosidowskiego, ale znały wszystkie święta prawosławne i traktowały je bardzo poważnie. Natomiast osoby w jego wieku nigdy nie wiedziały dokładnie, kiedy wypada w danym roku Wielkanoc, nie przestrzegały postu, a o zapustach w ogóle nie pamiętały.

— A ty zamierzasz pościć? — zapytał córkę z całą powagą. — Zważ, że to bardzo trudna sprawa, zwłaszcza jeśli ktoś jest nieprzyzwyczajony. O swoich ukochanych ciastkach będziesz musiała zapomnieć. Wytrzymasz?

— Ale przecież w ciastkach nie ma mięsa — zaprotestowała dziewczynka. — Mama powiedziała, że nie wolno jeść tylko produktów pochodzenia zwierzęcego.

— Ciekawe! A z czego, twoim zdaniem, robi się krem do ciastek? Z mleka i masła, które daje krowa, a trudno zaprzeczyć, że to zwierzę.

— No wiesz, tatusiu! — Córka roześmiała się. — Specjalnie mącisz mi w głowie. Wstawaj, bo mama będzie zła. Wiesz, jakie bliny usmażyła? Wyglądają wspaniale. A smaczne, że paluszki lizać.

Wybiegła z powrotem do kuchni, Konstantin Michajłowicz zaś odrzucił kołdrę, wstał i włożył dres, w którym zwykle chodził po

domu. Do śniadania zasiadł elegancko ogolony i uśmiechnięty. Bez okularów w połamanej i prowizorycznie sklezionej staromodnej oprawce był naprawdę przystojnym mężczyzną.

— Co masz w planie na dzisiaj? — zapytała żona, nalewając mu świeżo zaparzonej herbaty i przysuwając bliżej olbrzymi półmisek blinów, śmietanę i miseczki z trzema rodzajami konfitur.

— Co Bóg da — odparł mgliście Olszański. Wieloletnie doświadczenie podpowiadało mu, że nawet w dni wolne od pracy lepiej niczego nie planować, bo wtedy na pewno zdarzy się coś, co oderwie go od rodziny i zmusi, by pojechał do pracy.

— Wcześniej rano dzwonił Gordiejew, powiedziałam, że jeszcze śpisz. Prosił, żebyś się do niego odezwał, jak wstaniesz — powiedziała Nina.

— Do domu?

— Do pracy. Widać Bóg już ma dla ciebie w zanadru jakąś niespodziankę. Lalu — zwróciła się Nina do starszej córki — przynieś ojcu telefon.

Konstantin Michajłowicz z wdzięcznością popatrzył na żonę. Ani razu w ciągu dwudziestu lat małżeństwa nie okazała niezadowolenia z tego powodu, że praca zabiera mężowi tyle czasu i prawie nigdy nie ma go w domu. I to nie dlatego, że była tak układnie wychowaną damą o wytwornych manierach, lecz dlatego, że uważała, iż to najzupełniej naturalna kolej rzeczy. Wychodząc za mąż za młodego śledczego na stażu, zdawała sobie sprawę ze wszystkich trudności, jakie ją czekają, i decydowała się na takie życie całkiem świadomie. Rodzice Niny oboje byli chirurgami, mieli nienormowany czas pracy, stale wzywano ich do nagłych

przypadków, nie wyłączając niedziel i świąt, więc przywykła do tego od dziecka. W dzieciństwie także przyswoiła sobie takie pojęcia, jak „powołanie” i „etyka zawodowa”.

Dom rodzinny Olszańskiego był zupełnie inny. Panowała tam stale atmosfera kłótni, wzajemnych oskarżeń, pretensji i awantur. I Konstantin Michajłowicz w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie pamiętał dnia, w którym z tego czy innego powodu nie błogosławiłby losu za to, że tak bajecznie mu się poszczęściło przy wyborze żony. Nina była też wspaniałą gospodynią, gościnną i serdeczną panią domu, stale zapraszała przyjaciół i kolegów męża, a on odczuwał szczególną, z niczym nieporównywalną satysfakcję, słuchając pełnych niekłamanej zazdrości zachwyty pod adresem swojej żony. — Długo to potrwa? — spytała tylko Nina, kiedy Konstantin Michajłowicz odłożył słuchawkę.

— Mam nadzieję, że nie. Jedna z podwładnych Gordiejewa ma jakieś problemy, musimy się po prostu spotkać i naradzić.

— Nic więcej?

— Nie. A co?

— Jeżeli mówisz prawdę, Olszański, to zaproś ich do nas. Usiądziecie sobie w dużym pokoju i możecie się tam naradzać do woli, ja i dziewczynki nie będziemy wam przeszkadzać. A potem wszyscy razem będziemy świętować zapusty, mam na dzisiaj wielkie plany kulinarne, szkoda, żeby wszystko się zmarnowało. — Myślisz?... — spytał niepewnie Olszański.

— Oczywiście. Zadzwoń do Gordiejewa i zaproponuj takie rozwiązanie. Dobrze, Kostia? — poprosiła łagodnie Nina. — Spróbuję — rzekł z westchnieniem, znów wybierając numer. —

Wiktorze Aleksiejewiczu, to jeszcze raz ja. A może byśmy się tak spotkali u mnie? Żona obiecuje przepyszny obiad. Dlaczego nie wypada? Sama zaproponowała. Dawno nie mieliśmy gości, a ona, jak prawdziwy zawodowiec, musi trenować, mówi, że nie może wyjść z formy. Aha, takie buty... — Przykrył mikrofon dłonią i zwrócił się do żony: — Jego podwładna boi się wyjść sama z domu. Widocznie to jakaś poważna sprawa.

— Olszański, ciebie nawet dziecko potrafi zbić z pantałyku — powiedziała z wyrzutem Nina. — Jedź i przywieź ją tutaj, skoro się boi. Że też ten twój Gordiejew sam nie może wpaść na takie proste rozwiązanie! Zmarnujesz dwie godziny na podróż w obie strony, ale za to potem cały dzień spędzisz w domu.

— Wiktorze Aleksiejewiczu, ja przecież mogę po nią pojechać. A więc zgadza się pan? Dobrze. Zaraz do niej zadzwonię.

Po śniadaniu Olszański zaczął się zbierać do wyjścia. — Nawet nie wiedziałam, że w wydziale kryminalnym pracują kobiety — powiedziała Nina, podając mężowi szalik i poprawiając mu kołnierz palta.

— To się zdarza bardzo rzadko — wyjaśnił śledczy żonie. — Gdyby to ode mnie zależało, cały wydział obsadziłbym takimi Kamieńskimi. No, może do zadań wymagających więcej krzepy zostawiłbym ze dwóch, trzech facetów. — A co w niej widzisz takiego niezwykłego? — spytała zazdrośnie Nina.

— Nic. Jest zupełnie zwyczajna. Sama zobaczysz — odparł Olszański, otwierając drzwi.

## 2

Naradzali się już dwie godziny, okupując największy pokój w mieszkaniu Olszańskich. Nina i dziewczynki nie wchodziły, bo Konstantin Michajłowicz poprosił, żeby wzywać go do telefonu tylko, jeśli zadzwoni Korotkow albo Docenko. — Wszystkich tych pięciu podejrzanych pracowników instytutu jakby się zmówiło — usprawiedliwiała się Nastia. — Trzykrotnie próbowano mnie zabić i każdy z nich ma na ten czas alibi. Jeśli nawet można by żywić niejakie wątpliwości co do wieczoru dwudziestego czwartego lutego, to pierwszego i trzeciego marca wszyscy oni uczestniczyli w posiedzeniu rady naukowej i bankiecie, widziało ich kilkadziesiąt osób, tak że alibi mają murowane. Co za pech — nikogo nie można rozpoznać ani nikomu przedstawić żadnych dowodów. — A czego dowiedział się Docenko w Ministerstwie Nauki? — zapytał Olszański.

— Trafił tam w sekretariacie na wspaniałą damę. Słusznie uznał, że pracownicy sekretariatu to ludzie, przed którymi nic się nie ukryje. Wszystkie papiery przechodzą przez ich ręce — nie tylko te, które napływają do ministerstwa z zewnątrz, ale i te krążące z gabinetu do gabinetu. Z odręcznych uwag na tych pismach od razu można się zorientować, kto komu co zleca i jaki bieg ma zostać nadany sprawie. Nawet o przewidywanych zmianach personalnych sekretariat dowiaduje się pierwszy, na długo przedtem, nim do czegokolwiek dojdzie. Wyobraźcie sobie na przykład taką sytuację: opracowanie jakiegoś zagadnienia zawsze powierza się konkretnemu specjalście, najbardziej kompetentnemu i

doświadczonemu w danej dziedzinie. I raptem, ni z tego, ni z owego, zleca się takie zadanie komuś innemu, mimo iż ten, kto dotąd zajmował się podobnymi sprawami, nie jest chory ani na urlopie. O czym to świadczy? Tak jest, o tym, że ten człowiek popadł w niełaskę i utracił dotychczasowe zaufanie. Albo też zamierza odejść, więc kandydata na jego miejsce zaczyna się już wprowadzać w przyszłe obowiązki. Krótko mówiąc, Misza Docenko, wzięwszy to wszystko pod uwagę, zawarł znajomość z pracownicą sekretariatu, która uwielbia wtykać nos we wszystkie papiery i o wszystkim dowiadywać się pierwsza. Wiecie, są takie ciekawskie osoby. Ta pani powiedziała mu właśnie, że do ministerstwa jakieś dwa miesiące temu przyszedł anonim w sprawie instytutu. Misza, oczywiście, natychmiast roztoczył wszystkie swoje czary, w wyniku czego dama przypomniała sobie, iż konkretnie chodziło o fałszowanie wyników badań i zatajenie szkodliwego działania jakiegoś urządzenia, nad którym pracował instytut. W anonimowym liście wspomniano również o sprzężeniu zwrotnym. Anonim skierowano właśnie do Nikołaja Adamowicza Tomilina, który z pianą na ustach zapewniał mnie, że jestem ciemną masą, skończoną idiotką, i żadne sprzężenie zwrotne nie istnieje. Dlatego teraz Jura Korotkow sprawdza, który z pięć ciu podejrzanych jest w kontakcie z Tomilinem i cieszy się jego przychylnością. Jeżeli uda nam się wyłonić go z tej piątki, można będzie przyjąć, że to on przekonał Tomilina, iż do treści anonimu nie należy w ogóle przywiązywać wagi. Inaczej mówiąc, temu właśnie człowiekowi zależało na zatajeniu prawdziwych wyników doświadczeń, i to on namówił Wojtowicza, by ich nie ujawniać. Boję się jednak, że to nam nic nie da.



— Dlaczego? — spytał Gordiejew i wypił duszkiem kolejną szklankę wody mineralnej. Stały przed nim na stole już trzy puste butelki; teraz sięgał po otwieracz, by zdjąć kapsel z czwartej. W ostatnim czasie pułkownik, zawsze dość tęgi, zaczął gwałtownie tyć i zalecono mu jakąś wyszukaną dietę, która wymagała picia ogromnych ilości wody mineralnej. — Dlatego że cała piątka to z pewnością dobrzy znajomi Tomilina. Dyrektor, sekretarz, kierownik laboratorium — to oczywiste, przecież Tomilin jest kuratorem naukowym instytutu. Łysakow i Charłamow, chociaż nie mają kierowniczych stanowisk, pracują w instytucie od dawna, a Tomilin był tam swego czasu częstym gościem, gdy pisał swoją pracę. Gdybyśmy wiedzieli, dlaczego ten nieznany osobnik zatajał wyniki badań! Sądząc z tego, ile trudu sobie w tym celu zadał, przyczyna musiała być nader ważna. Potrafił zamknąć usta Wojtowiczowi, namącił w głowie Tomilinowi, wynajął Gałaktionowa, żeby ukradł teczkę z aktami, a potem wyprawił go na tamten świat. W świecie nauki raczej nie stosuje się takich metod.

— Aha, nie stosuje się! — burknął Olszański. — Zapomniałaś o Irinie Fiłatowej? Jeśli mnie pamięć nie myli, została zamordowana z powodu pracy doktorskiej, którą napisała dla zabójcy, a on nie chciał jej zapłacić.

— Nie, nie, Konstantinie Michajłowiczu, tam chodziło o co innego. To znaczy, owszem, o pracę, ale zabójca nie tyle bał się skandalu w środowisku naukowym, ile w ogóle nie mógł dopuścić do jakiegokolwiek hałasu wokół swego nazwiska. Miał powiązania z bardzo potężnymi mafiosami, ale nie było na to wystarczających dowodów — wyjaśnił Pączek. — Wiesz co, Konstantinie Michajłowiczu, zaraz dostanę zawału i wylewu jednocześnie od tych

zapachów. Czym twoja pani zamierza nas dzisiaj uraczyć? Wącham, wącham, ale ani rusz nie mogę zgadnąć. Coś jakby ryba, a jednak... Olszański uśmiechnął się i otworzył drzwi.

— Nina! — zawołał. — Chodź tu na chwilę!

Z kuchni przybiegła zarumieniona Nina w haftowanym lnianym fartuchu, z umączonymi po łokcie rękami. — Ninuś, bądź tak dobra i powiedz pułkownikowi, co tak smakowicie pachnie, bo umiera z ciekawości. — Z ciekawości czy z głodu? — spytała z uśmiechem Nina. — Na razie z ciekawości, ale wkrótce i głód go chwyci. — Szykuję jesiotra z grilla, a w piecyku piecze się prosię, które podam z kaszą gryczaną. Zapachy się mieszają i dlatego trudno panu zgadnąć — wyjaśniła rzeczowo gospodyni. — Za pół godziny obiad będzie gotowy.

Czterdzieści minut później wszyscy siedzieli przy pięknie nakrytym stole. Nastia ze smutkiem patrzyła na apetyczne, gorące potrawy, myśląc, że chyba nie będzie w stanie przełknąć ani kęsa. Jeszcze nie przyszła do siebie po wczorajszym szoku, kiedy to uświadomiła sobie, że trzykrotnie znalazła się o krok od śmierci. Nina troskliwie nakładała jej na talerz, Nastia uśmiechała się z wdzięcznością, ale nie mogła jeść. Gospodyni zerkała na nią z niepokojem, w końcu nie wytrzymała i gestem pokazała Anastazji, żeby wyszła do kuchni.

— Żle się pani czuje? — zapytała, oceniając Nastię fachowym okiem. — Czemu pani nic nie je? Coś panią boli? — Dusza. — Nastia uśmiechnęła się blado. — Dwie noce nie spałam. — Pracowała pani?

— Nie tyle pracowałam, ile denerwowałam się i bałam. Wczoraj tak mnie wzięło, że myślałam, że się nie pozbieram. Wszystko mi się rozpląwało przed oczami, miałam gonitwę myśli, ręce mi się trzęsły, nie mogłam nawet wybrać prawidłowo numeru telefonu, wciąż myliłam cyfry. — Ktoś tak silnie panią przestraszył?

— Bardzo. Chociaż... może to ja po prostu jestem okropnym tchórzem.

— Brała pani jakieś leki?

— Nie, nic nie miałam, jak na złość, wszystkie lekarstwa mi się właśnie skończyły. — A co pani zwykle zażywa na uspokojenie?

— Coś z grupy leków benzodiazepinowych. Phenazepam, tazepam, no wie pani...

— Rozumiem. — Nina skinęła głową. — Zaraz dam pani dwie tabletki valium, proszę je wsunąć pod język i na chwilę się położyć. Chodźmy, zaprowadzę panią do pokoju córek, nie będą tam pani przeszkadzać. Proszę odpocząć pół godzinki, na pewno lepiej się pani poczuje. Dwie tabletki zabierze pani ze sobą, jedną trzeba zażyć na noc, a druga będzie na wszelki wypadek, jeśli jutro w pracy znów źle się pani poczuje.

— A co zrobię pojutrze? — usiłowała zażartować Nastia. — Pojutrze przekażę pani przez Kostię całe opakowanie. Nie musi się pani martwić.

Nina Olszańska miała rację, za jakiś czas Nastia poczuła się o wiele lepiej i wróciła do stołu.

— Dzwonił Korotkow — poinformował ją Gordiejew. — Wróżysz jak Cyganka. Cała piątka dobrze zna Tomilina. — Wiedziałam — mruknęła z rozpaczą Nastia. — Cóż, zostaje jeszcze jeden sposób,

którego miałam użyć w ostateczności. Jeśli i to nie wypali, trzeba będzie dać za wygraną. Nic więcej już nie potrafię wymyślić.

Nina dawno już sprzątnęła ze stołu i umyła naczynia, a oni wciąż siedzieli w pokoju i naradzali się nad zastosowaniem „jeszcze jednego sposobu” Nasti.

### 3

Niedzielny wieczór spędzał pracowicie również Igor Suprun. Nie lubił w wolne dni pojawiać się w pracy, dlatego wezwawszy Bojcową, rozmawiał z nim teraz w swoim samochodzie.

— Twoja Kamieńska, której niby to nie sposób okłamać, wodzi cię za nos jak smarkacza — oświadczył, gdy tylko Wadim przyjechał i przesiadł się do jego wozu. — Akta sprawy Wojtowicza wcale nie spłonęły, nie było w ogóle żadnego pożaru. Śledczy, który je prowadził, ma teraz wielkie nieprzyjemności, ponieważ z jego gabinetu zginęły cztery teczki z aktami. I to właśnie w tym czasie, kiedy wybuchł ów rzekomy pożar. Kumasz? Niby dlaczego nasi szanowni koledzy z milicji roznoszą po całym instytucie bajeczkę o pożarze, którego nie było?

— To akurat jest zupełnie zrozumiałe — odparł Bojcow. — Po cóż mieliby ogłaszać wszem wobec, że mają śledczych bałaganiarzy? Chodzi o honor munduru, tego akurat nie mam im za złe. Nie widzę powodu do niepokoju, Igorze Konstantinowiczu.

— Ach, nie widzisz? Wobec tego powiem ci coś jeszcze. Rozgłosili w instytucie, że sprawdzają, w jakich warunkach przechowuje się

trucizny, ponieważ w zeszłym roku w Moskwie dokonano całej serii zabójstw przy użyciu cyjanku. To także jest kłamstwo, zdarzył się bowiem tylko jeden taki wypadek. Tylko jeden, rozumiesz? I co, z tego powodu sprawdzają wszystkie moskiewskie zakłady i instytucje, które mają u siebie cyjanek? Wierzysz w to?

— A czemu nie? — Bojcow wzruszył ramionami. — Co w tym takiego dziwnego? Rutynowe postępowanie w celu wykrycia sprawcy zabójstwa.

— Akurat, rozpędzili się! — prychnął z pogardą Suprun. — Takie działania podejmuje się, jeśli ofiarą jest ktoś bardzo wpływowy, jakaś ważna figura. A tu? Wielkie mi rzeczy, szef wydziału kredytowego banku. Teraz takich banków jest za trzęsienie. Ten facet nie miał nic wspólnego z instytutem, więc po co to kłamstwo o serii otruć?

— Dostali takie polecenie służbowe, no to kłamią. Według mnie, doszukuje się pan podstępów tam, gdzie ich nie ma. — A dlaczegoż to ty ich tak bronisz? — podejrzliwie zapytał Suprun. — Zdążyłeś się już zaprzyjaźnić z Kamieńską i pilnujesz jej interesów, co? A tak przy okazji, jak przyjęła twoją informację o interwencji w sprawie zwolnienia Wojtowicza? — Uwierzyła — rzucił obojętnie Bojcow. — Ale tego, że nie wiem, kto próbował ją zabić, nie kupiła. — Nie? Dlaczego?

— Dlatego że to nieprawda. — Wadim popatrzył na swego szefa zimnymi szarymi oczyma. — Igorze Konstantinowiczu, wiedział pan o antenie?

— O jakiej antenie? — zdziwił się szczerze Suprun.

— O tej, która stoi na dachu instytutu i zatruwa życie mieszkańcom wschodniego rejonu miasta. Wiedział pan czy nie?

— Pierwszy raz o tym słyszę — zapewnił zgodnie z prawdą Suprun. — Co to za antena?

Bojcow, powoli i starannie dobierając słowa, żeby nie wyjść na sentymentalnego mazgaja, a zarazem obrazowo przedstawić zwierzchnikowi cały ten koszmar, o którym dowiedział się wczoraj od Kamieńskiej, opowiedział o Wojtowiczu i o antenie.

Suprun, wysłuchawszy relacji Wadima, zamilkł na długo. Wypalił dwa papierosy, zanim na nowo podjął rozmowę. — A więc to dlatego siedzą tak długo w instytucie — powiedział w zadumie. — Mają coś na człowieka, który dla nas pracuje, i chcą mu się dobrać do skóry. Najprawdopodobniej podejrzewają, że to on ukradł teczkę z gabinetu śledczego, dlatego wymyślili kłamstwo z pożarem. Nie chcą go spłoszyć. No cóż, Wadimie, nie możemy wchodzić w konflikt z ludźmi z Pietrowki, ich prawo działać, jak działają. Musimy to wykorzystać. Chwytasz? — Na razie nie.

— Trzeba im rzucić na żer tego, kogo szukają, inaczej nigdy się nie uspokoją. Prace doprowadzi do końca Litwinowa, już z nią rozmawiałem, twierdziła, że sobie poradzi. Niech odda urządzenie ludziom Mierchanowa i weźmie od niego pieniądze. Prościej by było, oczywiście, gdybyśmy sami je od niej zabrali i nie mieli potem do czynienia z tą bandą, ale to by bardzo podniosło koszta. Nie możemy zapłacić Litwinowej za urządzenie, nie mamy na to środków. Dostaliśmy tylko forszę na dodatkową zapłatę dla niej i na operację przechwycenia aparatury. Ponieważ Litwinowa dostanie całą sumę, a nie tę marną dołę, którą zamierzał jej odpalić nasz uczony mąż, my nie będziemy musieli nic babie dopłacać.

Przynajmniej na tym trochę zaoszczędzimy. A teraz powinniśmy sprawić, żeby milicja jak najprędzej wyniosła się z instytutu. Pikantna sytuacja, nie ma co. Gliny wiedzą, o jakie przestępstwo chodzi, ale nie wiedzą, kto je popełnił. My wiemy, kto jest przestępcą, ale nie wiemy, o co jest podejrzany. Miejmy nadzieję, że wszystko sprowadza się do kradzieży teczki. A więc nasze zadanie to znaleźć dowody i podsunąć je Kamieńskiej i Korotkowowi. Tylko musimy się dowiedzieć, jakie dowody są im potrzebne. Dzisiaj skontaktuję się z Litwinową i wydam jej pewne polecenie, a potem włączysz się ty. Spróbujemy poszukać jakiegoś haka na naszego genialnego uczonego. Czemu jesteś taki ponury? Nie podoba ci się mój plan?

— Igorze Konstantinowiczu, uważam, że powinniśmy zrezygnować z urzędu — powiedział cicho Bojcow. — A niby dlaczego? — obruszył się Suprun.

— Bo to niemoralne. Co innego wojsko, a co innego ludność cywilna. Gdyby pan widział zdjęcia, które pokazywała mi Kamieńska...

— Aha, tu jest pies pogrzebany. — Suprun wyjął kolejnego papierosa i pstryknął zapalniczką. — Rozmazałeś się? Zobaczyłeś zwłoki paru niewinnych dzieci i już pękasz? Szmata. Mazgaj. Od tego urzędu zależy prestiż państwa, a ty wygadujesz jakieś bzdury. Prestiż państwa, rozumiesz? Jeśli his toria z anteną zostanie nagłośniona, to i do sprawy naszego urzędu się dokopią, nawet nie zdązysz okiem mrugnąć. — A więc, pańskim zdaniem, antena ma dalej stać i dalej mają się dziać te wszystkie koszmarnie rzeczy? — Wiesz co, Bojcow, nie doprowadzaj mnie do ostateczności — groźnie ostrzegł Suprun. — Wystarczy, że podamy im na tacy

człowieka, którego szukają. To i tak za wiele. À propos, czy dobrze zrozumiałeś, jakie jest nasze zadanie? — Znaleźć dowody, które pozwolą milicji pociągnąć do odpowiedzialności głównego realizatora urządzenia — powiedział Bojcow, patrząc w bok. W jego głosie wyczuwało się chłodny dystans. — Tak jest. I co jeszcze?

— Co jeszcze? — zapytał Wadim bez cienia zainteresowania.

— Musimy być pewni, że on sam nikomu nic nie powie. A więc co?

Bojcow milczał. Policzki mu poczerwieniały, zacisnął zęby, wargi tworzyły teraz wąską kreskę.

— Nie udawaj niewiniątka — rzucił szorstko Suprun. — Dowody mają być prawdziwe, przekonujące i ważne. A przestępca — martwy. Teraz idź i pomyśl, jak to zrobić. Poproszę Litwinową, żeby wzięła odcisk jego kluczy, reszta to już twoje zmartwienie. I żebyś się nie ważył zawalić sprawy, bo ci głowę urwę, obiecuję.

Bojcow bez słowa wysiadł z samochodu i z całej siły trzasnął drzwiami.

— Gówniarz! — wycedził przez zęby Igor Konstantinowicz. — Szczeniak. Kogo też teraz przyjmują na służbę! Gwałtownie przekręcił kluczyk w stacyjce, nacisnął na gaz i ostro ruszył do przodu.

## 4

Inna Fiodorowna Litwinowa po rozmowie z Suprunem wyraźnie poweselała. Była pewna, że potrafi przeprowadzić wszystkie testy



kontrolne i samodzielnie dokończyć pracę nad urządzeniem. Jak to dobrze, że nie będzie już zależna od wścibskich, natrętnych gliniarzy, przez których trzeba było ją odłożyć na czas nieokreślony. Już niedługo, gdy wszystko będzie gotowe, dostanie wreszcie pieniądze. Co prawda, Suprun mówił, że ona, Inna, ma oddać urządzenie nie jemu, lecz jakimś innym ludziom, od których otrzyma obiecaną zapłatę. W odpowiedniej chwili on powie jej, jak się z nimi skontaktować. Litwinowa zdawała sobie sprawę, że kryje się za tym jakiś szwindel, ale nie chciała o tym myśleć. Jutro stanie na głowie, żeby zdobyć klucze i zrobić z nich odcisk, a potem niech się dzieje co chce. Najważniejsza jest Juleczka. Wreszcie będzie można zafundować jej wycieczkę nad Morze Śródziemne.

Inna jak na skrzydłach wpadła do sypialni, gdzie Jula, swoim zwyczajem, leżała w łóżku z książką.

— Koteńku, wszystko w porządku, pieniądze na podróż będą, możesz się szykować — obwieściła radośnie. — Naprawdę? — ucieszyła się rudowłosa piękność. — Nie oszukujesz? Innusiu, moja najdroższa, jak ja cię kocham! — zaszczebotała, odrzucając na bok romans, który czytała, i przyciągając do siebie Litwinową. — Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie! Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz, Innuśku moja słodka, moja dobra, moja mądra! Inna wtuliła twarz w białe, jedwabiste piersi Juli i westchnęła uszczęśliwiona. Dla takich chwil gotowa była na wszystko. Byleby tylko Juleczka ją kochała, byleby jej nie rzuciła. Poczuła, jak ręka Juli pieszczotliwie przesuwają się wzdłuż jej pleców i obiecująco zatrzymuje na krzepkich, muskularnych pośladkach. Inna przysięgła sobie, że nie ma na świecie takiej siły, która mogłaby ją

powstrzymać od pracy nad urządzeniem i uzyskania za to godziwej zapłaty. Zdobędzie te cholerne pieniądze za wszelką cenę.

## 5

— Szkoda, że nie pojechałeś ze mną na daczę — oznajmiła żona, rozbierając się w przedpokoju. — Żebyś wiedział, jak tam pięknie! Powietrze, ciepło, w powietrzu już czuć wiosnę. A ty siedzisz tu jak sowa, w ogóle nie dbasz o swoje zdrowie.

Z żalem pomyślał o tym, jak szybko minęły sobota i niedziela. To oczywiste, że nie wybrał się z żoną na daczę. Starał się nigdy nie jeździć razem z nią albo jechał sam i zabierał ze sobą psa, albo zostawał w domu. Dwa dni spędzone w samotności pozwalały mu nabrać sił przed pięcioma dniami nieprzerwanego obcowania z ludźmi i ciągłych zmagania z własną irytacją i nienawiścią.

— Na ósmego marca zaprosiłam na daczę dzieci i rodziców Saszy, więc my pojedziemy tam siódmego po południu. Nie siedź długo w pracy, bo po drodze trzeba będzie jeszcze zrobić zakupy.

Spojrzał z wściekłością na zadowoloną twarz żony. Tego tylko brakowało, żeby musiał spędzić cały dzień z tymi przygłupami, rodzicami jego zięcia. Za zięciem zresztą też nie przepadał. I po co żona urządza takie spędy? Co to za męka podtrzymywać rozmowę, udawać gościnnego gospodarza, patrzeć w te tępe twarze. Ci ludzie uważają, że pozjadali wszystkie rozumy, i z poważnymi minami

rozprawiają o polityce, o możliwym odwołaniu mera Moskwy i o zmianach personalnych w kierownictwie organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości w związku z zabójstwem znanego dziennikarza telewizyjnego. Teraz wszyscy o tym gadają, jakby nie było na świecie rzeczy ważniejszych i ciekawszych. A dla niego ważne jest tylko jedno: jego spokój wewnętrzny, wolność, samotność.

— Co ty, przez dwa dni nic nie jadłeś, czy co? — dobiegł z kuchni głos żony. — Niczego nawet nie tknąłeś, a przygotowałam ci tyle dobrych rzeczy przed wyjazdem! A może nie było cię przez ten czas w domu? — Byłem, byłem, nie bój się.

— Więc dlaczego nic nie zjadłeś?

— Nie chciało mi się. A zresztą jadłem. Robiłem sobie kanapki do herbaty, usmażyłem jajecznicę.

— Zawsze to samo — z wyrzutem powiedziała żona. — Ja stoję przy kuchni i gotuję, a ty potem żyjesz kanapkami i jajecznicą. Dlaczego o sobie nie dbasz? Przecież dorobisz się w końcu wrzodów żołądka. Słuchasz mnie?

— Nie — odpowiedział szorstko. — Wszystko to już słyszałem setki razy.

— Nie zachowuj się arogancko, bardzo cię proszę — odparła spokojnie żona. Jedną z jej niewątpliwych zalet było w jego oczach to, że nie obrażała się łatwo.

Wrócił do gabinetu i znów zajął się obliczeniami. Myślami jednak wciąż był gdzie indziej. Mierchanow znowu zawalił sprawę, chociaż może to i lepiej. Wstyd powiedzieć, ale ten dziennikarz został zamordowany bardzo w porę. Teraz cała milicja staje na uszach,

żeby rozwikłać tę sprawę, tak że spalona teczka z aktami zesłała na dalszy plan, może w ogóle cała rzecz przyschnie. W każdym razie niebezpieczeństwo z każdym dniem jest mniejsze. Co prawda, milicjanci coś wyniuchali, nie darmo przecież sprawdzali alibi. Ale nic z tego, on ma alibi murowane, absolutnie nie do podważenia. Dziewczyna nie pojawia się już w instytucie, a major zagląda z rzadka i na krótko. A teraz i na to nie będzie miał czasu. O proszę, w telewizji mówią, że w celu wyjaśnienia zabójstwa dziennikarza powołano specjalny sztab, który nie będzie się zajmował niczym innym, dopóki sprawcy nie zostaną ujęci.

Nie byłoby żadnych problemów, gdyby nie Grisza Wojtowicz. Ależ bojowy zapał go ogarnął, kiedy biedak stwierdził podwyższony poziom agresji u doświadczalnych królików i szczurów! Chciał natychmiast biec i czym prędzej rozgłosić nowinę! Przemówienie Griszy do rozsądku i nakłonienie go do milczenia wymagało niemało wysiłków. On sam zaś od razu wpadł na pomysł, jak można wykorzystać to zjawisko, by zarobić na nim duże pieniądze, i tymi pieniędzmi właśnie skusił Wojtowicza. Grigorij miał młodą żonę, dziecko, forsa była mu bardzo potrzebna. Żeby piękną kobietę utrzymać przy sobie, trzeba jej zapewnić światowe życie, podróże, modne łauszki, luksusy, a to wymaga odpowiednich środków. Specjalnie podsycił w Griszy zazdrość, doprowadzając ją do niemal patologicznych rozmiarów. Wymyślał plotki, które rzekomo krążyły wśród znajomych pracowników telewizji, jakoby o względy Jewgienii zabiegali różni sławni aktorzy, reżyserzy, dziennikarze. Naciskał ze wszystkich sił na dwie dźwignie, które wydawały mu się najpotężniejsze — miłość i pieniądze. Przez długi czas się to udawało.

Obiecał Wojtowiczowi kupę forsy, zapewniając go, że dokładnie takie samo urządzenie, jakie zainstalowali w instytucie, potrzebne jest zleceniodawcy do wychwytywania i przesyłania fal w warunkach wysokogórskich. Było ich tylko pięcioro: oprócz niego samego, Wojtowicza i Inny Litwinowej jeszcze jeden pracownik naukowy i technik. Ale jedynie on i Grisza wiedzieli, że takie urządzenie daje efekty uboczne zarówno w polu pierwotnego działania, jak i w polu pętli zwrotnej. A o prawdziwym jego przeznaczeniu wiedział tylko on. On jeden. Oczywiście musiał znosić męczące wysoki przewrażliwionego Wojtowicza, który co jakiś czas zaczynał moralizować, głądzić o etyce zawodowej i odpowiedzialności. Z jednej strony, to dobrze, że go już nie ma. Nie przeszkadza, nie płacze się pod nogami, nie jęczy. Ale z drugiej, napisał tę cholerną notatkę przedśmiertną i przez to zmusił go do trudnych i ryzykownych posunięć. No i teraz on musi za te posunięcia płacić, na jakiś czas przyczaić się, przywarować, a chwila otrzymania długo wyczekiwanych, upragnionych pieniędzy się odsuwa. Pieniądzy, które przyniosą swobodę i niezależność. Które zapewnią mu wymarzoną samotność...

# ROZDZIAŁ XIV

## 1

W poniedziałkowy ranek, zmierzając długim, ciemnym korytarzem gmachu na Pietrowce do swego gabinetu, Nastia Kamieńska zderzyła się z pracownikiem sztabu Głównego Urzędu Spraw Wewnętrznych, który wyskoczył jak oparzony od pułkownika Gordiejewa.

— Ale szef ci się trafił, Kamieńska! — burknął sztabowiec, przebiegając obok Nasti. — Współczuję serdecznie. Anastazja ledwie zdążyła zdjąć kurtkę i buty, kiedy w jej pokoju zadzwonił telefon. Wzywał ją Pączek.

Wiktor Aleksiejewicz, wbrew jej oczekiwaniom, wcale nie wydawał się zły ani rozgniewany. Przeciwnie, był nawet jakby nieco skępowany tym, co miał Nasti do powiedzenia. — Z samego rana dopadli mnie ci ze sztabu — zaczął, odwracając wzrok. — Żądają, żebym oddelegował trzy osoby do brygady, która zajmuje się zabójstwem tego dziennikarza telewizyjnego.

— Dlaczego aż tyle? — zdziwiła się Nastia. — Przecież u nas i tak brakuje ludzi do pracy. Cóż to, w całej Moskwie nie znaleźli innych detektywów?

— Właśnie powiedziałem im to samo — rzekł zakłopotany pułkownik. — A oni zaproponowali mi kompromis. — Jaki? — spytała Nastia zrezygnowanym głosem, przeczuwając, że usłyszy za chwilę nieprzyjemną nowinę. — Są gotowi poprzestać na jednej osobie zamiast trzech. Ale to musisz być ty. — Nie.

Zaprotestowała natychmiast, i to tak stanowczym tonem, jakby kazano jej zjeść żywą żabę.

— Ale dlaczego, Stasienko?

— Pan doskonale wie dlaczego, Wiktorze Aleksiejewiczu. Mam rozgrzebanych parę spraw i nie mogę wszystkiego rzucić tylko z tego powodu, że ktoś na górze raptem zażyczył sobie akurat mnie jako analityka.

— Nastazjo, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? — Głos Gordiejewa brzmiał teraz surowo i oschle. — Zginął jeden z najbardziej znanych ludzi w kraju, do wykrycia sprawców zabójstwa powołano najlepszych pracowników milicji i prokuratury, stworzono specjalny sztab w celu koordynacji działań i kierowania dochodzeniem, i tobie, smarkulo jedna, zaproponowano, żebyś została analitykiem w tym sztabie. Powinnaś być dumna, że okazano ci tyle zaufania. To znaczy, że cię zauważono i doceniono, że rozumiano wreszcie, że miałem rację, przyjmując cię do pracy w wydziale. Że w końcu oboje wygraliśmy! I teraz właśnie przyszedł moment, kiedy możesz przekonać o słuszności tej decyzji nie tylko Pietrowkę, ale całe środowisko milicyjne. Będziesz pracowała w brygadzie specjalnej i wszystkim — słyszysz? — wszystkim, od zwyczajnego oficera operacyjnego do ministra, udowodnisz, jak ważne i potrzebne są umiejętności analityka nie tylko w wydziale kryminalnym milicji miejskiej, ale i w wykrywaniu konkretnych

przestępstw. I pokażesz, jak wspaniale potrafisz sobie z tym radzić. No i jeszcze jedno. Nie zapominaj, że w naszym wydziale są wielkie braki kadrowe. Ludzie odchodzą, a nowi chętni jakoś się nie zgłaszają. To znaczy, zgłaszają się, oczywiście, ale ja ich nie biorę, ponieważ widzę, że nie mają w sobie tego, czego szukam w dobrym detektywie. A więc jeśli odpowiednio się zaprezentujesz, zwrócisz uwagę na siebie i swoją pracę, tym samym zwrócisz uwagę na mnie i na nasz wydział. Rozumiesz? Ludzie zaczną myśleć: „Co to za jeden ten Gordiejew, który wpadł na pomysł, żeby zatrudnić w wydziale specjalistę analityka? Co to za wydział, w którym analityk jest pomocny w wykrywaniu przestępstw?” Najpierw wzbudzimy zainteresowanie, a potem ludzie zaczną do nas ciągnąć, i to nie byle śmiecie, tak jak teraz, tylko najlepsi. Więc dość tych fochów, moja kochana, i marsz do roboty w sztabie. — Nie mogę — z uporem powtórzyła Nastia, nie patrząc na szefa, lecz na politurowany blat długiego stołu konferencyjnego. — Dlaczego?

— Bo muszę najpierw zamknąć sprawę instytutu. Chcę się przekonać, co to za antena stoi tam na dachu, i spowodować, żeby została usunięta, a winni jej zainstalowania w tym miejscu — ukarani. I nie spocznę, póki nie dopnę swego. — Ale w ten sposób wiążesz mi ręce! — wykrzyknął zdesperowany Pączek. — Jeśli cię tutaj zostawię, będę musiał im dać trzech ludzi. Trzech! I to przy naszych brakach kadrowych! Znalazłaś się w samym środku jakiegoś dziwnego układu i dopóki coś się nie wyjaśni, musisz mieć ochronę w drodze z domu do pracy i z powrotem. To znaczy, że od normalnych obowiązków zostanie oderwany dwa razy w ciągu dnia jeszcze jeden człowiek. Zawali się praca całego wydziału, i to wyłącznie z powodu twojego uporu. Zważ, że prowadzę tu z tobą



towarzyską rozmowę, że bardzo cię lubię i cenię, ale przecież mógłbym po prostu wydać ci polecenie służbowe — i nie byłoby żadnej dyskusji. Jestem gotów tak zrobić, jeśli się nie opamiętasz.

— Wiktorze Aleksiejewiczu — wycedziła Nastia, z trudem się opanowując. — Nie chcę pracować w tej brygadzie, ponieważ uważam to za niemoralne. Można powoływać specjalne sztaby i brygady w celu ujęcia niebezpiecznego przestępcy, który pozostaje na wolności, stanowi poważne zagrożenie dla wielu ludzi. W takiej sytuacji jest to dla mnie zrozumiałe. Ale tworzyć sztaby i brygady po to, by wykryć sprawców jednego zabójstwa — to szczyt cynizmu, chamstwa i łajdactwa, to policzek dla całego społeczeństwa, dla nas wszystkich. Nie chcę i nie mogę brać udziału w tak skandalicznym przedsięwzięciu.

— Co ty mówisz, Stasienko? Chyba cię nie zrozumiałem — powiedział zafrasowany Gordiejew, który z zaskoczenia zdążył już zapomnieć, że jeszcze przed chwilą kazał jej zaprzestać fochów i groził, że od towarzyskiej pogawędki przejdzie do poleceń służbowych.

— Niech pan tylko pomyśli, co się dzieje. Zostaje zabity jeden człowiek, owszem, znany, popularny, ulubieniec wielu osób, ale to takie samo zabójstwo, jak niemal wszystkie inne, do których dochodzi w naszym kraju. Wiktorze Aleksiejewiczu, to tylko w życiu ludzie są różni. Śmierć wszystkich zrównuje. Przecież każdy, kto ginie, ma rodzinę i przyjaciół, którzy będą go opłakiwać i długo jeszcze odczuwać ból po stracie bliskiej osoby. Nie ma ofiar lepszych i gorszych, nie ma ofiar, których zabójców należy koniecznie ująć, i takich, których zabójcy mogą pozostawać na wolności. Nie ma czegoś takiego, rozumie pan? Nie ma i nie może

być. Dzisiaj nasz kraj usiłuje się wzorować na starożytnym Rzymie, gdzie zabójstwo patrycjusza uznawano istotnie za zabójstwo, ale zabójstwo cudzego niewolnika — za naruszenie czyjejs własności. Cudzego, podkreślam, gdyż zabicie własnego nie było nawet przedmiotem uregulowań prawnych. Ów dziennikarz telewizyjny okazał się patrycjuszem; do wykrycia sprawców jego zabójstwa państwo rzuca najlepsze siły. Odwołuje się szefa moskiewskiego GUSW i prokuratury miejskiej. Kwestionuje się postępowanie ministra spraw wewnętrznych i prokuratora generalnego. I jak mają tego słuchać matki, których dzieci zginęły z rąk nieznanymi sprawców, żony i mężowie, którzy stracili współmałżonków, czy dzieci, które zostały sierotami? Czy choć raz pomyślał pan o tym, co czują, słysząc coś podobnego? Dla nich strata bliskiego człowieka była i jest nieustającym źródłem bólu, łez i cierpienia. I co? Z powodu i c h zmarłego nikt nie powoływał żadnej brygady. Nikogo nie odwołano ze stanowiska, nikomu nawet nie udzielono nagany. Ludzie myślą tak: A więc to znaczy, że moje dziecko jest gorsze? Moje dziecko, mój mąż, mój brat — nie są warci tego, żeby szukać ich morderców? Dlaczego? Dlatego że byli biedni? Dlatego że nie pracowali w telewizji i nie stali się znani dzięki temu najpopularniejszemu z mediów? Dlatego że nie kandydowali do Dumy? Dlaczego? D l a c z e g o? A c o z m o i m d z i e c k i e m, m o i m m ęż e m, m o i m b r a t e m? Wiktorze Aleksiejewiczu, to, co się dzieje, to skandal. W żywe oczy szydzi się z ludzi, którzy stracili kogoś bliskiego. I ja nie chcę w tym brać udziału!

Sama nie zauważyła, że od dawna już nie mówi, lecz krzyczy. Z głębi jej duszy dobywał się rozdzierający ból, który wprawiał w wibrację struny głosowe i wreszcie wyrwał się na zewnątrz jako

gwałtowny szloch. Nastia wybuchnęła płaczem. Pączek w jednej chwili zerwał się zza biurka i podbiegł do niej.

— No co ty, dziewczynko, no już przestań, kochana — powtarzał, głaszcząc ją łagodnie po głowie. — Nie wolno wszystkiego tak brać sobie do serca. Mamy swoją pracę i musimy wykonywać ją jak najlepiej, to jest najważniejsze. Zabójstwo dziennikarza to takie samo zabójstwo, jak każde inne, i też trzeba wykryć sprawcę. Nie wolno nam odmówić tylko dlatego, że nasze państwo reaguje niewłaściwie, prawda? Tak, władze postępują niesłusznie, ale my mamy przed sobą zadanie, które musi zostać wykonane, nawet jeśli się nie zgadzamy z odgórnymi posunięciami. Zamordowany dziennikarz nie jest winien temu, że wokół jego śmierci urządzono taki cyrk. I bliscy tego człowieka mają prawo liczyć na to, że zabójca zostanie ujęty i poniesie karę. Dlatego otrzyj łzy, dziecinko, uspokój się i zastanówmy się wspólnie, jak najlepiej postąpić. Ile czasu zajmie ci jeszcze sprawa instytutu? — Trzy dni — zachlipała Nastia, wycierając oczy olbrzymią niebieską chustką do nosa, którą podał jej Gordiejew. — Jeśli znowu nic z tego nie wyjdzie, w ciągu tego czasu zdołam się zorientować. A nic więcej i tak nie potrafię wymyślić. — Dobrze. — Wiktor Aleksiejewicz skinął głową. — Na te trzy dni dam im trzech swoich ludzi. Poniedziałek, wtorek, środa. I obiecuję, że od czwartku zastąpisz ich ty. Zgoda? — A jeżeli w ciągu tych trzech dni wpadnę na pomysł, jak rozwiązać sprawę zabójstwa Gałaktionowa? Wtedy pan mnie nie odda? — z nieśmiałą nadzieją zapytała Nastia, zaglądając szefowi w oczy.

— Nie targuj się, nie jesteśmy na bazarze — burknął Pączek. — Działaj tak, jak się umówiliśmy. Wyjdzie — chwala ci. Nie wyjdzie — szkoda, ale nie będę miał do ciebie pretensji, i tak zrobiłaś

wszystko, co w ludzkiej mocy. I w jednym, i w drugim wypadku od czwartku zaczniesz pracować w brygadzie. A jeśli do tego czasu zajdą jakieś zmiany, wtedy postanowimy, co dalej. Trudności należy pokonywać w miarę ich powstawania, a nie wcześniej. Uzgodniłeś wszystko z Docenką? — Tak, miał zacząć dzisiaj z samego rana. Pewnie już działa. Dobrze, że Szytowa to normalna, młoda kobieta. Nasz Misza strasznie jej się podoba, dlatego tak chętnie się zgodziła jeszcze raz z nim popracować nad swoją pamięcią. Biedny Michaił, podczas każdego z takich pogłębionych seansów traci na wadze ze dwa kilogramy.

— Serio? — Pułkownik zdjął okulary i wsunął zauszniak do ust, co oznaczało najwyższą koncentrację i gotowość do przeanalizowania nowej informacji. — Ciekawe dlaczego. Może i ja bym spróbował? Niedługo nie zmieszczę się w tym fotelu.

— Niech pan da spokój, Wiktorze Aleksiejewiczu — powiedziała Nastia z uśmiechem. Zdołała się już wziąć w garść i prawie zupełnie odzyskała spokój. — Grubego też będziemy pana lubić i słuchać.

## 2

Nadieżda Andriejewna Szytowa posłusznie spełniała wszystkie polecenia Miszy. Włożyła ten sam kostium, w którym była w pracy dwudziestego drugiego grudnia, w dniu, gdy trafiła do szpitala, a na wieszaku w przedpokoju powiesiła schowane niedawno w

specjalnych pokrowcach zimowe rzeczy — ciepłą kurtkę, krótki jasny kożuszek, drogie norkowe futro i lekki płaszcz na misiu. Misza poprosił, żeby na górze, na drewnianej półeczce, położyła zimowe czapki, ciepłe szaliki i chustki — słowem, to, co leżało tam dwudziestego drugiego grudnia.

Potem zajęli się sypialnią. Szytowa długo się zastanawiała i w końcu przyniosła skądś kilka przedmiotów, dawniej z pewnością należących do Gałaktionowa; budzik z wygrawerowanym napisem „Tatusiowi od Katuszy”, masywną popielnicę i zapalniczkę gabinetową, mały, elegancki magnetofon i stosik kaset — Aleksander Władimirowicz lubił słuchać muzyki w łóżku. Rozmieściwszy te rzeczy tam, gdzie stały za życia Saszy, Szytowa odstąpiła o krok do tyłu i krytycznym okiem oceniła rezultat swoich zabiegów. Potem dokonała jeszcze kilku drobnych, niemal niedostrzegalnych zmian i uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Teraz wszystko jest tak, jak było.

— Wchodziła pani wtedy do kuchni? — spytał Docenko. — Nie. Bardzo źle się czułam i z przedpokoju weszłam od razu do sypialni, rozebrałam się i położyłam. Potem zrobiło mi się trochę lepiej i postanowiłam się napić herbaty. No i właśnie w chwili, kiedy wstawałam z łóżka, nastąpiła perforacja jajowodu i zaczął się krwotok wewnętrzny. Tak że do kuchni już nie zdążyłam dojść.

— Bardzo dobrze, a więc kuchni nie ruszamy. Jest pani gotowa?

— A co będziemy robić? — zainteresowała się Szytowa. Żałowała trochę, że ten sympatyczny, czarnooki oficer kazał jej włożyć surowy, oficjalny kostium, który nosiła do pracy. Nadzieja wolałaby z nim rozmawiać, ubrana trochę bardziej swobodnie i fantazyjnie, na przykład w kombinezon z rozpiętymi górnymi guziczkami lub

długą domową spódnicę z czterema rozcięciami. Chociaż Michaił prosił, żeby przygotowała także szlafrok, w który się wtedy przebrała, więc może jeszcze...

— Spróbujemy teraz czegoś w rodzaju hipnozy — oznajmił z całą powagą Docenko. — Najpierw pomogę pani się odprężyć, całkowicie się wyłączyć i oderwać od wszystkiego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich tygodni. Potem odtworzymy od początku, krok po kroku, to, co pani robiła tamtego dnia od momentu powrotu do domu aż do chwili, gdy otworzyła pani oczy, zobaczyła gościa Aleksandra Władimirowicza i usłyszała, jak mu radzi, by wezwał pogotowie. A później jeszcze raz pokażę pani zdjęcia. Proszę nie sądzić, że to łatwe zadanie. Będzie wymagało od pani wielkiego skupienia i wysiłku.

Misza poprosił Szytową, żeby usiadła w salonie, i zaczął działać. Dziś szło mu o wiele łatwiej niż zwykle, ponieważ Nadieżda rzeczywiście się starała. Widocznie bardzo pragnęła zrobić na nim jak najlepsze wrażenie, więc naprawdę usiłowała mu pomóc. W końcu nie chodziło o jakieś jego niemądre fantazje, tylko o wyjaśnienie sprawy zabójstwa jej kochanka, przyjaciela. Gdy Misza uznał, że można zaczynać, po plecach spływały mu strugi potu i czuł się tak zmęczony, jakby przed chwilą rozładował wagon węgla.

Poprosił Szytową, żeby nie otwierała oczu, zaprowadził ją do przedpokoju, pomógł włożyć futro z norek i szcęknął zamkiem, otwierając drzwi mieszkania.

— No, Nadieżdo Andriejewno, zaczynamy. Wróciła pani do domu... Proszę nie zapomnieć, umówiliśmy się, że będzie pani głośno myślała.

— Tak, otworzyłam drzwi, weszłam, zapaliłam światło, spojrzałam na wieszak i od razu zobaczyłam kurtkę Saszy, a obok czyjeś palto, i pomyślałam, że to nie Gosza Sarkisow ani Stasik...

Szytowa powoli się rozbierała, zdejmowała botki, rozmawiała z Gałaktionowem, który powiedział, że ma ważne spotkanie i prosił, żeby nie wchodziła do pokoju i nie przeszkadzała. Było jej przykro, że Sasza najwidoczniej nie ma zamiaru świętować razem z nią urodzin. Myślała o tym, że się źle czuje i że jeśli do jutra to nie minie, trzeba będzie wezwać lekarza. Przebierając się w ładny, ciepły szlafrok, przypomniała sobie, że na jutrzejszy wieczór zaplanowała pranie, które chyba w tej sytuacji lepiej odłożyć. Czuła tak straszną słabość, że aż się przestraszyła; kładąc się na czystej, chłodnej pościeli, pomyślała, że wprawdzie już dawno przestała być młodą dziewczyną, ale nigdy wcześniej nie sądziła, że choroby i dolegliwości zaczynają się tak wcześnie. Jeśli się okaże, że to coś poważnego, czy Sasza jej nie rzuci? A skoro tak, czy grozi to jakimiś istotnymi zmianami w życiu, czy też przejdzie bezboleśnie? Zapadając w drzemkę, usiłowała podsumować, jakie dobrodziejstwa i korzyści przyniósł jej związek z Aleksandrem Gałaktionowem i czy naprawdę będzie musiała z nich zrezygnować, jeżeli Sasza się z nią rozstanie. Ta refleksja przyszła jej do głowy po raz pierwszy i Nadieżda zdumiała się swą dotychczasową beztroską — a więc musiała aż zachorować, by o tym pomyśleć. Misza stał obok i uważnie słuchał leżącej w łóżku kobiety. Wiedział, że Nadieżda stara się ze wszystkich sił, i był jej za to wdzięczny. Taki eksperyment Docenko przeprowadzał już nie pierwszy raz, ale zwykle musiał się długo męczyć ze świadkami. Młode dziewczyny chichotały głupio i trudno je było odpowiednio ukierunkować.

Starsze kobiety czuły się zakłopotane, a poza tym usiłowały same decydować, co ma znaczenie, a co nie, i zakłócały tok eksperymentu, oświadczając, na przykład, kategorycznie:

— No, ten szczegół możemy pominąć, to nic ważnego. W takich chwilach Miszy z trudem udawało się opanować i nie podnosić głosu. Starał się zawsze być spokojny i grzeczny, żeby nie zbić z tropu świadka, nie zakłócać ciągłości przywoływanych wspomnień. Pamiętał jednak bardzo dobrze przypadek, kiedy pewna kobieta oświadczyła stanowczo: „to możemy pominąć”, ponieważ uznała, że nie ma nic godnego uwagi w fakcie, że wyszła z domu i szła do metra, nucąc cicho. Miszę najpierw zirytował jej nieznoszący sprzeciwu ton, potem jednak zreflektował się i zapytał, jaka to była piosenka. Okazało się, że Gdyby cię nie było, po cóż

miałbym żyć z repertuaru Dassina. Dlaczego właśnie ten utwór? Przecież Dassin dawno zmarł, szczyt popularności piosenkarza minął wiele lat temu, dzisiaj nie słyszy się jego piosenek ani w radiu, ani w telewizji i na pewno nie w każdym domu zachowały się płyty i kasety z tamtych lat. Misza wpił się jak kleszcz w nieszczęsną kobietę, ale w końcu wyjaśniło się, że wychodząc z windy, zderzyła się niemal z mężczyzną bardzo podobnym do piosenkarza: szopa lekko kręconych, jasnokasztanowych włosów, twarz o semickich rysach, dużym nosie i wydatnych, zmysłowych wargach. Ten opis pozwolił wówczas wytypować jednego konkretnego człowieka z szerokiego kręgu podejrzanych. Od tamtego czasu Docenko nabrał absolutnej pewności, że w pracy nad przywoływaniem wspomnień każdy ułamek sekundy jest ważny, gdyż nawet przelotna myśl, która się wówczas pojawiła w głowie świadka, może mieć wręcz kluczowe znaczenie dla sprawy.



Dlatego teraz, wsłuchując się w cichą, trochę senną relację leżącej pod kołdrą kobiety, starał się uchwycić każde słowo, każde westchnienie, każdą pauzę.

— Zapytał, czy nie jestem w ciąży. Sasza odpowiedział, że byłam u lekarza, ale ten nie potwierdził takich podejrzeń. Wtedy tamten chciał wiedzieć, dlaczego właściwie poszłam do lekarza, to znaczy, czy miałam jakieś podstawy, by sądzić, że jestem w ciąży. Powiedziałam, że tak, aż do wczoraj, kiedy to dostałam okresu — ale po długiej przerwie. Wówczas on mruknął, że to prawdopodobnie nie miesiączka, tylko krwotok. U niego w pracy zdarzył się bardzo podobny wypadek, kobiecie zrobiło się słabo, i lekarz z pogotowia wypytywał ją przede wszystkim o to...

— Nadieżdo Andriejewno, pamięta pani, jakie zadanie panią teraz czeka? — upewnił się Docenko, wyjmując z kieszeni kopertę.

— Tak — potwierdziła cicho, wciąż leżąc z zamkniętymi oczyma. — Wobec tego proszę otworzyć oczy i spojrzeć.

Nie powiedział nic więcej, nie podkreślał, jakie to ważne, żeby się nie pomyliła, nie wspomniał słowem o ponad dwóch miesiącach żmudnej, drobiazgowej pracy, której rezultatem miało być wykrycie sprawcy zabójstwa Gałaktionowa, ani o tym, jak wiele zależy od wysiłku jej pamięci. Nie chciał kobiety rozpraszać. Wszystko powinno być jak wtedy: dwudziestego drugiego grudnia w tym właśnie momencie otworzyła oczy i zobaczyła mężczyznę, który — tak w każdym razie podejrzewają — dwa dni później otruł Gałaktionowa. A więc niech Nadieżda teraz otworzy oczy i popatrzy na twarz człowieka na zdjęciu. Na tym polega jej zadanie. Szytowa zwróciła twarz w stronę Miszy i lekko uniosła powieki. Docenko

trzymał przed sobą pięć fotografii — dwie w jednej ręce, trzy w drugiej.

— To on — powiedziała z przekonaniem Szytowa, wyjmując z dłoni Miszy jedno zdjęcie.

— Na pewno?

— Nie mam najmniejszych wątpliwości — potwierdziła młoda kobieta. — Na sto procent.

— Dziękuję. — Docenko uśmiechnął się. — Boże, gdyby pani wiedziała, jaki jestem zmęczony! — rzekł już bez poprzedniego napięcia.

Nadieżda zgrabnie wysunęła się spod kołdry, umyślnie niedbałym gestem poprawiając poły szlafroka, którego pasek przedtem sprytnie rozluźniła.

— Niech pan odpoczywa, Michaile Aleksandrowiczu, zaraz o pana zadbam. Skoro już zwolniłam się dzisiaj z pracy, nigdzie się nie śpieszę.

— Za to ja się śpieszę — oświadczył Misza, któremu z wyczerpania zaczęło się kręcić w głowie. Och, gdyby tak mógł się teraz porządnie najść i przespać choć z godzinkę! — Co też pan mówi! A gdybym się okazała opornym świadkiem? Wtedy męczyłby się pan ze mną dwa razy dłużej. Mogło się przecież tak zdarzyć, prawda? Więc proszę zostać.

— W zasadzie mogło — potwierdził Docenko, który miał wielką ochotę dać się namówić. Po pierwsze, był naprawdę potwornie zmęczony. A po drugie, Szytowa mu się podobała. Ta wesoła, towarzyska dziewczyna — pomimo dość wyzywającej urody i

dużych wymagań co do poziomu życia — wydawała się dobra i miła. Po trzecie, była rzeczywiście wyjątkowo urodziwa.

— No widzi pan. Chodźmy teraz do kuchni, tam jest kanapa, pan się położy, a ja będę pana karmić różnymi smakołykami.

— Muszę zadzwonić.

— Oczywiście, aparat jest w kuchni, tylko proszę go włączyć. — A co, jest wyłączony? — zdziwił się Misza.

— Naturalnie. Byliśmy przecież zajęci. Niewiele by z tego wyszło, gdyby co piętnaście minut dzwonił telefon, prawda? — Bystra z pani dziewczyna! — pochwalił ją szczerze Docenko, wkładając wtyczkę do gniazdka, po czym wybrał numer.

— Staralam się. — Nadieżda uśmiechnęła się czarująco. — Chciałam być panu pomocna.

— To ja — powiedział Misza do słuchawki. — Padło na Łysakowa. Tak, na Giennadija Iwanowicza Łysakowa. O piątej? — Rzucił okiem na zegarek. — Dobrze, Anastazjo Pawłowno, o piątej koło instytutu.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Szytową z miną winowajcy.

— Nadieżdo Andriejewno, będę panią musiał prosić o jeszcze jedną przysługę. Musimy oboje pojechać o piątej w pewne miejsce. Spędzimy tam najwyżej godzinę, a potem odwiozę panią do domu. Będzie pani tak miła?... — Pod jednym warunkiem. Że teraz z powrotem wyłączysz pan telefon — oznajmiła Nadieżda, wyjmując z lodówki różne paczuszki i zawiniątka.

— Po co? Mamy przed sobą jeszcze jakieś zadanie do wykonania? — zażartował Docenko, doskonale wiedząc, do czego dziewczyna zmierza. Sam też nie miał nic przeciwko temu.

— I to bardzo ważne. Zaspokoić potrzeby zmęczonego detektywa i nakarmić go — czy może być coś ważniejszego na świecie?

— A czy proces karmienia można rozbić na dwa etapy? — zapytał Misza. Zaraz wszystko się wyjaśni. On da sygnał, z pozoru zupełnie niewinny, a Szytowa — jeśli zechce — podchwyci go, jeśli zaś nie — uda, że nic nie zauważyła. — Pierwszy etap karmienia — przed zaspokojeniem potrzeb, drugi — po.

Nadieżda podniosła wyraziste ciemne oczy, popatrzyła na niego długo i uważnie, po czym leciuteńko się uśmiechnęła. — To się da zrobić. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, pierwszy etap potraktujemy ulgowo, żeby nie usnął pan podczas zaspokajania potrzeb.

Miszy nagle głód i zmęczenie przeszły jak ręką odjął; myślał tylko o tym, że oto stoi przed nim w na wpół rozchylonym szlafroku piękna młoda kobieta o wspaniałych nogach i ogromnych ciemnych oczach, której on się najwyraźniej podoba i która podoba się jemu; i że naprawdę rzadko się zdarza, by ludzie tak się nawzajem pociągali, jakby byli dla siebie stworzeni; i że do piątej jeszcze tak daleko... Wyciągnął rękę, wyjął z jej dłoni nóż, którym zamierzała coś pokroić, i zamknął w pieszczotliwym uścisku delikatne, ciepłe palce.

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy pierwszy etap w ogóle pominęli — powiedział cicho.

Wadim Bojcow uświadomił sobie, że od wczoraj nie może spojrzeć w oczy swojemu zwierzchnikowi, Igorowi Suprunowi. Niby nic się nie stało, Igor Konstantinowicz już nieraz przedtem zmył mu głowę, a i on nie pierwszy raz był odmiennego zdania niż przełożony, czego na ogół nie ukrywał, nigdy dotąd jednak nie zakłócało to przyjaznej atmosfery pomiędzy szefem i podwładnym, która pozwalała Suprunowi szanować Bojcowa i ufać mu. Natomiast po wczorajszej rozmowie w samochodzie wszystko się zmieniło. Bojcow nawet nie zdawał sobie sprawy z przyczyn tego stanu rzeczy, jedynie je przeczuwał, jak zwierzę, które instynktownie przeczuwa trzęsienie ziemi i pędzi przed siebie w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca, samo nie wiedząc, dlaczego to robi. — Słucham pana, Igorze Konstantinowiczu — powiedział, patrząc w okno, za którym majaczył smętnie mglisty, wczesnowiosenny dzień.

— Ludzie Mierchanowa przez jakiś czas nie będą niepokoić Kamieńskiej, więc jeśli zamierzasz podtrzymać z nią kontakt, weź to pod uwagę. Killerzy, których widziałeś, dziś w nocy trafili do kliniki imienia Sklifosowskiego z objawami ostrego zatrucia pokarmowego. Oczywiście, wszyscy czterej zmarli. Jeśli Mierchanow nie zaniecha swoich zamiarów, będzie potrzebował trochę czasu, żeby znaleźć innych wykonawców, a oni z kolei będą go potrzebowali, by poobserwować przyszłą ofiarę. Sądzę, że w ciągu najbliższego tygodnia nic jej nie zagraża. Mówię ci o tym na wszelki wypadek, może zechcesz skorzystać z tej informacji.

— Wezmę to pod uwagę — bezbarwnym głosem odparł Bojcow, nadal nie patrząc na Supruna.

— Teraz inna sprawa. Spotkasz się dzisiaj z Litwinową i weźmiesz od niej odciski kluczy. Ona ci powie, jakie plany ma nasz typ na dni wolne od pracy. Trzeba będzie sprawdzić, czy w jego mieszkaniu nie znalazłyby się przypadkiem dowody, które moglibyśmy podsunąć tym z Pietrowki. Są pytania? — Nie. — Możesz odejść.

Bojcow wyszedł od przełożonego i wrócił do siebie, konstatując ponuro, że nie może uporać się z tym, co usłyszał od Kamieńskiej. Suprun ma rację, prestiż państwa to sprawa tak ważna, że w porównaniu z nim wiele innych błędnie. Ale i Kamieńska słusznie uważa, że państwo, którego nic nie obchodzi krzywda obywateli, nie jest warte tego, by ktokolwiek troszczył się o jego prestiż. Jeśli jednak zostanie go pozbawione w oczach społeczności międzynarodowej, nie otrzyma kredytów, a więc gospodarka nie ruszy z miejsca, stopa życiowa się obniży, ludziom zaś coraz trudniej będzie utrzymać się na powierzchni, warunki ich egzystencji znacznie się pogorszą. Jeśli natomiast w tym konkretnym przypadku postawi się interes państwa ponad wszystkimi innymi, to ucierpi tylko niewielka część ludności, czyli ci, którzy mają pecha mieszkać we wschodnim rejonie Moskwy. Nie, nawet nie w całym rejonie, lecz tylko na pewnej części jego obszaru. Cóż, jeśli spojrzeć na to w ten sposób, rację ma Suprun. Ale jeśli wziąć pod uwagę, że nawet tak niewielka grupa mieszkańców płaci za utrzymanie prestiżu państwa własnym zdrowiem, a nawet życiem, słuszność jest po stronie Anastazji. A może go okłamała? Może zdjęcia, które mu pokazywała, nie mają żadnego związku ze złowieszczą pętlą sprzężenia zwrotnego?...

Pojedzie do wschodniego rejonu miasta i sam sprawdzi, co tam się dzieje. Pochodzi wieczorem po ulicach, pokręci się w pobliżu

barów i dyskotek, poobserwuje pijanych, pogada ze staruszkami, którzy zawsze radzi są pogawędzić z każdym, kto zechce im poświęcić chwilę uwagi. Tak, wybierze się tam i przekona na własne oczy. Jeśli się okaże, że Kamieńska mówiła prawdę, będzie musiał podjąć decyzję najtrudniejszą bodaj w życiu, ale także i najważniejszą.

## 4

Zajechali pod instytut prawie jednocześnie — Korotkow białym służbowym wozem z niebieskim pasem i Docenko z Szytową jej samochodem. Porozmawiali parę minut, po czym weszli do budynku i skierowali się prosto do gabinetu dyrektora instytutu, Nikołaja Nikołajewicza Alchimienki. Korotkow wszedł do środka, a Szytowa i Docenko w milczeniu usiedli w sekretariacie, naprzeciw urzędniczki, która bez przerwy odbierała telefony.

Zapaliła się lampka i sekretarka szcęknęła wyłącznikiem. — Słucham, Nikołaju Nikołajewiczu.

— Niech pani będzie tak dobra i poprosi do mnie Łysakowa — rozległ się w pokoju głos Alchimienki. — Chwileczkę. Zdjęła słuchawkę jednego z licznych aparatów.

— Dzień dobry, Georgiju Pietrowiczu, Nikołaj Nikołajewicz pilnie prosi do siebie Łysakowa.

Docenko poczuł, że siedząca obok Szytowa dosłownie zeszywniała.

— Odpręż się — szepnął ledwie dosłyszalnie. — Czego się tak przestraszyłaś? Facet wejdzie, przejdzie obok nas, zobaczysz go w ruchu, i koniec. Sekretarka go o coś spyta, on odpowie, posłuchasz jego głosu. Chcę być pewien, że się nie pomyliłaś.

— Absolutnie nie — również szeptem odpowiedziała Nadieżda. — Strasznie się denerwuję.

— Zupełnie niepotrzebnie. — Michaił beztrosko wzruszył ramionami, choć gdzieś w środku cały czas czuł nieprzyjemny chłodek. Zaczęli już działać zgodnie z założeniem, że Łysakow jest człowiekiem, którego szukają. A jeżeli Nadieżda się pomyliła?

Przysunęła się bliżej i teraz nawet przez gruby materiał marynarki czuł ciepło jej ciała.

— Misza, a jeśli się okaże, że to pomyłka, będziesz miał nieprzyjemności?

— Oczywiście — mruknął, prawie nie otwierając ust. W dobrze ogrzanym pomieszczeniu, na miękkiej kanapie, zaczynał go morzyć sen. Proces zaspokajania potrzeb u Szytowej w domu trwał tak długo, że drugi etap, karmienie, z konieczności był bardzo intensywny i maksymalnie ograniczony w czasie. Nadieżdzie w ciągu dziesięciu minut udało się wepchnąć w Miszę takie ilości jedzenia, że w normalnych warunkach ich pochłonięcie zabrałoby mu co najmniej godzinę. Potem pędem pobiegli do samochodu i Nadieżda gnała ulicami jak szalona, żeby punktualnie na piątą zdążyć do instytutu. Teraz napięcie minęło, i Misza czuł się tak, jak czułby się na jego miejscu każdy bardzo zmęczony mężczyzna, który



przed dwudziestoma minutami zjadł obfity i smaczny posiłek. Z trudem pokonywał przemożną chęć, by zapaść w głęboki, mocny sen.

Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł Giennadij Łysakow. Nadieżda obrzuciła go spojrzeniem, starając się nie odwracać przy tym głowy.

— Tanieczko, dyrektor mnie wzywał? — zapytał Łysakow sekretarki, nie zwracając uwagi na parę w rogu kanapy. Szytowa usadowiła się w taki sposób, że dla osoby wchodzącej do pokoju jej twarz była niemal niewidoczna, gdyż zasłaniał ją prawie w całości męski profil Miszy Docenki. — Proszę chwilę poczekać, ma gościa — odparła sucho Tanieczka, znów szcękając wyłącznikiem interkomu. — Nikołaju Nikołajewiczu, jest już Giennadij Iwanowicz. Dobrze. — Może pan wejść — zwróciła się do Łysakowa, wskazując gestem drzwi.

Misza mocno ścisnął dłoń siedzącej obok kobiety. — I co?

— Jestem absolutnie pewna — z przekonaniem powiedziała Nadieżda.

— Dobrze, chodźmy stąd.

Wyszli z sekretariatu i ruszyli długimi korytarzami, mijając całe szeregi drzwi do gabinetów, pomieszczeń biurowych, palarni i sal konferencyjnych.

— Nadiusza, wstąpimy teraz do kilku pokoi, muszę paru osobom coś oficjalnie zakomunikować. Proszę, nie wdawaj się nigdzie w żadne rozmowy, dobrze? Wszystko jest na razie bardzo mgliste, za wcześnie jeszcze mówić o konkretach. Tyle, co trzeba, sam powiem. Wejdźmy tutaj.

Pchnął drzwi, na których widniała tabliczka: „Sekretarz naukowy W. J. Gusiew”.

Podjechał samochodem pod dom, ale nie czuł się na siłach wysiąść i wejść na górę. W domu na pewno jest żona, będzie musiał z nią rozmawiać, jedząc na siłę pieczołowicie przez nią przygotowaną kolację. Na myśl o jedzeniu mimo woli się skrzywił. Nie, posiedzi jeszcze trochę w samochodzie, przedłużając o parę chwil miłą sercu samotność. Musi wiele rzeczy przemyśleć.

A więc kochanka Gałaktionowa nie wiadomo dlaczego rozpoznała w Łysakowie gościa swojego przyjaciela. Oczywiście, w tamtej chwili była prawie nieprzytomna, niewiele do niej docierało i niemal nic nie widziała. Potem, na Pietrowce, nie skojarzyła go, prześliznęła się wzrokiem po jego twarzy, nie zatrzymując na niej ani na moment dłużej spojrzenia. A dzisiaj wskazała Gieneę. Trudno uwierzyć w tyle szczęścia, ale fakt pozostaje faktem. Widział na własne oczy, jak wyprowadzono Łysakowa z instytutu i wsadzono go do samochodu. A przedtem, w budynku — Szytową w towarzystwie pracownika milicji. Giennadij był wzburzony, wymachiwał rękami, krzyczał, że to skandal i bezprawie. Wszyscy tak mówią w chwili aresztowania, nawet ci schwytani na gorącym uczynku, więc płomienne protesty Łysakowa na nikim nie zrobiły wrażenia. A jemu tak się udało! Aż trudno uwierzyć.

Ale lepiej nie mówić hop. A jeżeli Szytowa zmieni zdanie? Przyjrzy się Łysakowowi uważniej i zorientuje się, że zaszła

pomyłka? Oczywiście, to wcale nie znaczy, że rozpozna potem prawdziwego zabójcę, którego widziała z Gałaktionowem. No cóż, najwyżej wypuszczą Łysakowa, ale to jeszcze nie koniec świata. Zaczną węszyć dalej. Tylko niedobrze, że wciąż się będą kręcić po instytucie. Trzeba maksymalnie wykorzystać sytuację, i to jak najszybciej, dopóki nikt jeszcze nie podejrzewa, że zaszła pomyłka. Jak to dobrze, że jutro pracuje się krócej, a pojutrze jest święto. Cała robota ustanie, do czwartku zaś on musi sprawić, by nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że Giena Łysakow jest winien. Ciekawe, w jaki sposób milicji udało się powiązać zabójstwo Gałaktionowa w mieszkaniu Szytowej z instytutem? To nie powinno było się zdarzyć. Jak do tego doszło? Gdzie popełnił błąd? Pewnie chodzi o cyjanek. Tak, oczywiście, to musi być to. Kiedy Gałaktionow wręczył mu ampułki, on od razu spojrzął na etykietę i zobaczył, że trucizna pochodzi z tej samej fabryki, która zaopatruje instytut. Nie był z tego zadowolony, ale nie miał wyboru. Widocznie badając sprawę zabójstwa Gałaktionowa, milicja natknęła się w instytucie na ampułki identyczne z tą, którą znaleziono przy zwłokach, i uznała, że sprawcy należy szukać tutaj. Trop był dobry, tyle że gliniarze zgarnęli nie tego człowieka, co trzeba.

Mogło zresztą być zupełnie inaczej. Przecież Szytowa, jak się okazało, jest znajomą tej albinoski z milicji. A baba zawsze pozostanie babą, choćby pracowała w wydziale kryminalnym. Wszystko zaraz musi wypaplać przyjaciółce. Dziewczyna mogła powiedzieć Szytowej, że szuka sprawcy zabójstwa wśród pracowników instytutu, i pokazać jej zdjęcia: masz, zobacz, jak trudno wyłuskać jednego podejrzanego z dwóch setek ludzi. A Szytowa rzuciła okiem na fotografie i rozpoznała Łysakowa. Mogło

tak być? Mało prawdopodobne, ale niewykluczone. Zdarzają się najrozmaitsze przypadki, choćby ten z cyjankiem; stanowi najlepszy tego przykład. A czy to, że Szytowa jest przyjaciółką czy koleżanką blondynki z wydziału kryminalnego, to nie przypadek? Jeszcze jaki! Albo to, że Szytowa wróciła do domu akurat wtedy, kiedy on tam był razem z Gałaktionowem, a nie pół godziny później?

No dobrze, nieważne, dlaczego Łysakowa aresztowano. Ważne, że go aresztowano, i ten fakt należy wykorzystać. Funkcjonariusze powiedzieli, prosząc o dyskrecję, że Łysakow zostanie zwolniony po podpisaniu zobowiązania, że nie opuści Moskwy, gdyż areszty są przepełnione i nie ma gdzie osadzać zatrzymanych. Jeszcze tydzień temu Gienkę bez wątpliwości wsadziliby za kratki, ale teraz, w związku z intensywnymi poszukiwaniami zabójcy dziennikarza telewizyjnego, milicja działa ze wzmożoną czujnością, zwiększyła się liczba patroli, gliniarze wyłapują nawet drobne przestępcze płotki i pakują do aresztu. W celach nie ma już dosłownie czym oddychać. Cóż, to zwykłe prawo natury: im więcej milicji puszczono w ruch, tym sieć staje się gęstsza, a im gęstsza sieć, tym połów obfitszy.

A więc powinien sobie wyznaczyć ostateczny cel, a potem się zastanowić, jak go osiągnąć. Trzeba działać tak, by Szytowa nie zdążyła się zorientować, że popełniła błąd, wskazując na Łysakowa. Czyli, innymi słowy, uciszyć ją na zawsze. Poza tym podejrzenia o jej zabójstwo należy skierować na Gienę, który, chwała Bogu, jest na wolności i może się swobodnie poruszać po mieście. Zobowiązanie o nieopuszczaniu stałego miejsca pobytu zakazuje jedynie wyjazdu z miasta, w jego granicach zaś można się przemieszczać bez przeszkód.

Ma adres i telefon Szytowej. A także drugą ampułkę z cyjankiem. Poprosił wtedy Gałaktionowa o dwie ampułki, zupełnie jakby coś przeczuwał. Tak, trucizny powinno wystarczyć, by zrealizować to, co zamyślił. Teraz należy wszystko dobrze zaplanować w czasie. Jutro pół dnia spędzi w pracy. Obiecał żonie, że później pojedzie z nią po zakupy. Potem odwiezie ją na daczę i wróci do Moskwy. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to wieczorem zdąży załatwić, co trzeba. A następnie wróci na daczę. Łysakow jest teraz w domu sam, jego żona pojechała w odwiedziny do rodziców, którzy mieszkają w innym mieście. A więc cokolwiek się stanie, alibi Gieny nikt nie będzie mógł potwierdzić. Popatrzył na swoje duże dłonie, spoczywające na kierownicy, i zauważył z zadowoleniem, że nie drżą. Był spokojny i opanowany, pewien siebie i swoich planów. Da sobie radę. Potrafi odsunąć niebezpieczeństwo, dokończy pracę nad urządzeniem, dostanie pieniądze i zyska upragnioną swobodę. Tak, dokona tego wszystkiego właśnie w takiej kolejności i z pomyślnym skutkiem.

Siedział jeszcze kilka minut z przymkniętymi oczyma, po czym, już odprężony, niechętnie zamknął samochód i wszedł do klatki schodowej.

# ROZDZIAŁ XV

## 1

Wszystko wokół przypominało o tym, że to krótki, przedświąteczny dzień. Przez cały rok w Moskwie było dużo kwiatów, ale trudno sobie nawet wyobrazić, że może ich być aż tyle. Prawie wszyscy mężczyźni szli do pracy z wiązkami, które kupowali przy stacjach metra; za parę godzin te same bukiety będą niosły kobiety wracające z biur i zakładów do domu. W podziemnych przejściach wyrosły niczym grzyby po deszczu nowe stoiska z kosmetykami, galanterią, rajstopami i upominkami, kieszonkowe wydania romansów w miękkich, kolorowych okładkach szły jak woda; a śpieszące do pracy kobiety były tak eleganckie, jakby wybierały się właśnie do drogiej restauracji i tylko z powodu jakiegoś przykrego nieporozumienia zamówiona limuzyna nie zajęła w porę pod bramę domu, by je stamtąd zabrać. Wczesnym rankiem Wadim Bojcow dostał komplet kluczy do mieszkania głównego realizatora zamówienia. Zgodnie z informacją Litwinowej, gospodarz wybierał się po pracy na daczę, ponieważ żona zaprosiła na święto córkę i zięcia z rodzicami. Niestety, w

mieszkań jest pies, więc lepiej tam nie iść, kiedy gospodarze są w pracy. Trzeba poczekać, aż zabiorą psa na daczę.

A zatem wizytę należało odłożyć na popołudnie. W tej sytuacji Wadim postanowił zrealizować własne plany — pojechać do wschodniego rejonu miasta, żeby przekonać się naocznie, czy Kamieńska powiedziała mu prawdę. Zaparkował samochód niedaleko stacji metra, przeszedł kilka przecznic i znalazł się przed siedzibą instytutu. W tym miejscu pętle na planie się przecinały. Rozejrzał się, by wybrać właściwy kierunek, i szybko ruszył w stronę nowoczesnego, wielopiętrowego budynku hotelu. Wiedział, że wybrał dla swego eksperymentu niezbyt szczęśliwą porę — przedświąteczny ranek. Jeżeli efekt, o którym mówiła Anastazja, rzeczywiście istnieje, to właśnie teraz będzie najmniej zauważalny. Złość i agresja najczęściej znajdują ujście wieczorem, kiedy człowiek czuje się rozdrażniony i zmęczony pracą lub jest pod wpływem alkoholu. Ale Bojcowowi zależało na tym, by rozeznąć się we wszystkim jak najszybciej. Nigdy by nie przypuszczał, że relacja o sprzężeniu zwrotnym tak go poruszy.

Postanowił zacząć od sklepów spożywczych. I obsługa, i klienci zwykle mieszkają w pobliżu, więc stanowią dobre obiekty obserwacji. W pierwszym sklepie, do którego wszedł, zdumiała go jawna dysproporcja pomiędzy błahością przyczyn zaistniałych nieporozumień a reakcją ludzi na te konfliktowe sytuacje. Mimo że kupujących wcale nie było wielu i do ani jednego stoiska nie ustawiała się kolejka, ekspedientki potrafiły doprowadzić starsze kobiety do łez, na ich uwagi z kolei reagując niemal atakami hysterii. — Dlaczego nie ma żółtego sera, tylko same serki topione? — pytała niezadowolona klientka.

— Nie wiem — odpowiadała ekspedientka, wzruszając ramionami. — W sprzedaży jest to, co dostawcy przywiozą. Dalej następował pełen obraźliwych aluzji monolog na temat prywatyzacji, o której było tyle gadania, a wszystko i tak jest jak dawniej, nic się nie zmieniło, sprzedawcy kradną, nikt nie kontroluje cen, na pewno są zawyżone, właściciele sklepów żerują na krzywdzie ubogich emerytów, wyciskając z nich ostatnie grosze. Ekspedientka z początku próbowała się nieśmiało bronić, potem wybuchła i wrzeszczała na staruszkę, z taką wściekłością ciskając na ladę odważony kawałek mięsa czy sera, jakby to był granat rzucony w śmiertelnego wroga.

W innym sklepie Wadim zobaczył, jak młoda mama, trzymająca pięcio- czy sześćioletnie dziecko za rączkę, wygłasza pod adresem ekspedientki pretensje, że lada chłodnicza z lodami jest przeszkłona.

— Dzieciak wszystko widzi, zaczyna płakać i napraszać się o lody, a nie wolno mu ich jeść! I co mam teraz zrobić, pani zdaniem?

Dziecko istotnie wrzeszczało na całe gardło i dławiąc się smarkami i szlochem, domagało się lodów Bounty. — Chodzi wam tylko o to, żeby jak najwięcej sprzedać — nie przestawała utyskiwać młoda mamusia — a to, że maluch nie rozumie, że mu czegoś nie wolno, w ogóle was nie obchodzi. Jeszcze specjalnie przyklejacie na szybie niedźwiadki i zajaczki, żeby dzieciak na pewno zauważył to świństwo. Chyba nie macie sumienia!

— Wszystkim dzieciom wolno, a jemu nie! — nie pozostawała dłużna ekspedientka, zagłuszając swym tubalnym głosem i niezadowoloną mamę, i jej ryczącą pociechę. — Lody robi się specjalnie dla dzieci, a jeżeli twój dzieciak ich nie może jeść, to nie ma sensu go ciągnąć do sklepu, niech zaczeka na ulicy. Nie dość, że



napłodzili zdechlaków, to jeszcze mają pretensje! Co, myśmy wymyślili te lady? Jakie są, z takich sprzedajemy! Na całym świecie się tak handluje, a tobie jednej się nie podoba! Jeżeli masz chorego dzieciaka, to go lecz, a nie szukaj winnych!

— Winni są właśnie tacy jak ty — ucięła ostro matka.

Dalszego ciągu Wadim nie słyszał, od tych wrzasków momentalnie rozboleła go głowa. Wybiegł na ulicę i z przyjemnością zrobił kilka głębokich wdechów, nabierając w płuca rzeńskiego, świeżego powietrza. „To jakieś wariatki” — pomyślał, mając jeszcze w oczach zeszpecone grymasem wściekłości twarze awanturujących się kobiet. Ruszył przez niewielki skwer w stronę kolejnego sklepu i nagle zobaczył dziesięcioletniego smarkacza, który z zapalem godnym lepszej sprawy męczył kota, przykucnąwszy pod ogromnym drzewem. Stworzenie miauczało przeraźliwie, usiłując się wywinąć z małych, ale krzepkich rączek, a na skupionej twarzyczce chłopca błąkał się dziwny uśmiezek, jakby malec oddawał się swemu ulubionemu hobby, które wprawdzie wymaga wielkiej koncentracji uwagi, ale jednocześnie dostarcza nieopisanej wprost satysfakcji.

— W tej chwili przestań! — upomniał chłopca półgłosem Bojcow. — Puść tego kota, nie męcz go.

Zaskoczony dzieciak podniósł głowę, mimo woli rozluźniając nieco uchwyt. Nieszczęsne stworzenie momentalnie wyrwało się i umknęło, kulejąc i nie przestając płaczliwie miauczeć — widocznie młodociany oprawca po kolei łamał mu łapy.

— Dlaczego to robisz? — łagodnym głosem zapytał Bojcow. Ale malec popatrzył na Wadima z taką nienawiścią, że temu aż zrobiło

się nieswojo, po czym bez słowa odwrócił się na pięcie i uciekł.

Wadim ruszył dalej, wpatrując się w twarze przechodniów, i zdawało mu się, że na żadnej z nich nie widzi odbicia tego, o czym usłyszał od Kamińskiej. Ludzie jak ludzie, zupełnie zwyczajni. Niczego szczególnego w nich nie dostrzegał. Postanowił jeszcze rozejrzeć się wokół szkoły w porze, gdy kończą się lekcje, i poobserwować uczniów. Przechadzał się powoli, zapamiętując — na wszelki wypadek, z nawyku — domy, zaułki, podwórka, nawet nie myśląc o tym, że może się to kiedyś przydać. Około pierwszej znalazł się w pobliżu szkoły i zaczął wypatrywać miejsca, które mogłyby wykorzystać jako dogodny punkt obserwacyjny. Spostrzegłszy stojącą pośród drzew ławkę, ruszył w tę stronę i po chwili zauważył, że na ławeczce siedzi dwudziestoletnia może dziewczyna z książką w rękach. Już chciał zawrócić, gdy siedząca nagle podniosła głowę i uśmiechnęła się do niego.

— Pan też czeka? Proszę usiąść, zmieścimy się.

Wadim usiadł obok dziewczyny. Była bardzo ładna, ostrzyżona krótko, na zapałkę, miała lekko zadarty nosek i okrągłe niebieskie oczy.

— A na kogo pani czeka?

— Na brata. Tu, blisko szkoły, jest zawodówka, to po drodze do domu.

— I co z tego? — nie zrozumiał Bojcow, ale zaraz sobie przypomniał, co opowiadała o tej zawodówce Kamińska. — Parę razy już go pobili, więc nie puszczamy teraz malca samego. Zawsze ktoś na niego czeka, albo rodzice, albo ja. — Ile lat ma pani brat? — Sześć. Chodzi do pierwszej klasy.

— Sześć? — zdumiał się Bojcow. — Jak to, biją sześciolatnie dziecko? Nie powiadomili państwo milicji?

— A jakże. I nie tylko my — wyjaśniła dziewczyna. — Zebrało się w sumie ze trzydzieści osób, ale to nic nie dało. Wszystkich uczniów zawodówki trudno przymknąć, tym bardziej że maluchy nie pamiętają dokładnie, kto ich bił. Ze strachu zamykają oczka. — W jej głosie słychać było łzy. — Wiedzą, że to było koło tej szkoły, ale nic więcej nie potrafią powiedzieć. Więc nie można nikogo pociągnąć do odpowiedzialności. — Za co tamci biją takie małe dzieci?

— Za nic. Po prostu muszą się wyładować. Łobuzy! — Załkała, ale szybko się opanowała. — Pierwszy raz zbili Pawłuszę, kiedy zażądali od niego pieniędzy, a on powiedział, że nie ma. Za drugim razem kazali mu zdjąć kurtkę i zabrali ją, chcieli wypić butelkę w krzakach, a że ziemia była przemarznięta, postanowili coś sobie podłożyć. Znowu wrócił cały w sińcach i zadrapaniach. Nie ma na nich żadnej rady. Niech pan powie, co za ludzie z nich wyrosną? Przecież to jakieś potwory. Nie wiem, może to dlatego, że od małego są chowani na niezdrowej żywności, a może nasz naród zaczął się już degenerować z powodu wielowiekowego pijaństwa. — Trudno chyba obwiniać cały naród o grzechy chłopaków z zawodówki — zauważył Wadim.

— Nie chodzi tylko o zawodówkę — zaprotestowała dziewczyna. — Obserwuję przecież kolegów Pawlika, z tej samej klasy i starszych. Są zupełnie inni, niż my byliśmy w ich wieku, rozumie pan? O byle co rzucają się na siebie z pięściami, chwytają za kamienie, najchętniej porozwalaliby sobie nawzajem głowy. A

gdyby pan słyszał, co przy tym wykrzykują! „A żebyś zdechł! Bodajbyś wpadł pod auto!”, i podobne okropności.

— Może to po prostu brak wychowania? — podsunął Wadim. — Są zaniedbani, jak podrosną, zmieniają się. — Co pan! — Rozgoryczona dziewczyna tylko machnęła ręką. — Co ma z tym wspólnego wychowanie! Wściekłość w nich aż kipi — wypieki na twarzach, głos się łamie ze złości! Człowiek na nich patrzy i widzi, że naprawdę życzą śmierci tym, z którymi wszczęli bójkę. Śmierci albo kalectwa. Chcą unicestwić każdego, kto wejdzie im w drogę, kto stoi na przeszkodzie spełnieniu choćby najdrobniejszej ich zachcianki, czy to będzie przejażdżka na cudzym rowerze, czy wypicie butelki w krzakach, z kurtką jakiegoś malca pod siedzeniem. Nie mówiąc o tych starszych, szesnasto-, siedemnastolatkach, którzy już myślą o kobietach, o seksie. Po ósmej wieczorem staramy się w ogóle nie wychodzić z domu w obawie przed gwałtem. Zresztą co będę panu opowiadać, sam pan dobrze o tym wie.

— Nie — przyznał się Bojcow. — To dla mnie nowość. Chyba jakoś mi umknął fakt, że dorastające pokolenie ma w sobie tyle agresji.

— Jak można tego nie zauważyć? — zdumiała się dziewczyna, wpatrzona w drzwi szkoły, skąd wysypywały się teraz gromady dzieci. Biegły w podskokach, wymachując teczkami i plecakami. — Która klasa? — Co która klasa? — nie zrozumiał Wadim.

— No, do której klasy chodzi pański maluch? Przecież czeka pan na dziecko?

— Nie, szczerze mówiąc, jestem trochę zmęczony, dużo dziś chodziłem i dlatego szukałem miejsca, gdzie mógłbym na chwilę przysiąść.

— Aa, rozumiem — powiedziała dziewczyna, wciąż wyciągając smukłą, delikatną szyję i wypatrując bacznie braciszka wśród kłębiących się przed szkołą dzieciaków. — Myślałam, że czeka pan na syna albo córkę.

— Nie mam dzieci — odparł Bojcow i nieoczekiwanie dla samego siebie dodał: — W ogóle nie jestem żonaty. — Tak?

W dziewczynie obudziło się nagle zainteresowanie nieznanym. Oderwała wzrok od gromady dzieci pod szkołą i przeniosła spojrzenie na siedzącego obok mężczyznę. Przystojny! Naprawdę przystojny. Mocno zarysowany podbródek, męska twarz o wyrazistych rysach, szare oczy. Czyżby naprawdę był wolny? Na pewno kłamie. Ale jeśli kłamie, to znaczy, że wpadła mu w oko, chce zawrzeć znajomość. Właściwie dlaczego nie? Ciekawe, ile ma lat? Na oko koło trzydziestki, może trochę więcej. A więc wiek też odpowiedni.

— To znaczy, że jest pan zatwardziałym starym kawalerem? — Roześmiała się. — A może rozwodnikiem? — Nie, zatwardziałym starym kawalerem, jak to pani ujęła. Nigdy nie byłem żonaty.

— Ale dlaczego? Nie uwierzę, że nie było chętnych, żeby wyjść za pana za mąż.

— Wie pani, nie miałem jakoś okazji, żeby to sprawdzić. Praca zabiera mi za dużo sił, nie mam głowy do flirtów. Znała tę grę, jeśli nie z własnego doświadczenia, to z książek, filmów i opowieści przyjaciółek. Kiedy mężczyzna chce cię przekonać, że jest wolny,

najczęściej wymyśla sobie jakąś trudną i odpowiedzialną pracę, która jakoby nie pozwalała mu interesować się bliżej kobietami. W ten sposób uprzedza również, że akurat trafiła mu się wolna chwila, więc jesteście razem, ale nie wie, czy będziecie się spotykać i jak się rozwinie wasza znajomość — nie może dać ci żadnych gwarancji na przyszłość.

— To znaczy, że teraz też jest pan w pracy — powiedziała dziewczyna ze zrozumieniem, kryjąc ironiczny uśmiešek. — O, biegnie pani braciszek — oznajmił Wadim zamiast odpowiedzi.

Pędził ku nim na złamanie karku sześćioletni malec w czerwonej kurteczce z kapturem i plecaczku z odblaskową nalepką.

— Jak pan się domyślił? — zdziwiła się dziewczyna.

— Jesteście bardzo do siebie podobni.

Wstała z ławki i zaczęła poprawiać braciszkowi szalik i wełnianą czapkę pod kapturem. Najwyraźniej oczekiwała, że nieznajomy zapyta, czy może ich odprowadzić, ale on nie kwapił się, żeby wstać; rozsiadł się wygodniej na ławeczce, oparty plecami o pień starego dębu.

— No, my już pójdziemy — powiedziała dziewczyna niezdecydowanie, zastanawiając się gorączkowo, co jeszcze mogłaby poprawić w ubraniu brata, żeby zyskać trochę na czasie. — Niech pan spokojnie odpoczywa.

— Dziękuję — odparł Wadim. — A pani niech wraca do domu szczęśliwie i bez żadnych przygód. Może panią odprowadzić? Czy za dnia się pani nie boi?

Brak umiejętności i niechęć do gry wedle przyjętych reguł kazały Wadimowi wypracować własne sposoby nawiązywania kontaktów z

plcią piękną. W tej chwili przerzucił ciężar podjęcia decyzji na tę niebieskooką dziewczynę z zadartym noskiem, gdyż — z męskiego punktu widzenia — podjęcie decyzji zobowiązuje do określonych zachowań, jeśli więc nie ty ją podjąłeś, możesz nie czuć się do niczego zobowiązany. Gdyby teraz powiedział: „Proszę pozwolić, że panią odprowadzę, skoro ta dzielnica jest taka niebezpieczna”, tym samym jakby przyznawał, że zależy mu na niej i dlatego troszczy się o jej bezpieczeństwo. A taki komunikat może być potężną bronią, jeśli przekaze się go osobie bez skrupułów. Teraz więc, zręcznie sformułowawszy swoją propozycję, Wadim lekką ręką oddał inicjatywę dziewczynie. Jeśli się jej spodobał, jeśli chce, by ją odprowadził, powinna teraz powiedzieć: „Owszem, za dnia też się boję, proszę mi towarzyszyć”. Wówczas będzie miał szansę okazać się prawdziwym dżentelmenem, który odprowadza kobietę n a j e j w ł a s n e ż y c z e n i e, nic ponadto. Do niczego go to nie zobowiązuje.

— Ależ proszę się mną nie przejmować — uprzejmie odparła dziewczyna. — Sam pan przecież powiedział, że jest pan zmęczony, nachodził się pan i chce teraz odpocząć. „Ach, maleńka — pomyślał oczarowany Bojcow — okazuje się, że masz ostry języczek. Nieźle to rozegrałaś: jeżeli teraz zamiast odpoczynku wybiorę cię, to będzie równoznaczne z deklaracją, że mi zależy na znajomości z tobą. I rzeczywiście, dziewczyno, podobasz mi się, ale inicjatywa musi wyjść od ciebie, tylko w ten sposób będę mógł zachować swobodę manewru”.

— Proponuję kompromis — rzekł z uśmiechem. — Jestem naprawdę bardzo zmęczony, od szóstej rano na nogach, dopiero przed chwilą usiadłem. Jeżeli zaczeka pani dwadzieścia minut,

może pół godzinki, odpocznę i chętnie panią odprowadzę. Pani posiedzi i poczyta książkę, a Pawlik pobawi się z dziećmi koło szkoły.

„No i co, spryčiuło? — pomyślał ze złośliwą satysfakcją. — Nie za twardy orzech do zgryzienia? Chcesz, żebym cię odprowadził, to siedź i czekaj, aż odpocznę. Jeżeli pójdziesz na to ustępstwo, będziesz musiała ponieść małą ofiarę, a to znaczy, że jesteś mną zainteresowana. Oczywiście, że mi się podobasz, taka sympatyczna, dobra, rozsądna dziewczyna. Ale musisz się zadeklarować pierwsza”.

— Nie, nie, dziękuję, nie trzeba — odpowiedziała z uśmiechem. — Miło się z panem rozmawia i z przyjemnością uciełabym sobie jeszcze pogawędkę po drodze do domu, ale po pierwsze, pan jest zmęczony, więc nie mogę wymagać od pana takiego straszliwego poświęcenia — dla podkreślenia tych słów szeroko otworzyła oczy i zniżyła głos niemal do szeptu — a po drugie, w dzień się nie boję. To czas aktywności dzieci i nastolatków, nam nie grozi niebezpieczeństwo. Co innego wieczorami, kiedy na ulicach przeważają ludzie dorośli — o, wtedy rzeczywiście strach wyjść. Ale dziękuję za dobre chęci i życzę panu wszystkiego najlepszego. Wesóło pomachała mu ręką i chwyciwszy Pawlika za końce długiego białego szalika, skierowała się w stronę budynku szkoły zawodowej. Bojcow spoglądał w ślad za oddalającą się zgrabną figurką w turkusowym płaszczku i nagle zrobiło mu się smutno. Uświadomił sobie, że dziewczyna nie prowadziła z nim gry, że cały ten przemyślnie skonstruowany scenariusz okazał się niepotrzebny, głupi i śmieszny. Ona wzięła jego słowa za dobrą monetę, nawet do głowy jej nie przyszło, że mu się spodobała. Albo, co gorsza, przestraszyła się, że gdyby zawarła bliższą znajomość, mógłby stać



się natarczywy, więc w grzeczny sposób się wycofała, głuptaska! Taka dziewczyna na pewno nie będzie ciągnęła mężczyzny do łóżka, tylko cierpliwie zaczeka, aż on sam jej to zaproponuje, a im dłuższa zwłoka, tym lepsze zrobi to na niej wrażenie. Coś podobnego, myślał, że takich dziewczyn już po prostu nie ma...

Wadim spojrział na zegarek. Powinien już jechać. Niechętnie wstał z ławki i ruszył w stronę parkingu przy stacji metra, gdzie zaparkował wóz.

## 2

Wyszedł z instytutu, wsiadł do samochodu i pojechał do Kuncewa, gdzie pracowała żona. Odwiedzili razem kilka supermarketów, wstąpili na rynek, kupili warzywa i świeże mięso, po czym wrócili do domu.

Żona szybko się przebrała i zapakowała elegancką suknię, w której nazajutrz zamierzała wystąpić.

— Jaką koszulę mam ci zabrać? — krzyknęła z sypialni.

— Co jutro włożysz? Garnitur?

— Jeszcze czego — odburknął.

— Nie słyszę! Garnitur czy sweter? — Sweter! — odkrzyknął z irytacją.

— No to wezmę ci tę jasnopopielatą, dobrze?

— Bierz, którą chcesz, tylko daj mi spokój — mruknął ledwie dosłyszalnie, po czym dodał głośniejszym, pojedynczym tonem: — Dobrze, może być jasnopopielata.

Czuł takie wewnętrzne napięcie, że po raz pierwszy w życiu bał się, iż puszcza mu nerwy. Kiedy zabijał Gałaktionowa, był o wiele spokojniejszy. Może dlatego, że nie robił tego nigdy wcześniej i nie wiedział jeszcze, jakie to straszne. A teraz już wie i myśl o tym, że dziś musi przeżyć ten koszmar ponownie, przerażała go. W chwili gdy odłamał szyjkę ampułki i wsypał do filizanki kilka kryształków trucizny, wiedział, że wciąż jeszcze znajduje się po t e j stronie linii granicznej. Także kiedy Gałaktionow powoli mieszał osłodzoną kawę, on nadal był po t e j stronie. I nawet gdy Aleksander odłożył łyżeczkę i podnosił filizankę do ust, on też jeszcze nie przekroczył granicy, mógł bowiem odwrócić bieg zdarzeń, wytrącić mu naczynko z ręki, robiąc jakiś gwałtowny, niby to niezręczny ruch. I dopiero kiedy Gałaktionow upił pierwszy łyk, linia graniczna nagle okazała się za nim. Stał się mordercą. Tych kilka sekund wydało mu się wówczas całymi godzinami straszliwych, wymyślnych tortur, a dziś miał przez to przejść jeszcze raz.

Wyszedł z gabinetu i zdjął z gwoźdźca w przedpokoju smycz i obrożę.

— Brylant, idziemy! — zawołał na psa.

Czarny, długowłosy seter, popiskując radośnie, usiadł przed panem, ochoczo podstawiając szyję, żeby wygodniej było zapiąć obrożę.

— Zaczekamy na ciebie na dole — powiedział żonie i wyszedł z mieszkania.

Żona nie kazała na siebie długo czekać, trwało to zaledwie parę minut. Umiejętność sprawnego i szybkiego pakowania się, tak by niczego przy tym nie zapomnieć, też była jedną z zalet, które w niej cenił.

Gdy żona i pies umościli się już w samochodzie, ruszył na daczę.

### 3

Upewniwszy się, że gospodarze wyjechali za miasto, zabierając ze sobą psa, Bojcow odczekał zgodnie z zasadami dwadzieścia minut i po chwili znalazł się na właściwym piętrze. Klucz w zamku obrócił się łatwo, widocznie Litwinowa starannie zdjęła odcisk.

Wadim wszedł do mieszkania i ostrożnie zamknął za sobą drzwi, starając się, żeby zasuwka nie szcęknęła, co mu się udało. Dopiero wtedy, nareszcie bezpieczny, odetchnął głęboko. To, co przed chwilą zrobił, robił przedtem już wiele razy, ale te rutynowe działania zawsze kosztowały go mnóstwo nerwów.

Na dworze było zimno i mokro, więc nie mógł wejść w głąb mieszkania w butach, bo pozostałyby wyraźne ślady. Zdejmować obuwia też nie chciał — jeżeli wydarzy się coś nieprzewidzianego, na bosaka daleko nie ucieknie, a wkładanie butów to strata drogocennych sekund, które mogą kosztować życie. Bojcow wyjął z

kieszeni cienkie plastikowe ochraniacze, zawiązywane pod kolanami, włożył je i powoli rozpoczął obchód. A właściwie tylko na pozór powoli. W istocie każdy ruch Wadima był precyzyjnie wyważony, a cały system oględzin niezwykle starannie przemyślany: ani jednego zbędnego kroku, ani jednej niepotrzebnie straconej sekundy. Teraz Bojcow miał przed sobą dwa zadania do wykonania. Pierwsze: zorientować się, jakiego pokroju człowiekiem jest gospodarz, i na tej podstawie ocenić, czy w mieszkaniu mogą się znajdować dowody jego przestępstwa. Drugie: wywnioskować, co to za dowody i gdzie należy ich szukać.

Były tu trzy pokoje — salon, sypialnia i gabinet. Trzeba oczywiście zacząć od sypialni. Ona opowie wszystko o życiu małżeńskim gospodarza.

Szerokie łóżko, po obu jego stronach nocne szafki. Na każdej budzik. Na jednym wskazówka dzwonka ustawiona na siódmą, na drugim — na siódmą piętnaście. Jakieś to nielogiczne, pomyślał Wadim. Jeżeli jedno z małżonków musi wstać o siódmej, a drugie może zostać w łóżku o kwadrans dłużej, po co dwa budziki? Przecież to z nich, które wstaje wcześniej, może obudzić drugie. Pewnie o siódmej wstaje gospodarz i wychodzi na spacer z psem, dlatego o siódmej piętnaście po prostu nie ma go w domu. Ale czy nie mogliby się budzić oboje o tej samej porze? On wychodziłby z psem, ona szykowałaby śniadanie...

Wadim otworzył dużą szafę. Ubrania nie były po prostu starannie powieszane i ułożone na półkach — w tej szafie trzymało swoją odzież nie dwoje kochających się ludzi, którzy przeżyli ze sobą dwadzieścia lat, lecz przypadkowi współlokatorzy hotelowego pokoju. Na żadnej półce nie leżały obok siebie męska i damska

bielizna, na żadnym wieszaku nie wisała damska bluzka i męska koszula, damska spódnica i męska marynarka. Wszystko tu było odrębne, oddzielone, obce. Pudełka z damskimi pantoflami — z prawej, z męskimi butami — z lewej.

Zawartość szafek nocnych zdziwiła Bojcową jeszcze bardziej. W obu znalazł lekarstwa, w większości te same. Wyglądało na to, że kiedy któreś z małżonków chorowało, zażywało tabletki „ze swojej szufladki”, a nie ze wspólnej apteczki. Zasada współżycia była wyraźnie widoczna — mąż i żona koegzystowali we wspólnym mieszkaniu, ale każde z nich żyło własnym życiem, miało własne zmartwienia i sekrety. Nie mieszały się nawzajem do swoich spraw, pilnie strzegły prywatnych tajemnic, nie było między nimi prawdziwej bliskości ani przyjaźni. Teraz najwyższa pora obejrzeć gabinet. Jeśli w mieszkaniu jest to, czego Wadim szuka, niewątpliwie znajduje się właśnie tam.

W ciągu paru minut odkrył wbudowany w ścianę sejf, po chwili zaś, zlany zimnym potem, uświadomił sobie, że omal nie zawalił całej sprawy przez własną nieuwagę. Otwarcie sejfu nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu, można powiedzieć, że zjadł zęby na najbardziej wymyślnych szyfrach i zamkach. Ale w momencie gdy już miał pociągnąć do siebie ciężkie drzwi, dostrzegł na ich powierzchni ledwie zauważalną wypukłość. W sejf wmontowano urządzenie, dzięki któremu zawartość skrytki w jednej chwili stawała w płomieniach, jeśli zamek otwarto w nieodpowiedni sposób. A tak właśnie miało się stać tym razem.

Wadim parę sekund stał zamyślony przed sejfem, a potem zdecydowanym ruchem nacisnął wypukłość i otworzył drzwiczki. Pobieżne oględziny zawartości ujawniły, że wysiłek nie poszedł na

marne. Oto teczka z aktami sprawy zabójstwa Jewgienii Wojtowicz i samobójczej śmierci Grigorija Wojtowicza. Oto przedśmiertny list Wojtowicza, w którym jest mowa o przeklętym urządzeniu. Tyle że nie każdy potrafi zrozumieć treść tej krótkiej notatki. Tym, którzy tego nie potrafią, list wyda się nedorzecznym bełkotem niebędącego już przy zdrowych zmysłach samobójcy.

Zsunął z ramienia sportową torbę, wyjął z niej aparat fotograficzny z fleszem i pstryknął kilka zdjęć. Pokój, biurko, a nad nim otwarty sejf. Następnie zbliżenie — biurko i sejf. Dalej — sejf i teczka w środku. Żeby napis na niej był dobrze widoczny, musiał Wadim umieścić na półce zapaloną latarkę. Oczywiście, dla prokuratury i sądu te zdjęcia nie będą żadnym dowodem, gdyż nie zostały zrobione przez powołane do tego osoby i nie w obecności świadków. Zupełnie jednak wystarczą, by w razie potrzeby za ich pomocą wywrzeć psychiczny nacisk na człowieka, o którego im chodzi. Pstryknął jeszcze piętnaście zdjęć, fotografując poszczególne dokumenty z teczki, w tym także list Wojtowicza. Wmontowane w sejf urządzenie wymownie świadczyło o tym, że gdyby zmusić gospodarza mieszkania do otwarcia drzwiczek, zawartość skrytki zostałaby momentalnie zniszczona. Wówczas nikt już nie mógłby dowieść, iż akta dotyczące zabójstwa żony Wojtowicza kiedykolwiek się tutaj znajdowały. Owszem, coś tu leżało, ale co? No cóż, pisma pornograficzne, które chował przed żoną. Korespondencja miłosna. Dziennik. Cokolwiek. Nie sposób udowodnić, co konkretnie. Więc jeśli teczka z aktami ulegnie zniszczeniu, nikt już nie przeczyta przedśmiertnego listu Grigorija Wojtowicza.

Wychodząc z mieszkania, Wadim Bojcow spojrzął na zegarek i skonstatował z zadowoleniem, że cała operacja zabrała mu siedemnaście i pół minuty. To był dobry rezultat.

## 4

Sprowokować kłótnię, jak zwykle, udało się bez trudu, mimo że żona była osobą niezwykle zgodną i bezkonfliktową. Nie chodziło mu jednak o to, by się na niego złościła, w zupełności wystarczyło, że zrobił to on sam. Sprzeczkę wywołał już w drodze, zbliżając się do kolonii domków letniskowych, gdzie mieli swoją dachę. Przedmiotem sporu stali się po raz nie wiadomo który rodzice zięcia, ludzie — jego zdaniem — nadęci i głupi. W chwili gdy postawił samochód w garażu, a potem razem z żoną zaczął rozpakowywać w kuchni zakupy, jego irytacja osiągnęła apogeum. — Dlaczego nawet jednego dnia nie mogę spędzić w ciszy i spokoju! — krzyczał. — Skoro zmuszasz mnie, żebym jutro cały dzień cackał się z tymi przygłupami, to zaraz jadę nad jezioro. Potrzebna mi odrobina samotności i skupienia, bo inaczej nie mogę pracować, powtarzam ci to od dwudziestu lat, a ty wciąż wynajdujesz różnych głupoli, z którymi muszę się zadawać. Daj mi spokój przynajmniej dzisiaj! Brylant, jedziemy nad jezioro!

Wypadł z domu, trzasnąwszy drzwiami, wyprowadził wóz z garażu i z rykiem silnika pomknął drogą. Jadąc szosą mińską, kolejny raz odtwarzał w pamięci wszystko, co jeszcze dziś musi

zrobić. Na tylnym siedzeniu leżała jego teczka z dyskietką i małe pudełko z zawiniętą w watę fiolką. Chyba pomyślał o wszystkim, nic więcej mu nie potrzeba. A, o ma ło nie zapomniał. Klucze. Klucze od mieszkania Szytowej. Będzie musiał z nich skorzystać, jeśli nie zostanie jej w domu. Wszystko obmyślił, opracował szczegółowo oba warianty. Jeden scenariusz miał przygotowany na wypadek, jeśli Szytowa będzie w domu, drugi, jeśli jej nie będzie — ale rezultat miał być jednakowy; Nadzieja Szytowa umrze otruta cyjankiem, nim się zorientuje, że wskazała milicji niewłaściwą osobę. I o śmierć kobiety zostanie obwiniony Łysakow, a dowody będą, że ho-ho! Giena na pewno się nie wykręci. Dobrze, że on po zabiciu Gałaktionowa zabrał jego komplet kluczy, pośród których były również te od mieszkania Szytowej. Od razu zaniósł je do pracowni ślusarskiej i zamówił duplikaty, które zrobiono w ciągu czterdziestu minut. Tego samego dnia wieczorem ostrożnie otworzył drzwi mieszkania i odłożył klucze Gałaktionowa na miejsce, czyli na stolik w przedpokoju, skąd zabrał je przed kilku godzinami. Musiał to zrobić, bo nie mógł wykluczyć, że będzie miał tyle szczęścia, iż śmierć Gałaktionowa zostanie uznana za samobójstwo. W takim wypadku brak kluczy mógłby wzbudzić podejrzenia i zakłócić pomyślny rozwój wydarzeń. Fiolki z resztką niewykorzystanego cyjanku nie zabrał, tylko zostawił przy zwłokach; dokładnie ją przedtem wytarł i zacisnął na niej kilkakrotnie palce zmarłego. Znajdzie się świadek, który zezna, że Gałaktionow prosił go o cyjanek potasu. Prosił i otruł się. Proszę, ampułka z trucizną leży na stoliku. Klucze też są na swoim miejscu. Wszystko mogło być jak w kinie. Ale widocznie coś nie zadziało, chociaż obmyślił plan bezbłędnie. Ciekawe, co przeoczył, o czym zapomniał, czego nie



zdołał przewidzieć, że gliniarze wpadli na to, iż Gałaktionow został zamordowany.

Znalazłszy się w mieście, najkrótszą drogą pojechał w stronę ulicy, przy której mieszkał Giennadij Łysakow. Zatrzymał wóz w pobliżu domu, siedział w środku jeszcze parę minut, żeby spokojnie zebrać myśli i przebiec pamięcią wszystko, co wkrótce będzie musiał zrobić i powiedzieć, po czym zdecydowanie wysiadł. Brylant, któremu pan obiecał wycieczkę nad wodę, poczuł się oszukany, gdy stwierdził, że przywieziono go z powrotem do miasta. Pachniało tu zupełnie inaczej i odgłosy też były inne niż nad leśnym jeziorem. Przez całą drogę leżał na tylnym siedzeniu, nawet nie musiał podnosić łba i patrzeć w okno, żeby się zorientować, że pan go wprowadził w błąd. Teraz Brylant sapał obrażony, wetknąwszy pysk między łapy, i ani myślał się ruszyć. Wcale nie chciał iść za swoim panem.

Znalazłszy się przed drzwiami Łysakowa, mocno nacisnął dzwonek. Otworzyły się niemal natychmiast.

— Dzień dobry — powitał go z nieobecną miną Giennadij Łysakow.

Wyglądał nie najlepiej. Mimo starannie ogolonych policzków, wyprasowanych spodni i czystej koszuli (widocznie oczekiwał każdej chwili wezwania do śledczego lub prokuratora) robił wrażenie zrezygnowanego, znużonego, przybitego. Miał wygląd człowieka, który nie pojmuje, co się dzieje i o co go oskarżają, ale już zdążył zrozumieć, że na nic się nie zda udowadnianie swojej niewinności i pozostaje jedynie mieć nadzieję na cud.

— Dzień dobry, Giennadiju Iwanowiczu — odpowiedział, starając się, by te słowa zabrzmiały możliwie najserdeczniej. — Dzwoniłem na Pietrowkę, powiedziano mi, że mogę pana odwiedzić, to nie jest zabronione.

— Proszę wejść — wymamrotał gospodarz. — Bardzo mi miło, że pan... Że pan...

Głos mu zadrżał i Łysakow umilkł.

— Giennadiju Iwanowiczu, jestem pewien, że zaszło jakieś straszliwe nieporozumienie, ale mam nadzieję, że w najbliższych dniach wszystko się wyjaśni i milicja będzie musiała się przed panem tłumaczyć ze swojej pomyłki. Więc na razie w ogóle nie poruszajmy tego tematu. Przyszedłem tu służbowo, uznajmy, że jest pan na urlopie albo na zwolnieniu, a ja mam jakiś problem, który pilnie wymaga rozstrzygnięcia. Umowa stoi?

— Oczywiście, oczywiście. — Łysakow kiwnął głową z wyraźną ulgą.

Wprowadził gościa do dużego, jasnego pokoju. Stał tu komplet wygodnych, miękkich mebli. W kącie, pod oknem — biurko, na nim komputer i drukarka.

— Co mógłbym panu zaproponować? — spytał Łysakow. — Kawę, herbatę? A może ma pan ochotę na jakiś alkohol? — Bardzo proszę. Ale tylko, jeśli pan też się napije.

— Nie mogę. To jeden z warunków, które mi postawiono, zwalniając mnie do domu zamiast trzymać pod kluczem. — Rozumiem — odparł z powagą. — Wobec tego proszę o kawę. Niech pan nastawi wodę, a zanim się zagotuje, omówimy parę spraw.

Łysakow wyszedł do kuchni, a gość tymczasem wyjął z teczki cienką plastikową teczkę z papierami i dyskietkę. Teczke położył przed sobą na stole, a dyskietkę wsunął do kieszeni.

— Giennadiju Iwanowiczu, jest pan członkiem komisji do spraw niszczenia tajnych dokumentów — zaczął, gdy Łysakow wrócił do pokoju. — Wczoraj właśnie zniszczyliśmy kolejną partię, trzeba było podpisać protokół — a pana już nie było w pracy. No i przywiozłem ten papier, wszyscy członkowie komisji złożyli podpisy, brak tylko pańskiego. Łysakow podpisał się posłusznie, nawet nie czytając dokumentu.

— Teraz następna sprawa. W tym roku spóźniliśmy się z decyzją o nagrodach z okazji Dnia Kobiet dla wszystkich naszych pracownic. Zabraliśmy się do tego dopiero dzisiaj, oto zarządzenie, muszą być na nim parafy przedstawicieli związków zawodowych. Bez pańskiego podpisu dokument jest nieważny, dział finansowy nie może zrealizować wypłat, a przecież pana nikt jeszcze nie zwolnił z funkcji. Mam zresztą nadzieję — dodał — że nie będzie takiej potrzeby. Proszę, niech pan podpisze.

Łysakow i tym razem złożył podpis, nie zapoznając się z treścią dokumentu. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie bardzo rozumie, o czym gość mówi, ale nie chce w to wnikać, gdyż zaprzęta go coś zupełnie innego.

— Dziękuję. Teraz, Giennadiju Iwanowiczu, zajmijmy się recenzjami. Ma pan w tej chwili u siebie do zrecenzowania dwie prace, prawda?

— Tak. Napisałem już recenzje, leżą u mnie w gabinecie na biurku, tylko nie zdążyłem ich dać do przepisania. Miałem to zrobić

wczoraj, ale...

— Niech się pan nie denerwuje, Giennadiju Iwanowiczu, znaleźliśmy te recenzje, i pańska laborantka Lenka już obie przepisała, chciałem je też zabrać ze sobą do pańskiego podpisu. Właściwie jedną przywiozłem, a co do drugiej, wyniknęły pewne trudności. Niech pan sobie wyobrazi, w ostatniej chwili zadzwonił autor. Lenka, dobra dusza, przeczytała mu recenzję przez telefon, a on zaczął ją błagać, żeby w jednym miejscu trochę zmieniła pewne zdanie. Widzi pan, wydawało mu się, że pańska opinia została wyrażona w bardzo ostrej formie. Lenka, oczywiście, nie mogła tego zrobić na własną odpowiedzialność, powiedziała, że pan jest chory, a ona musi uzyskać pańskie pozwolenie na przeredagowanie tekstu. To jest, Giennadiju Iwanowiczu, pański rękopis, a tutaj, proszę spojrzeć, Lenka naniosiła ołówkiem wersję, którą proponuje autor. Jeżeli pan się zgodzi na tę poprawkę, zaraz po święcie przepisze recenzję na nowo.

Łysakow przelotnie spojrział na rękopis i obojętnie wzruszył ramionami.

— Niech przepisuje, wszystko mi jedno — powiedział cicho. — Skoro autorowi zależy...

— Dobrze, dziękuję. — Gość westchnął z ulgą. — Wobec tego pojutrze przyślemy panu poprawioną wersję do podpisu. Będzie pan w domu? Ale właściwie po co pytam? — zreflektował się. — W tej sytuacji trudno to panu przewidzieć. Mogą przecież wezwać pana na milicję czy do prokuratury... Ach, fatalnie się składa, bo obiecaliśmy autorowi, że w czwartek przed trzecią może osobiście się zgłosić po recenzję. I nie można się już z nim skontaktować, bo jest z innego miasta, a dzisiaj o tej porze nikt nie siedzi w pracy,

wszyscy poszli do domu, a jutro święto. Co tu zrobić? Wie pan co, Giennadiju Iwanowiczu, może wybrniemy z tego tak: pan się podpisze na czystej kartce, a Lenka, przepisując, postara się rozplanować tekst tak, żeby podpis znalazł się na właściwym miejscu.

— Dobrze — wciąż tak samo obojętnie zgodził się Łysakow.

Wydawało się, że ta rozmowa z każdą chwilą bardziej go męczy.

— Ma pan czystą kartkę? — zapytał gość.

Giennadij Iwanowicz w milczeniu wysunął szufladę biurka i wyjął kilka arkuszy papieru.

— O ile dobrze pamiętam, recenzja liczy cztery pełne strony i chyba trzecią część piątej. To znaczy, że pański podpis powinien się znaleźć mniej więcej tutaj. — Lekko dotknął ołówkiem miejsca na czystej białej kartce.

Łysakow przysunął arkusz do siebie i złożył podpis.

— Może na wszelki wypadek niech pan podpisze jeszcze jedną kartkę in blanco — zaproponował gość. — A nuż tekst się nie zmieści albo Lenka się pomyli.

Giennadij Iwanowicz wziął kolejny arkusz i znów złożył podpis we wskazanym miejscu.

— No, miejmy nadzieję, że teraz już wszystko będzie w porządku — oznajmił gość z zadowoleniem. — Nie zapomnieliśmy przypadkiem o czajniku?

— Och, rzeczywiście, zapomniałem! — spłoszył się Łysakow. — Chce pan kawę rozpuszczalną czy woli pan ziarnistą? — Jeśli można, ziarnistą — powiedział gość. — Aha, Giennadiju

Iwanowiczu, mógłbym skorzystać z pańskiej drukarki? Moja wysiadła, a w czwartek z samego rana muszę jechać do ministerstwa z gotowym dokumentem. Chodzi dosłownie o kilka stron.

— Naturalnie, proszę je wydrukować — dobiegł z kuchni głos gospodarza.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, wyjął z kieszeni dyskietkę, naciągnął na dłonie cienutkie skórkowe rękawiczki i włączył komputer. Szybko wsunął do drukarki czyste arkusze z podpisem Łysakowa i uruchomił urządzenie. Już po chwili miał w ręku dwa listy podpisane przez Łysakowa. Na obu widniały wyłącznie odciski palców autora. Milicja może sobie teraz sprawdzać wszystko do końca świata, w końcu podpisy są autentyczne. Rzuciwszy okiem na wydruk, stwierdził, że znów dopisało mu szczęście. Urządzenie miało wyraźnie zauważalny, charakterystyczny defekt — wszystkie litery „u” wybijało jako duże. O ile wiedział, ani jedna drukarka w instytucie nie robiła takiego błędu. Doskonale! Włożył zadrukowane kartki do plastikowej teczki, wyłączył komputer, zdjął rękawiczki, wsunął teczkę i dyskietkę do teczki. Teraz trzeba jeszcze szybko wypić kawę, żeby nie wzbudzić podejrzeń gospodarza, i jechać do Szytowej. Oby tylko była w domu...

# ROZDZIAŁ XVI

## 1

Jadąc windą do mieszkania Szytowej, znów przepowiadał sobie oba plany: pierwszy na wypadek, gdyby Nadieżda była w domu, drugi — gdyby jej nie zastał. Wolałby, oczywiście, móc skorzystać z pierwszego. Przychodzi, oddaje jej pieniądze, które rzekomo był winien Gałaktionowowi, wspomina o kawie... Dalej sprawa jest prosta. Po kilku minutach Szytowa umiera, on zostawia złożony we czworo list, podpisany przez Łysakowa, i wychodzi. Jeżeli Szytowej nie będzie, otwiera drzwi kluczem i wsypuje cyjanek do esencji herbacianej lub do kawy rozpuszczalnej. Może w lodówce stoi garnek z zupą. Krótko mówiąc, zorientuje się, gdzie najlepiej wsypać truciznę. Byle nie do cukru, bo glukoza neutralizuje działanie cyjanku. Potem zostawia list i wychodzi. I w jednym, i w drugim wypadku wraca do Łysakowa. Godziny pracy już się skończyły, jutro święto, milicja na pewno nie będzie dziś Gieny niepokoić, w końcu to też ludzie, chcą odpocząć. Otruć Łysakowa i wyjść, zostawiając na widocznym miejscu drugi list — to sprawa kilku minut. Potrzeba na to dokładnie tyle czasu, ile zajmie gospodarzowi zagotowanie wody i podanie herbaty.

Milicja znajdzie otrutą Szytową i list napisany przez Łysakowa (nie ma najmniejszych wątpliwości, że przez niego — świadczą o tym papier, odciski palców, drukarka i podpis), w którym ten uprzedza ją o wizycie. A potem — martwego Łysakowa, który załamał się pod brzemieniem popełnionych czynów i odebrał sobie życie. No i, oczywiście, drugi list, w którym samobójca przyznaje się do zamordowania Gałaktionowa i Szytowej.

Najważniejsze, żeby Łysakowa nie znaleziono wcześniej, nim zginie Szytowa. Tego, naturalnie, nie da się całkowicie wykluczyć, bo jeśli on teraz nie zostanie jej w domu, pojedzie do Gieny i zabije go, to zwłoki mogą zostać odkryte, zanim Szytowa wróci i wypije zatrutą herbatę. Zgodnie z teorią prawdopodobieństwa, hipotetycznie coś takiego może się zdarzyć, ale w życiu — raczej nie. Jutro jest święto, milicja nie będzie intensywnie pracować, Łysakowem zainteresuje się nie wcześniej niż w czwartek rano. O nic poważnego Gieny nie podejrzewają, to zupełnie oczywiste. Gdyby chodziło o zabójstwo Gałaktionowa, a milicja dysponowałaby poważnymi dowodami, na pewno nie puszczono by Łysakowa do domu, mimo że areszty są przepełnione. Podobno adwokat Gieny zdobył pieniądze i wpłacił za niego ogromną kaucję, tak wysoką, że Giennadij nie ruszy się nigdzie na krok, bo wtedy cała suma przepadłaby na rzecz skarbu państwa, a więc ci, którzy pożyczyci forszę, dopadliby zbiega nawet na końcu świata. Nie trzeba go zatem pilnować ani trzymać na aresztanckim wikcie, jeśli zaś ucieknie — szukać, gdyż ci, którzy pożyczyci pieniądze na kaucję, sami go znajdą, to pewne.

Czyli milicja śpi spokojnie i nie będzie zawracać sobie głowy Łysakowem aż do czwartku. W tym czasie Szytowa musi umrzeć.



Musi. Musi.

Nacisnął dzwonek i z ulgą usłyszał po drugiej stronie drzwi szybkie kroki.

— Kto tam? — zapytała Szytowa.

— Moje nazwisko Łysakow — powiedział głośniej, niż należało, w nadziei, że usłyszy to któryś z sąsiadów. — Giennadij Iwanowicz Łysakow. Byłem w pani mieszkaniu u Aleksandra Władimirowicza akurat wtedy, kiedy zabrano panią do szpitala. Pamięta pani?

— A czego pan sobie życzy? — odezwała się kobieta przez drzwi.

— Widzi pani, pożyczyłem od Aleksandra Władimirowicza pieniądze na trzy miesiące. I teraz nie wiem, komu mam je zwrócić. Jego żona, mówiąc oględnie, za mną nie przepada, więc pomyślałem, że lepiej będzie oddać je pani. Byliście przecież w tak bliskim związku...

Drzwi otworzyły się szeroko, ale zamiast efektownej brunetki Szytowej w progu stanęła szczupła, niepozorna blondyneczka, którą już nieraz widział i w instytucie, i na Pietrowce.

— Proszę wejść, Pawle Nikołajewiczu — zaprosiła uprzejmie. — Czekamy na pana.

Rzucił się do tyłu, ku schodom, ale natychmiast pochwyciły go silne ręce mężczyzn, którzy nie wiadomo skąd się tu wzięli.

Była już prawie siódma wieczór, kiedy Wadim Bojcow pojął nagle, że jest głupcem. Pojął to tak po prostu, nieoczekiwanie, dosłownie w jednej chwili. Zrozumiał, że nie wydorósł, od czasu gdy po raz pierwszy uznał, że dziewczyny same ustalają reguły gry, a potem je naruszają, i dlatego naj lepiej nie mieć z nimi w ogóle do czynienia. Największym błędem, ciężącym na nim od lat młodszych, było przekonanie, że wszystkie przedstawicielki płci pięknej należy traktować jednakowo, że odnosi się do nich jakaś jedna, ogólna charakterystyka, która zawiera uniwersalny klucz do każdej z nich, i ten klucz pozwala je rozumieć i z nimi współistnieć. Gdyby Wadim spotkał kiedyś na swojej drodze mądrego człowieka, ten wyjaśniłby mu, że rzeczywiście prawie wszystkie dziewczyny są takie same (ale tylko prawie), ponieważ prawie identycznie (ale tylko prawie) przebiega proces ich dojrzewania i adaptacji społecznej. Dzieci i młodzież pod wieloma względami (ale nie wszystkimi) są do siebie podobne, natomiast ludzie dorośli — absolutnie różni. Nie można generalizować, usiłując znaleźć dla nich jakiś wspólny mianownik, i wyprowadzać pewnych ogólnych prawidłowości. Nie do wszystkich pasuje ten sam klucz. Do każdego człowieka trzeba podchodzić indywidualnie. Błąd Wadima polegał na tym, że próbował on zrozumieć dziewczyny w ogóle, a gdy mu się to nie udało, zaczął się ich bać, ponieważ uznał, że nie sposób przeniknąć kobiecej natury. Poznawszy Anastazję Kamieńską, odkrył, że kobiety różnią się między sobą, tak samo jak mężczyźni. A dziś zawarł znajomość ze wspaniałą dziewczyną i jak głupiec usiłował przypisać jej prowadzenie gry, w którą grały z nim

doświadczony, wytrawny kokietki. No właśnie, jak głupiec. Nie zapytał nawet, jak jej na imię.

Przed jego oczyma znów stanęła oddalająca się zgrabna sylwetka w długim turkusowym płaszczu, przypomniał sobie zadarty nosek z kilkoma złocistymi piegami, krótkie, lśniące włosy, czerwone usta, nietknięte szminką, gęste rzęsy i łamiący się od łez głos, gdy opowiadała, jak pobito jej sześciolatniego braciszka, miły uśmiech, z jakim odrzuciła jego propozycję, bo był przecież zmęczony i powinien odpocząć. Była taka młoda, taka świeża, taka... Naturalna. Znalazł na koniec właściwe słowo, które oddawało w pełni istotę osobowości tej dziewczyny.

Tak, jest głupcem. Ale musi ją odszukać.

Przycisnął mocniej gaz i pomknął w stronę wschodniego rejonu miasta. W szkole, oczywiście, nikogo już nie było, oprócz sprzątaczkę i portierki w jednej osobie. Wadim stracił bez mała godzinę, nim zdołał namówić kobietę, by podała mu numer telefonu dyrektorki. Ta, przeciwnie, okazała się bardzo rozmowną damą i łatwo uwierzyła w bajeczkę o tym, jak to Wadim siedział na ławeczce w pobliżu szkoły i poznał tam dziewczynę, która potem odeszła, nie zauważywszy, że z jej książki wypadły jakieś papiery czy listy, chyba bardzo osobiste. On chciałby je zwrócić, ale nie wie, jak dziewczyna się nazywa, zapamiętał tylko, że jej brat ma na imię Pawlik, jest uczniem pierwszej klasy i niedawno został dwa razy pobity przez chłopaków z sąsiedniej zawodówki. — Tak, wiem, o kim pan mówi — oświadczyła dyrektorka — ale nie jestem pewna, czy mogę podać panu ich adres. Nic przecież o panu nie wiem.

— Czy naprawdę warto robić z adresu taką tajemnicę? — udał szczere zdziwienie Wadim. — Przecież gdybym był złoczyńcą i

zobaczył na ulicy dziewczynę, śledziłbym ją do samego domu. Nikt by mi nie musiał podawać jej adresu, a i tak wprowadziłbym swoje złe zamiary w życie. — W zasadzie ma pan rację. — Dyrektorka roześmiała się. — Trudno pańskiemu rozumowaniu odmówić logiki. Proszę oddać słuchawkę portierce Zoi. Zoja uważnie wysłuchiwała poleceń dyrektorki.

— Idziemy — zakomenderowała, odłożywszy słuchawkę. Gdy weszli na pierwsze piętro, otworzyła drzwi do pokoju nauczycielskiego. Wzięła z półki dziennik klasy pierwszej B i otworzyła go na ostatniej stronie, gdzie zanotowano adresy i numery telefonów wszystkich uczniów.

— Proszę, Wiedieniejew Paweł, zapisz sobie adres. A jego siostra ma na imię Luba, też chodziła do naszej szkoły, dobrze ją pamiętam.

Wadim szybko zanotował ulicę, numer domu i mieszkania.

— Telefon też ci podać? — zapytała portierka.

— Oczywiście. Nie wypada zjawiać się u kogoś w domu bez uprzedzenia. Pani Zoju, a może mógłbym zadzwonić stąd, od pani?

— A dzwoń, czemu nie — pozwoliła portierka. Dyrektorka nie miała do niej żadnych pretensji, więc chyba wszystko załatwiła jak należy, nie warto teraz chłopakowi robić trudności, ma rację, że jakoś niezręcznie przychodzić do nieznanomych ludzi tak prosto z ulicy.

— Dobry wieczór — powiedział Wadim, gdy u Wiedieniejewów ktoś podniósł słuchawkę. — Czy mogę prosić Lubę? — Słucham pana.

— Mówi Wadim, czekaliśmy dzisiaj razem na ławeczce na Pawlika.

— Poznaję pana. A jak pan mnie znalazł?

Był pewien, że Luba się uśmiecha.

— Potem pani opowiem. Czy moglibyśmy się spotkać?

— Moglibyśmy.

— Kiedy?

— Choćby zaraz. Zgoda?

— Zgoda — odparł, czując, że serce zaczyna mu walić jak młotem.

— Gdzie pan teraz jest? Daleko?

— Nie, w szkole Pawlika. Dokąd mam przyjść?

— Proszę minąć zawodówkę i iść w tę stronę, w którą ja poszłam, pamięta pan?

— Pamiętam.

— Za zawodówką będzie skwer, potem apteka, szewc, naprawa telewizorów, skrzyżowanie, dalej wysoki jedenastopiętrowy budynek, a za nim przystanek autobusowy. Tam właśnie się spotkamy za dziesięć minut. Dobrze? — Już pędzę! — wykrzyknął, odkładając słuchawkę na widełki.

Cztery minuty później stał na przystanku. Jeszcze trzy, i z bramy naprzeciwko wynurzyła się smukła postać w długim turkusowym płaszczu i biegiem ruszyła w jego stronę. — Cieszę się, że pan mnie znalazł — oznajmiła Luba bez wstępów i popatrzyła na Wadima rozpromienionymi oczyma.

— Naprawdę? — Nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu. — Słowo daję. Było mi strasznie przykro, że nas pan nie odprowadził.

— A mnie było strasznie przykro, że pani nie chciała przyjąć mojej propozycji — wyznał Wadim. — Słuchaj — nagle przeszedł na „ty” — mogę cię pocałować?

Stali na przystanku i całowali się. Przyjechał autobus, pasażerowie, którzy z niego wysiedli, wyminęli ich i rozeszli w różne strony. Potem następny, potem jeszcze jeden... — Chodźmy. — Pociągnął Lubę w bok, dalej od przystanku. — Dokąd?

— Donikąd. Po prostu się przejdźmy. A może chcesz gdzieś pojechać? Mam samochód, stoi tu w pobliżu, koło szkoły.

— Wiesz co, chodźmy do metra, kupisz mi kwiaty. Dużo, dużo kwiatów. Dobrze?

— Oczywiście.

Szli objęci, co jakiś czas przystawali i zaczynali się całować. Wadim uświadomił sobie, że coś takiego zdarza mu się po raz pierwszy. Nigdy dotąd nie całował się wieczorem na ulicy. Zawsze odbywało się to w mieszkaniach lub pokojach hotelowych, wszystko było wcześniej zaplanowane i zaaranżowane.

— Ej! — rozległ się gdzieś z boku pijacki okrzyk. — Luba! A dokąd to?

— Chodźmy szybciej — szepnęła dziewczyna, przyśpieszając kroku.

— O co chodzi?

— To mój sąsiad. Chodziliśmy kiedyś do jednej klasy. — I co z tego?

— No, kiedyś się przyjaźniliśmy, prawie do końca szkoły. Sto lat temu. Ale jemu nie wiadomo dlaczego się wydaje, że ma do mnie

jakieś prawa. Owszem, tak, całowaliśmy się, ale kiedy to było! Teraz on zupełnie się stoczył, pije na umór i stale wdaje się w bójki.

— Luba! — znów rozległ się pijacki, agresywny głos. — Co, masz nowego frajera? No, poczekaj, gdzie tak lecisz, poznałabyś nas, wypilibyśmy po maluchu, wymienilibyśmy się doświadczeniami, gdzie masz najwrażliwsze miejsca... Wadim gwałtownie przystanął.

— No chodź, chodź, kolego, podejdź bliżej, zaraz się wymienimy doświadczeniami — powiedział spokojnie, zwracając się w stronę, skąd dobiegał głos.

Z ciemności wynurzył się krzepki dryblas o tępej, przepitej twarzy. Wadim ocenił, że żaden z niego przeciwnik. Był wprawdzie wysoki i potężnie zbudowany, ale bez kondycji, a stałe nadużywanie alkoholu osłabiło z pewnością jego refleks.

— Wadim, daj spokój — usłyszał za plecami drżący głosik. — Zostaw go. Widzisz, że jest pijany, nie wie, co się z nim dzieje.

— Kto nie wie? Kto jest pijany, ja? — ryknął dryblas. Zamachnął się trzymanym w ręce brukowcem i niemal w tej samej chwili runął na kolana, jęknąwszy z bólu. — Idziemy — powiedział Wadim, znów obejmując Lubę ramieniem. — Co też ci strzeliło do głowy, żeby się zadawać z takim durniem?

— Kto mógł przewidzieć, że tak się zmieni? — odparła Luba z westchnieniem. — W szkole był miłym chłopcem, prymusem, mistrzem dzielnicy w jeździe na łyżwach. Potem, oczywiście, zaczęło mu trochę odbijać, no, ale to normalne w wieku siedemnastu, osiemnastu lat. Później mu przeszło, co prawda, wciąż popijał, ale nie więcej niż inni. A w ciągu ostatniego pół roku jakby się zerwał z łańcucha, trudno go poznać, to po prostu inny człowiek.

Jak tylko coś wypije, już szuka zwady, wciąż patrzy, komu by przyłożyć. Mnie się czepia bez przerwy, mieszkamy w tym samym domu, mówiłam ci, po ósmej wieczorem staram się wychodzić tylko w towarzystwie rodziców.

— Z jego powodu?

— Nie tylko, ale z jego też. Sam zobacz, co się dzieje. Luba wskazała ręką gdzieś w bok. Wadim popatrzył w tamtą stronę i dostrzegł pośród gęstych zarośli jakieś ruchome cienie. Po chwili zorientował się, że trzech czy czterech młodych ludzi zaciekle kopie mężczyznę leżącego na ziemi.

— Coś takiego można u nas zobaczyć co wieczór. To na jednej ulicy, to na drugiej.

Wadimowi zdawało się, że agresja wydziela zapach, cierpki, ostry, przenikający całe ciało; roztaczają go ludzie noszący w sobie śmierć i zniszczenie. Czuł tę woń i do gardła podchodziła mu fala ohydnych mdłości. Teraz wszystko tu było inne niż rano. Zupełnie inne. Przed oczyma jawiły się Wadimowi zdjęcia, które pokazywała mu Kamieńska. Jedne ze zmasakrowanych zwłok znaleziono bodaj właśnie na tym skwerze. Boże, jak ludzie mogą tutaj mieszkać? Co wyrośnie z ich dzieci? Przecież one mają tak chwiejną, nieukształtowaną psychikę, chłonącą jak gąbka fale zła, emitowane przez zainstalowaną na dachu instytutu antenę! Ustawiono ją tam, przemilczając straszliwe skutki jej działania. Nie ujawniono ich, by móc wykorzystać efekt zwrotny, konstruując urządzenie, dzięki któremu uda się podnieść poziom gotowości bojowej żołnierzy. I płacąc za to t a k ą cenę...



— Gdzie tu jest najbliższy automat? — zapytał. — Muszę zatelefonować.

### 3

Przesłuchiwali Borozdina już prawie dwie godziny. Znalezione przy nim zbyt wiele dowodów, by mógł uciec się do jakichś wymyślnych kłamstw. Dlatego po prostu milczał, z rzadka jedynie rzucając jakieś błahe repliki. Nastia była zmęczona. Czuła, że zaczyna wolniej myśleć. Od piątkowego wieczoru, kiedy to zrozumiała, że trzy razy omal jej nie zabito, do dziś, czyli wtorku wieczorem, upłynęło dziewięćdziesiąt godzin. Dziewięćdziesiąt godzin nieustannego napięcia, strachu, bezsenności. Organizm odmawiał normalnego funkcjonowania w takich warunkach, domagał się poczucia bezpieczeństwa, jedzenia i snu. — Powtarzam pytanie — ciągnęła monotonnym głosem. — W jakim celu przyszedł pan do Nadieždy Andriejewny Szytowej? Milczenie.

— Następne pytanie: dlaczego powiedział jej pan, że na żywa się Giennadij Iwanowicz Łysakow?  
Milczenie.

— Jak wyjaśni pan fakt, że w pańskiej teczce znaleziono listy podpisane przez Łysakowa? — Skąd pan miał ampułkę z cyjankiem potasu?

— Jaki dokument dla ministerstwa wydrukował pan na drukarce Łysakowa?

Milczenie. Milczenie. Milczenie.

Wiedziała, że jutro będzie zupełnie inaczej. Jutro stanie przed nią nie zacięty we wzgardliwym milczeniu uczonec, lecz człowiek, który spędził noc w przepelnionej celi, gdzie czterdziestu ludzi oddycha, wypróżnia się, rozmawia, kłóci, bije, uprawia seks, znęca się nad bezbronnymi i słabymi. Jutro Borozdin zapomni o swojej dumie i poczuciu wyższości. Ale jeśli ona, Nastia, pozwoli mu milczeć aż do jutra, odeśle go do celi, nie wyciągnąwszy zeń ani słowa, to chyba oszaleje. Musi się dowiedzieć, kto i dlaczego próbował ją zabić, nie wytrzyma kolejnej nocy bez snu, spędzonej w napięciu i strachu. Dlatego z takim uporem pytała teraz Borozdina w kółko o to samo. Jej taktyka była prosta: drażnić, zadając pytania dotyczące tylko dzisiejszego dnia, powtarzać je monotonicznie, do znudzenia. A kiedy Borozdin zupełnie otępieje, będzie już znał jej kwestie na pamięć i pozwoli sobie na dekoncentrację, pewien, że Anastazja o nic innego już nie zapyta, ona zaskoczy go, ogłuszy niespodziewaną woltą. Trzeba tylko dobrze wszystko obmyślić.

Siedzieli w gabinecie Gordiejewa. Pączek tkwił przy swoim biurku, obserwując z uwagą, jak Nastia prowadzi przesłuchanie. Co jakiś czas zmieniał ją Jura Korotkow. Wtedy ona szła do siebie, żeby szybko wypić filiżankę kawy, zapalić papierosa i odpocząć z zamkniętymi oczami. Gordiejew w ogóle się nie odzywał, przez cały czas nie wypowiedział ani słowa.

— Skąd pan znał adres Szytowej? — rozpoczął swoją kolejną pytań Korotkow, a Nastia, odetchnąwszy z ulgą, wyszła z gabinetu szefa.

Jeszcze przed drzwiami swego pokoju usłyszała, że wewnątrz dzwoni telefon. „Nie podniosę słuchawki” — postanowiła. Sama myśl o tym, że miałyby z kimś rozmawiać, wydawała jej się nie do zniesienia. Kto zresztą może dzwonić o dziesiątej wieczór, siódmego marca, w przeddzień święta, do pracy? Nikt, od kogo należałoby się spodziewać dobrych wieści.

Telefon umilkł, ale po chwili odezwał się znowu. Naliczyła piętnaście dzwonek, nim natarczywy abonent dał za wygraną. Nie mógł to być Losza, gdyż Losza siedział teraz u niej i przygotowywał jutrzejszy świąteczny obiad. Gdy wróciła na Pietrowkę po zatrzymaniu Borozdina u Szytowej, od razu uprzedziła Czistiakowa, że jeszcze długo będzie zajęta, a kiedy skończy pracę, sama się do niego odezwie. Telefon znów zadzwonił. Czekwała cierpliwie, aż dzwonek się urwą, i szybko wybrała swój numer domowy. — Loszka, nikt mnie nie szukał?

— Przed chwilą dzwonił Bojcow. Powiedział, że nie może złapać cię w pracy, a ma dla ciebie jakąś ważną wiadomość. Więc co, jesteś w końcu na Pietrowce czy nie? — Tak, w tej chwili u siebie w gabinecie. Loszka, gdyby Bojcow odezwał się jeszcze raz, daj mu numer do Gordiejewa.

Starła się mówić spokojnie, ale właściwie chciało się jej wyć, krzyczeć, wyrywać sobie włosy z głowy i tłuc talerze.

„Kretynka! Idiotka! Dlaczego nie podniosłam słuchawki? Co za debilka ze mnie! A jeżeli on więcej nie zadzwoni?”

## 4

— I co? — spytała ze współczuciem Luba. — Nie możesz się dodzwonić?

— Nikt nie odbiera.

— Spróbujesz później jeszcze raz. To takie pilne?

— Bardzo pilne, Lubuś. I bardzo ważne. Kiedyś ci wszystko opowiem, ale teraz nie rozmawiajmy o pracy, dobrze? Mieliśmy przecież kupić ci kwiaty, więc chodźmy. Znow zaczęli się całować, tam gdzie stali, w budce telefonicznej. Kiedy oderwali się od siebie na chwilę, Luba powiedziała:

— No, spróbuj jeszcze raz. Teraz powinno się udać.

Wadim posłusznie włożył żeton do szczeliny i wybrał numer Kamieńskiej do pracy. Podniosła słuchawkę od razu, zanim przebrzmiał pierwszy dzwonek.

— Wadim?

— Tak, to ja. Chwileczkę.

Zasłonił mikrofon dłonią i poprosił Lubę:

— Proszę cię, wyjdź. Zaraz będę musiał użyć niecenzuralnych wyrażeń, nie chcę, żebyś to słyszała.

Luba uśmiechnęła się do niego i posłusznie wyszła z budki.

— Muszę pani przekazać dwie informacje — rzekł ściszym głosem. — Borozdin pracował nad urządzeniem mającym zwiększyć poziom agresji żołnierzy. Zamierzał je kupić Mierchanow. Gdy się dowiedział, że prace muszą zostać wstrzymane ze względu na obecność milicji w instytucie, kazał panią zabić. Pierwszy zespół płatnych zabójców już wypadł z gry, ale niewykluczone, że Mierchanow wynajmie nowych. Po drugie, w mieszkaniu Borozdina jest ukryty sejf, w którym leży teczka z aktami sprawy Wojtowicza. Widziałem ją na własne oczy parę godzin temu i sfotografowałem. W sejf wmontowano urządzenie, które automatycznie niszczy zawartość, jeśli nie użyje się odpowiedniego przycisku przed jego otwarciem. Proszę o tym pamiętać podczas przeszukania. I nie pozwolić, żeby Borozdin sam otworzył sejf, lepiej wezwać fachowca.

— Dziękuję. Skoro pan mi to wszystko powiedział, wnioskuję, że znalazł się pan w trudnej sytuacji. Co mogłabym dla pana zrobić?

— Mogłaby pani pomóc mi się ukryć?

— Tak. Wadimie, zrobię dla pana wszystko, choćby dlatego, że trzy razy uratował mnie pan od śmierci. Jakie są pańskie warunki? Zgodzę się na każde.

— Nie mam żadnych. Po prostu proszę mnie ukryć. Moi szefowie nie wybaczą mi, że powiedziałem pani o... — A jeśli uda mi się uratować pana w taki sposób, że nie będzie pan musiał się ukrywać?

— Wszystko mi jedno. Anastazjo, mało się znamy, ale mimo to zwierzę się pani... Poznałem dziewczynę i zacząłem naprawdę się bać śmierci. Wiem, że mówię niejasno, ale wytłumaczę to pani szczegółowo, kiedy się zobaczymy. Chciałbym pani powiedzieć, ile

pani dla mnie zrobiła. I jak wiele pani dla mnie znaczy. Pomoże mi pani?

— Oczywiście. Zrobię wszystko, co trzeba. Proszę w to nie wątpić. Gdzie pan teraz jest? W domu?

— Nie, w mieście.

— Może pan przyjechać do mnie na Pietrowkę?

— Kiedy?

— Zaraz.

— Postaram się. Powinienem być za czterdzieści pięć minut — powiedział krótko i odwiesił słuchawkę.

## 5

Nastia weszła do gabinetu Gordiejewa, starając się nie dać po sobie poznać poruszenia. Jura Korotkow nadal cierpliwie zadawał pytania, a Paweł Nikołajewicz Borozdin wciąż zachowywał wyniosłe milczenie.

— Wiktorze Aleksiejewiczu — zwróciła się Nastia do Pączka, nie podnosząc głosu, ale i nie ścisząc go. — Mam już dość, jestem zmęczona i chce mi się spać. Gdzie jest nasz dyżurny oficer śledczy? — Jak to gdzie? W pokoju grupy dyżurnej.

— Niech weźmie technika oraz świadków z urzędu i pojedzie do mieszkania Pawła Nikołajewicza na przeszukanie. — Nalegam, żeby przeszukanie odbyło się w mojej obecności — odezwał się nieoczekiwanie Borozdin. — Dlaczego? — zapytała ze zdziwieniem

Nastia. — Do niczego nie jest nam pan potrzebny. Jeszcze, nie daj Boże, zapomni pan nacisnąć, co trzeba, i teczka z aktami Wojtowicza spłonie w sejfie. Byłabym niepokieszona, gdyby tak się stało, a pan?

Borozdin siedział do niej tyłem i Nastia musiała wpatrywać się w twarze Korotkowa i Gordiejewa, by sprawdzić, czy cios został celnie wymierzony. Widząc, że skronie i łysina Pączka pokryły się kropelkami potu, stwierdziła, iż Borozdin pękł. Teraz już mogła wyjść. Lepiej, żeby doktor habilitowany, profesor, nie musiał okazywać słabości przy kobiecie, nie byłoby to wskazane w jej dalszych relacjach z podejrzanym. Nie należy pozbawiać człowieka poczucia godności, bo wówczas nigdy nie znajdzie się z nim wspólnego języka; można jedynie oczekiwać niewolniczego posłuchu, uległości bitego psa.

Anastazja wróciła do siebie i spojrzała na zegarek. Było prawie wpół do jedenastej. Do przybycia Wadima pozostawało jeszcze trzydzieści pięć minut.

## 6

Wadim wyszedł z budki telefonicznej i rozejrzał się. Luba stała w odległości dwudziestu metrów od niego i z zaciekawieniem studiowała afisz teatralny.

— Lubisz teatr? — zapytał, podchodząc i znów ją obejmując.

— Lubię — przytaknęła. — Zwłaszcza sztuki o miłości. No i czego się śmiejesz? Wiesz, Wadim, scena wymaga bardzo specyficznego

sposobu przedstawiania historii miłosnych. W filmie można pokazać ostrą erotykę, nawet pornografię — ponieważ aktor nie ma bezpośredniego kontaktu z widzem, nie czuje wstydu ani zażenowania. O literaturze już nie wspomnę, tam bohaterowie są papierowi. A w teatrze, mój kochany, z pierwszego rzędu możesz aktora dotknąć ręką, czujesz na twarzy jego oddech. Z erotyką tutaj daleko się nie zajedzie. Nie mam racji? Dlatego na scenie trzeba mówić o miłości zupełnie inaczej. A ja zawsze jestem okropnie ciekawa: jak to zrobią tym razem? Co nowego wymyślą? — Lubuś, kochanie, muszę jechać. Chodź, odprowadzę cię do domu, a potem załatwię swoje sprawy. Jutro z samego rana do ciebie zadzwonię. Albo lepiej ty zadzwoń do mnie, będzie mi przyjemnie. Zapisz sobie mój telefon. Nie protestowała, uznawszy widocznie za najzupełniej normalne, że pierwszego dnia znajomości po prostu pospacerowali trochę, obejmując się i całując.

Skręcili za róg i znów znaleźli się przed skwerem. Zanim Wadim zdążył się opamiętać, wyrosła przed nimi spora grupa młodych mężczyzn, nastawionych bardzo bojowo. — Odejdź — zdążył tylko powiedzieć Lubie, sięgając w zanadrze, gdzie miał pistolet na szelkach. Ale nie zdołał wyjąć broni, gdyż dwóch osiłków podskoczyło z tyłu i chwyciło go za ręce.

— Podrywasz nasze dziewczyny, co? — zaczął groźnie znany już Wadimowi dawny kolega szkolny Luby. — Żora, uspokój się! — krzyknęła Luba. — Jak ci nie wstyd? W tej chwili przestań!

— Ciii, szmato jedna, nikt ci nie udzielił głosu. Najpierw wyrwę twojemu frajerowi jaja, a dopiero potem pozwolę ci otworzyć gębę — rzucił w jej stronę chłopak i zarżał ohydny śmiechem. Zawtórowali mu równie odrażający kumple.



Przewrócili Wadima na ziemię i któryś mocno kopnął go w brzuch. Bojcow usunął się nieco, osłabiając siłę ciosu, i szybko zerwał się na nogi. Ale bójka z dziesięcioma pijanymi, rozwścieczonymi facetami zupełnie nie przypominała sparringu w sali treningowej. W ciemności, na małym skrawku ziemi, otoczonym drzewami i krzewami, Wadim nie miał możliwości manewru. Przy kolejnym uskoku w prawo uderzył ramieniem o pień i aż jęknął z bólu. Któryś z napastników nie zdołał utrzymać równowagi i zwałił się Wadimowi prosto pod nogi, przewracając go na ziemię. Bojcow po tym upadku już się nie podniósł. Ostatkiem sił udało mu się jedynie skulić, by ochronić przed bolesnymi ciosami najwrażliwsze miejsca — brzuch i twarz. Ostatniego uderzenia, zadanego ciężkim kamieniem w nieosłonięty tył głowy, nawet nie poczuł. Ale żył jeszcze, bo słyszał, jak rozdierająco, strasznym głosem krzyczy Luba, i ten krzyk przeszył go nagłym bólem. W następnej sekundzie już nic nie słyszał i nie czuł. Skonał.

## 7

Dochodziła północ. Wadim powinien był przyjechać godzinę temu. Dlaczego do tej pory go nie ma? Rozmyślił się? Czy coś mu się stało?

Ależ była zmęczona! Zdawało jej się, że przyrosła do krzesła i nie ma takiej siły, która zmusiłaby ją do wstania i zrobienia choćby paru kroków. Z tego zmęczenia nie zdołałaby nawet usnąć. Czyżby

się starzała? No cóż, wiek w sam raz na tak romantyczne pomysły jak ślub!

A przecież weźmy takiego Miszę Docenkę — tyle wysiłku włożył w to, by odświeżyć Szytowej pamięć, z takim trudem doprowadził do tego, by bez wahania wskazała na jednego z pięciu podejrzanych, „na pewno nie tego”. Potem, po rzekomym zatrzymaniu Łysakowa, siedział cichutko jak myszka u niego w domu, pilnował go i chronił. Kiedy decydowali, kto gdzie będzie czekał w zasadzce — kto u Łysakowa, a kto u Szytowej — nie zdradził się najmniejszym choćby słowem czy gestem, że wolałby osłaniać Nadieżdę, a nie Giennadija Iwanowicza. I wcale nie dlatego, że się zadurzył po uszy i minuty przeżyć nie może bez swojej kochanej Nadiuszy, tylko dlatego, że w takich sytuacjach człowiek zawsze ma większe zaufanie do siebie niż do innych. Kiedy ktoś nie jest ci obojętny, zaczynasz uważać, że nikt oprócz ciebie jednego nie potrafi go obronić i ustrzec przed nieszczęściem. A jeśli zdarzy się tak, że jego ochronę powierzono komuś innemu, ty zaś, wiedząc, że drogiej ci istocie grozi niebezpieczeństwo, z konieczności znajdujesz się z dala od niej, zaczyna się koszmar, piekielna udręka, którą nie każdy potrafi znieść. Wyobraźnia bezustannie podsuwa ci straszliwe obrazy, jeden gorszy od drugiego, i odchodzisz od zmysłów, nie będąc pewnym i nie mając możliwości natychmiast sprawdzić, czy wszystko w porządku, czy nie jest potrzebna pomoc. Ale Docenko wytrzymał, zdobył się na to, by przesiedzieć dobę w mieszkaniu Łysakowa i ani razu nie zadzwonić do Szytowej, gdyż takie było polecenie Gordiejewa. Kto wie, ile siwych włosów przybyło przez ten czas w gęstej czarnej czuprynie Miszy? Jednak po zatrzymaniu Borozdina podziękował

Łysakowowi za pomoc i gościnę, po czym pomknął prosto do Nadzieży. Skąd w ludziach tyle sił żywotnych? Cóż, dwadzieścia siedem lat, młodość...

Rozmyślania przerwał Nasti dzwonek telefonu wewnętrznego.

— Pani major prosiła, żeby dać znać, jak przyjedzie Wadim Siergiejewicz Bojcow.

— Tak, tak! — ucieszyła się Nastia. — No, wreszcie! Już jest? — Nie. Ale otrzymaliśmy informację, że znaleziono zwłoki mężczyzny, wiek około trzydziestu lat. Dokumenty na nazwisko Wadim Siergiejewicz Bojcow. Grupa zaraz wyjeżdża. Chce pani jechać z nimi? — Tak. Już schodzę.

Niemal nie pamiętała, jak zeszła na dół i wsiadła do samochodu, jak jechali z centrum Moskwy na peryferie, do wschodniego rejonu stolicy. Ocknęła się, dopiero kiedy zobaczyła zalany światłem przenośnych reflektorów skwer i w tym sztucznym, martwym świetle — Wadima z rozłupaną czaszką. Tęgi lekarz patolog, Ajrumian, z trudem wygramolił się z wozu i sapiąc, pochylił się nad zwłokami. Gdzieś w oddali, jak się zdawało Nasti, wiele kilometrów stąd, miotła się w ataku hysterii młodziutka dziewczyna w długim turkusowym płaszczu, a wokół niej krzątały się dwie nieco starsze kobiety. Obok siebie Nastia ze zdziwieniem dostrzegła dzielnicowego, tego samego, z którym całkiem niedawno rozmawiała o alarmującej sytuacji w rejonie wschodnim. On także ją poznał i skinął głową na powitanie.

— Widzi pani? — powiedział, podkreślając te słowa wyrazistym gestem. — O, właśnie o tym mówiłem. O co im chodziło? Czemu przyczepili się do tego chłopaka? Co im zawinił? Żeby chociaż

zabrali mu pieniądze, teczkę, zegarek czy co tam! Wtedy sprawa byłaby jasna — rozbój. To odrażające, ale zrozumiałe. A coś takiego? Świadek, Luba Wiedieniejewa, zeznała, że zajście sprowokował chłopak, z którym kiedyś chodziła do tej samej klasy. Podała jego personalia. Ujęliśmy sprawców w ciągu pół godziny, byli pijani, śpią teraz na dołku. Myśli pani, że potrafią sensownie wytłumaczyć, za co zabili tego Bojcowa? Nie. Trafiają za kratki, sami nie wiedząc, jak i dlaczego. Co się z tymi ludźmi dzieje? Skąd w nich tyle złości?

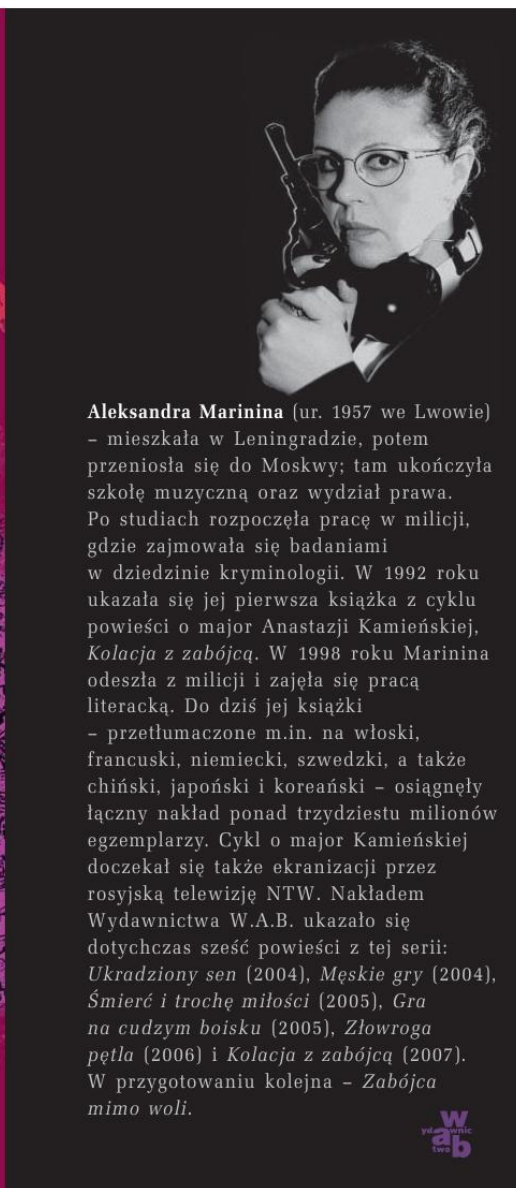
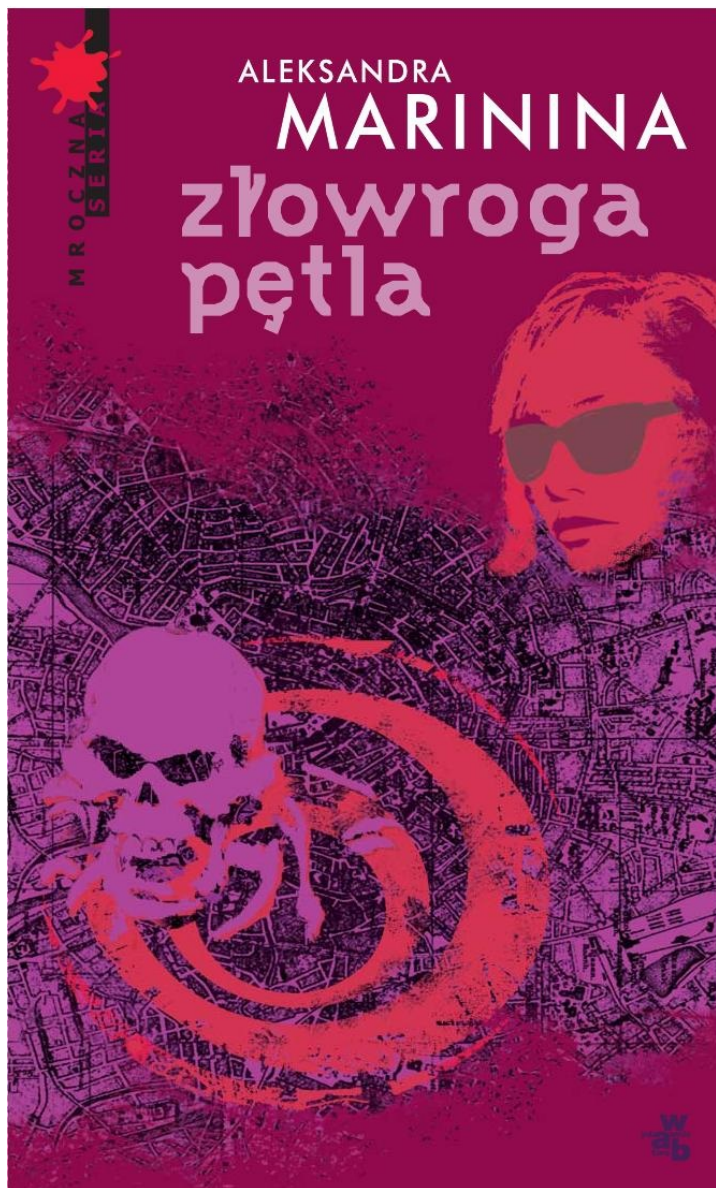
Nastia odwróciła się i powoli, z trudem przestawiając nogi, powlokła się z powrotem do mikrobusu. Na tylnym siedzeniu zgięła się wpół, jakby chwycił ją nagły ból brzucha, i ukryła twarz w dłoniach. Trzęsły nią dreszcze. Ze zmęczenia. Z napięcia nerwów. Z nienawiści do Borozdina i Tomilina. Z rozpacz. I z szaleńczego, rozdzierającego serce żalu, z piekającej do bólu litości nad ludźmi żyjącymi w tym piekle i nieświadomymi tego, co się dzieje z ich dziećmi, bliskimi i z nimi samymi.

Nie, nie będzie czekała do czwartku. Zabierze ze sobą Loszę, który dobrze się orientuje w fizyce, i jutro, nie, już dzisiaj, z samego rana pojedzie do tego tłustego degenerata Tomilina! Dopadnie go w domu, jeśli drań nie zechce z nią gdzie indziej rozmawiać. Osaczy go i nie popuści, dopóki Tomilin nie wezwie dyrektora instytutu i nie każe zdemontować tej przeklętej anteny. Nieważne, że jest święto. Pal licha Międzynarodowy Dzień Kobiet. Zmusi ich, żeby to zrobili.

A Mierchanowem niech się zajmie kontrwywiad. To nie jej działka. Ona miała za zadanie wyjaśnić sprawę zabójstwa Gałaktionowa i kradzieży teczek z aktami z gabinetu śledczego

Bakłanowa. I wykonała je. Teraz jeszcze pozostaje usunięcie anteny z dachu instytutu. Trzeba ratować tych nieszczęsnych, Bogu ducha winnych ludzi, mieszkańców wschodniego rejonu Moskwy. Rozprawić się z Tomilinem, ignorantem i cynicznym karierowiczem. Wyłowić tych, którzy — oprócz Borozdina i nieżyjącego Wojtowicza — pracowali nad urządzeniem. Kogoś z tej grupy znał Bojcow, ale on teraz już nic nie powie. No cóż, poradzi sobie sama. Misza Docenko i Jura Korotkow jej pomogą. Ona musi tylko chwilę, tylko maleńką chwilkę odpocząć, żeby nabrać trochę sił. I żeby ustąpił ten ucisk w gardle, który nie pozwala przełknąć śliny ani głębiej odetchnąć, żeby przeszły te obrzydliwe dreszcze. A potem przespać się choć parę godzin. W czwartek zacznie pracę w brygadzie powołanej do wykrycia sprawców zabójstwa dziennikarza telewizyjnego. Ma więc do dyspozycji tylko jeden dzień, dzisiejszy, a potem będzie zmuszona przerwyc całą robotę na Korotkova i Docenkę. Z trudem wyprostowała plecy, ostrożnie wzięła głębszy oddech, zatrzymała powietrze w płucach, a potem je wypuściła. Łzy wzbierające w kącikach oczu obeschły. Tak, zrobi wszystko, co trzeba. Zdąży. Nieważne, ile ją to będzie kosztowało.

WDNCh (Wystawka Dostizhenij Narodnogo Choziajstwa) — wielki teren wystawowy, gdzie prezentowano osiągnięcia gospodarki i techniki ZSRR (przyp. tłum.).



**Aleksandra Marinina** (ur. 1957 we Lwowie) – mieszkała w Leningradzie, potem przeniosła się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach rozpoczęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się jej pierwsza książka z cyklu powieści o major Anastazji Kamieńskiej, *Kolacja z zabójcą*. W 1998 roku Marinina odeszła z milicji i zajęła się pracą literacką. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład ponad trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamieńskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazało się dotychczas sześć powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004), *Męskie gry* (2004), *Śmierć i trochę miłości* (2005), *Gra na cudzym boisku* (2005), *Złowroga pętla* (2006) i *Kolacja z zabójcą* (2007). W przygotowaniu kolejna – *Zabójca mimo woli*.

W.A.B.  
wydawnictwo